

Gawin Robertson

K

Przekład Agnieszka Jacewicz

Dla Struan

„Lepiej pomylić się co do wroga niż co do przyjaciela”

Jewgienij Jewtuszenko

Część pierwsza

Waszyngton

Na końcu cmentarza Arlington rośnie rząd drzew zasadzonych w równych odstępach. Między nimi stoją białe kamienne ławki. Na jednej z takich ławek siedział Anglik, Simon Northcott, podczas gdy Amerykanin, Buddy Marlin, krążył tam i z powrotem. Słońce późnego lata wydobywało pierwsze przebarwienia liści, ale urlopowa pora roku jeszcze trwała. Nieopodal pracowały kosiarki, a od strony odległego parkingu napłynął strumień turystów.

Obaj mężczyźni milczeli.

Simon patrzył w kierunku płynącej za drzewami rzeki, za którą wyrastały budynki centrum Waszyngtonu. Miasto sprawiało wrażenie idealnie zaplanowanego.

– W Waszyngtonie nie ma problemu – powiedział mu kiedyś Buddy. – Białe domy polityków, szare budynki biur rządowych.

Simon uśmiechnął się na wspomnienie tych słów. On sam jeszcze wtedy nie znał stolicy Stanów Zjednoczonych. Dotychczas zajmował się głównie projektami rolniczymi na wielką skalę. Zwykle określał je jako projekty „pod klucz”. Firma Northcotta, United Machines, szukała chętnych do robienia wspólnych inwestycji w krajach Trzeciego Świata, a Buddy wydawał się idealnym partnerem. Kierował nowo utworzonym wydziałem Departamentu Stanu, US Aid, zajmującym się rozdziałem międzynarodowego funduszu pomocy. Obaj mężczyźni od pierwszej chwili znaleźli wspólny język, a ich szefowie z zadowoleniem obserwowali pierwsze sukcesy tej pary. Simonowi podobał się nowy, „waszyngtoński” status, a Buddy cieszył się ze współpracy z nowym partnerem, ponieważ teraz jego fundusze rządowe pozornie wydawały się nieograniczone.

Gdyby tylko wszystko pozostało takie proste jak na początku – myślał Simon ze smutkiem. – Albo chociaż wyglądało tak niewinnie.

Obaj partnerzy odwiedzali Arlington już od dziewięciu lat.

– Musimy mieć jakiś stały punkt, coś, wokół czego wszystko będzie się kręciło – stwierdził Buddy na początku ich znajomości.

Łagodne, zielone wzgórza Arlington niczym nie różniły się od innych cmentarzy wojskowych na całym świecie, poza tym że tu znajdował się grób Kennedy’ego.

Zarówno Simon, jak i Buddy przestali już w niego bezgranicznie wierzyć, ale obaj byli zgodni co do tego, że odegrał ważną rolę w historii. Być może te przyjazdy do Arlington przypominały im czasy, kiedy wciąż

jeszcze nie przestali być jego gorącymi zwolennikami.

Ci, którzy ich nie znali, mogliby się zastanawiać, dlaczego dwaj partnerzy spędzający ze sobą tyle czasu w pracy, wybrali takie miejsce na dodatkowe spotkania? Po prostu na tematy „z Arlington” rzadko rozmawiali gdzie indziej. Bezpieczeństwo ich tajemnic zapewniały im kręte ścieżki i to, że zmarli nie mogli ich usłyszeć. Lata doświadczeń kazały im przypuszczać, że w Waszyngtonie nigdzie nie można było „bezpiecznie” rozmawiać. Podśluch działał niemal wszędzie, ale przynajmniej tu, na cmentarzu, Simon i Buddy czuli, że wszystko było tak odległe od środowiska, w którym się obracali. O tym, co działo się w ich życiu prywatnym, poza pracą ściśle zawodową, mogli porozmawiać właśnie tutaj.

Poprzedniego wieczoru razem świętowali pięćdziesiąte drugie urodziny Buddy’ego, ale dziś Simon odniósł wrażenie, że jego partner wyglądał raczej na lat sześćdziesiąt.

A ja? – zastanawiał się. Ludzie kiedyś mówili mu, że wygląda młodo na swoje lata, ale teraz, po czterdziestych siódmym urodzinach, nikt już nie powiedział mu podobnych komplementów. Niedługo stanę się taki jak Buddy, jeżeli nie będę uważać na siebie – powtarzał sobie.

Buddy przerwał swoją wędrówkę i spojrzał na Simona. Był wysoki i sprawiał wrażenie zaniedbanego. Przesunął dłonią po łysinie, zatrzymując się na wianuszku przydługich włosów okalających głowę i opadających na kołnier. Podrapał się w szyję, nie spuszczając wzroku z Simona.

– Jak tam Ellen? – spytał.

– W porządku. Nie wiem. Nie widziałem jej już od kilku tygodni. Była żona. Buddy źle wybrał temat do rozmowy.

– A co u Lewesa? Syn. Czują punkt.

– Teraz jest w Oxfordzie. Niestety nie widuję go zbyt często.

– Nie pytałem gdzie jest, tylko co u niego słychać?

– Chyba ma się dobrze. Nie sędzę, aby mu zależało na kontaktach ze mną. Woli trzymać stronę swojej matki.

– Znam to – stwierdził Buddy. – Ale to ty wciąż płacisz rachunki?

– O tak. – Simon podniósł głowę. – Jego wspaniała mamusia potrafi tego dopilnować.

– Pewnie sporo cię to kosztuje, mam rację? Simon westchnął.

– Buddy, do czego ty zmierzasz? Owszem, mój syn trochę mnie kosztuje, ale jakoś daję sobie radę. I proszę, nie wspominaj już więcej o Lewesie. Ja też mógłbym cię spytać o twoje dzieci? Prawda?

Buddy przestał przeczesywać palcami włosy z tyłu głowy i wzruszył ramionami. Miał na sobie starą, skórzaną kurtkę. Wepchnął ręce głęboko w kieszenie.

– U moich chyba wszystko w porządku. Koniec tematów rodzinnych.

Buddy spojrzął ponad płytami cementarza w stronę rzeki, a potem odwrócił się do Simona i znowu zaczął mu się przyglądać.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – spytał. Simon miał wrażenie, że coś mu umknęło.

– Co takiego?

– Mam na myśli twoje wydatki – sprecyzował Buddy.

– Martwi mnie to nieco – przyznał Northcott.

– Mnie też.

– W końcu do tego się wszystko sprowadza. Zmartwienia i wydatki. Rodzinne szczęście.

– Aha. Koniec sielanki. Niewiele zostaje ci na własne przyjemności, co?

– Niewiele.

– No i?

– No i? – powtórzył Simon za przyjacielem.

– Daj spokój.

– Daj spokój z czym? Nie rozumiem cię.

Amerikanin odwrócił głowę. Po raz kolejny wzruszył ramionami i uśmiechnął się, tak jakby uznał, że czas na zmianę nastrojów.

– Może odwiedzimy JFK – zaproponował.

Simon wstał i ruszył za partnerem. Był niższy od Buddy'ego, a jego lekko zmięty garnitur zdradzał brak wprawy w posługiwaniu się małym maglem.

Każda kobieta patrząc na nich uznałaby, że obu przydałby się spacer po centrum handlowym i wizyta w sklepie z odzieżą.

Simon dogonił przyjaciela i szedł teraz obok niego. Zmierzali w stronę Jackson's Circle nieopodal Bramy Zachodniej. Wokół nich, w każdym kierunku ciągnęły się rzędy białych tablic.

– Ile masz kont? – zapytał Buddy.

– Około dwustu. Sam zakładałeś większość z nich, więc powinieneś to wiedzieć – odparł Simon.

– Po ile na każdym z nich?

– To też wiesz. Może sto, minus opłaty i koszty naszej podróży do Lyonu zeszłego lata.

– Dobrze. Jak dotąd nie ma problemów.

– O co ci chodzi?

– Czy tyle ci wystarczy? Chciałem właśnie o to zapytać.

– Daj spokój, Buddy. Przecież już ustaliliśmy zasady, prawda? Nie możemy brać więcej. Nie mamy odpowiedniej struktury. Nie ma takiej, z której moglibyśmy skorzystać, a ja nie potrafię jej zbudować.

– Dobra, dobra. Ja tylko chcę, żebyś jeszcze raz to przemyślał, zgoda?

– Nie.

– Ale tylko się zastanów. Nie musisz nic robić.

– Ryzyko jest zbyt wielkie. Gdybyśmy wszystko rozdmuchali i zaczęli więcej brać, oni od razu by się zorientowali. Sam kiedyś mówiłeś.

– Tak, ale to zabrałoby im trochę czasu. Jeśli dobrze pamiętam, to ty z kolei powtarzałeś.

– I tak zaczną szukać, Buddy. Już by to zrobili, gdyby mogli.

– Może.

– Posłuchaj Buddy – Simon starał się przemówić przyjacielowi do rozumu. – I ty i ja siedzimy w długach. Wymyślona przeze mnie gra, mój plan pomoże nam wypłynąć na powierzchnię. Jesteśmy już w połowie drogi. Jeżeli nie rozkołyszymy za bardzo tej łódki, w której siedzimy, za rok wystarczy nam forsy na spłacenie wszystkiego. Nikt się w tym nie połapie, a nam może nawet uda się coś zaoszczędzić.

Buddy zatrzymał się i odwrócił do Simona.

– Długi, co? Nie przypominam sobie, abyś tak je nazywał na początku. Kiedyś mówiłeś, że to „okazje do inwestycji”.

Simon podniósł dłoń.

– Przyznaję, myliłem się. Ale sam wtedy paliłeś się do tego pomysłu tak jak ja, przypomnij sobie. Kilka nowych magazynów niedaleko Cambridge. Plan budowy nowej drogi dojazdowej. Gdyby wszystko się udało, od samego początku bylibyśmy do przodu. Wiesz, że wciąż jeszcze mamy szansę i sytuacja może się odwrócić na naszą korzyść.

– Niestety, nie. Nikt nigdy nie wynajął u nas magazynu, a twoja droga pozostała w sferze marzeń. Zostaliśmy z dziesięcioletnią umową na dzierżawę dwóch składów w zabitej dechami miejscinie April, czyli Kwiecień, dwadzieścia mil na północ od Cambridge. Nawet w Anglii nie wiedzą, gdzie to jest.

– Marzec. To miasto nazywa się Marzec. Nie zapominaj, Buddy, że wtedy panował okres gwałtownego rozwoju gospodarki. Krzemowa Dolina i tak dalej. Sam wiesz, że na początku inwestycja wydawała się bardzo korzystna. Mieliśmy szansę i skorzystaliśmy z niej.

Buddy ponownie wzruszył ramionami.

– Może i tak, ale nie powiodło nam się i teraz musimy skombinować skądś pięćdziesiąt tysięcy funtów tylko po to, żeby spłacić długi i wyjść na czysto. Owszem, przyznaję, że twój najnowszy plan może nam to ułatwić, ale nie wypchnie nas wyżej niż na poziom „zero”, zgadza się? Pójdźmy na całość, rozejrzyjmy się za prawdziwą kasą.

Simon machnął ręką. Nie miał ochoty odpowiadać przyjacielowi.

– No dobra – ciągnął Buddy – spójrzmy na to z innej strony. Policz coś dla mnie. Dziesięć tysięcy kont. Po pięć tysięcy na każdym.

– Pięćdziesiąt milionów. Ale to wariacki pomysł. Zresztą już ci wyjaśniałem, że nie możemy działać na taką skalę. Zmienna tabela, którą potrafię stworzyć, ogranicza nas do znacznie mniejszych sum.

– Ale Simon, pomyśl tylko. Zastanów się przez jedną chwilę. Dzielimy się na pół, jak zwykle. To ci daje dwadzieścia pięć milionów. Myślę, że nawet ty mógłbyś wiele zdziałać z taką sumą w kieszeni. A ja ze swoimi dwudziestoma pięcioma? Do diabła, mógłbym sobie kupić plażę na Kajmanach i do końca życia oglądać codziennie zachody słońca popijając drinki.

– Na Kajmanach? – zdziwił się Simon.

– Pewnie. Kajmany to ostatni skrawek nieba na ziemi.

– Nawet nie wiem, gdzie to jest. Buddy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie martw się. Wyślę ci kartkę. Plaże wokoło. Morze takie niebieskie, że aż trudno uwierzyć. Najpiękniejsze rafy na Karaibach. Raj bogów. W Departamencie jest taki jeden, czasem z nim pracuję. Ma na ścianie wielki plakat z fotografią z Kajmanów. Kiedyś go o nie zapytałem.

– Buddy, powiedział mi – to miejsce jest jak marzenie. Pewnego dnia pojedę tam i już nie wrócę. Chcę, żeby moje dzieciaki rosły czując pod stopami mokry piasek. – Pewnie sam znasz tego gościa. Nazywa się Rolands.

Simon pokręcił głową.

– Pewnie jeszcze jeden szalony marzyciel.

– Marzyciel? Chyba lepiej marzyć o Kajmanach niż o zapłacie za wynajem jakichś cholernych składów, które wybudowali na potwornym zadupiu.

– Magazynów, nie składów – sprostował Simon cicho. – Nie zamierzam już więcej cię przeproszać. Za sześć miesięcy będziemy na czysto, i na tym koniec.

Buddy wyjął z paczki papierosa i zapalił go. Simon też sięgnął do kieszeni i wyjął swego. Amerykańskie papierosy były dobre, ale tylko dla Amerykanów.

Marlin wypuścił smugę dymu i patrzył jak rozplywa się w powietrzu. Dopiero po chwili odezwał się.

– Wracając do naszego planu. Dlaczego nie możesz zbudować większej zmiennej tabeli? Pamiętam, jak kiedyś wyjaśniałeś mi, że to tylko kupa liczb. Kolumny cyferek czy coś w tym rodzaju. Dlaczego nie zrobisz jej tak wielkiej jak chcesz?

Simon złączył palce obu dłoni.

– Jeszcze raz ci powtórzę – powiedział. – Owszem, wygląda to tak jak strona zapisana liczbami, a dokładnie mówiąc, zestawienie. Problem w tym, że te liczby nie są stałe. Wszystkie przemieszczają się w swych rzędach i kolumnach do środka i na zewnątrz, tak jak nici tkaniny. Gdy zbliżają się do brzegu, stają się niestabilne. Potrafię korzystać tylko z tego środkowego fragmentu, ze stabilnej, centralnej części tabeli. Mam mniej więcej sto punktów przecięcia, na których opierając się mogę grać. Nie wiem, jak stworzyć większą tabelę. Po prostu nie wiem. Może ktoś inny by potrafił, ale ja nie. Trzeba dobrze znać teorię wielkich liczb, a ja niewiele na ten temat wiem. W skrócie nazywają to TWL. Znana jest stosunkowo od niedawna.

Simon nienawidził kłamać, zwłaszcza Buddy'emu.

W oddali, na prawo od nich, poza przerywanym szeregiem drzew, szedł kondukt pogrzebowy. Sześć czarnych limuzyn sunęło, jedna za drugą, wąską aleją. Wokół otwartego grobu stało około trzydziestu osób. Po jednej stronie żołnierze Marynarki, w odświętnych mundurach, stali na baczność w szeregu z bronią gotową do oddania salwy honorowej. Za nimi zatrzymała się większa grupa ludzi, niektórzy trzymali bukiety białych kwiatów. Jeszcze dalej, gromada japońskich turystów fotografowała wszystko dookoła.

– Kogo chowają? – spytał Simon.

– Nie wiem. Pewnie kogoś ważnego. Wielka pompa. Podobno kiedyś tak wyglądały pogrzeby wszystkich poległych na wojnie, teraz już tylko oficerów.

– Przecież teraz nie mamy żadnej wojny.

– Przypomina mi się określenie „czynna służba”. W armii czekają, aż jakiś emerytowany żołnierz osiągnie odpowiedni wiek i wymyślają jakąś papierkową wojenkę. Przywracają takiego do czynnej służby i niby planują wysłać go na jakąś operację NATO czy coś w tym rodzaju. Oczywiście taki osobnik nigdzie nie jedzie. A kiedy umiera, jego rodzina nie musi się martwić kosztami pogrzebu, ponieważ gość był w „czynnej służbie”. Żołnierze oddają na jego cześć salwę honorową, Japończycy

robią zdjęcia. To bardzo sprawiedliwy system. – Obaj przyjaciele zaczęli się śmiać.

– Widzisz tego wojskowego w środku? – ciągnął Buddy. – Tego wysokiego, z flanki erami. Z tej odległości nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że to Warkowski. Nie wiedziałem, że jest w Waszyngtonie. Nieprzyjemny facet.

– Znasz go? Sądziłem, że nie cierpisz wojskowych.

– Zgadza się. Głównie on się do tego przyczynił. Był moim dowódcą w Wietnamie. Wtedy miał stopień pułkownika, a ja porucznika. Chyba uważał, że jego zadanie polegało na obrzydzeniu życia innym. Właśnie przez niego najwięcej żołnierzy opuściło armię. To łajdak. Jak go kiedyś spotkasz, trzymaj się od niego jak najdalej. To moja dobra rada.

– Mam nadzieję, że z tej odległości jestem bezpieczny. – Simon i Buddy raz jeszcze zaśmiali się.

– Może coś w nim jest, skoro zrobili go generałem – stwierdził Simon.

– Może. Tylko może.

– Co robił po wojnie?

– Nie wiem. Odszedłem z wojska zaraz po powrocie do kraju. Kilka razy widziałem jego zdjęcia w gazetach, ale nie mam pojęcia, co robi tu, w Waszyngtonie. Pewnie szlifuje jakieś biurko.

Buddy wyjął kolejnego papierosa.

– Muszę skończyć z tym nałogiem. – Poklepał się w klatkę piersiową. – Poważnie.

– Wszyscy musimy – powiedział Simon, sięgając po swoją paczkę.

– Ja mówię serio – oznajmił Buddy. – W zeszłym tygodniu robili mi badania. Lekarz spojrzał na mnie i powiedział: „Panie Marlin, ma pan pięćdziesiąt dwa lata i pali pan o wiele za dużo”. Ja mu na to, że sam tyle wiem i nie potrzebuję lekarza, żeby mi to mówił. To samo mógłbym usłyszeć od portiera, a Departament miałby mniej wydatków. Według mnie dowcip był całkiem niezły, ale on się nie śmiał. Rzuciłem więc palenie, aż do chwili, kiedy wsiałem do windy w przychodni.

Salwa honorowa wypełniła przestrzeń hukiem. Obaj partnerzy spojrzeli w stronę, z której dobiegły strzały. Rodzina i seniorzy armii wracali już do swoich limuzyn. Pozostali powoli zaczęli się rozchodzić. Japończycy założyli do aparatów nowe filmy i ruszyli obejrzeć kolejny pomnik.

Długie, czarne wozy wolno sunęły w stronę głównej bramy. Gdy ją minęły, na dachach pojawiły się niebieskie, migające światła. Rozległo się wycie syren i policyjna eskorta ustawiła się w szyku. Korowód przyspieszył do pięćdziesięciu mil na godzinę.

– Oficjalne pożegnanie trwało krótko – zauważył Simon.

– Wiadomo. Nikt nie będzie cię oplakiwał, Argentyno. Simon zadeptał niedopałek butem.

– Wiem, Buddy. Wiem. Może porozmawiamy o czymś weselszym? Masz mi coś do powiedzenia?

– Mam. Chyba ci się spodoba. To coś w rodzaju oświadczenia. – Zaczął mówić ciszej. – Pamiętasz mowę JFK, tę, w której pytał, co możesz zrobić dla swego kraju?

– Oczywiście.

– Moja żałoba po nim już dawno się skończyła. Nie wierzę już w to, co mówił. Teraz to same bzdury. Wolę zapytać, co mój kraj może zrobić dla mnie. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że może mi dać kupę forsy w prezencie na odchodne.

– Z wiekiem zmieniamy swój system wartości. Prawdę mówiąc, bardzo mi się podoba to twoje oświadczenie – stwierdził Simon.

– Właśnie. A skoro mój kraj może zrobić to dla mnie, myślę, że z wielkiego serca zrobi to też dla ciebie.

– Ale ja nie jestem Amerykaninem.

– Kiedyś powiedziałeś mi, że czułeś się nim dwa razy w życiu. Pierwszy raz, gdy Kennedy został zastrzelony i drugi, kiedy umarł Buddy Holly.

Simon zauważył kobietę, która w pewnej odległości od nich składała kwiaty przy jednej z tysięcy białych, kamiennych tablic. Nieznajoma uklękła, przeżegnała się, po czym wstała i ruszyła do bramy. Kiedy znalazła się przy głównej alei, mężczyzna w zielonym kombinezonie podszedł do grobu z przeciwległej strony, podniósł bukiet i wrzucił go do plastikowej torby na śmieci, którą umieścił na wózku obok sterty podobnych worków. Buddy zorientował się, że Simon przyglądał się całej tej scenie.

– Takie są tutaj zasady – wyjaśnił. – Kwiaty mogą leżeć tylko na grobie Kennedy’ego. W przeciwnym razie robi się za wielki bałagan. To nie wygląda dobrze, gdy cmentarz odwiedzają ważne osobistości. Na wojnie może być bałagan. Ze śmiercią też bywa różnie, ale potem Wuj Sam wymaga, aby wszędzie panował porządek.

– A na grobie Kennedy’ego kwiaty nikomu nie przeszkadzają? – spytał Simon.

– Nie. Zresztą, jeżeli przyjrzesz się uważnie, zobaczysz, że jego grób nie jest w linii z pozostałymi. Tam kwiaty są zawsze mile widziane. Może w ten sposób wojskowi chcą powiedzieć: „Przepraszamy, przykro nam, że

zginął, ale ty nigdy nie byłeś naprawdę jednym z nas”.

– Ty ciągle o tym samym?

– Pewnie – odparł Buddy. – To musieli zrobić oni. Cała ta paplanina o mafii czy CIA to tylko przykrywka. Włosi nie mieli żadnego powodu, żeby wykluczyć Kennedy’ego z gry, poza tym on przecież był katolikiem.

Buddy jak zwykle rozkręcał się przy tym temacie. Gwałtownie gestykułował, tak jakby chciał, aby Simon dokładnie go zrozumiał.

– Nie – kontynuował wywód – JFK był pierwszym outsiderem w Białym Domu i armii się to nie podobało. Zawsze woleli mieć tam ludzi, którymi dało się sterować, takich jak Carter czy Clinton. Ci, którzy rządzą Ameryką, absolutnie nie chcą widzieć na tym stanowisku kogoś, kto myśli niezależnie. Zapominasz, że linie władzy w Ameryce nie biegną równolegle. Spotykają się na szczycie.

– Twierdzisz, że oni usiedli przy jakimś stole i postanowili wyeliminować Kennedy’ego z gry?

– Mniej więcej – stwierdził Buddy, zaskoczony, że Simon w ogóle o to pyta.

– Nie sędzę, aby ludzie postępowali w taki sposób. Marlin nagle spoważniał.

– Tak właśnie jest. A przed chwilą miałeś okazję zobaczyć jednego z nich.

– Tego Warkowskiego?

Buddy nie odpowiedział. Szedł przodem, paląc papierosa. Przed sobą mieli grób JFK.

Często przychodzili tutaj razem. Zwykle przystawali jakieś trzydzieści metrów od tego miejsca i w milczeniu przyglądali się kolejnym falom turystów, którzy chcieli z bliska sfotografować grób. Buddy skinął w stronę monumentu.

– Popatrz na to – powiedział. – Teraz jest już tylko turystyczną atrakcją. Zdjęcie za zdjęciem. Ludzie przychodzą i odchodzą. Następny punkt wycieczki: Muzeum Przestrzeni Kosmicznej.

– Daj spokój, Buddy. Nie możesz oczekiwać, że wszyscy będą traktowali go tak jak ty. Połowy z nich nie było jeszcze wtedy na świecie.

Amerykanin przydeptał niedopałek butem i wyjął kolejnego papierosa.

– Masz rację. Do diabła, sam to wiem. Może już mnie nie obchodzi to wszystko, co się dzieje w Ameryce. Przyglądam się sobie i mam wrażenie, że nie zostało już nic. – Wyjął papierosa z ust i wsadził go z powrotem do paczki. – Wiem tylko, że jeżeli chcę jeszcze coś zrobić, muszę mieć o wiele więcej forsy niż teraz. Do cholery, Simon, włóż swoją czapkę

niewidkę i spraw, że obaj staniemy się bogaci.

– Już ci mówiłem, że to niemożliwe. Z przyczyn technicznych.

– To znaczy, że chciałbyś to zrobić, tylko nie potrafisz? Czy dobrze cię rozumiem?

– Nie. *Nie chcę* tego. A nawet gdybym chciał, to i tak niczego by nie uprościło. Nie mam pojęcia jak to przeprowadzić. Wiem *co* zrobić, ale nie wiem *jak*. – Simon przeciął dłonią powietrze.

– Jeśli tak, to nie ma co zasłaniać się jakimiś tam przyczynami technicznymi. Zawodzi intelekt. To zupełnie inny problem i wymaga innego rozwiązania. Z tego, co mówisz, wynika, że potrzebujesz mózgowca, a nie technika – podsumował Buddy rozkładając ręce.

Simon pokręcił głową.

– Trochę więcej.

– To znaczy ile więcej? Northcott szeroko rozpostarł ręce.

– Posłuchaj, nasz plan działa. Prosta metoda pozwala nam brać pieniądze z banków bez ich wiedzy. Możemy to robić dlatego, że wiem wszystko o ich komputerach. Potrafię włamać się do ich systemów, a potem wyjść z nich bez najmniejszych problemów. Wiem, jak ukryć nasze zyski w zmiennych tabelach i plikach krążących. Wchodzimy do środka, bierzemy trochę kasy, wychodzimy i przelewamy forszę na nasze konta.

– Dlaczego więc nie możemy wziąć więcej?

– Dlatego, że nasz system działa tak, a nie inaczej. Włamanie się do ich komputerów jest dość proste. Właściwie trudno to nazwać włamaniem. Od ciebie dostaję kody dostępu. Dopiero w środku zaczyna się ciężka robota. Znam tylko jeden sposób, ale pewnie istnieje ich więcej. Mój jest całkiem elegancki i dobry, bo niewykrywalny. Wiem jednak, że dobry matematyk zrobiłby to lepiej. Trzeba mieć bardzo sprawny umysł, a mój taki nie jest.

– Potrzebujemy matematyka, i tyle.

– W zasadzie tak. Problem w tym, że nie mamy żadnego. Jest nas dwóch. Ty masz rządowe kody dostępują mam swój program. Nie znamy matematyka, który mógłby nam pomóc. Poza tym myślałem, że ustaliliśmy pewne zasady. To, czym się zajmujemy, trudno nazwać legalnym interesem, prawda? Dostaliby białej gorączki, gdyby zobaczyli, co robimy. W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia, bo ani ty, ani ja nie zamierzamy nikomu o tym mówić. Ale nie znamy żadnej innej osoby tak dobrze, jak zdążyliśmy poznać siebie nawzajem. Teraz ryzyko jest żadne. Jeżeli wprowadzimy w nasz układ kogoś z zewnątrz, to już do końca życia będziemy spać z otwartymi oczami. Nie możemy tak postąpić. W żadnym

razie.

– Znamy taką osobę – powiedział Buddy. – Tylko jedną.

– Nawet o tym nie myśl.

– Ale ona będzie idealna.

– Nic nie będzie idealne. Już mówiłem, nawet o tym nie myśl.

– Ależ to oczywiste rozwiązanie. Sam na pewno o niej pomyślałeś. To prawdziwa czarownica jeżeli chodzi o matkę. Stronę liczb rzędu F-15 sprawdza w tempie błyskawicy. My znamy ją, ona zna nas. Poza tym, jest piękna, a w życiu trzeba mieć coś pięknego.

– Już kiedyś tak o niej mówiłeś, pamiętasz?

– Tak. I nadal twierdzę, że wtedy miałem rację. Nie moja wina, że się nią nie zainteresowałeś bliżej. Ona wciąż jeszcze cię wspomina, wiesz?

– Czy ty czasem nie zwariowałeś, Buddy? Mówisz jak lunatyk. Według ciebie mam tak po prostu podejść do niej i powiedzieć: „Przykro mi, że nam wtedy nie wyszło, K. Może chciałabyś spróbować raz jeszcze, a przy okazji zadałbym ci pracę domową za dziesięć milionów dolarów, dobra?”.

– Mniej więcej.

– Jesteś beznadziejnym przypadkiem.

– Znasz jakiegoś lepszego matematyka?

– Nie o to chodzi.

– Właśnie że o to.

– W takim razie nie mówmy teraz o tym, czy w ogóle ją poprosimy. Powiedz mi tylko, czy według ciebie dałaby sobie radę?

– Chodzi ci o samą matematykę? Na pewno tak. – Simon nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Nie musiałeś się nad tym długo zastanawiać, co?

– Nie. Nie musiałem. Już wcześniej o tym myślałem. Oczywiście, brałem ją pod uwagę. Kay nie jest po prostu inteligentna, ona jest inteligentna do potęgi. Z wyliczeniami nie miałyby problemu, ale przecież to nie wszystko. Tak naprawdę nic więcej o niej nie wiemy. Przede wszystkim musimy być pewni, że to właściwa osoba. Nie wystarczy powiedzieć, że jest dobra z matmy.

– Och, daj spokój. Przecież wiemy, jaka jest. Ja znam ją już od dziesięciu lat, ty od sześciu. W dzisiejszym świecie to kupa czasu.

– Tak, ale obaj znamy ją tylko z pracy. Biuro. Departament. Sam wiesz, że musimy mieć coś więcej. Nie wiemy o niej właściwie nic.

– Wiemy, że jej się podobasz.

– Już mi to kiedyś mówiłeś i, jak sam wiesz, nic z tego nie wyszło.

– Bo się nie znacie na rzeczy. Czy ja jestem temu winien? W głosie

Simona pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

– To nie tak. Wtedy akurat rozwodziłem się z Ellen. Straszne czasy. Z tego co wiem, dla Kay tamten okres też nie był najłatwiejszy. Nasze spotkanie okazało się zupełną klęską. Bardzo kłopotliwe dla nas obojga.

– Bo, tak jak mówiłem, nie znacie się na rzeczy.

– To niczego nie zmienia. Pozostaję przy swoim zdaniu. Za słabo ją znamy.

– Dwadzieścia pięć milionów to kupa forsy, Simon. Jak znajdziesz jakieś rozwiązanie, daj mi znać.

Simon przetarł dłonią twarz. Oczywiście wcześniej już brał Kay pod uwagę. Wiedział, że poradziłaby sobie z całą matematyką, a pewnie pomogłaby mu też włamać się do systemu. Wiedział, że pod każdym względem Kay przewyższała innych i spośród wszystkich. Na pewno wybrałby ją. Po to są marzenia, żeby zapełniać je postaciami takimi jak ona, ale nie to było najważniejsze. Kay pozostała dla niego tylko snem. Tak naprawdę wcale jej nie znał. Buddy to co innego. On i Simon znali się bardzo dobrze, pod każdym względem.

O Kay mógł powiedzieć tylko tyle, że miała w jego życiu specjalne miejsce, tylko dla siebie przeznaczone, była niczym specjalny rozdział, do którego zaglądał, aby pocieszyć się, gdy sprawy układały się szczególnie źle. To był Pamiętny Dzień, a tak naprawdę to było przecież tylko popołudnie. Nic jednak po tym szczęśliwym początku nie nastąpiło.

Simon wsadził ręce w kieszenie i ruszył za Buddym w dół zbocza, w kierunku parkingu. Myślał o Kay. Ile to już lat minęło? Cztery? Może pięć.

Wtedy musiał wracać niezwłocznie do Anglii. Nie odezwał się do niej, bo nie wiedział, o czym ma pisać. Potem pomyślał, że i tak nie byłoby to właściwe. Czy ludzie, którzy znają się naprawdę dobrze, korespondują ze sobą ot tak, bez powodu? Zresztą, za długo się zastanawiał. W końcu uznał, że jest już za późno, aby pisać. No i w jego życiu jedną katastrofę goniła następna. Wszystko sobie w ten sposób tłumaczył. Nikt nigdy nie kwestionował takiej wymówki. Nie chcieli zadawać pytań na zbyt osobisty temat. Simon jednak wiedział, że rozwód nie był prawdziwym powodem. Tak naprawdę, wcale się nim nie przejmował. W ogóle nie angażował się w załatwianie związanych z nim spraw. Przeszedł przez długą serię przewidywalnych w takich wypadkach kłótni, którymi tłumaczył swój pociąg do alkoholu i ogólne rozdrażnienie. Jeżeli jednak nie rozwód stał mu na przeszkodzie, to dlaczego ich Pamiętny Dzień nie miał dalszego ciągu? Może Simon bał się, że wszystko zepsuje, że jego jedyne marzenie

okaże sienie nie warte? Nigdy nie pragnął niczego aż tak mocno, jak pragnął Kay. Czułby się okropnie, gdyby się okazało, że jest dla niego nieosiągalna. Już wołał wspominać ten jeden Pamiętny Dzień. Nigdy więcej nie umówił się z nią. Owszem, nadal spotykali się w biurze. Minęło kilka miesięcy i wszystko wskazywało na to, że Kay także wołała nie wracać do tego, co było. Jeden wspólnie spędzony dzień to za mało, aby jej zaufać i poprosić o pomoc w realizacji ich projektu. Ten projekt należał do świata realnego. Kay pozostała w świecie marzeń. Simon wiedział, że nie powinien mylić obu tych sfer. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Uśmiechnął się do Buddy'ego.

– Przecież nie idzie nam aż tak źle.

– Chyba nie. Ale skoro ryzykujesz dla kilku tysięcy, dlaczego nie podejmiesz tego samego ryzyka dla dwudziestu pięciu milionów?

– Dlatego, że oni potraktowaliby to zupełnie inaczej. Dwudziestu pięciu milionów na pewno zaczęliby szukać, a przy kilku tysiącach zastanawiają się tylko, gdzie się zapodziały. Jak myślisz, co by nam zrobili, gdyby nas złapali.

Buddy odpowiedział, nie patrząc na Simona.

– To co zwykle robią z tymi, którzy im się nie podobają. Sprzątnęliby nas.

Simon zaśmiał się.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Marlin nadal patrzył prosto przed siebie.

– Tak właśnie by było. Jeżeli ginie mniej niż milion, wszystko odbywa się zgodnie z prawem: szybki proces, szybkie zwolnienie, żadnych pytań. Kiedy ginie więcej niż pięć, oni chcą jak najszybciej zatuszować sprawę. Jakby ktoś zgarnął taką forszę, a oni chcieli załatwić wszystko oficjalnie, mieliby proces w sądzie stanowym, potem apelację, kolejny proces i tak dalej. Papierkowa robota ciągnęłaby się miesiącami. Wszyscy chodziliby wściekli. Przykra sprawa. Dlatego wolą załatwiać takie rzeczy szybko.

– Tak po prostu podeszliby do człowieka i załatwiliby go? Strzeliliby mu w tył głowy?

Buddy chuchnął w dłonie i potarł jedną o drugą.

– Niezupełnie tak – powiedział. – Najpierw dokładnie by wszystko sprawdzili. Wyciągnęliby z gościa całą prawdę, poczekali, aż sam się przyzna do winy i dopiero wtedy strzeliliby. Nie w tył głowy. W usta.

– Jezu.

– W latach trzydziestych tak właśnie działała mafia. Teraz już nie, ale kiedy coś takiego nastąpi, ludzie szybko kojarzą jedno z drugim. Jak

znajdziesz w gazetach informację o kimś, kto zginął w taki sposób, możesz być pewien, że to jeden z synów Wuja Sama wypadł z gry.

– Po co mi to mówisz?

– Żebyś wiedział. Pewnego dnia sam zaryzykujesz.

– Co zaryzykuję?

– Weźmiesz pieniądze.

– Chryste, już ci przecież powiedziałem, że nie.

– Tak myślisz dzisiaj, ale któregoś dnia... Prędzej czy później pokusa okaże się zbyt wielka. Może nie zrobisz tego ze mną. Może nawet nie z Kay. Przekonasz się, że kiedyś, siedząc przy swojej klawiaturze, zaczniesz zastanawiać się nad tym „co by było gdyby”.

– Nigdy do tego nie dojdzie. A tak w ogóle to dlaczego nigdy przedtem nie wspomniałeś o tym załatwianiu niewygodnych ludzi?

– Wcześniej nie miałem pewności. Oczywiście dochodziły mnie różne plotki. Dopiero kilka tygodni temu pewna agentka potwierdziła moje podejrzenia.

– Pewna agentka?

– Kobieta. Taka słodziutka, jedna z tych, którym źli chłopcy się zwierniają. Wy, Brytyjczycy też pewnie takie macie.

– Może. W tej dziedzinie nie mam doświadczenia. Zresztą, nie wierzę, że to prawda. W książkach i filmach to pewnie normalne, ale w rzeczywistości się to nie zdarza.

– Wydaje się nieprawdopodobne, ale przecież nie bardziej niż twój projekt. Kto by uwierzył, że taki facet jak ty potrafi się włamać do systemu banku centralnego i w przeciągu kilku sekund przeprowadzić tysiąc transakcji w obcych walutach.

– To nie jest trudne. To jest znak naszych czasów.

– Agentki i snajperzy też są częścią tych czasów. Twój dawny idol JFK już od dość dawna spoczywa pod ziemią. Teraz zasad nie ustalają mili faceci.

– Jeżeli wszystko jest tak potworne, jak mówisz, tym bardziej powinniśmy trzymać Kay z dala od tego.

– Może, ale ona przewyższa nas inteligencją. Będziemy pewno potrzebowali takiej właśnie osoby. Może już teraz popełniamy jakieś głupie błędy, których ona by uniknęła.

– Zostaw to, Buddy. Nie powinieneś jej w to wplątywać.

– Posłuchaj. Od jak dawna spotykasz się ze mną w Waszyngtonie?

– Nie wiem. Od dziesięciu, może od jedenastu lat.

– Od dziesięciu. Wiesz, kim byłem na początku?

– O co ci chodzi?

– Powiem ci. – Buddy wycelował palcem wskazującym w Simona. – Byłem wyższym funkcjonariuszem w departamencie zajmującym się pomocą krajom Trzeciego Świata. Infrastruktura rolnicza. Departament Stanu. To odpowiednik wyższych stopni wojskowych w armii. Taka sama płaca i takie samo bagno. A ty? – Buddy ponownie podniósł palec. – Jakie zajmowałeś wtedy stanowisko?

Simon wydał dolną wargę. Przez chwilę zastanawiał się.

– Chyba takie samo jak teraz – powiedział w końcu. – Kierownik działu sprzedaży, głównie zajmowałem się projektami w Waszyngtonie.

– Kierownik, co? Jak duży jest twój dział?

– Daj spokój, Buddy, przecież to tylko tytuł. Sam wiesz, że oprócz mnie jest jedynie Ginny. United Machines to może wielka, międzynarodowa firma, ale ja zarządzam jej znikomą częścią.

– Wszystko jedno. Dziesięć lat temu też zarządzałeś jej znikomą częścią. A ja? Czy kiedykolwiek zaproponowano mi awans? Nie. Wciąż jestem takim samym urzędnikiem. Razem tworzymy przegrany debel, Simon. Jak wy to nazywacie w tym waszym kraju? Wymijani?

– Pomijani – sprostował Simon. – I co z tego? Wielu kończy kariery o wiele niżej niż my.

– Co z tego? – powtórzył Buddy. – Powiem ci co z tego! Przez te dziesięć lat ustawiliśmy przynajmniej tuzin wielkich projektów i jakieś pięćdziesiąt mniejszych. Zgadza się?

– Mniej więcej.

– Te wielkie były warte ile? Pięć, sześć milionów każdy? Pozostałe od pięciuset tysięcy do miliona. Czy wciąż jeszcze mniej więcej się zgadza? Pamiętasz Pakistan pięć lat temu? Największy projekt nawadniania pól ryżowych i bawełny na południe od Himalajów, prawda? – Buddy zaczął wyliczać na palcach. Badania techniczne. Pompy na rzece. Betonowe rury. Pompy nawadniające. Żelazne rury. Instalacja. Rury odprowadzające. Szkolenie. – Przerwał wyliczanie i machnął ręką.

– Rury, rury, rury – podjął po chwili. – Może mi powiesz, ile kilometrów tych przeklętych rur położyliśmy? – Wsadził ręce w kieszenie i wydał policzki. – Spędziliśmy tam przynajmniej osiem miesięcy.

– Dokładnie dziewięć i pół – cicho powiedział Simon.

– Wszystko jedno. Kiedy wróciłeś do Cambridge, czy choć raz powiedzieli: „Hej Simon! Dobra robota. Wspaniały projekt. Jaką chcesz podwyżkę, a może masz już dość podróży i marzysz o spokojnej pracy przy biurku?”. Nie. Doskonale wiem, co wtedy usłyszałeś: „Simon, zbieraj

się. Słyszeliśmy, że szykuje się przetarg na nowy projekt w Turcji. Może pojedziesz do Waszyngtonu. Pewnie razem z tym twoim kumplem, Marlinem, wpadniecie na jakiś pomysł. To może być większa robota”. Do cholery, Simon. Ledwie zdążyłem zdjąć płaszcz u siebie w przedpokoju, a ty już znowu pukałeś do moich drzwi.

– Musieliśmy działać szybko, Buddy. Przecież za to nam właśnie płacili. Ja miałem swoją działkę, pompy i rury. Ty swoją: fundusze i łapówki.

– To zupełnie co innego – podjął Buddy. – Łapówki. Chryste. Sam widziałem, jak pod stołem wciskasz dziesięć patyków jednemu gościowi tylko po to, żeby przepuścili ci pompy przez cło, nie niszcząc ich przy okazji. A sam ile w tamtym tygodniu zarobiłeś? Żaden z nas nie dostał tyle, ile tamten facet. Żaden z nas.

– Taka jest nasza praca, Buddy. Łapówki to część ponoszonych kosztów. „Ten tylko gra, kto forszę ma”. Sam kiedyś to powtarzałeś. Zresztą, mówisz o Pakistanie i o Turcji. Do diabła, to było pięć lat temu. Może pamięć cię zawodzi, więc ci przypomnę, że już od dwóch lat nie mieliśmy projektów nawet w połowie tak wielkich jak tamten. Żyjesz przeszłością.

– Może – wypalił Buddy. – Jestem od ciebie o pięć lat starszy i wierz mi, czas płynie coraz szybciej. A w następnym pięcioleciu nie mam zamiaru tu nadal tkwić.

Gdy wsiedli do samochodu, Buddy zabębnił dłońmi w kierownicę.

– Widzisz, ten wóz ma cztery lata. Wał się sypie. Muszę wymienić hamulce. Przecieka jak sito. Chcę mieć lepsze życie, Simon. I to już teraz.

– Wszyscy chcielibyśmy żyć wygodniej, ale musimy pewne rzeczy zaakceptować takimi, jakie są. Szło nam całkiem nieźle. Kilka razy byliśmy blisko większej forsy, ale nigdy jej nie zdobyliśmy. A teraz lepiej przestań o tym gadać i zawieź mnie do biura.

Buddy nie od razu włączył silnik. Najpierw zapalił papierosa i opuścił szybę.

– „Blisko forsy”, tak? Pewnie dostałeś większą prowizję od tego projektu w Pakistanie. I co z nią zrobiłeś? Wsadziłeś w te angielskie magazyny. Utopiłeś wszystko. Nie zwróciło ci się nic. W dodatku, kiedy w United zorientowali się, że używałeś ich nazwy, żeby rozkręcić interes, o mało nie wyleciałeś z roboty. Nie spodziewali się, że zastaną swego niebieskookiego chłoptasia ze spuszczonej spodniami. Musiałeś wziąć pożyczkę pod zastaw domu, a kiedy Ellen się o tym dowiedziała, Chryste, aż tutaj słyszałem, jak jej obrączka walnęła o podłogę.

Simon odchylił głowę w tył i spojrział na sufit samochodu.

– Ellen? Niestety, nie chodziło jej wyłącznie o to.

– Nie? – zdziwił się Buddy. – Pewnie według ciebie nie miała nic przeciwko temu, że ty sprzedajesz ostatnią koszulę niczym jakiś żebrak, a jej dom powoli tonie w bankowej machinie. Mam wrażenie, że właśnie to było gwoździem do trumny waszego małżeństwa.

– Może – przyznał Simon. – Już wcześniej nam się nie układało. Reszta to... sam nie wiem. Wszystko naraz. Widziała, że inne żony miały rzeczy, na które my nie mogliśmy sobie pozwolić. Ciągle jej mówiłem, żeby jeszcze trochę wytrzymała. Opowiadałem o tym, co ty i ja robimy. Obiecywałem, że w końcu przyniesie to rezultaty. US Aid. Pomoc. „Walka za obcych”, tak to nazywałem. Jak w tamtej piosence. Starłem się ją przekonać, że postępuję właściwie.

Buddy zakaszał i wyrzucił papierosa przez okno. Przez chwilę gapił się na niedopałek. Milczał.

Simon wyprostował się. Obaj patrzyli, jak ci sami japońscy turyści, którzy wcześniej przyglądali się pogrzebowi, przechodzili obok samochodu, kierując się do swego autobusu. Wszyscy ustawili się przed autokarem, a kierowca zrobił im zdjęcie. Potem nastąpiła zmiana miejsc i turyści sfotografowali kierowcę pozującego przy drzwiach autobusu. W końcu wszyscy wsiedli do środka i odjechali.

Buddy ponownie spojrział na wyrzucony wcześniej niedopałek.

– Kiedy Ellen dowiedziała się, że pracujesz z Costą? – spytał – Czy o to właśnie poszło?

– Chyba tak – Simon westchnął ciężko. – Wiesz, że dokładnie pamiętam tamten dzień w Karaczi, kiedy go poznaliśmy. Mieliśmy kupę problemów z cłem. Nie mogliśmy przepchnąć towaru, niezależnie od tego, jak bardzo się staraliśmy. I właśnie wtedy pojawił się Costa, kiwając głową i machając rękami. „Branie i dawanie, moi mili. Musicie wiedzieć, jak dawać i brać. Za tydzień ładunek bawełny przyplywa do Holandii. Może wymienimy się składami portowymi. Co wy na to?”

Simon przedrzeźniał gestykulację i wymowę Costy: „Trochę dać. Trochę wziąć – powiedział. – To się opłaca. Zawsze odrobinę”. Buddy wybuchnął śmiechem.

– To ma być twoje wyobrażenie o kolumbijskim akcencie? *Sil* Straszne! Simon w odpowiedzi zaśmiał się.

– Przyznasz jednak, że jego sposób zadziałał. Wystarczyło przekazać dziesięć patyków w Zurychu. Jak na tamte czasy cena nie była wygórowana. Obaj tak uważaliśmy.

– Masz rację, Simon. Kiedy wpadłeś na to, co naprawdę miał w tej swojej bawelnie?

– Znacznie później. Chyba za bardzo ufam ludziom.

– No to kiedy? – nalegał Buddy. – Kiedy zacząłeś domyślać się tego, czym naprawdę zajmował się Costa?

– Dopiero jakiś miesiąc później, podczas urlopu w Anglii – przyznał Simon. – Po tym, jak zobaczyłem wszystko w telewizji. Największy przemyt heroiny, jaki kiedykolwiek przechwycono w Amsterdamie. Tak mówili. Wyjątkowo szkodliwe. Dzieciaki praktycznie umierały na ulicach i nikt nie miał pojęcia, kto za to odpowiada.

– Jak zdołałeś domyślić się, że ma to coś wspólnego z Costą? Simon splótł palce dłoni i założył je za głowę.

– Ludzie z akcyzy natrafili na jeden kontener. Pokazali go w telewizji. Cholera, Buddy, to był jeden z naszych.

– Skąd masz pewność? One wszystkie wyglądają tak samo. Miliony wielkich pudeł.

– Nie – zaprzeczył Simon, opierając głowę o fotel. – Po sześciu tygodniach spędzonych w dokach znałem praktycznie każde zadrapanie i wgłębienie w tym kontenerze. To był jeden z naszych. Możesz mi wierzyć.

– Dlaczego musiałeś zaraz mówić o tym Ellen? Popełniłeś błąd.

– Jakoś tak samo wyszło. Razem oglądaliśmy wiadomości. Nie mogłem uwierzyć w to, co pokazywali, no i wygadałem się.

Buddy pokręcił głową.

Kolejna grupa turystów przepłynęła obok samochodu w kierunku czekającego autokaru. Wszyscy trzymali aparaty fotograficzne w pogotowiu.

– Chryste! – jęknął ze złością Buddy, włączając silnik. – Nie zamierzam oglądać tego teatrzyku raz jeszcze. – Z piskiem opon wycofał wóz, o mało co nie potrącając jednego z turystów.

Wyjechali z parkingu.

Dopiero na zjeździe z mostu Simon odwrócił się do Buddy'ego.

– Wtedy już było za późno, żeby wycofywać się z układu z Costą. Sam przygotowywałeś kolejną wymianę kontenerów w Karaczi, pamiętasz? Bezwiednie pakowaliśmy się w to po uszy.

– Zgadza się – przyznał Marlin. – I lądowaliśmy twarzami w dół. Simon z uwagą przyglądał się wyciągniętej przed siebie dłoni.

– No i zaczęło się. Dostawy w obie strony. Nie mogliśmy nic zrobić, bo chcieliśmy zakończyć nasz projekt. Tak naprawdę ostatnia nić została zerwana, gdy Ellen dowiedziała się o tym cholernym składzie. To było

w marcu. Koszmarna noc. Mówię ci, chłopie.

– Wyobrażam sobie. Ale kiedy twój projekt z kontami zaczął przynosić zyski, nie mogłeś jej jakoś przekonać?

– Miałem za mało i było już za późno. Wtedy wbiła ostatni gwóźdź do trumny, jak sam to nazwałeś. Między nami wszystko się skończyło. Usłyszałem tylko: „Mam dość ciebie i tych twoich wariackich planów. Nie mogę żyć tylko marzeniami. Poszukaj sobie kogoś innego, bo ja i Lewes odchodzimy”. Trzasnęła drzwiami i tyle ją widziałem.

Ruch na ulicach gęstniał, w miarę jak zbliżali się do centrum Waszyngtonu. Simon bezmyślnie przyglądał się anonimowym budynkom rządowym, które mijali po drodze.

Gdy zatrzymali się na światłach, Buddy spojrzął na Simona.

– W zeszłym roku mówiłeś, że twój projekt może działać przynajmniej dwa lata. Potem mogą wymyślić sposób na powstrzymanie go albo zmienić cały system. Wciąż jeszcze tak myślisz?

Simon westchnął.

– Tak. Wydaje mi się, że mają już wystarczająco dużo dowodów, aby przypuszczać, że ktoś manipuluje ich kontami. Nie wiedzą wszystkiego, ale nasze okno powoli się zamyka. Przykro mi, przyjacielu, ale tak właśnie jest. Naprawdę nie sędzę, abyśmy zdążyli się przez nie przecisnąć, zanim zostanie zatrzęsnięte.

– Więc się z nią umów. Wprowadź ją w projekt. Daj nam szansę.

– Nie, Buddy. Nie mogę. Czy ty rozumiesz, co to znaczy „nie”?

– Pewnie, ale ona i tak na razie nigdzie się nie wybiera. Zapamiętaj sobie moje słowa. Panna Długonoga i Niebieskooka jeszcze znajdzie się w centrum wydarzeń.

Kiedy dojeżdżali do Departamentu Stanu, Simon znowu zaczął myśleć o Kay. Czy pozna ją kiedyś na tyle dobrze, aby zwrócić się do niej o pomoc? Nie przypuszczał. Zawsze uprzejma, ale zarazem chłodna. Nieprzeniknione niebieskie oczy, zazwyczaj złożone skromnie ręce. Uśmiechnął się na wspomnienie ich pierwszego spotkania.

Przyleciał do Waszyngtonu, aby zobaczyć się z Buddym zaraz po długiej wizycie na Dalekim Wschodzie. Podróż zmęczyła go, a po nocy spędzonej z przyjacielem w klubach czuł się wykończony. Fakt, że nie miał już czystych koszul, pogarszał jego samopoczucie. Miasto tonęło w fali letnich upałów. Ubranie przesiąkło potem. Poza tym pomylił przystanki metra i musiał przejść dodatkowe pół kilometra, wskutek czego spóźnił się do biura.

Buddy wcześniej wspominał już Kay w rozmowach.

– Trzyma na dystans, ale sam zobaczysz, spodoba ci się – mówił. Simon nie był jednak przygotowany na to, co zobaczył tego dnia, gdy spocony i zadyszany trafił w końcu do Departamentu Stanu. Zupełnie go zatkało. Kay stała plecami do okna. Światło przenikało jej jasne włosy. Ręce trzymała splecione przed sobą.

– Pan jest zapewne Simonem. – Posłała mu półuśmiech i wyciągnęła do niego dłoń. Spodziewał się waszyngtońskiej elegancji, ale zobaczył znacznie więcej.

– Przepraszam za spóźnienie – tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

– Nie przejmuj się, Buddy’ego jeszcze nie ma. Miał ciężką noc. Pewnie wiesz, co mam na myśli.

– Tak, byłem z nim.

– Ach tak. W takim razie pewnie przyda ci się kawa. Będziemy musieli chwilę poczekać. – Jej usta ułożyły się do uśmiechu, ale oczy nie zmieniły wyrazu.

Simon nie zapomniał tamtego pierwszego spotkania. Pamiętał, jak stał tam, zupełnie oszołomiony. Potem doszedł do wniosku, że wszystko w niej było zdumiewające i, im lepiej ją poznawał, tym bardziej go zaskakiwała.

Pamiętał też, z jak wielką uwagą przyglądał się jej nogom gdy rozmawiała przez telefon. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, napotkał jej oczy patrzące na niego, pozbawione wyrazu. Uśmiechnął się, zakłopotany, ale ona nie odpowiedziała mu uśmiechem.

Raz jeszcze stanęła mu w pamięci ich jedyna wspólna randka sam na sam. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ona, Buddy i Simon pracowali nad jakimś koszmarnym raportem przez cały ranek. Najpierw musieli sprawdzić wszystkie liczby. Kay miała w tym spore doświadczenie i przepchnęła ich przez tę część bez problemu. Potem przeszli do problemów technicznych, działki Simona. On, niczym automat, podyktował Kay wszystko, co raport miał uwzględniać. Na koniec, Buddy miał podsumować całość i nakreślić to z perspektywy Departamentu Stanu. Nie przygotował nic. Dukał i wzdychał, aż wreszcie zniecierpliwiona Kay *zażądała*, aby przynajmniej podał główne punkty, które potem mogłaby uwzględnić.

Raport musieli złożyć następnego dnia, nie mieli więc czasu na żadne zbędne gadki. O dwunastej Buddy wyszedł na spotkanie, a Simon i Kay pracowali razem do drugiej. Z punktów Buddy’ego stworzyli odpowiedni wstęp i zakończenie. Potem złożyli wszystkie części w całość i wysłali dyskietkę na dół, do sekretariatu, do ostatecznej korekty. Mieli go dostać

z powrotem na piątą. Simon i Kay zostali w biurze sami. Tym, którzy się nudzą, diabeł zawsze podsuwa szatańskie pomysły.

– Nie zamierzam tu tkwić. Chodźmy gdzieś na obiad – zaproponował Simon.

– W porządku. Może do Dęli na rogu ulicy.

– Dęli to za mało. Albo idziemy do Blade's Bar, albo nigdzie! Napracowałaś się dzisiaj. Zasługujesz na drinka.

Gdy wyszli z głównego budynku, zaczął prószyć śnieg. Białe płatki rozjaśniły szarość miasta. Kay nieśmiało wzięła Simona pod rękę, kiedy przechodzili przez ulicę, i nie puściła go, aż dotarli do winiarni. Zeszli w dół po wąskich schodkach, otrzepali śnieg z płaszczy i zajęli miejsca przy stoliku.

Simon przyniósł butelkę wina i usiadł naprzeciwko Kay, plecami do ściany.

– Pracujemy razem od dawna, a to dopiero nasz pierwszy wspólny toast – powiedział.

– Tak.

– To naprawdę śmieszne.

– Tak.

– Znasz to miejsce? Często tu przychodzisz?

– Nie, nigdy jeszcze tu nie byłam.

– Aha. Ciężka praca.

Pierwsze dziesięć minut spędził na wpatrywaniu się w kieliszek. Kiedy podniósł wzrok, aby na nią spojrzeć, ona patrzyła prosto na niego. Jej oczy zdawały się uśmiechać. A może tylko mu się to wydawało. Miała zdumiewające oczy. Uśmiechnął się do niej i zupełnie zapomniał, co chciał powiedzieć. Znowu zaczął się gapić w kieliszek. Kiedy raz jeszcze odważył się podnieść wzrok, ona nadal mu się przyglądała. Tym razem nie miał już wątpliwości, na pewno się uśmiechała.

– Przepraszam, chyba czuję się trochę niezręcznie – powiedział.

– Ja też.

– To nic.

– Tak.

– Mam czterdzieści pięć lat – stwierdził, wpatrując się w blat stołu. – Nie wiedziałem, że w tym wieku można się tak czuć.

– Ja też nie. Nie powinieneś się przejmować. To tylko ja, przecież mnie znasz.

Spojrzał na nią. Wciąż jeszcze się uśmiechała.

Potem poszli razem wzdłuż Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Zatrzymali

się przy sklepie muzycznym Buchana.

– Lubisz muzykę? – spytał Simon.

– Właściwie można powiedzieć, że cierpię na muzyczną dysleksję, ale lubię słuchać muzyki.

– To dobrze, bo mam pewien pomysł. Simon podszedł do sprzedawczyni.

– Jakie macie najpiękniejsze melodie? Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona.

– Jestem tutaj w towarzystwie pięknej i eleganckiej przyjaciółki i chciałbym kupić jej prezent – wyjaśnił. – Tylko najlepsza i najpiękniejsza muzyka będzie odpowiednia dla niej.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jeśli tak, to chyba wiem, co powinien pan kupić – powiedziała i podeszła do regału w pobliżu wejścia. – To najlepszy wybór.

– Tak, ale czy to piękna muzyka.

– O, tak. Wyjątkowo.

– To dobrze. Jaki ma tytuł?

– To Feliks Mendelssohn, Koncert Skrzypcowy E-moll. A dokładnie, Opus 64.

– A zatem Mendelssohn. Simon podał paczuszkę Kay.

– Dla ciebie – powiedział. – Coś specjalnego, tylko dla ciebie. Wyglądała na zaskoczoną.

– Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony.

– Zanim spytasz. Nie, nigdy wcześniej tak nie postąpiłem.

– Nie o tym myślałam.

– Może i nie, ale i tak chciałem, żebyś to wiedziała.

Wyszli ze sklepu i stanęli, patrząc sobie w oczy. Nadszedł właściwy moment, aby popołudnie zamienić w wieczór. Simon wziął ją za rękę i stanął twarzą do niej.

– Co robimy teraz?

– To chyba nie takie proste. To znaczy, rano będziemy musieli iść do pracy. Wszyscy w biurze. Sam wiesz.

Nagle serce mu zaczęło zamierać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że pewnych spraw nie da się odwrócić, prawda? Nie możesz tak po prostu zachowywać się jakby nic się nie zdarzyło. Jak raz ugryziesz jabłko, pozostanie ono ugryzione. Już nie możesz wrócić do tego, co było.

– Ale ja nie chcę wracać. Chcę iść do przodu.

– Nie wiesz, jak się to wszystko ułoży. Nie możesz wiedzieć.

– Przecież jeszcze nie wiemy, co się w ogóle stanie.

– Przykro mi. Moja odpowiedź brzmi „nie”. Tylko tyle. Tak być musi. Przepraszam.

– Rozumiem. – Puścił jej dłonie. – Lepiej wróć już do hotelu.

– Tak. – Wiatr zasłonił jej twarz włosami. Jeszcze pięć minut wcześniej sam by je odgarnął. Teraz już nie mógł.

Odwrócił się i ruszył w kierunku skrzyżowania. Starał się iść wolno, aby mogła jeszcze go zawołać. Gdy dotarł do rogu, nie chciał oglądać się za siebie, ale kątem oka widział, że już odeszła.

Simon spojrział na Buddy’ego.

– Dlaczego tak nagle zaczęło ci zależeć na pieniądzach? Jesteś jakiś dziwnie niespokojny.

– Może i tak. Przepraszam, Simon. To chyba przez tą ostatnią przesyłkę w zeszłym miesiącu.

– Myślałem, że wszystko jest w porządku. Zwykła dostawa pomp.

– Tak. Twoje pompy i jeszcze amerykańskie rury. Razem jakieś cztery kontenery, zgadza się?

– Mniej więcej tak. Nie miałem pojęcia, że są jakieś problemy. Myślałem, że wszystko poszło. Moje pompy dotarły do Stateside na czas. Dopilnowałem też, aby twoje rury były gotowe do wysyłki. Costa miał zająć się ładowaniem i wysyłką do Manili, tak jak zwykle.

– Tak – zgodził się Buddy. – Do tego momentu wszystko szło zgodnie z planem. Cztery kontenery dotarły do Stanów bez problemu, ale zanim dotarły do Manili z czterech zrobiło się osiem.

– Osiem? A skąd się wzięły cztery dodatkowe?

– Mnie nie pytaj. W Lagos, gdzie statek miał przystanek, żeby rozładować inne towary, ciągle jeszcze były cztery. Ale potem rozmnożyły się do ośmiu i wszystkie znalazły się na pierwotnym liście przewozowym wystawionym tutaj. Costa wysłał pozostałe na takich samych amerykańskich papierach. Wszystkie miały pieczęcie amerykańskiego urzędu celnego. Bóg jeden wie, jak on to załatwił.

– Co w nich było? W tych czterech dodatkowych?

Buddy wyjął papierosa i zapalił go. Zaciągnął się. Dopiero gdy wypuścił dym, odpowiedział.

– Costa myślał, że w Manili wezmą wszystko jako jedną dostawę ze Stanów, ale ktoś z Lagos musiał dać im cynk.

– Buddy, ja nie pytałem o Lagos. Co było w tych kontenerach?

– Nie wiem dokładnie.

– Na pewno wiesz.

– Nie spodoba ci się to.

– Mimo to chcę wiedzieć. Jeżeli to, co wysłał Costa z moimi pompami i twoimi rurami, miało przejść jako część tego samego ładunku, muszę to wiedzieć. Lepiej mi powiedz.

Buddy otworzył okno samochodu i wyrzucił ledwo zaczętego papierosa.

– Powiem ci tyle, że kontenery zaczęły podróż w Moskwie i według papierów zawierały części maszyn.

– Cholera. Broń?

– Broń.

– Jaka?

– Głównie lekka maszynowa – Buddy zaczął wyliczać: ręczne karabiny. Może też moździerze. W każdym razie nic nowego. Sam wiesz, że teraz w Moskwie takie rzeczy możesz kupować na ciężarówce. Druga strona utopijnego systemu.

– Czy wojskowe z drugiej ręki, czy nie, wszystko jedno – stwierdził Simon. – Musiał zapłacić twardą walutą. Cztery kontenery mogą być warte co najmniej pięć milionów dolarów. Czy Costa ma tyle pieniędzy w Moskwie?

– Nie, niezupełnie tyle. Pewnie nazbiera się tego około miliona. Moskwa zgodziła się poczekać na pełną sumę do czasu, kiedy uda mu się wywieźć towar z Manili i gdy sam dostanie pieniądze.

– Kredyt od moskiewskiej mafii? Nie wierzę.

– Dlaczego nie? Ty i ja możemy uważać Costę za kanciarza, ale oni mają go za potrójnego Asa. Zawsze płaci. Zawsze. Dzięki temu trafił na szczyt tej drabiny.

– No dobra. Stracił towar, ale i tak musi skądś wykombinować forszę. Nie widzę żadnego związku z nami.

– Może związek nie jest bezpośredni – przyznał Buddy – ale moglibyśmy mu pomóc. Wyświadczyć mu niewielką przysługę.

– Nie ma takiej możliwości. Jeżeli celnicy w Manili otworzyli kontenery, to już na pewno skonfiskowali całość. Pewnie nasze rzeczy razem z całą resztą.

– Niezupełnie, dlatego jeszcze istnieje jakaś szansa. Oczywiście celnicy otworzyli kontenery i wiedzą, co w nich jest. Niczego jednak nie skonfiskowali. Na razie towar został tylko zatrzymany. Oficjalnie cała dostawa została opóźniona. Costa może odzyskać całość, również nasze rzeczy, jeżeli zapłaci celnikom.

– Dlaczego więc tego nie robi?

– Celnicy nie mogą ryzykować. Nikt nie może ich podejrzewać o jakiegokolwiek kontakty z Costą. Poza tym zażądali pieniędzy w wolnym obiegu na innym terytorium. Forsa miałyby zostać im przekazana za granicą. W tym przypadku, w Waszyngtonie. To stanowi największy problem Costy. Pieniądze, jakie może tutaj zebrać, nie wystarczą. Może zrobić tylko jedno, pożyczyć je ode mnie, przepchnąć towar w Manili i zapłacić mi, gdy zdobędzie już wystarczająco dużo czystej waluty. Na razie cała dostawa tkwi w dokach i za kilka dni może już być za późno. Mamy najwyżej tydzień. Stąd ten pośpiech.

– Ile chce? Na pewno ma tu trochę obcej waluty.

– Za mało. Musi zebrać siedemdziesiąt tysięcy. Dzisiaj. Banknoty.

– Siedemdziesiąt? Wygórowana suma. Nawet jak na ciebie. Dasz radę?

– Tylko „może”.

– Ale po co do cholery? Najwyżej Costa straci towar. To jego zmartwienie, nie twoje. Ty jesteś ubezpieczony. A już na pewno nie obchodzi to mnie. Ja i tak dostanę swoje. Wuj Sam zapłaci mi, bo ja miałem dostarczyć towar tobie, a nie do Manili.

– Poczekaj, Simon. Zastanów się przez chwilę. Powiedziałem ci już, że wszystkie papiery zostały przez Costę wymienione. Wygląda na to, że cały towar: rury, pompy i broń, wszystko wyszło stąd. To znaczy od nas. On nie jest taki głupi. Oficjalnie dostawa przechodzi przez Costę, ale on może powiedzieć, że przewoził tylko kontenery zapieczętowane przez nas tutaj, w Stanach. Problem w tym, że w Manili znają teraz prawdziwą wersję i dlatego naciskają na Costę, a nie na nas. Niezależnie od tego, co o nas myślą, wiedzą, że broń nie jest nasza. Dlatego, jeżeli pożyczę mu pieniądze, problem zniknie. Celnicy zostaną opłaceni. Towar przejdzie przez cło. Pompy i rury trafią na swoje miejsce, tak jak planowałeś, a broń zniknie z powierzchni ziemi. Im jest wszystko jedno, czy to przepuszczą czy nie. Kiedy cały kraj może za pięć lat rozlecieć się na kawałki, atak pewnie będzie, celnik pakuje się i przyjeżdża tutaj, aby wydawać swoje czyściutki dolary, których już sporo nazbierał. Pewnie ma zapasy w kilku innych państwach.

– Mówiłeś Jake’owi? On o tym wie?

– Oczywiście że nie. Dostałby białej gorączki.

– Coś musiałeś mu powiedzieć. Przecież nie da ci siedemdziesięciu tysięcy na tydzień tak po prostu, bez żadnego tłumaczenia.

– Nie. On myśli, że pieniądze są potrzebne na nasz kontrakt z Costą w sprawie magazynów w Puerto Rico. Zastrzyk gotówki na początek. Tak jak zawsze. Większy niż zwykle, ale nie budzący podejrzeń.

– Kolejne cholerne partactwo. Sam dobrze o tym wiesz. Mam wrażenie, że wyskakujesz z jednej dziury i wpadasz prosto w drugą. Kiedyś tak nie robiłeś, Buddy. W co ty grasz, naprawdę?

Buddy nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami. Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. W końcu przerwał ciszę.

– Przyczyn jest wiele, Simon, ale głównie chodzi o Costę. Bez niego teraz nie damy rady i sam wiesz o tym równie dobrze jak ja. Co ważniejsze, on również zdaje sobie z tego sprawę. Już ci mówiłem, że mamy tylko jedno wyjście, możemy się wykupić. Raz na zawsze. Z odpowiednią forszą będziemy mogli po prostu spakować się i wyjechać. Costa nie wierzy, że nam się to kiedykolwiek uda, dlatego myśli, iż będziemy tańczyć tak, jak on nam zagra.

– Buddy, czy ty zupełnie oszalałeś? Costa nie jest jedynym, który tak właśnie myśli. Ja jestem tego samego zdania. Natychmiastowy Bogacz zniknął i już nie wróci. Przykro mi.

– Przestań pieprzyć, Simon. Kiedyś mówiłeś, że twój plan jest właściwie nieograniczony. No i co? Jest czy nie? Fakt, udało nam się zebrać parę tysięcy, ale jak dotąd nie widzę, żeby powiększały się one o rządki zer. Po prostu zrób to. Teraz jest najlepszy moment.

– Na litość boską, Buddy! Myliłem się. Zrozum to. Ciagle ci powtarzam, że ja nie potrafię tego powiększyć. Po prostu nie potrafię. Jeszcze nie teraz.

– To weź do tego Kay. Ona by sobie poradziła. Sam tak twierdziłeś. Wprowadź ją i żaden z nas nie będzie musiał już wchodzić w jakiegokolwiek układy z Costą.

Dotarli do Departamentu Stanu i Buddy skręcił do podziemnego parkingu. Kiedy czekali, aż zwolni się jakieś miejsce, odwrócił się do Simona.

– A tak w ogóle, to co teraz sądzisz na temat Costy?

– Przecież wiesz, co o nim myślę?

– Ale przecież nie uważasz go za głupiego?

– Nigdy nie mówiłem, że jest głupi. Twierdziłem tylko, że to skończony łotr.

Roześmieli się.

– Posłuchaj – powiedział Simon. – Jeżeli chodzi o tamtą umowę na składy w Puerto Rico. Rozpracowałem to. Sporo stracisz. Jak zamierzasz to pokryć?

Buddy nie odpowiedział.

W końcu Simon nie wytrzymał.

– O nie! Chyba Costa nie pokryje tego za ciebie? Czy właśnie tak to ustawiłeś? On ma się zająć papierami na kontrakt w Rico w zamian za pożyczkę?

– Niestety, tak.

– Czy naprawdę musisz mu wyświadczać aż tak wielką przysługę?

– Tak.

– Ale co się stanie z ładunkiem?

– To już jego problem. Sztorm? Deszcz? Pożar w porcie? Nie mam pojęcia.

Buddy zaparkował wóz na wolnym miejscu i wyłączył silnik. Nie ruszył się z miejsca. Siedział z rękami opartymi o kierownicę. Ciszę przerwał Simon.

– Ty chyba kompletnie zwariowałeś.

– Myślisz, że ja chcę to robić? – zirytował się Buddy. – Mam kurewski wybór. A jeszcze nie powiedziałem ci najgorszego.

– Czego?!

– On uważa, że wyrolowałem go przy ostatniej transakcji.

– Nie, Buddy. Nie mów mi tego! Nikt nie kiwa Costy. Nawet ty.

– Wiem. Wiem. Nie zrobiłem tego. Nie. Tylko...

– Tylko co? Nikt nie może wycofać się z umowy z Costą. Może i jest kanciarzem, ale zawsze trzyma się swoich zasad. Nie oszukuje. Jeżeli coś mu się nie podoba, po prostu nie wchodzi w to. Jak mówi, że rusza z jakąś transakcją, to wiadomo, że przeprowadzi ją do końca i tego samego oczekuje od ciebie.

– Wiem, wiem.

– No to co się stało?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak. Naprawdę chcę wiedzieć.

– Upiłem się.

– Poszedłeś na spotkanie z Costą zalany?

– Nie. Wyszedłem ze spotkania z Costą zalany.

– Coraz gorzej. I co? Naprawdę możesz załatwić siedemdziesiąt patoli, i to czystych, w jeden dzień?

– Pewnie. Wezmę je z pralni CIA. Istnieje pewien fundusz dla pogrążonych, z którego mogę skorzystać.

– Jaka pralnia trzyma w pogotowiu siedemdziesiąt tysięcy w gotówce?

– Tylko jedna. Zawsze są w niej pieniądze. Korzysta się z nich przy porwaniach albo do wykupu zakładników. Nazywamy to „twardą kasą”. Jest dla tych, którzy zostaną przyparci do muru. A ja w tej chwili jestem.

- Wykręć się z tego.
- Próbowałem – uciął Buddy.
- Spróbuj jeszcze raz.
- To też już zrobiłem.
- Może coś na niego znajdziesz.
- Chyba nie mogę. Tym razem nie dam rady.
- Co znaczy „tym razem”? Było tego więcej?
- W pewnym sensie.
- W jakim?
- Chodzi o Departament. Więcej nie mogę powiedzieć.
- Do diabła, jak to nie możesz? Co to takiego? Co ty, do cholery, zrobiłeś?
- Nic. Nic, czego ty i ja nie robiliśmy wcześniej.
- Nie podoba mi się to „ty i ja”. Mnie w to gówno nie mieszaj.
- Czy jest jakaś różnica? Kilka dolców tu czy tam. Wszyscy w to gramy. Dlaczego Costa miałby się od nas różnić? Dorośnij wreszcie. To człowiek z marginesu. Poza tym musi zarobić więcej niż wykłada na stół. Wiesz, że albo tak, albo wcale nie wchodzi. Chce tego samego co my. Jemu zależy tylko na forsie. Tak jak tobie z tym twoim planem. Nie pamiętam, żebyś miał jakieś wątpliwości, kiedy mi o nim mówiłeś. „Złota gwarancja” tak to nazwałeś.
- Mój sposób odpowiadał mi. Chciałem po prostu przekonać się czy potrafię to przeprowadzić. Sam dobrze wiesz.
- I właśnie dlatego – wtrącił Buddy – musimy wciągnąć w nasz plan Kay. Naszą kochaną panią K. Wszyscy troje dobrze na tym wyjdziemy.
- Nie. Wyświadczyć mi przysługę i zapomnij o K. Jeżeli ją wprowadzimy, wszystko może nam się wymknąć spod kontroli. To niebezpieczne zarówno dla niej, jak i dla nas. Lepiej, żeby się trzymała z dala od tego.
- Niebezpieczne? Posłuchaj, codziennie mamy do czynienia z Costą. To chyba wystarczająco niebezpieczne.
- Tak, ale Kay nigdy nie była zamieszana w nasze sprawy.
- Do diabła. Myślisz, że ona nie poradzi sobie z takim niebezpieczeństwem? Na pewno okaże się w tym lepsza od nas. My, to para starych głupców. Pewnie przez cały czas popełniamy błędy, których ona uniknęłaby. Kay idealnie się do tego nadaje.
- Nawet gdyby rzeczywiście tak było, dlaczego sądzisz, że ją to zainteresuje?
- Słuchaj, Simon, wszyscy, których znam, weszliby w to za pięć

milionów.

– Dobra, niepotrzebnie zmieniamy temat. Mówiliśmy o twojej wpadce z Costą. – Simon spojrzał na przyjaciela.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku wind. W milczeniu wjechali na dziesiąte piętro i weszli do biura Buddy'ego. Kay siedziała wyprostowana przy biurku i przeglądała stos wydruków. Palcem zaznaczyła miejsce, w którym przerwała czytanie, podniosła wzrok i skinęła głową w stronę skoroszytu leżącego na brzegu jej biurka.

– Przydziały budżetowe, Buddy – powiedziała. – Sprawdziłam je, wszystko się zgadza, ale musisz to podpisać, zanim oddam je z powrotem do Centrum Danych.

Buddy wziął skoroszyt na sąsiednie biurko i zaczął podpisywać arkusze. Kay wróciła do przeglądania wydruków.

– Kay, muszę porozmawiać z Jakiem Cohenem – powiedział Buddy nie podnosząc głowy znad papierów. – Powiedz mu, że jestem w sytuacji bez wyjścia i muszę mieć te siedemdziesiąt tysięcy dziś wieczorem. Powtórz mu, że sprawa jest poważna i przypomnij też, że nigdy dotąd nie korzystałem z „twardej kasy”, a tym razem potrzebuję jej tylko na sześć dni. Potem odzyska swój cenny fundusz.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Oczywiście, że jestem pewien, do cholery.

– Simon? – Kay spojrzała na niego.

– Buddy ma rację, K. On musi mieć te pieniądze natychmiast.

– W porządku. – Zaznaczyła długopisem miejsce, w którym przerwała sprawdzanie i wyszła z pokoju.

– Co za kobieta – stwierdził Simon. – Ty ją prosisz o coś takiego, a ona mówi „W porządku”.

– Tak, ale najpierw musiała się upewnić.

– Zgadza się.

– Co więcej, zapytała nas obu. Nie tylko mnie. Skoro ty nie miałeś nic przeciwko temu, zgodziła się. A ty nawet nie pracujesz u nas.

Kay wróciła do biura.

– Zła wiadomość, Buddy – powiedziała. – Jake aż się trzęsie ze złości. Sam mnie złapał, zanim ja zdążyłam do niego zadzwonić. Podobno obserwował monitor czekając, aż wkroczysz do akcji. Chce cię widzieć natychmiast. Masz się stawić w jego biurze. Mówi, że jakąś godzinę temu zadzwonił do niego Costa.

– Cholera. Miał tego więcej nie robić.

– Już i tak niczego nie odkręcisz – stwierdziła Kay.

– Dziękuję ci bardzo. Właśnie takiego wsparcia moralnego oczekuję od moich pracowników.

– Przykro mi, ale nie możesz zwlekać z tym bez końca. Jake mówił, że to bardzo pilne.

Buddy wstał i spojrzał na swoje biurko, jakby chciał znaleźć na nim papier, który wybawiłby go z opresji. W końcu wzruszył ramionami i wyszedł. Kay usiadła za biurkiem i wróciła do przeglądania wydruków.

– Co robisz? – spytał Simon próbując nawiązać rozmowę.

– Szukam jednej rzeczy – odparła przewracając kartkę.

– Tego się domyśliłem. Nie przerzucasz tego trochę za szybko? W takim tempie możesz coś przeoczyć.

Uśmiechnęła się, przesuwając palcem wzdłuż kolumny liczb.

– Raczej nie. Jeżeli mam rację, jest to coś, czego nie da się nie zauważyć.

– Jakiś błąd? Nie mów mi, że udało ci się pomylić. Przerwała sprawdzanie i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie udało się – powiedziała bez uśmiechu. – Sama pracowałam nad tym systemem przydziałów i na pewno nie ma w nim błędów.

– Jeśli tak, to czego szukasz?

Usiadła wygodniej, z założonymi rękami. Nie spuszczała wzroku z Simona.

– Wiesz, jak funkcjonują te przydziały?

– Mniej więcej. Oczywiście nie znam żadnych szczegółów. Kongres, czy jakiś inny organ daje wam pewną sumę na fundusz pomocy międzynarodowej. Wy to chyba nazywacie dotacją. Buddy i jego spółka wynajdują wtedy ludzi takich jak ja, żeby ci z kolei zajęli się konkretnymi umowami. A ty trzymasz rękę na pulsie. Pilnujesz wszystkiego.

Wciąż nie spuszczała z niego wzroku.

– I nas również, bez wątpienia – dodał niepewnie. Nie odpowiedziała mu wprost, zapytała tylko:

– Wiesz, o ile toczy się gra?

Simonowi nie podobało się tak bezpośrednie pytanie.

– Nie jestem pewien. Masz na myśli cały rok? Ile przechodzi w ciągu roku?

– Tak, w ciągu roku.

– Sporo. Powiedziałbym, że grube miliony. Piętnaście? Może aż dwadzieścia?

– W zeszłym roku osiemdziesiąt siedem.

– Naprawdę? Aż tyle? Spojrzała na wydruki.

– Aż tyle. I Kongres chce wiedzieć, na co idzie każdy cent z tych pieniędzy. Każdy cent. Moim zadaniem numer jeden jest właśnie to. Muszę znaleźć jakiś sens w papierach, które wy, dwaj komedianci, gdzieś wynajdujecie.

– To dobrze, że ty jesteś tak cholernie inteligentna, co? – Simon zirytował się. – Zresztą robimy wszystko, co w naszej mocy. Jesteś w US Aid równie długo jak my, więc powinnaś wiedzieć, że nie da się załatwić wszystkiego w grzeczny i porządny sposób przez cały czas. Angażuje się w to zbyt wiele osób. Za dużo jest papierów.

– O tak. O waszych papierach wiem już wszystko, dziękuję bardzo.

– No i...

– Okazuje się, że to nie w nich tkwi problem.

– Jeżeli nie w nich, to w czym?

Nie odpowiedziała natychmiast, zamiast tego postukała palcem w stos wydruków.

– W tym. Wyobraź sobie, że Departament to gigantyczne przedsiębiorstwo handlowe. Coś w rodzaju konsorcjum. Kupno. Sprzedaż. Wycena. Zapłata. Tak jak wszystkie wielkie firmy potrzebujemy dużo gotówki. Na co dzień. Ja prowadzę rachunki i trzymam pieniądze na wszelkie nasze wydatki w Banku Federalnym. Powiedzmy, że mamy tam pięć czy sześć milionów. W każdej chwili wiem, ile jest w banku, co do centa. – Wskazała ekran komputera stojącego po drugiej stronie biurka. – Nie w tym tkwi problem. Po prostu nie mogę jakoś dopasować tego – ponownie wskazała na ekran – do tego – położyła dłoń na wydrukach. – To jest lista wszystkich transakcji. Wszystko powinno się *zgodzać*, ale gdzieś jest jakaś luźna nić.

– Luźna nić?

– Ja to tak nazywam. Dobry system księgowy jest jak wielki kawał materiału. Każda transakcja dokądś prowadzi i całość trzyma się razem. Jeżeli jakaś nić zostanie przerwana, trzeba ją odnaleźć. W przeciwnym razie można zepsuć cały materiał.

– Brzmi to trochę tragicznie. Jedna zerwana nić i cały system diabli biorą? Na pewno nie.

– Może niezupełnie tak. Nie sama nić. Ale jeżeli ktoś zaczął poważnie nadpruwać materiał, ja muszę wiedzieć, gdzie to robi.

– Co według ciebie jest poważnym nadpruwaniem? O jakiej kwocie mówimy?

– Jeszcze nie jestem pewna. – Kay znowu zaczęła przesuwając palcem wzdłuż kolumn liczb.

– Pewnie wolisz, żebym się w końcu zamknął i pozwolił ci pracować, co? Nie powinnaś zgubić żadnego ściegu.

– Nie bagatelizuj tego, Simon – przerwała mu, nie podnosząc wzroku znad wydruków. – Kongres bardzo skąpo rozdziela pieniądze.

– To dobrze. Przynajmniej wiem, że mogę w nocy spać spokojnie. Spojrzała na niego.

– Chciałabym w to wierzyć, Simon.

Ich oczy znowu się spotkały. Czy ta kobieta w ogóle mrugała powiekami?

– Atak przy okazji – zagadnęła. – Co takiego Buddy załatwia z Costą, żeby potrzebować do tego siedemdziesięciu tysięcy?

– Mnie nie pytaj. Ja nawet nie jestem z „Departamentu”. – Simon nakreślił w powietrzu znak cudzysłowia, obwodząc nim słowo „Departament”.

– Zapytałam ciebie, ponieważ ty to wiesz. Nieważne czy jesteś z Departamentu, czy nie, Simon.

– Przepraszam. Wiem tyle, że pralnia CIA podobno trzyma jakiś fundusz na czarną godzinę, aby korzystać z niego w nagłych przypadkach, takich jak ten dziś.

– Ale Costa nie jest przecież nagłym przypadkiem?

– Dla Buddy’ego jest. Posłuchaj, wszystko jest w porządku. Zaczekam tu na niego. Jeśli chcesz, to możesz się urwać.

– Nie, poczekam z tobą. Jeżeli uda mu się zdobyć te pieniądze, to ktoś będzie musiał później iść z nim do Costy. Nie mam pojęcia, kiedy Buddy zamierza to zrobić, ale zaczekam, żeby zobaczyć, co się wydarzy.

– To nie musisz być ty. Może z nim iść ktoś z innego działu. Na przykład Bradley.

Kay zaśmiała się.

– Bradley? Jego Buddy wybrałby na samym końcu. Nienawidzą się. Buddy nigdy nie przyznałby się przed nim, że coś nawaliło.

– Kto mówił, że cokolwiek nawaliło? Wspominałem tylko o nagłym przypadku, a nie o wpadce.

Kay splotła dłonie i spojrzała na Simona, przechylając głowę na bok.

– Może – powiedziała. – Zresztą, skoro już tu jesteś, chciałam cię zapytać o zupełnie inną rzecz. Buddy wspomniał mi, że nieźle grasz w komputerowe szachy, to prawda?

– Gram dość dużo. Dlaczego akurat teraz o to pytasz?

– „Gram dość dużo”. Bardzo angielski wykręt! Buddy mówił mi, że grasz w pierwszej lidze w Internecie. A żeby tam trafić, trzeba być bardzo

dobrym. Chciałam tylko wiedzieć, dlaczego wybrałeś szachy, a nie Go?

– Go? Czy to ta japońska gra z czarnymi i białymi pionami? Zajmowanie pól czy coś takiego. Nie wydawała mi się zbyt wciągająca. Owszem ciekawa, ale niewiele tam strategii. Nie jest to mój ulubiony rodzaj gier. Nie bawi mnie.

– Lepiej, żeby nie słyszał tego żaden Japończyk! To ich gra narodowa. Jest przynajmniej tak samo skomplikowana jak szachy, a może nawet bardziej. Oni zdobywają nawet kolejne stopnie wtajemniczenia Go, trochę tak jak pasy w karate. Tych poziomów jest siedem. Ci, którym udało się zdobyć najwyższe, są właściwie bohaterami narodowymi.

– Nie wiedziałem o tym. Sprytni starzy Japończycy.

– Jesteś dobrym programistą, a Go można w łatwy sposób przekształcić w grę komputerową. O wiele łatwiej niż szachy. Mam na myśli to, że szachy nazywa się grą nieskończoną, ponieważ figury mogą się poruszać, co oznacza, że w różnych stadiach tej samej gry można otrzymać taką samą konfigurację.

– Tak, ale to się nigdy nie zdarza – przerwał Simon.

– Nie. Wiem o tym, ale istnieje taka teoretyczna możliwość, a zatem gra uznawana jest za otwartą w sensie matematycznym. Nigdy nie da się określić wszystkich możliwych ruchów. Go jest zupełnie inne. Liczba ruchów jest skończona i nie można ruszać pionami, które zostały raz użyte w grze. Teoretycznie możliwe jest przewidywanie każdej rozgrywki.

– Według mnie to grę upraszcza. Kay uśmiechnęła się.

– Tylko się tak wydaje. Plansza Go jest większa od szachownicy, dziewiętnaście na dziewiętnaście, a nie osiem na osiem pól. Dzięki temu liczba możliwych konfiguracji jest olbrzymia. Tylko naprawdę potężny komputer może zbliżyć się do rozwiązania. Może jedna z tych wielkich maszyn Cray 900 albo coś podobnego.

– Nie rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz. Najpierw twierdzisz, że Buddy jest na najlepszej drodze do najpotworniejszej wpadki wszechczasów, a potem chcesz rozmawiać o grach?

Zignorowała jego uwagę.

– Zeszłego wieczoru przyłączyłam się do internetowej grupy dyskusyjnej i dowiedziałam się z niej, że kilku facetów z Cambridge w Anglii uważa, iż istnieje lepszy sposób prowadzenia wyliczeń przy użyciu najnowszej TWL.

– TWL? Co to takiego?

– Przepraszam, to Teoria Wielkich Liczb, zmienne tabele, tego typu rzeczy.

– Naprawdę? Pierwszy raz o tym słyszę. Brzmi fascynująco. Jak je nazwałaś? Zmienne sieci? Szansa na dobry połów.

– Zmienne tabele, Simon.

– Nie. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałem. To nie w moim stylu. Pewnie w głębi duszy jestem zatwardziałym szachistą.

– Naprawdę? Z tego, co powiedział mi Buddy, wywnioskowałam, że to dokładnie twoja działka.

Cholera. Co Buddy mógł jej powiedzieć?

– Nie, tak jak już powiedziałem, mnie się to kojarzy z łowieniem ryb. Uśmiechnęła się.

– Jesteś dobry, Simon. Bardzo dobry.

Spojrzał na nią przelotnie. Starał się nadać temu spojrzeniu jak najobojętniejszy wyraz. Co ona, do diabła, wiedziała?

Telefon na biurku zadzwonił. Kay podniosła słuchawkę.

– Dobrze, Buddy. W porządku. Przykro mi. Tak, oczywiście zaczekam. Simon mówił, że on też. Nie? No dobrze. Powiem mu, że zadzwonisz do niego w Watergate później, dobrze? Tak. Tak. Powodzenia. – Odłożyła słuchawkę na widełki. – Dzwonił Buddy. Podobno Jake nie wiadomo dlaczego stara się wykręcić. Chce omówić to z innymi na dole. Buddy musi poczekać, aż Jake do niego zadzwoni. Godzinę, może dłużej. Mówił, żebyś nie czekał, zadzwoni do ciebie później i powie ci, jak poszło.

Simon spojrzał na zegarek.

– Dobra, muszę jeszcze zadzwonić z hotelu w parę miejsc. Życzę powodzenia. Zobaczymy się rano.

– Oczywiście. W takim razie naszą rozmowę o szachach i Go musimy przełożyć na później.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia. Było blisko. Trochę za blisko.

Jake Cohen wrócił do biura, w którym czekał na niego Buddy Marlin. Był w tym samym wieku i tego samego wzrostu co Buddy, wyglądał jednak znacznie młodziej. Krótko ścięte, siwiejące włosy i elegancki garnitur jeszcze bardziej pogłębiały tę różnicę.

Usiadł za swoim biurkiem i jednym szybkim ruchem zebrał rozrzucone na blacie papiery.

– Będą gotowi mniej więcej za pięć minut – zaczął. – Szef chce, żeby sprawdzić czy w konferencyjnej nikt nie założył podsłuchu, a to oznacza, że naprawdę ma wszystkiego dość. Dobrze ci radzę, uważaj, co mówisz i robisz.

– Posłuchaj, Jake, to nic wielkiego – odparł Buddy. – Nie musimy zwracać głowy Szefowi. Wystarczy, że ty pchniesz sprawę do przodu. Przecież chodzi tylko o Costę. Obaj go znamy. Po co wciągać w to innych?

– Uważam, że to konieczne, Buddy. To ja jestem tutaj odpowiedzialny za wyniki i powoli zaczynasz mi działać na nerwy. Stajesz się coraz większym ciężarem.

– Co przez to rozumiesz?

– Popełniasz zbyt wiele błędów.

– Nieprawda.

– Jeżeli chcesz dostać siedemdziesiąt tysięcy w starych banknotach w ciągu dwóch godzin, to raczej nie świadczy o odnoszonych przez ciebie sukcesach.

– Daj spokój, Jake. Przecież tu chodzi o kontrakt. Znasz Costę.

– Wpadłeś, Buddy. Pracuję na tym stanowisku wystarczająco długo, żeby się na tym poznać. Siedemdziesiąt. W starych banknotach. Kto ustala tak wielką transakcję na takich warunkach?

– Z ludźmi takimi jak Costa nie zawsze da się targować, sam dobrze wiesz.

– Targować, może. Ale nie zawalać.

– No dobra, transakcja jest cholernie trudna – przyznał Buddy. – Ale wszystko odzyskamy. Costa jest jedynym, który może przerzucić ten towar. Nawet Szef przyznałby mi rację. Nie zapominaj, że ty też popierałeś cały pomysł. Sam podpisałeś fakturę.

– Oszczędzaj struny głosowe, Marlin. Przestań mi tu chrzanić. Jeżeli dostaniesz tę forszę, musisz dopilnować, żeby Costa zabrał ją ze sobą pierwszym powrotnym samolotem, w przeciwnym razie dopadnę cię.

Wystarczy, że jeden z tych banknotów trafi na ulicę, a jesteś skończony. Osobiście cię stąd wykopię.

– Bez obawy, Jake. Pieniądze wylecą jeszcze dziś wieczorem. Sam odprowadzam go na lotnisko. Tyle mogę zrobić.

Światelko wewnętrznego telefonu zamrugało.

– Czekają na pana w konferencyjnej.

Obaj mężczyźni w milczeniu wyszli z biura i ruszyli do windy w końcu korytarza. Jake Cohen wyjął klucz z kieszeni, otworzył małą klapkę obok przycisków dźwigu i wystukał sekwencję cyfr na klawiaturze. Światelka oznaczające piętra zgasły i winda zjechała dziesięć poziomów w dół.

Na dole czekał już na nich uzbrojony żołnierz.

– Proszę za mną, panowie. – Szli wzdłuż jasno oświetlonego korytarza. Zatrzymali się dopiero przed czerwonymi drzwiami ze stali. – Czy mogę prosić o pański identyfikator, generale? Pana również, pułkowniku Marlin.

– Żołnierz uważnie sprawdził oba dokumenty. – Dziękuję. Teraz proszę o klucz z dzisiejszym kodem dostępu.

Obaj usłuchali w milczeniu. Światelko nad drzwiami zmieniło się na zielone.

– Dziękuję. Generał armii za chwilę panów poprosi.

– Dziękujemy, Disley. Pozdrów ode mnie swego ojca – powiedział Jake, gdy przechodzili do długiej sali.

Generał Warkowski siedział sam po przeciwnej stronie długiego, wypolerowanego, drewnianego stołu. Nie uśmiechał się. Wciąż jeszcze miał na sobie galowy mundur. Włożył go na pogrzeb, który odbył się wcześniej tego dnia. Przed nim leżał czarny nesoser. Obok położył swoją czapkę z rzędem wypolerowanych gwiazdek.

Skinał na powitanie wchodzącym. Obaj oficerowie podlegali mu, a chciał jak najszybciej pozbyć się sprawy, z którą przyszli.

– Siadajcie panowie. Nie mam ochoty tkwić tu przez wieczność, więc załatwmy to jak najszybciej.

Jake i Buddy usiedli obok siebie.

Warkowski położył dłonie płasko na blacie stołu.

– Generał Cohen mówił, że potrzebujecie siedemdziesięciu tysięcy dla tego człowieka, Costy. Zgadza się, pułkowniku?

– Tak jest – odparł Buddy. – Wiem, że to wyjątkowa prośba, ale już wcześniej przeprowadzałem z nim transakcje. Tym razem chodzi o zwykłą dostawę towarów. Costa musi zapłacić cło i opłacić miejscowych urzędników, w przeciwnym razie cała partia zostanie zatrzymana. Popełnił jakiś błąd w terminach czy czymś takim i zaproponowałem, że mu

pomogę. Wiem, że powinienem najpierw skonsultować to z panem i z generałem Cohenem, ale nie miałem na to czasu. Pieniądze potrzebne są tylko na sześć dni i wszystkie banknoty pierwotnej transakcji opuszczają Stany Zjednoczone. Żaden z nich nie zostanie tutaj. Tyle mogę zagwarantować, sir.

– Czy ma mnie pan za jakiegoś nowicjusza? – spytał Warkowski.

– Słucham?

– Za kogoś, kogo można nabrać, Marlin. Zagrać z nim w ciuciubabkę.

– Nie, sir. Oczywiście, że nie.

– Nie próbujcie więc żadnych gier. Dokładnie wiem, co się tutaj dzieje.

– Sir?

– Ani słowa, pułkowniku. Dziś po południu pochowałem dobrego żołnierza. O niebo lepszego niż pan kiedykolwiek będzie. Wracam tutaj i co widzę? Na moim biurku mruga czerwone światełko, bo jakiś idiota chce dostać siedemdziesiąt tysięcy, żeby naprawić robotę, którą spieprzył.

– Sir, sytuacja jest wyjątkowa.

– Zaraz o tym porozmawiamy, ale czy wy wiecie, co tę sprawę jeszcze pogarsza?

– Nie, sir.

– Powiedziałem, ani słowa. Jest jeszcze gorzej, ponieważ jest pan żołnierzem. I jeżeli Costa załatwi was, załatwi również mnie. A ja naprawdę nie mam ochoty na nic takiego. Słyszycie?

Warkowski pchnął neseser w kierunku przybyłych.

– A teraz bierzcie te przekłete pieniądze i pilnujcie ich aż do samego lotniska. Za sześć dni ta sama kwota w innych banknotach ma się pojawić na tym stole, w przeciwnym razie już po was. Czy wszystko jasne, pułkowniku?

– Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

– I jeszcze jedno. Czy ten idiota Anglik też jest w to zamieszany?

– Ma pan na myśli doktora Northcotta, sir? Nie, on nie ma z tym nic wspólnego. I z całym szacunkiem, sir, on nie jest idiotą. Jest bardzo dobry w tym co robi.

– Skoro jest taki inteligentny, to dlaczego pracuje z kimś takim jak pan?

– Obaj jesteśmy w US Aid, sir. On pracuje dla funduszu pomocy międzynarodowej.

– Ale ma do czynienia z komputerami, zgadza się?

– Raczej nie, sir. Z tego co wiem, to on prawie z komputerów nie korzysta.

– Słyszałem zupełnie co innego. Od federalnych wiem, że ktoś włamywał się do jego konta American Express i bawił się kodami hoteli. Tego nie potrafi pierwszy lepszy, a poza tym dostępu do konta nie ma nikt poza jego właścicielem, tak?

– To zupełnie do niego niepodobne. Sam z nim o tym porozmawiam.

– Nie ma pan innego wyjścia. Chcę wiedzieć, co on knuje. W Waszyngtonie częściej włamują się do komputerów niż układają dzieci do snu. Tak czy inaczej dowiem się, do czego on zmierza. Mamy tu przecież eksperta od tych maszyn. Tę M, czy jak tam jej na imię. Kaźcie jej wszystko dokładnie sprawdzić.

– Tak jest, sir. Ma pan na myśli major Noctę. Nazywają ją „K”, sir.

– Wszystko jedno. Niech jej pan powie, że ma trzy dni, a jak coś znajdzie, to pozbądźcie się tego Anglika. Nie potrzeba nam tu żadnych wścibskich.

– Ale to nasz najlepszy współpracownik, sir. Załatwił nam najlepsze kontrakty, jakie kiedykolwiek podpisaliśmy. Afryka, Południowa Ameryka. Daleki Wschód. Gdyby nie on, nie dotarlibyśmy do połowy miejsc, z którymi dziś współpracujemy. On jest idealny, sir.

– Nic nie jest idealne. Nie mogę podejmować żadnego ryzyka. Nakazuję więc, aby major Nocta przez tydzień obserwowała jego poczynania.

– A potem, sir?

– Już powiedziałem, pułkowniku. Oczywiście zależy to od tego, co na niego znajdziemy. Jeżeli kombinuje tylko z własnymi kartami kredytowymi, zostawiamy go, ale jeśli dłubie głębiej, to zupełnie co innego. Zupełnie co innego.

Buddy chwycił neseser tak mocno, że zaboląła go ręka.

– Tak jest – powiedział cicho.

– W porządku. A teraz zabierajcie się. Obaj. A pan, generale – Warkowski wycelował palcem w Jake’a Cohena. – Pan osobiście przedstawi mi jej raport. Zrozumiano?

– Tak jest – odparł Jake. – Dziękuję, sir.

Jake i Buddy wyszli z sali. W windzie, gdy uzbrojony żołnierz znikł im już z oczu, pierwszy odezwał się Buddy.

– Cholera, Jake. Pierwszy raz widziałem Szefa w takim stanie. Co się, do diabła, stało?

Jake wzruszył ramionami.

– A ta gadka o Simonie – ciągnął Buddy. – Warkowski chyba oszalał. Northcott to nasz najlepszy człowiek. Sam to wiesz.

Jake znowu wzruszył ramionami.

– Zresztą nie ma nic do szukania. Może i ma jakieś tam machlojki z rachunkami hotelowymi. I co z tego? Połowa Waszyngtonu robi to samo. To dla niego tylko gra. Nie włamuje się na poważnie. On nie jest z takich. I żeby jeszcze nasyłać na niego Kay? To po prostu śmieszne. Simon przecież się zorientuje. Warkowski myli się co do niego. Simon nie jest idiotą.

– Warkowski nie został szefem operacyjnego dlatego, że się mylił. Skąd możesz mieć taką pewność, że Simon jest czysty?

– Bo go znam. Dziesięć lat. Może dłużej.

Drzwi windy otworzyły się na ich piętrze. Obaj weszli do biura Jake'a i zamknęli za sobą drzwi.

Buddy usiadł z neseserem na kolanach i otworzył zabezpieczenia. Podniósł klapę.

– Jake. O co tu, do cholery, chodzi? To są nowe banknoty. Costa musi mieć stare. Wiesz o tym.

– Przykro mi. To wszystko, co teraz możesz dostać.

– Stare banknoty, Jake. Przecież nie może użyć nowych, nawet tych z pralni.

– Na pewno może. Sam mówiłeś, że wywozi je z kraju. Skoro tak, nie powinno to mieć dla niego żadnej różnicy. Zresztą może jeszcze raz je wyprać gdziekolwiek.

– Nie rób mi tego, Jake. Za dobrze mnie znasz.

– Nie rób czego? Poprosiłeś mnie o dwie zupełnie różne przysługi. Najpierw o pieniądze, a potem o stare banknoty. Najpierw weź pieniądze. To i tak za dużo. Nikt nie potrzebuje siedemdziesięciu tysięcy w gotówce. Nawet gdyby dotyczyło to umowy składowej, a przecież nie o nią chodzi. Trzydzieści wystarczyłoby w zupełności. A zatem jest to związane z czymś innym, prawda? Zboczyłeś z głównego kursu. Przekroczyłeś swoje kompetencje. Albo sam się przeliczyłeś, albo to on wziął cię na muszkę. A znając cię, podejrzewam, że chodzi o to drugie. No, ale w końcu to ty działasz na froncie, więc muszę cię słuchać. Dotąd zawsze miałeś moje poparcie. Ale stare banknoty? Nie. To zupełnie co innego.

– Jake, zrozum, ja po prostu nie mogę zanieść mu nowych banknotów. Umawialiśmy się na stare.

– Tak, to miała być druga przysługa, o jaką prosiłeś. W zwykłym układzie nigdy nie są potrzebne stare banknoty. Obaj dobrze o tym wiemy. Jeżeli umowa nie jest zwykła, powinieneś mnie o tym powiadomić już

dawno temu. Jakie z tego wnioski? Wszedłeś w jakieś pokrętne układy i przekroczyłeś limit. A teraz siedzisz tu i udajesz mniszkę. Nie będziesz robił ze mnie głupca. Teraz zabieraj forszę i rób z nią to, co będziesz mógł. Ja i tak tym razem za bardzo nadstawiałem za ciebie karku. Decyduj, albo to bierzesz albo odpadasz.

– Nie mogę tak go wystawiać. Tylko o to mi chodzi.

– No dobra. W końcu zaczynamy nadawać na tych samych falach.

– Jemu się to nie spodoba. Następnym razem już mi nie zaufa.

– To twój problem, pułkowniku.

– Bez wątpienia potrafisz wszystko załatwić na cacy.

– Posłuchaj, Buddy, to już ostatni raz. Wiem równie dobrze jak ty, na co potrzebna mu ta forsa, ale to nie przejdzie. Teraz twoja kolej. Masz jakoś dotrzeć z tą kasą do niego i powiedzieć mu, żeby się odpieprzył. Jemu się wydaje, że ma do czynienia z tobą, i że udało mu się zagnać cię w kozi róg. Może i tak, ale ty jesteś własnością rządu. Moją własnością. Zawaliłeś sprawę, i to wyłącznie twój problem, ale dopóki cię stąd nie wywalę, ciągle jeszcze należysz do mnie. Jeżeli on zadrze z tobą, zadrze również ze mną. Z nami wszystkimi. Także z Warkowskim. Sam słyszałeś, co powiedział. Nie mam ochoty wysłuchiwać tego po raz kolejny. Możesz więc mu przekazać, że albo działa według naszych zasad, albo wcale. A nasze zasady mówią: stare banknoty na małe transakcje, nowe – na większe. Duży układ i stare banknoty oznaczają, że Costa knuje plan, który na pewno nie będzie mi się podobał. A jeżeli coś mi się nie podoba, to wycofuję się z gry. Możesz mu to powtórzyć.

– Ale ja już się zgodziłem – zaprotestował Buddy.

– Może ty tak, ja nie – przerwał mu Jake. – To nie twoje pieniądze. Nie powinienes się zgadzać na jego warunki. Skoro coś ci się nie podobało, powinienes być odejść. To pierwsza zasada negocjacji. Skoro nie mogłeś się wycofać ze względu na coś, o czym nawet nie chcę wiedzieć, oznacza to, że Costa ma nad tobą przewagę. Wpadłeś w to gównno za głęboko, Buddy. Mogłeś przynajmniej zadzwonić. Mój telefon milczał. Zabrnąłeś za daleko, za głęboko. Teraz sam musisz wrócić do brzegu. Ja nie zmieniłem żadnej zasady. Tylko ty o nich zapomniałeś. Powinienem w ogóle ci odmówić, ale skoro dopiero pierwszy raz korzystasz z funduszu, postanowiłem jakoś to przepchnąć. Nie mogę zrobić tylko jednego, załatwić ci starych banknotów. Mogłeś to przewidzieć.

Siedzieli patrząc na otwarty neseser leżący na biurku między nimi. Jake spojrział na Buddy'ego.

– Kto idzie z tobą do Costy?

– Kay. Jest dobra. Sam wiesz.
– Co będzie miała ze sobą?
– Walthera P37.
– A ty?
– To samo, Jake.
– Wspaniale. Niewiele lepsze od procy. Co za papranina.
– Słuchaj, Jake, przecież mamy mu tylko przekazać forszę. To nie żadna operacja Corral. Spotykamy się w hotelu.

– Mimo wszystko jesteście za słabi. Kto jest w samochodzie ubezpieczającym?

– Nie mamy żadnego. Nie w tym przypadku. Mam wziąć tylko jeden wóz. Ruszamy z mego domu. Oni jadą za nami przez całą drogę. Jeżeli zauważą jakiś inny samochód, wycofują się z gry. Znasz to, Jake.

– Patrząc na to, co robisz, mam wrażenie, że nie wiem nic. Nowe banknoty. Ciężki neseser. Pukawki zamiast broni. Brak zabezpieczenia. Co to za organizacja, Buddy?

Marlin rozłożył ręce na dzielącym ich biurku.

– Costa myśli, że pieniądze pochodzą z innego źródła. Gdyby wiedział, że są bezpośrednio z Departamentu Stanu, wycofałby się. Stracilibyśmy możliwość wykupienia ładunku. Wszystko poszłoby na mamę. Costa może to wyciągnąć. Tylko taką przewagę ma nade mną i tylko dlatego z nim współpracuję. Nie ma nic więcej. Żadnego tajnego planu. Jednorazowa spłata. Jeżeli zrobimy coś inaczej, dowie się i nie przystąpi do gry, a wtedy stracimy go na dobre. Nikt ci nie będzie dziękował, Jake, jeżeli stracimy Costę. Nawet Szef. Obaj wiemy, że CIA też korzysta z jego usług, więc potrzebujecie go o wiele bardziej niż ja. To jak odgrywanie ról w jakiejś cholernej sztuce. Jake podrapał się w szyję.

– To jakie miało być owo „inne źródło”, o którym wcześniej wspomniałeś? Dlaczego pieniądze z Departamentu Stanu nie są dla niego wystarczająco dobre? W moich czasach każdego one zadowalały.

– Może wtedy tak, ale teraz wszystko jest inaczej. Costa zna nasze reguły równie dobrze jak my, a może nawet lepiej. Doskonale wie, że mój limit to pięćdziesiąt tysięcy. A nawet z taką kasą wysyła się trzech ludzi i dodatkowy samochód. Jeżeli rozegram to po mojemu, nie będzie nic podejrzewał. To mnie stawia trochę po jego stronie. Dlatego będzie mu się wydawało, że właśnie zdobył nade mną jednopunktową przewagę. Do czasu. Mój układ jest lepszy. Wszystko dokładnie opracowałem. Jestem specem. Wiem, co robię.

– A zatem, panie Specu, jak wygląda ów układ.

– Stąd zabieram forszę sam. Jadę do domu. O siódmej Kay przyjeżdża do mnie własnym wozem. Przesiada się do mojego i razem jedziemy prosto do Costy. Przekazanie gotówki. Telefon. W ciągu godziny ma być na lotnisku. Odlatuje. Załatwia co trzeba w Puerto Rico. W trzy dni później wraca z pieniędzmi z transakcji, czystymi, pakowanymi. No i jest po kłopotcie.

– Twoja część jest w porządku, ale jego nie brzmi mi za dobrze.

– Dlaczego?

– Na przykład, po co chce opuścić Stany? Nawet Costa mógłby znaleźć miejsce dla siedemdziesięciu tysięcy tutaj, na miejscu.

– Ale w Puerto Rico szybciej może je pomnożyć. Po pierwsze, ma potężny start w umowie składowej. Poza tym, wierz mi, on nie zamierza wyłącznie podwoić tej sumy. Nie ma się czym przejmować. Znam go. Weźmie to.

– No dobra, ale ciągle jeszcze nie powiedziałeś mi, jakie jest to „inne źródło”.

– Nie Departament Stanu.

– Więc co?

– Na pewno chcesz to wiedzieć?

– Nie bardzo, ale co tam, zepsuj mi dzień.

Buddy spojrzał prosto na Jake'a i wziął głęboki wdech.

– Costa myśli, że ukradłem tę forszę z Departamentu. Myśli, że to gorące tysiączki.

– Co! Czyś ty kompletnie zwariował, Buddy?

– Wcale nie. Powiedziałem mu, że zaplanowałem pewną operację, dzięki której odławiam forszę z systemu. Większą forszę. Wiesz, włamywanie się do komputerów i takie tam.

– Cholera, Buddy. To już zupełny bajzel.

– Nie. Wszystko jest dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Nie będzie żadnej wpadki. – A ja mam ochotę na drinka, dodał w myślach.

Jake odchylił się na oparcie krzesła.

– Buddy, już więcej nie chcę nic wiedzieć. Teraz ty mnie słuchaj, i to słuchaj uważnie. To ważne. Jeżeli gdzieś zavalisz, jesteś skończony. Już i tak wyszedłeś daleko poza swoje kompetencje, a ja też muszę teraz balansować na krawędzi. Masz wkrótce stanąć na stałym gruncie. Ja także. Żadnych więcej głupich układów. Nigdy.

– Dzięki, Jake.

– Podziękujesz mi, jak już będzie po wszystkim.

– Na pewno.

Buddy wziął neseser i wyszedł z pokoju. Od domu dzieliło go dwadzieścia minut drogi. Dwadzieścia jeden, od porządnego drinka.

Warkowski ponownie usiadł u szczytu długiego, drewnianego stołu. Z każdej jego strony siedziało po trzech mężczyzn. Dwaj z nich także uczestniczyli wcześniej w ceremonii pogrzebowej i, podobnie jak generał, wciąż jeszcze mieli na sobie galowe mundury. Pozostali czterej ubrani byli w ciemne garnitury, białe koszule i zwykłe krawaty.

– Zatem, panowie – rozpoczął Warkowski – witam ponownie. Co my na dzisiaj mamy? Na początek Ameryka Południowa. Co słyhać w sprawie da Costy, Williams?

Mężczyzna w garniturze, siedzący po lewej stronie, zaczął składać wyjaśnienia.

– Do tego człowieka bardzo trudno się zbliżyć, generale. Wie, że w Stanach stale ktoś go obserwuje, nigdy nie popełnia błędów. Nawet nie stara się zgubić tych, którzy siedzą mu na ogonie. Oczywiście próbowaliśmy założyć podsłuch w jego hotelu, ale to tylko rutyna. On nas zawsze znajduje. Człowiek z jego powiązaniem ma najlepszy sprzęt. Większość z tego jest co najmniej tak dobra jak nasze urządzenia, ale przez cały czas podejmujemy nowe próby. Obawiam się, że jak dotąd, niestety, nie mieliśmy szczęścia.

– A poza Stanami? – spytał Warkowski.

– Jest lepiej, sir. Puerto Rico powiadomiło nas, że nie spodziewają się go jeszcze przez pięć dni, ale z tego co wiadomo gotówka rzeczywiście ma tam dotrzeć jutro. Całe siedemdziesiąt tysięcy. Nie sądzę jednak, aby to były te same pieniądze. *Założą* się, że sam ściągnie tyle ile trzeba z ulic Puerto Rico, a te nowe banknoty zatrzyma tutaj w Waszyngtonie, tak jak zwykle. W ten sposób zabezpieczy się z obu stron.

– A o co chodzi z tą cholerną umową składową Marlina w Miami? Czy Costa naprawdę przetrze coś do Puerto Rico?

– Na to wygląda, sir. Dla niego to forma zabezpieczenia. Ciągnie z tego wystarczające zyski, aby mieć oficjalne konta z bardzo wysokimi wpływami i wypłatami. Większość z tego wędruje do Zurychu, a następnie z powrotem, ale zawsze trzyma sporo w Stanach na prowadzenie legalnej części swoich interesów. Tutaj niczego na niego nie znajdziemy, sir, ale jeżeli użyje tych banknotów, które dał pan Cohenowi i Marlinowi, dopadniemy go. Znamy wszystkie numery w obiegu. Będziemy wiedzieli, gdzie i kiedy trafią do banku. Zgaduję, że stanie się to jutro, około południa.

– A jeżeli nie przyjmie nowych banknotów?

– Do tego raczej nie dojdzie. Oczywiście będzie wiedział, że Marlin skądś je musiał wziąć, ale raczej nie domyśli się, że są spisane, jeżeli uwierzy, iż pochodzą bezpośrednio ze zwykłego systemu bankowego. Założę się, że weźmie je, bo już zaczął zbierać gotówkę z obu stron.

Warkowski zwrócił się do mężczyzny po prawej stronie.

– Co o tym wszystkim sądzi Pentagon, Joe?

– Williams ma rację, sir. Wiemy, że Costa przeprowadza pewną transakcję tu, w Waszyngtonie, dziś wieczorem. To dostawa z Belfastu, która ma w końcu trafić do Madrytu. Głównie AK47, trochę granatów. Stary sprzęt. Na pewno nie za siedemdziesiąt tysięcy. Sądzę, że użyje mniej więcej połowę z pieniędzy, które ma w Waszyngtonie.

– Skąd wiadomo, że Irlandczycy wezmą nowe banknoty od Costy?

– Na pewno nie będą chcieli, ale nasz człowiek z Falls Road przekazał nam, że jego rodacy potrzebują teraz gotówki. Przede wszystkim właśnie dlatego zdecydowali się na sprzedaż towaru. Nie zechcą nowych banknotów i pewnie spróbują podbić cenę, ale w końcu zgodzą się i na nowe.

– A jak z koordynacją w czasie? – dopytywał się Warkowski. – Czy Williams ma rację mówiąc, że pieniądze trafią do banków jutro?

– Jestem tego pewien. Zwłaszcza, że chodzi tu o umowę z Irlandczykami. Oni nigdy nie potrafią się powstrzymać. Zawsze wydają co najmniej część od razu. Głównie na dziewczyny, czasem na narkotyki. Kokaina jest tu o wiele tańsza. Kusi ich, żeby coś zarobić przy okazji. Traktują to jak zakupy w sklepie wolnocłowym. Według mnie pieniądze pojawią się w południe. Najpóźniej o pierwszej.

Warkowski spojrzał na mężczyznę siedzącego nieco dalej.

– Czy Dublin jest tego samego zdania, Sean?

– Zgadzam się z Williamsem i Joem. W Dublinie spodziewamy się, że za dwa dni w kraju pojawi się mniej więcej trzydzieści tysięcy.

– To tylko trzydzieści, a co z pozostałymi czterdziestoma?

– Niestety nie wiemy nic dokładnie. Przypuszczam, że większość z tego będzie krążyła między handlarzami narkotyków tu na miejscu przez jakieś dwanaście do dwudziestu czterech godzin. Musimy poczekać, aż Costa pozbędzie się najnowszej dostawy. Dam mu osiemnaście godzin. W tym czasie powinien już załatwić sporo transakcji i przynajmniej część banknotów znajdzie się u kokainiarzy. Uważam, że możemy zrobić nalot na tych pięciu, których mamy pod stałą obserwacją. Jeżeli znajdziemy choć jeden z banknotów, mamy go-

– Możecie nie mieć takiej okazji – stwierdził Warkowski. – Kiedy

Costa zobaczy nowe banknoty będzie wiedział, że pozostanie w Stanach jest zbyt ryzykowne. Odleci tak jak planował.

– To możliwe, generale, ale mając tak pewne dowody jak banknoty o oznaczonych numerach możemy przerwać jego sieć. Przynajmniej na sześć miesięcy. Oczywiście potem wróci do interesów, ale ta przerwa da nam czas na wprowadzenie do sieci większej liczby tajnych agentów. Wiem, że to prawie jak karuzela, ale lepsze to niż nic.

– Za wiele tu „gdybania”, mimo to muszę się z wami zgodzić. To wszystko, panowie. Dziękuję wam.

Mężczyźni ubrani po cywilnemu wstali i wyszli z sali. Przy stole pozostało tylko dwóch umundurowanych.

– No to mamy tylko drużynę gospodarzy – powiedział Warkowski. – Ty pierwszy, Rolands. – Czy Bank Federalny zgadza się z tym, co dotąd słyszałeś?

Pułkownik Rolands, postawny mężczyzna o okrągłej twarzy, nosił okulary w rogowej oprawie, które często poprawiał na nosie.

– Tak, generale, ale tylko do pewnego stopnia. Jesteśmy pewni naszej części. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów tego, co słyszeliśmy na dzisiejszym spotkaniu, ale moi ludzie są przekonani, że pułkownik Marlin przeprowadza serię transakcji z Costą, a przynajmniej szykuje się do nich. Oczywiście przez cały czas stan jego konta oraz kont, do których ma dostęp, zmienia się, wszystko jest pod stałą obserwacją. Jego osobiste wydatki nie zwiększyły się, ale bez wątpienia współpracuje z Costą dużo ściślej niż zwykle. Teraz w ciągu tygodnia ma kilka przekazów, podczas gdy mniej więcej rok temu ograniczały się one do jednego czy dwóch na miesiąc.

– Na jakie sumy są te przekazy?

– Mieszczą się w limitach Departamentu. Nigdy więcej niż pięć tysięcy i wszystkie wpłaty są potwierdzane przez Cohena przynajmniej z pięciodniowym wyprzedzeniem. Działa w obrębie dopuszczalnych granic, ale zdecydowanie blisko tej górnej. Według mnie wskazuje to na zbyt bliską współpracę z Costą. Mówiłem Cohenowi, żeby poruszył tę kwestię ze swoim partnerem, ale podobno Marlin tłumaczył, że był to dla niego „trudny okres”. Użył dokładnie tego określenia.

– I co? Jest tak jak mówi?

– Niestety, w tym muszę się z nim zgodzić, sir. Handel towarowy utrzymuje się na dość niskim poziomie, odkąd Rosjanie wycofali się ze sceny międzynarodowej. Poza tym obrót legalnymi chemikaliami i sprzętem jest bez wątpienia bardzo trudny.

– A zatem wszystko jest w porządku?

– Właśnie do tego zmierzałem, sir. – Rolands niespokojnie przesunął się na krześle. – Pułkownik Marlin współpracuje z Costą bezpośrednio i dlatego musi mieć dostęp do kodów Banku Federalnego, aby uaktywnić pewne sumy tam, tutaj, na miejscu oraz w pralni. Jednakże z pralni są pobierane i później zwracane kwoty, za które nie możemy ręczyć. Wysokość obciążeń i uznań jest zawsze taka sama, ale nie mamy wątpliwości co do tego, że pieniądze opuszczają system na jakiś czas i ich lokalizacja w tym okresie nie jest nam znana.

– Mów po ludzku, Rolands. Nie macie zielonego pojęcia, dokąd te pieniądze idą? Czy tak?

– Tak jest.

– Dziękuję. Tak już lepiej. Nie wiecie, dokąd idą, ale przypuszczam, że wiecie, ile brakuje i jak długo?

– Tak, sir. Choć wygląda to trochę dziwnie. Kwoty nigdy nie są większe niż kilka tysięcy, czasem osiem czy dziesięć. A opuszczają nasze konta nigdy na dłużej niż na piętnaście sekund.

– Piętnaście sekund? – uciał Warkowski w gniewie. – Czy pan dla zabawy zajmuje mi czas?

– W bankowości to dość znaczący okres. W tak krótkiej chwili można przeprowadzić tysiące transakcji. Za oficjalny okres księgowania ciągle jeszcze uznaje się pełną minutę, więc teoretycznie stan konta w ogóle się nie zmienia. Wierzę jednak, że w przeciągu tej minuty pieniądze są przez kogoś wykorzystywane, choć nie wiemy do czego.

Rolands znowu poprawił okulary na nosie. Warkowski bębnił palcami w blat stołu.

– Mam rozumieć, że jesteśmy ciągle w tym samym punkcie? Nie macie pojęcia co się dzieje.

– Niezupełnie, sir. Najbardziej oczywistym miejscem byłyby banki dewizowe. Sumy, jakie przez nie przechodzą, są ogromne. Często w ciągu minuty obroty są miliardowe i nawet tak stabilne waluty, jak marka czy jen, mogą z minuty na minutę dość znacznie zmienić swą wartość. Ze względu na to, że zwykle sumy są tak wielkie, odnalezienie kilku tysięcy staje się niemożliwe. Wiemy, że nasz człowiek, Marlin zawsze pobiera pieniądze i z powrotem je wpłaca w ostatniej minucie otwarcia giełdy dewizowej.

– Czy mogę tu coś wtrącić, sir? – przerwał drugi mężczyzna, znacznie młodszy, o pociągłej twarzy.

– Tak, Bradley, o co chodzi?

– Sir, pułkownik Rolands wspomniał mi wczoraj o tych niewidzialnych transakcjach, postanowiłem więc sprawdzić, co się działo w tym czasie. Dokładnie w czasie tej minuty, a dotąd zdarzyło się to tylko pięć razy, pułkownik Marlin rozmawiał przez telefon z tą samą osobą.

– Z kim?

– Z Anglikiem, Simonem Northcottom.

– A zatem ten łajdak jest w to zamieszany?

– Nie ma na to bezpośrednich dowodów, sir, ale według mnie tak właśnie jest.

Warkowski potarł dłonią policzek.

– O czym rozmawiają? Proszę dostarczyć mi nagrania rozmów.

– Z tym mam kłopot, sir. – Teraz Bradley niespokojnie wiercił się na krześle. – Nie mam upoważnienia do odszyfrowywania rozmów. Takie decyzje leżą w gestii generała Cohena, a on nie chciał mi wydać zezwolenia.

– Naprawdę? Mnie nigdy o tym nie wspomniał. Proszę powtórzyć Cohenowi, żeby się ze mną skontaktował i wtedy na pewno otrzymacie to pozwolenie. Albo, jeszcze lepiej, sam wydam wam na to zgodę. Niech pan przyjdzie do mnie po tym spotkaniu, a każę Disleyowi zorganizować spotkanie z ludźmi od łączności. Dlaczego ten Cohen tak tutaj miesza?

– Dziękuję, sir. – Bradley odzyskał pewność siebie. Warkowski raz jeszcze potarł policzek.

– Czy mamy coś jeszcze na tego Anglika?

– Tak, sir. – Na to właśnie czekał Bradley. – Rozmawiałem w tej sprawie z major Noctą, podwładną pułkownika Marlina. Potwierdziła, że Northcott nie jest tylko zwykłym sprzedawcą, za jakiego stara się uchodzić. Wspomniała, że jest bardzo dobrym programistą. Można nawet powiedzieć, że jest w tym świetny. Posługuje się komputerem z łatwością, z jaką większość z nas korzysta z telefonu. Gra w szachy komputerowe z najlepszymi i potrafi się włamać do większości nierządowych superkomputerów. Choć to niczego nie dowodzi, sir, ale możliwe, że Marlin wykorzystuje go w swoich grach z bankami.

– Cholera. Czy ta Nocta jest tego pewna?

– Tak, sir. Już od czterech lat obserwuje go pod przykrywką wspólnej pracy. Powiedziałbym, że zna go dość dobrze.

– Czy może znać go aż za dobrze?

– Absolutnie nie, sir. Major Nocta należy do naszych najlepszych ludzi. Najlepsza na swoim roku w West Point. Laude cum Laude w Yale. Od tamtej pory pracowała jako tajna agentka, dotąd bezbłędnie. To dzięki niej

Cohen odnosi sukcesy w Iranie i w nowym Wietnamie. Wspominała, że Northcott próbował się kiedyś do niej zbliżyć, ale natychmiast odrzuciła jego propozycje i, jak zwykle, powiadomiła o tym swego przełożonego, Jake'a Cohena. Sądzę, że bardzo się nam może przydać.

Bradley pozwolił sobie na uśmiech wyrażający zadowolenie z samego siebie.

– No dobrze, Bradley – przytaknął Warkowski – ale dopilnujcie, aby najpierw sprawdziła, co robi Marlin.

– Sir? – Uśmiech znikł z twarzy Bradleya.

– Tak jak mówię, ma najpierw powiadomić mnie. Nie jego czy Cohena. Muszę wiedzieć, co Marlin knuje z Costą albo z kim innym. I tak mogła się tego spodziewać, obserwując jego poczynania. Proszę jej powtórzyć, że to priorytet i że sprawa jest ściśle tajna. Niech pan jej też powie, że jeżeli dobrze wywiąże się z zadania, może oczekiwać awansu.

– Awansu, sir?

– Nie powiedziałem przecież, że go dostanie, tylko że może go oczekiwać.

– Tak jest, sir.

– I dajcie jej na to trzy dni.

– A co potem, sir?

– To zależy od rezultatów. Niech pan wykaże się inicjatywą. Czy to dla pana jakiś problem, Bradley? Sam pan wie, że Marlin jest dobry. Bardzo dobry. Ale w tej chwili tu go nie ma, *zgadza* się? Nie sądzą, aby miał on cokolwiek do dodania, poza informacjami, które mogą nam się przydać. Kiedy już je zdobędziemy, nie będzie mi więcej potrzebny. Stanie się dla nas zagrożeniem. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– To dobrze. W takim razie zostaje nam tylko ten Anglik. Kłopot w tym, że nie wiemy, w czym siedzi i jak głęboko. Chcę się tego dowiedzieć. Chyba będziemy mogli wykorzystać do tego jakąś agentkę. Która jest teraz wolna?

Bradley znowu czuł się jak ryba w wodzie.

– Już pozwoliłem sobie o to zadbać, sir. Doszedłem bowiem do tego samego wniosku co pan. Z ośmiu, które z nami stale współpracują, wybrałem dwie. Dodsey i Booker. Dodsey jest może trochę za młoda, aby mógł jej uwierzyć, ale Booker będzie według mnie idealna ze względu na pewne szczególne okoliczności.

– To znaczy?

– Jest siostrą pułkownika Marlina. Być może już nawet spotkała się

z naszym obiektem w okolicznościach towarzyskich, ale Northcott na pewno nie wie, czym się ona zajmuje. Nikt w Departamencie o tym nie wie. Nawet Cohen. Zawsze działała w największej tajemnicy, więc nie miałyby z tym żadnego problemu. Jest także najlepszą z naszych i trzy dni w zupełności wystarczyłyby jej na zebranie potrzebnych nam informacji. A to oznaczałoby, że skończy w tym samym czasie co major Nocta, która ma zbadać sprawę pułkownika Marlina.

– Co będzie, jeżeli Marlin skontaktuje się z Northcottem w trakcie naszej operacji? Od razu zorientuje się, co jest grane.

– Wątpię, sir. Booker twierdzi, że nawet Marlin nie wie, co ona robi. Oczywiście wie, że pracuje dla Agencji, ale sądzi, że raczej bierze udział w oficjalnych działaniach. Zbieranie danych, organizacja nowych punktów, tego typu rzeczy. – Bradley usiadł wygodniej i uśmiechnął się.

– Northcott spędzi cały następny tydzień w Cambridge, w Anglii – kontynuował swój wywód. – Mogę wysłać tam Booker na konferencję czy pod jakimkolwiek innym pretekstem. Jeżeli dokładnie jej wyjaśnimy, że pułkownik Marlin nie ma z tą sprawą nic wspólnego, na pewno nie będzie miała żadnych zastrzeżeń. Proponuję, abyśmy jej powiedzieli, że Marlin i Nocta już od miesiąca starają się dopaść Northcotta.

– Dobrze. W takim razie chcę, żeby Marlin wyjechał z Waszyngtonu na trzy dni. Tam, gdzie nie będzie miał dostępu do telefonu. Nie możemy ryzykować tego, że obaj znowu gdzieś się spotkają.

– Tak jest, sir. To bardzo dobry pomysł.

– I nie podejmujcie żadnych działań w stosunku do Northcotta, dopóki nie zobaczą u siebie raportu Booker. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Pułkownik Marlin to zupełnie inna sprawa.

– Tak jest.

Generał Warkowski paznokciem kciuka przytknął w zęby. Dopiero po dłuższej chwili zastanowienia spojrzał na Bradleya i spytał:

– Jakie zadanie wykonuje Booker obecnie?

– Przydzielono ją do waszyngtońskich uśpionych, sir.

– To już powinno się kończyć. Ilu jeszcze zostało?

– Dziś przeprowadzają ostatnią operację – poinformował Bradley i spojrzał na zegarek. – Prawdę mówiąc, wszystko powinno się zakończyć za mniej więcej kwadrans.

Warkowski zwrócił się do Rolandsa.

– Widzicie go? – powiedział wskazując Bradleya. – Chłopak trzyma rękę na pulsie. Podoba mi się.

– To wspaniale, sir – przyznał Rolands, poprawiając okulary. – Ale co do waszyngtońskich uśpionych? Czyja znam ten projekt, sir?

– Nie. – Ucinając rozmowę na ten temat, Warkowski ponownie zwrócił się do Bradleya. – Z kim ona pracuje?

– Z sierżantem Bullerem, sir. Już od dawna go tu nie widzieliśmy, ale zapewniam, że jest bardzo dobry.

– Jeden z pańskich protegowanych, czy tak majorze? Chyba pamiętam skądś to nazwisko: niezły strzelec, zgadza się? Jak zachowuje się w akcji? Jakie ma doświadczenie?

– Służył w Granadzie, sir – powiedział Bradley pogodnie. Warkowski spojrział na niego zirytowany.

– Pytałem o jego doświadczenie, a nie o jakieś letnie obozy. Bradley wlepił wzrok w blat stołu.

– Tak jest – odrzekł cicho.

Na chwilę zapadła nieprzyjemna cisza.

W końcu Rolands, po raz kolejny poprawiając zsuwające się z nosa okulary, powiedział:

– Generale, jeśli mogę spytać o major Booker. Czy ona ma jakiegokolwiek doświadczenie w dziedzinie komputerów? Ta sprawa z giełdą walut jest dość skomplikowana. Jakie szkolenie będzie potrzebne?

– Prawie żadne, Rolands; wystarczy tyle, ile zmieści się na jednej stronie. Ona ma się zająć ludźmi. I pewnie sami stwierdzicie, że na nich zna się doskonale.

– Oczywiście, generale – zgodził się Rolands. – Zastanawiałem się tylko...

Warkowski przerwał mu gwałtownie.

– Więc przestańcie się zastanawiać. O waszyngtońskich uśpionych też nie wiedziała nic, dopóki nie przydzielono jej do tej sprawy, a przyznam, że wywiązała się z zadania wspaniale. Niech pan mu powie, Bradley.

– O uśpionych, sir?

– O tym przecież mówiłem.

Major Bradley złączył dłonie i zaczął wyjaśniać:

– Uśpieni to tajni agenci KGB działający tu, w Waszyngtonie. Nie należą do wywiadu, ale mogą zostać wezwani do zadań specjalnych.

– KGB? – zdziwił się Rolands. – Sądziłem, że oni już nie stanowią problemu po upadku Związku Sowieckiego.

– Zgadza się – przyznał Bradley. – KGB w swej dawnej strukturze właściwie zostało rozwiązane. Ale ich sytuacja pogorszyła się tak błyskawicznie, że nie mieli czasu ściągnąć do domu uśpionych. Wszyscy

oni są, a raczej byli, ciągle tu, na miejscu.

– Jako kto?

– Jako dozorczy, kelnerzy, portierzy w szpitalach, urzędnicy bankowi. Wykonywali wszystkie te zawody, które mogą wykonywać imigranci.

– Skąd więc wiemy, kim naprawdę są? W tej chwili nie ma nawet dowództwa.

– To już decyzja generała – powiedział Bradley uśmiechając się z nadzieją do przełożonego.

Generał nie zareagował.

– Do rzeczy, Bradley. Prosiłem, żeby pan opowiedział Rolandsowi o projekcie, a nie robił mu wykładu z historii. – Warkowski zwrócił się do Rolandsa. – Wystarczy wiedzieć, że obecnie w Moskwie można kupić nie tylko kałasznikowy i podrobione levisy.

– Akta? – spytał Rolands zaskoczony. – Akta KGB?

– Pewnie, czemu nie?

– Skąd wiadomo, że informacje są prawdziwe. Że nazwiska, które dostajemy, to naprawdę uśpieni?

– Stąd, że, po pierwsze, ja nigdy nie kupuję fałszywych akt – Warkowski bębnił palcami w stół – a po drugie, dzięki Booker. To ona ich sprawdza. Chyba wie pan, co znaczy określenie „ścisty nadzór”?

– Oczywiście, sir.

– A zatem, to ona ich sprawdza. Najpierw zapoznaje się z nimi, zaprzyjaźnia, dowiadyuje się tego, co oni wiedzą, a kiedy już jest pewna, że nasze podejrzenia co do nich są właściwe, sprawdza, czy wiedzą jeszcze coś więcej. Potem przedstawia ich sierżantowi Bullockowi, czy jak mu tam.

– Przedstawia? – Rolandsowi niemal opadła szczęka. Warkowski uniósł brwi w wyrazie szyderczego zniecierpliwienia.

– Chryste, czy mam to przeliterować?

– Nie, sir – powiedział Rolands przepraszająco. – Wszystko rozumiem.

– Spuścił wzrok i zaczął się przyglądać swoim dłoniom.

Warkowski, ignorując go, zwrócił się do Bradleya. – W takim razie wszystko ustalone. Czekam na akta Marlina i tego Anglika. Proszę przygotować materiał dla Booker i powiedzieć jej, że chciałbym ją tu widzieć, kiedy tylko się pojawi. Krótkie wprowadzenie. Ma zacząć natychmiast. To by było na tyle. Zabierajcie się do pracy.

– Tak jest, sir. Jestem pewien, że nam się powiedzie.

– To dobrze, Bradley. Nie chciałbym się rozczarować. Bardzo tego nienawidzę.

Przez dłuższą chwilę po wyjściu Bradleya i Rolandsa Warkowski siedział zamyślony. Podniósł swoją czapkę i spojrzał na rząd podniszczonych gwiazdek. Boże – myślał – jestem potwornie zmęczony. Dawniej nigdy się tak nie czułem. Nie mogę pozwolić, aby cała ta sprawa z Marlinem zalazła mi za skórę. Kiedyś był jak dwudziestoczterokaratowy diament i ciągle mi się wydawało, że nadal nim jest. Może już za długo działa jako tajny agent. Jeżeli tak, to jak jest z innymi? Z Noctą? Z Cohenem? Nie wiadomo. Może czas wezwać ich do siebie, rozłożyć nową planszę i rozpocząć nową grę z nowymi graczami. Tylko z kim? Bradley nigdy nie będzie wystarczająco dobry. Ten nigdy nie zagrzeje tu miejsca. Brakuje mu jaj. Buddy Marlin to co innego. Przynajmniej ten Marlin z dawnych czasów. Mam wrażenie, że od tamtej pory minęły już całe wieki. I pewnie tak jest. To jego wina, że nie starał się utrzymać między nami kontaktów. Ciągle jeszcze trudno mi uwierzyć, że sprawy przybrały tak zły obrót, a on nic o tym nie wie.

Pochylił się i nacisnął guzik wewnętrznego telefonu.

– Macie już transkrypcje tych nagrań?

– Jeszcze nie, sir. Staramy się wyciągnąć z tego, ile się da, ale za dużo jest hałasu w tle. Na pewno mamy głosy Marlina i Northcotta, ale chłopcy wątpią, czy uda im się zrozumieć więcej niż parę słów. Będą nadal próbować, jeżeli to konieczne, sir.

– Nie. Odwołaj ich. Znajdziemy na nich co innego.

Ale skoro na tym cholernym cmentarzu było za głośno, żeby podsłuchać ich rozmowę, to gdzie mogło być ciszej?

Na cmentarzu Arlington, major Madeline Booker, ubrana po cywilnemu, przygotowywała się do „przedstawienia” jednego z uśpionych, Mikaela Łomakina, sierżantowi Bullerowi.

Siedziała obok swego towarzysza na jednej z kamiennych ławek w samym końcu cmentarza. Na lewo od nich naturalne obniżenie terenu oddzielało tę część od głównej, gdzie znajdowały się budynki gospodarcze. Trzech mężczyzn w kombinezonach ogrodników stało przy jednym z dużych wózków używanych do przewożenia worków ze śmieciami. Niewidoczni dla innych, mogli uchodzić za trójkę przyjaciół, którzy przed pójściem do domu chcieli jeszcze zapalić i pogadać.

Madeline miała na sobie prosty, czarny płaszcz przeciwdeszczowy narzucony na równie prostą, niebieską suknię. Nosiła też praktyczne brązowe buty na niskim obcasie, odpowiednie dla miejskiej bibliotekarki, którą właśnie chciała odgrywać. Blond włosy schowała pod zieloną chustą. Niebieskiego i zielonego nie powinno się zestawiać ze sobą –

mówiła do siebie zawiązując chustę przed wyjściem z domu. – Chyba że coś te kolory przedziela. – Włożyła ją tylko z obowiązku. Zieloną chustę dostała w prezencie od Rosjanina, który za każdym razem, gdy Madeline nie miała jej na sobie, robił zawiedzioną minę. Spojrzała na siedzącego obok niej mężczyznę. Jego bezkształtny garnitur z szarej flaneli przeświecał na łokciach i kolanach. Delikatnie ścisnęła dłoń towarzysza i uśmiechnęła się.

– Tak się cieszę, że tu przyszliśmy – powiedziała. – Chciałam pokazać ci Waszyngton o zachodzie słońca. Już teraz jest piękny, ale za tydzień lub dwa liście poczerwienieją i pożółkną na powitanie jesieni. Uwielbiam te kolory.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Miał szeroką twarz i bładoniebieskie oczy.

– Według mnie to smutne miejsce, Madeline, ale z tobą wszędzie czuję się wyjątkowo. Jestem z tobą szczęśliwy.

Odwzajemniła jego uśmiech.

– Jesteś taki słodki, Misza.

– „Misza”, lubię kiedy mnie tak nazywasz. Przez cały czas mego pobytu w Ameryce byłem Mikaelem. Dzięki tobie czuję się jak w domu.

– Czytałam o tym imieniu podczas Olimpiady w Moskwie. Ten mały miś na wszystkich znaczkach nazywał się właśnie Miszka. Dowiedziałam się wtedy, że to zdrobnienie imienia Mikael. Takie dziecinne imię.

– Owszem – przyznał. – Zgadza się. A jak dzieci mówią na Mikaela w Ameryce?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Nasz Mikael to Michael, czasem wołamy na niego „Miki”.

– Tak jak Myszka Miki? Podoba mi się. Możesz nazywać mnie Miki. Wkrótce już będę prawdziwym Amerykaninem.

Zaśmiała się wdzięcznie i wzięła go pod rękę. Materiał ubrania wydawał się szorstki i nieprzyjemny pod dotykiem jej starannie wypielegnowanych dłoni.

Właśnie tak jest – pomyślała. – Jesteś jak cholerna Myszka Miki.

Cieszyła się, że skończyła właśnie swoje zadanie. Akcent i ubogi zasób słów Rosjanina zaczynały działać jej na nerwy. Podobnie jak zapach i sposób, w jaki zwykle dotykał jej twarzy. Mimo to uśmiechała się do niego tak promiennie jak zwykle. – No nie wiem – powiedziała, trochę się drocząc – wtedy ja musiałabym zostać Myszką Minnie, a to by mi się nie podobało.

– Dobrze. To nic. Ja zaczekam. – Wyciągnął dłoń i palcem delikatnie

pogłaskał nos dziewczyny.

Uśmiechnęła się i przytuliła do jego ramienia.

– Czy chciałbyś mieć własne dzieci? – spytała.

– O tak. Ale syna. Chciałbym syna – odparł, a po chwili zastanowienia dodał – nazwałbym go Jurij.

– Jurij?

– Tak jak Gagarin. Jak byłem młody, to podziwiałem Gagarina. Pierwszy kosmonauta. Odważny sowiecki człowiek. Dla mnie bohater.

Mikael pokiwał głową i zapatrzył się na Waszyngton za rzeką. Popołudnie ciągnęło się bez końca. Przez chwilę nie odzywali się.

– Tak się cieszę na tę sobotę – powiedziała w końcu Madeline.

– Tak, Chicago. Chcę poznać twoją matkę. Ona tak miło ze mną rozmawiała. Nocujemy w hotelu czy u niej w mieszkaniu?

– W mieszkaniu, ale tam są tylko dwie sypialnie, więc będziesz musiał spać na kanapie w saloniku.

– Po co? Nie mówiłaś, że śpimy razem? – spytał trochę zaskoczony. – Jej się nie podoba?

– Nie. Na pewno się jej „nie podoba”. Jest bardzo staroświecka. Uważa, że młodzi powinni się pobrać, zanim zaczną razem spać.

– Rozumiem – powiedział Rosjanin cierpliwie. – Ameryka to różne miejsca. Ale tu dobrze. – Uśmiechnął się z zadowoleniem i usiadł wygodniej.

Słońce powoli zniknęło za budynkami w oddali. Wiatr stawał się coraz chłodniejszy. Jemu to chyba nie przeszkadzało, bo przez cały czas uśmiechał się zadowolony. Nie chciała przerywać mu myśli. Udając, że odgarnia z twarzy włosy, spojrzała w bok, gdzie trzech mężczyzn czekali przy wózku. Nieznacznie pokręciła głową. Mieli poczekać, aż będzie gotowa.

– Wiesz – powiedział nagle Mikael – to bardzo śmieszne. Dziesięć lat spałem dla Związku Radzieckiego, i to była tajemnica. Teraz śpię z tobą, i to też tajemnica! Dowcip, nie?

Roześmiała się, choć wcale nie wydawało jej się to zabawne. Potem wyprostowała się i z przekorą pociągnęła go za rękaw.

– To ty jesteś dowcipny – powiedziała i dodała już poważniejszym tonem – Nie powinieneś z nikim o tym rozmawiać. Mówiłeś, że postarasz się o tym zapomnieć. Teraz tamto już skończone. Już nie będą się z tobą kontaktować. Sam twierdziłeś, że o tobie zapomnieli. Wszyscy ludzie, których tu znałeś, zostali zastąpieni nowymi, nikt z dawnych nie został.

Mężczyzna westchnął.

– Wiem, Madeline. Ale tak mi trudno. Mnie szkolili na żołnierza, uczyli angielskiego, żeby tu wysłać. Tak ja zaczął żyć w Waszyngtonie. Potajemnie. Praca w szpitalu. Zawsze gotowy dla ludzi z ambasady, jak potrzebowali bezpiecznego miejsca. Trzymałem dla nich kanadyjskie paszporty. Dolary. Wiele rzeczy. Ale już pięć lat, jak mnie nie znakowali.

– Nie dawali znaku – poprawiła go machinalnie.

– Tak, nie dali znaku. Przedtem raz w roku zawsze dawali znak. Teraz nie.

– Mówiłam ci, Miszka, nie martw się tym. Tamto już minęło. Możesz zapomnieć. Zacząć wszystko od nowa. – Spojrzała w niespokojne niebieskie oczy, pochyliła się ku niemu i delikatnie pocałowała go w usta.

– Zacznij od nowa. Ze mną.

– A jak komuniści wrócą? Może znowu będą chcieli u mnie spać. Może mnie znajdą.

Madeline spuściła wzrok i uśmiechnęła się. Już ja dopilnuję, żeby tak się nie stało – pomyślała.

Znowu spojrzała w stronę trzech ogrodników. Jeden z nich stał trochę na uboczu. Patrzył na nią i Mikaela, a potem rzucił okiem na zegarek.

Westchnęła cicho. Może nadszedł już właściwy moment. Odkładanie tego bez końca nie miało sensu. Sprawdziła, czy Mikael nie patrzył w jej stronę, a potem niemal niezauważalnie skinęła głową i szybko wstała z ławki.

– Chodźmy już, mój Miki – powiedziała. – Głowa do góry. Jeżeli teraz wrócimy do samochodu i pojedziemy do miasta, będziemy jeszcze mieli czas na hot-doga, zanim zacznie się seans w kinie.

Rosjanin rozjaśnił się i wstał.

– Masz rację, Madeline. Obiecuję już więcej nie mówić o tamtym. Booker skręciła w stronę budynków gospodarczych. – Możemy pójść tędy – oznajmiła. – To skrót do drogi przy parkingu. Szybciej dojdziemy.

– Jesteś pewna, Madeline? Ja tam nie widzę żadnej drogi.

– Zaufaj mi – powiedziała, biorąc go pod rękę i lekko ściskając jego ramię. – Zaufaj mi.

Kilka chwil później znaleźli się w naturalnym zagłębieniu terenu, niewidoczni z innych części cmentarza.

Kiedy zbliżyli się do mężczyzny w stroju ogrodnika, stojącego z dala od pozostałych dwóch, nieznajomy odsunął się, robiąc im miejsce, ale gdy go mijali, nagle zrobił krok do przodu i kopnął Mikaela w bok kolana, jednocześnie popychając go na ziemię. Potem postawił stopę na gardle Rosjanina i trzymał ją tak, dopóki nie wyjął ze swego kombinezonu

pistoletu z długim tłumikiem. Mocno przycisnął lufę do piersi Mikaela. Rozległy się dwa szybkie trzaski i ciało ofiary nagle stało się zupełnie bezwładne.

Pozostali dwaj mężczyźni już zbliżyli się z wózkiem i wielkim workiem. Zgięli trupa w pół i wepchnęli go do worka. Jeden z nich zacisnął linkę wokół otworu, po czym obaj podnieśli ciężar i umieścili go na wózku, z którym ruszyli w stronę budynków.

Trwało to piętnaście sekund. Może nawet mniej. Maddie Booker i sierżant Buller zostali sami na ścieżce.

– Chryste – jęknęła kobieta. – Czy ty zawsze musisz robić to tak cholernie brutalnie?

Buller był wysoki i barczysty, miał bardzo ciemną skórę, a jego włosy wyglądały jak wyprasowane.

– Nie jestem brutalny – zaprzeczył. – Działam skutecznie. A co według ciebie miałem zrobić? Zapytać go najpierw, czy chciałby zapalić? Zresztą, już go nie ma. To ty wpadłaś na pomysł, żeby wykończyć go właśnie tutaj. Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy go załatwić tak jak pozostałych, w jego mieszkaniu.

– Dlatego, drogi sierżancie, że ty i twoje pataluchy zrobilibyście niezłe widowisko, biegając w górę i w dół po schodach z tym pieprzonym wózkiem.

– Dobrze już, dobrze – Buller podniósł dłonie do góry. – To tylko taka sugestia, Maddie. Może następnym razem załatwimy to inaczej.

– Nie będzie już następnego razu – ucięła. – To już ostatni. I jeszcze jedno, dla ciebie jestem panią major Booker, a nie Maddie.

Buller wzruszył ramionami, tak jakby dla niego nie miało to znaczenia jak ją nazywał. Wyjął papierosa i zapalił, nie częstując jej.

– Jesteś za bardzo spięta – zauważył. – Nie powinno cię to tak obchodzić. Może lepiej się poznamy. Napijemy się razem czegoś. No wiesz.

Ona również wyciągnęła papierosy i zapaliła jednego. Nie odpowiedziała mu.

– No to jak? – spytał. – Co ty na to?

Maddie popatrzyła na niego tak lodowato jak tylko mogła.

– Przykro mi, sierżancie, przez następne dwa miliony lat jestem już zajęta.

Buller znowu wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Powiedz mi tylko, czy po takiej robocie idziesz do domu i bierzesz kąpiel czy może raczej prysznic?

– Co! Co to za pytanie?

– Bo ja nie. Nigdy. Nie przez następne dwadzieścia cztery godziny. Lubię trochę z tym zaczekać. Zatrzymać chwilę.

Rzuciła papierosa na ziemię i przydeptała go butem.

– Jesteś bydlakiem, Buller, koszmarnym bydlakiem. Sierżant w złości wycelował w nią wskazującym palcem.

– Nie. Ja nie jestem bydlakiem. Jestem równie dobry w swojej robocie, jak ty w swojej. Popatrz na tę ścieżkę! No dalej, przyjrzyj się miejscu, w którym go załatwiłem.

Pokręciła głową zaskoczona, ale posłusznie spojrzała we wskazane miejsce.

– No i co? – Widzę ścieżkę – powiedziała oschle.

– Właśnie. A czy widzisz na niej jakieś ślady? Czy widzisz krew? Nie. Czy trawa jest wygnieciona tam, gdzie próbował się bronić? Nie. Wszystko jest tak, jak było. A wiesz dlaczego? Bo używam rozszczepionych naboju, takich o małej prędkości. Sam je przygotowuję, dokładnie takie, jakich potrzebuję. Nie przechodzą na wylot, ale mogę cię zapewnić, że w środku zostaje sieczka. Śmierć następuje w niecałe dwie sekundy. Zostaje tylko miazga otoczona skórą. A to robota profesjonalisty.

Madeline pokręciła głową.

– Jestem pewna, że na Szeffie zrobi to wrażenie. Wspomnę o tym w swoim raporcie. A teraz, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę już. Czeka na mnie kąpiel. Sam wiesz, jak to jest.

– No i masz – powiedział uśmiechając się. – Więc jednak bierzesz kąpiel po takiej robocie. Tak właśnie myślałem.

Madeline ruszyła w stronę parkingu. Nie odwracając się, rzuciła jeszcze w stronę Bullera.

– To nie przez tę robotę. Nic mnie ona nie obchodzi. Kąpiel wezmę po tej gadce z tobą. Dwie godziny moczenia powinny wystarczyć.

Wracając do hotelu Watergate, Simon wstąpił do księgarni Books'n'Tapes. – Czy macie coś o grze Go? – spytał młodego człowieka za kontuarem.

– Oczywiście. Mamy tutaj cały nowy dział. Czy chodzi panu o grę komputerową, czy też o tradycyjną?

– Jeszcze nie wiem. Słyszałem o niej od przyjaciółki. Zwykle gram w komputerowe szachy.

– Na pewno spodoba się panu Go. To gra bardziej logiczna niż szachy. Sam często w nią gram. Jeżeli jest pan w Sieci, chętnie ją panu zademonstruję. Kilka klubów ma swoje strony w Internecie. Najlepszymi graczami wciąż jeszcze są Japończycy, ale można zaczynać od różnych poziomów.

– Dziękuję. Może się tym zainteresuję. Ale najpierw trzeba przecież poznać zasady. Która książka jest najlepsza?

– Według mnie *Teoria i praktyka* Korschelta. Absolutna klasyka. Dość stara, jeszcze nie uwzględnia programów komputerowych. Ale sądzę, że to najlepsze wprowadzenie. Niektóre ze stron Go w sieci zawierają specjalne gry instruktażowe z tej właśnie książki.

– Brzmi nieźle. Ma pan ich adresy? Wyszukiwanie czegokolwiek w Internecie zabiera mi zbyt wiele czasu.

– Oczywiście. Zapiszę je panu na wewnętrznej stronie okładki. A jeszcze lepiej, dam panu numer mojego konta domowego i zostawię tam panu wszystko co trzeba. Tylko że mogę to przygotować dopiero później. Kończę pracę o ósmej.

Simon roześmiał się.

– Chyba tak długo mogę poczekać! Dziękuję panu bardzo.

Zapłacił za książkę i wyszedł ze sklepu z zamiarem złapania taksówki. Raz jeszcze uśmiechnął się na myśl o młodym ekspedientce. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Wspaniale jest tak się entuzjasmować swoją pracą.

I być tak młodym.

Już od dawna nie czuł takiego zapału do czegokolwiek. I na pewno od bardzo dawna nie czuł się młodo. Może Buddy miał rację. Może należało przejść do następnego etapu. Pewnie powinien coś zrobić, zanim zapomni jak to jest, gdy się czegoś bardzo pragnie. Chociaż wciąż jeszcze pragnął jednego. Drugiej osoby. Od zawsze. Postanowił o niej nie myśleć. Powinien poprzestać na tym, w czym był dobry. Klawiatury, cyfry,

marzenia. Z nimi mógł jakoś przetrwać. Zazwyczaj mu to wystarczało.

W chwili gdy Simon wychodził z księgarni, Buddy właśnie otwierał frontowe drzwi swego domu w Great Falls. Kopnięciem odsunął stos poczty za progiem. Pewnie same śmiecie albo rachunki. Rzucił płaszcz na podłogę w hallu i wszedł do dużego salonu. Wielkie okna wychodziły na zbyt wyrosnięty trawnik, za którym zaczynał się las. W ostatnim świetle dnia zauważył na drzewach czerwieniejące liście. Razem z Susan postanowili kupić ten dom głównie ze względu na widok. Nie miał ochoty teraz go podziwiać.

Wziął butelkę z małego stolika i wlał trochę alkoholu do szklanki. Wypił go w mgnieniu oka i napełnił szklankę raz jeszcze. Usiadł w fotelu stojącym naprzeciwko kominka, w którym wygasł ogień. *Zabrał* ze sobą butelkę ze stolika. Tak na wszelki wypadek.

Wyciągnął nogi w stronę białych popiołów i czekał na Kay.

Nie miał ochoty na spotkanie z Costą, ale raczej nie mógł się od tego wykręcić. Nic nie przychodziło mu do głowy. Nalał sobie kolejnego drinka. Tym razem trochę większego.

W tym samym mniej więcej czasie Simon wziął klucz i odebrał wiadomości z recepcji hotelowej, po czym ruszył na górę, do pokoju. Zatrzymał się w Watergate, ponieważ był to najdroższy hotel w Waszyngtonie.

– Przecież mam tam załatwiać wielkie transakcje – wyjaśniał w swoim biurze. – Nie mogę prosić ludzi, żeby spotykali się ze mną w hotelu Howarda Johnsona, prawda? Poza tym, wszyscy ludzie Buddy’ego Marlina zatrzymują się w Watergate. Nawet Kolumbijczycy. Głupio by było, gdybym teraz zmieniał rezerwację.

Dyrektor niechętnie się zgodził, ale Simon i tak uważał to za pewnego rodzaju zwycięstwo. Naprawdę jednak Buddy’ego nie obchodziło, w jakim hotelu spał jego partner, a Simon nigdy nie spotkał nikogo z jego ludzi.

Po wejściu do pokoju Simon wziął sobie piwo z lodówki, nalał je do szklanki i usiadł w wielkim fotelu naprzeciwko okna, z którego mógł obserwować spokojne wody rzeki Potomac. Zapadał zmierzch i w budynkach na drugim brzegu rzeki zapalały się światła. Simon wydał policzki i bezmyślnie gapił się w szkło. Buddy oczywiście miał rację. Pewnego dnia to zrobi. Plan. Oszustwo na wielką skalę. Marzenie. Wszystko jedno, jak to nazywał. Wiedział, że nie zrobi tego wyłącznie dla pieniędzy. Nie o to mu przecież chodziło. Chciał tylko zrobić to z kimś. Czekał na to. Buddy miałby z tego uciechę, chętnie wziąłby w tym udział, ale Simon tak naprawdę nie chciał tego robić z Buddym. Jak długo

zamierzał jeszcze czekać? Dopiero tego popołudnia dotarło do niego, że Buddy'emu też nie zależało tylko na pieniądzach. Nie bawiło go związane z ich projektem ryzyko, ważne było jedynie wciągnięcie do niego Kay. To tylko komplikowało sprawę. Bo to ona właśnie była osobą, na którą czekał Simon. Tak, czekał na Kay, przyznał to sam przed sobą. Uśmiechnął się smutno do swego odbicia w szybie. Idiota. Przecież wiedział, że nigdy do niczego między nimi nie dojdzie. Skoro dotąd nic się nie stało, już się nie stanie. Za daleko wybiegał myślami. Oparł głowę o fotel i powoli zaczął odpływać w sen.

Miał wrażenie, że stoi przy białych ławkach w Arlington. Widział Buddy'ego obok pomnika Kennedy'ego. Przyjaciel machał do niego dłonią. Za nim, w oddali, stała Kay z założonymi rękami. Kręciła głową. Chyba się nie uśmiechała.

Godzinę później ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos panny K.

– Cieszę się, że cię zastałam. Posłuchaj, chodzi o Buddy'ego. Nie może jechać dziś do Costy.

– Ale przecież wszystko podobno ustalili. Czy zmieniliście uzgodnioną godzinę?

– Nie, Buddy zmienił zasady.

– Jak to?

– Po prostu zupełnie z tego wypadł. Właśnie do mnie zadzwonił. Nie jest w stanie przekazać pieniędzy, ponieważ nie da rady utrzymać się na nogach, a tym bardziej prowadzić samochodu.

– Sądziłem, że jechałaś z nim jako ubezpieczenie. Nie możesz zrobić tego sama?

– W żadnym razie, Simon. Nie z Costą. Muszą być dwie osoby. W końcu chodzi o siedemdziesiąt patyków Wuja Sama. Do przekazania potrzeba dwójki. Nawet do tak prostej sprawy.

– Dlaczego dzwoniś akurat do mnie? Ja nie mogę jechać z tobą. Nie jestem z Departamentu. Nie jestem nawet Amerykaninem.

– To nie ma znaczenia. Jakoś damy sobie z tym radę. Nie mogę przecież powiedzieć nikomu w Departamencie, że Buddy nie pojedzie, ponieważ musiałabym im wyjaśnić dlaczego, a tego nie zrobię. I tak wiedzą, że lubi sobie popijać.

– To weź jakiegoś strażnika. Kogoś z ochrony albo z pralni.

– Nie mogę. Z tego samego powodu. Do Costy muszę iść z kimś, kogo znam. Z kimś, komu ufam. Proszę.

– Dobrze. Zrobię to, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Jakiś wymyślę. Czy mam przyjechać do ciebie teraz?

– Tak, już mamy godzinne opóźnienie. Musiałam wrócić do biura, żeby do ciebie zadzwonić.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś od Buddy'ego albo z samochodu?

– Musiałam użyć bezpiecznego telefonu.

– I jechałaś taki kawał do Departamentu tylko po to, żeby zadzwonić? Przecież tu chodzi tylko o przekazanie gotówki, Kay, a nie o jakąś tajemnicę państwową.

– To nie takie proste, Simon. Pojawiło się wiele komplikacji. Nie mamy czasu na omawianie ich teraz. Proszę, przyjedź tu jak najszybciej.

– Już jadę.

– Wejdz tylnym wejściem. Będę czekała na ciebie w lobby. Pojedziemy do Buddy'ego moim samochodem. Chcę, żeby oni myśleli, że wychodzimy razem. To wypadnie bardziej naturalnie.

– Kim są ci „oni”?

– Ludzie Costy. Będą jechać za nami aż do niego. Już czekają na mnie.

– Po co? Co się tam dzieje, Kay? Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Tak, Simon. Pewnie tak. Ale proszę, wyjeżdżaj już. I tak jest wystarczająco źle bez Buddy'ego. W dodatku mamy godzinę spóźnienia. Pospiesz się. – Koniec rozmowy. W słuchawce rozległ się sygnał.

Buddy mieszkał jakieś dziesięć kilometrów od Waszyngtonu w domku w Great Falls. Na długo zanim opuściła go żona, obiecywał jej, że kupi mały dom niedaleko rzeki i zamieszkają tam kiedy przejdą na emeryturę. Simon zawsze sądził, że Buddy nabył ten dom tuż przed rozstaniem z Susan, mając nadzieję, że to ją zatrzyma.

Sam usiadł za kierownicą wozu Kay. Jechali wzdłuż Leesburg, oddalając się od rzeki, potem skręcili w prawo. Przypomniał sobie, jak on i Ellen przyjechali tu zeszłego lata, żeby razem z Buddym i Susan obejrzeć ich nowy dom. Pierwsza i jedyna podróż Ellen do Waszyngtonu. Wszyscy czworo wiedzieli już wówczas, że Susan i Buddy nie spędzą starości we wspólnym domu, ale oboje udawali przed innymi. Mówili, że wszystko się ułoży. Że trudności można pokonać. Od tamtej pory minęło zaledwie pięć miesięcy, a Simon miał wrażenie, że było to już o wiele dawniej. Czas płynął wolno odtąd ognisko domowe wygasło.

Spojrzał w lusterko. Kay miała rację. Duży czarny wóz jechał jakieś sto metrów za nimi. Nagle Simon poczuł drażniący niepokój.

Kay przerwała jego zamyślenie.

– W tej okolicy dorastałam – powiedziała. – Tuż za rzeką, w Cabin

John Park. Mój ojciec był policjantem w Glen Echo.

– Okręg Fairfax? A ja myślałem, że pochodzisz raczej z Zachodniego Wybrzeża. No wiesz, dziewczyna z Kalifornii i w ogóle.

– Nie. Dopiero później tam trafiłam. Zdałam na Cal Tech w Kalifornii. Mało brakowało, a już bym stamtąd nie wróciła. Jakaś częśćka mnie wciąż jeszcze żałuje, że wyjechałam z Los Angeles. W życiu różnie się układa. Moja matka umarła i wróciłam, żeby być bliżej ojca. Potem on też umarł, ale ja jakoś straciłam swój kierunek w życiu i już zostałam. Wydaje mi się jednak, że już czas ruszyć z miejsca.

– To znaczy?

– No nie wiem, może to tylko ze mną jest coś nie tak – powiedziała cicho, patrząc w stronę, gdzie teren opadał coraz niżej ku ciemnej rzece. – Mam wrażenie, że Waszyngton i Departament pogrążone są w dziwnej szarości. Kilka lat temu, kiedy pracowałam dla ciebie i Buddy’ego, wszystko wydawało mi się takie, jak by to określić, takie bliskie, w zasięgu ręki. Ciągłe podróżowaliście w coraz to nowe miejsca, niemal co miesiąc opracowywaliście nowe projekty. Ty wracałeś do nas z nowymi pomysłami. To była zabawa. Naprawdę uwielbiałam tę pracę.

– A teraz?

– Mam wrażenie, że coś się zepsuło, czy słusznie? Kiedy wy dwaj byliście jeszcze żonaci, wszystko toczyło się inaczej. Przedtem nie tylko praca mnie interesowała. Lubiłam wysłuchiwać opowieści o waszych dzieciach. Pewnie dlatego, że obaj mówiliście o nich z takim entuzjazmem. Niemal zaraźliwym. Zawsze mieliście jakieś nowe zdjęcie albo nową historyjkę. Dziwiliście się chyba, że tak czekałam na te opowiadania o waszych maluchach, a nigdy nie postarałam się o własne.

– Raczej nie. Rodzice nigdy nie dziwią się, kiedy inni pytają ich o dzieci. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, jak ty do tego podchodziłaś. Po tamtym Pamiętnym Dniu. Trochę mnie wtedy poniosło – ciągnął dalej. – Myślę, że miałaś rację, odmawiając mi. Jeszcze zrobiłbym coś naprawdę głupiego.

– Ja ci nie odmówiłam, Simon. Wiesz, że wcale nie o to mi chodziło.

– No, ale na tym się skończyło, prawda? – Raz jeszcze spojrzął w lusterko.

– Przecież już mówiłam, że jest mi z tego powodu przykro.

– Ale wcale nie musisz się tak czuć.

Odwróciła głowę od niego i patrzyła przez boczną szybę.

– Dlaczego nazywasz to Pamiętnym Dniem? Co to znaczy?

– Pamiętny Dzień. Tylko tyle. Wtedy wszystko wydawało mi się na

miejsku, jak nigdy przedtem. Sama wiesz.

– I nie chciałaś tego zepsuć? Czy dlatego już nigdy potem nie próbowałaś się ze mną umówić?

– Pewnie tak. Choć to trochę bardziej skomplikowane. Uśmiechnęła się sama do siebie.

– I masz wrażenie, że to wszystko wydarzyło się dawno temu, tak?

– Tak. Nie mam racji?

– Niezupełnie. Ja mam wrażenie, jakby to było wczoraj.

Dojechali do domu Buddy'ego. Kay poprosiła, żeby Simon wjechał do otwartego garażu pod domem. Potem po schodach weszli do głównej części budynku. Oboje milczeli.

W salonie Buddy spał rozwalony na podłodze obok fotela. W dłoni wciąż jeszcze trzymał szklankę. Obok leżała przewrócona butelka. Przy jego głowie stał otwarty neseser z równo poukładanymi rzędami banknotów.

Kay nawet nie spojrzała na Buddy'ego. Przyklękła, zamknęła neseser i wstała.

– Idziemy? – spytała szybko.

– A co z Buddym? Nie możemy go tak zostawić. Myślisz, że z nim wszystko w porządku?

– Oczywiście. Ludzie nabierają wprawy w tym co robią przez cały czas. Nic mu nie będzie. Można powiedzieć, że pograżył się w swym ulubionym stanie, prawda? Chodźmy już.

– Wstydzisz się? Czy o to właśnie chodzi? Wstydzisz się za niego?

– Oczywiście, że się wstydzę, do cholery. Znam go. Nie jest przecież pierwszym lepszym pijusem. Jest moim szefem. Czy moglibyśmy już iść?

– Ruszyła do drzwi.

– Ale moim szefem nie jest. Uważam go za przyjaciela i nie mogę go tak zostawić.

Zatrzymała się i odwróciła w stronę Simona.

– Możesz, i zrobisz to. Jemu nic nie jest. *Na pewno*. Musimy ruszać.

– Trochę serca, Królowo Śniegu.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie znoszę tego – warknęła.

– Przynajmniej wiesz, jak na ciebie mówią.

– I tak to wiem. Posłuchaj, nie mamy czasu na to, żeby tu stać i kłócić się. Mamy to, po co przyszliśmy. Teraz musimy dostarczyć to do Costy. – Kay, nie oglądając się, wyszła z pokoju. Simon ruszył za nią.

Zaczęli rozmawiać dopiero gdy minęli Spring Hill i znaleźli się na długiej, prostej ulicy Leesburg, na zachód od Langley Forest. Simon

spojrzał w lusterko, upewniając się, czy ten sam czarny samochód jechał teraz za nimi z powrotem do Waszyngtonu.

– Mówił ci o wynikach badań lekarskich? – spytała Kay.

– Niewiele.

– Niestety, jest tego więcej niż „niewiele”.

– Co masz na myśli?

– To, że nie jest z nim dobrze. Wcale nie.

– Skąd to wiesz? Mam rozumieć, że włamałaś się do jego komputerowego rejestru medycznego?

– Nie. Jake mi powiedział.

– Chryste. Chodzi o jego wątrobę?

– Tak, ale to co innego, niż on myśli.

– Chryste – powtórzył Simon.

– Podobno nie jest to takie proste – dodała Kay. – Poza tym nie ma jeszcze pewności. Na pewno picie w niczym mu nie pomaga. Ani palenie. Facet nie daje sobie najmniejszej szansy.

– No i co? Sprawisz, że przestanie?

– Gdybym mogła, zrobiłabym to. Ty pewnie też. Ale czasem mam wrażenie, że on wcale nie chce przestać.

– Ależ chce – zaprzeczył Simon. – Każdy alkoholik pragnie, żeby ktoś otoczył go ramieniem i powstrzymał przed kolejnym drinkiem. Tylko dlatego piją. Żeby ktoś ich powstrzymał. Niestety, nigdy nie uda im się z tym zerwać, dopóki nie zrozumieją, że muszą to zrobić sami.

– On nie jest alkoholikiem. On tylko często pije. To nie to samo. Sam dobrze wiesz.

– Właśnie. Tak się składa, że wiem.

– Ty też kiedyś piłeś?

– Tak. Razem z Buddym. Piliśmy cholernie dużo. Zawsze po to, żeby się upić. Nigdy dla samego picia.

– Widzisz, ty przestałeś, a on nie.

– Tak. Zerwałem z tym mniej więcej rok temu. Na szczęście Buddy już nie pije tak dużo jak dawniej.

– Mylisz się – powiedziała w zamyśleniu. – Kiedy tu jesteś, trochę się powstrzymuje, ale gdy wyjeżdżasz, bywa koszmarnie. Narobił sobie wielu wrogów w Departamencie. Teraz nie może ich nawet posłać do stu diabłów i powiedzieć, że przecież robi swoje. Wszyscy chcą zająć jego miejsce. Zwłaszcza Bradley. To już coś więcej niż tylko kopanie pod kimś dołków. I cała ta sprawa – Kay wskazała na neseser, który trzymała na kolanach – na pewno mu nie pomoże. Jake nie może bez końca nadstawiać

za niego karku.

- Co zamierza z nim zrobić? Zwolni go czy co?
- Czy co.
- Co to ma znaczyć?

Dojeżdżali właśnie do starego mostu łańcuchowego. Skręcili wprawo, wzdłuż Palisades Park. Przez cały czas Simon zerkał w lusterko. Wciąż ciągnęli za sobą ogon.

– Nie wiem dokładnie – powiedziała w końcu Kay. – Niezbyt dobrze się na tym znam. Brakuje mi doświadczenia. Mam jednak złe przeczucie. Widziałam, w jaki sposób Bradley patrzy na Buddy’ego. Naprawdę ma go dość. Tak jakby miał ochotę powiedzieć mu „jeszcze raz i do widzenia”.

– Bradley nie ma tu nic do gadania. Decyzja należy do Jake’a.

– Tego nie wiemy na pewno.

– Przecież to Jake stoi na czele waszego działu, tak czy nie? Bradley jest tylko oficerem sztabowym. Tak jak ty.

– Dzięki za to „tylko”.

– Nie chciałem, żeby tak to wypadło.

– Wiem. Nie przejmuj się. Rzecz w tym, że Bradley zajmuje dobrą pozycję. Siedzi we wszystkich komisjach. Zna odpowiednich ludzi. Był w Kappa Alpha na Harvardzie.

– Kappa co?

– Kappa Alpha. To bractwo. W Anglii macie swoich masonów, a tu w Ameryce mają bractwa. Prawie wszyscy liczący się ludzie w Stanach należą do Kappa Alpha. Tak jak większość waszych speców od zagranicznych interesów jest w loży masońskiej. To prawie reguła w tej pracy.

– Czy ja mogę się jeszcze przyłączyć?

– Do Kappa tak. Do masonów, nie wiem.

– Miałem na myśli Kappa. Przecież nie wiesz, czy jestem masonem.

– Nie jesteś. Wiem.

– Nie wiesz.

– Wiem.

– Skąd? Roześmiała się.

– Wiesz stanowczo za dużo – stwierdził.

– Być może.

San Antonio da Costa zajmował apartament na ostatnim piętrze hotelu Ritz Carlton przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Niski wzrost nadrabiał wymyślnym strojem. Tego wieczoru jak zwykle miał na sobie kosztowny włoski blezer i spodnie z idealnie zaprasowanym kantem. Od wizerunku

waszyngtońskiego biznesmena, za którego Costa pragnął uchodzić, różniło go tylko kilka rzeczy – zbyt ciężki, złoty zegarek, za dużo sygnetów i buty z szarej krokodylej skóry. Simon powiedział kiedyś Buddy’emu, że Costa na pewno nie wie, jakie to uczucie nosić koszulę, która została wyprasowana wcześniej niż cztery godziny przed jej włożeniem.

Na obu zawsze robił wrażenie fakt, że Costa nigdy nie przybywał na spotkania sam. W odległości nie większej niż półtora metra wszędzie podążał za nim wysoki i ponury Raol. Poza tym, w pokoju zawsze znajdowało się jeszcze dwóch innych „kompanów”.

– Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, jeżeli nie chcesz, aby jeden z nich odstrzelił ci rękę – zażartował kiedyś Buddy.

Dzisiejszy wieczór w niczym nie różnił się od poprzednich spotkań. Dwaj towarzyszący mężczyźni zajęli swoje miejsca w odległym końcu dużego pokoju i bez słowa obserwowali wszystko wokół.

Kiedy Simon i Kay weszli, Costa siedział na kanapie przy małym stoliku o szklanym blacie. Gestem wskazał im miejsca naprzeciwko.

– Pani Nocta, spodziewałem się ujrzeć pana Marlina. Dlaczego nie przyszedł?

– Bardzo przepraszam w jego imieniu, panie da Costa. Z samego rana wyjeżdża na konferencję w Chicago i musi jeszcze złożyć w jej sprawie raport na zebraniu, dlatego poprosił doktora Northcotta, aby mi towarzyszył zamiast niego.

– „Raport na zebraniu”, „konferencja”, „pilny wyjazd do Chicago”. Pan Marlin prowadzi niezwykle intensywne życie, tak obce zwykłemu biznesmenowi, jakim jestem ja.– Odwrócił się do swego „cienia” i wydał krótkie polecenie:

– Raol, sprawdź poranne loty do Chicago.

Simon wpatrywał się w czubki swoich butów. Cholera.

Kay podała neseser gospodarzowi, który ostrożnie umieścił go na stoliku i otworzył. Widząc jego zawartość, zacisnął usta i spojrzał na przybyłych ze złością.

– Co to ma być? Nie tak się umawialiśmy. Teraz rozumiem, dlaczego sam nie przyszedł. To nie do przyjęcia. W żadnym razie.

– Panie da Costa – zaczęła Kay spokojnie. – Doskonale wiem, co pan i Buddy ustaliliście. Wiem, że obiecał zrobić wszystko co w jego mocy, aby zdobyć dla pana stare banknoty, ale przecież uprzedzał, że może się to okazać niewykonalne w tak krótkim czasie.

– Podkreślał, że na pewno to załatwi. Nie mogę przyjąć takich pieniędzy.

– Naprawdę nie widzę w tym problemu – ciągnęła Kay. – Banknoty pochodzą z anonimowego źródła. Zdobycie starych oznaczałoby konieczność skorzystania z innego źródła albo też wymiany tych pieniędzy przed dostarczeniem ich panu, a chcieliśmy zachować wszystko w jak największej tajemnicy. Costa zamaszycie machnął ręką.

– To już wasza sprawa. Wiem równie dobrze jak wy i pan Marlin, że nowe banknoty nie mają dla mnie wartości. Dolar jest wart najwyżej dwadzieścia centów. To zupełnie nie wchodzi w rachubę. Nie mogę ich przyjąć.

Głos Kay nadal brzmiał spokojnie.

– Panie da Costa, myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, iż ta transakcja jest wyjątkowa pod wieloma względami. Pan Marlin upoważnił mnie do przekazania panu tych banknotów w przekonaniu, że będą one panu w zupełności odpowiadały. Obecny tu ze mną doktor Northcott może moje słowa potwierdzić. Już wielokrotnie prowadził pan interesy z nim oraz z Buddym Marlinem. Dzisiejsza transakcja nie jest żadnym wyjątkiem.

Costa zwrócił się do Simona, rozkładając ręce w teatralnym geście.

– A zatem, Simon, co ty powiesz na taką śmieszoną sytuację? Czyja wyglądam jak głupiec, którego ta kobieta usiłuje ze mnie zrobić?

– Absolutnie nie, Santo. Wszystko jest w porządku. Kiedy zobaczyłem te banknoty, zdenerwowałem się tak samo jak Buddy. Możesz mi wierzyć. Wiesz, że spodziewaliśmy się starych, ponieważ o takie prosiłeś. Buddy zapewnił mnie jednak, że te pieniądze pochodzą z dobrego źródła. Sam wiele razy używałem banknotów pochodzących stamtąd. Owszem, to nowe banknoty, ale nie są one numerowane ani w żaden sposób oznakowane. Masz na to moje słowo oraz słowo Buddy'ego. Prosił mnie, żebym tutaj przyszedł właśnie po to, aby cię o tym zapewnić i uspokoić. Pani Nocta ma zupełną rację. Nie ma się czego obawiać.

– Twoje słowo, Simon, słowo Buddy'ego. To interesujące poręczenie w tak niepewnych czasach.

– Być może, Santo. Ale wiesz, że ja danego słowa nie łamię. Buddy też nie. Zbyt często razem pracowaliśmy, żeby taka rzecz mogła stać między nami.

Costa oparł się wygodniej o poręcz kanapy. Patrzył to na Simona, to na Kay.

Raol skończył rozmawiać przez telefon i wrócił do pokoju. Przez chwilę szeptał coś do ucha gospodarza.

Costa pokiwał głową.

– Bardzo dobrze. Wygląda na to, że pan Marlin rzeczywiście wybiera się jutro do Chicago. Jeżeli to, co mówicie o pieniądzach, jest także prawdziwe, przyjmę je, choć niechętnie. Bardzo niechętnie. Czasy, w których można było używać nowych banknotów, już dawno się skończyły. Po raz ostatni zgadzam, się na nie. Tym razem biorę je tylko dlatego, że ty tu jesteś, Simon. Czasem myślę, że w Waszyngtonie mogę ufać tylko tobie i sobie. No, ale my przecież nie jesteśmy Amerykanami. – Kwaśnym uśmiechem skwitował swój dowcip.

– Santo, nie istnieje żaden problem. Powiem Buddy’emu, że ci się to nie podobało, ale naprawdę nie miał on innego wyjścia. Za mało było czasu.

– Dobrze. – Costa podniósł się z kanapy. – Jeszcze tylko jedno, Simon. Przykro mi, że muszę ci o tym powiedzieć. W końcu Buddy Marlin jest naszym przyjacielem. Powinieneś na niego uważać. Stał się bardzo nieostrożny.

– Nieostrożny? – zdziwił się Simon.

– Tak. To chyba właściwe określenie. Ty i ja jesteśmy zupełnie inni. Robimy interesy w różnych miejscach, na wiele różnych sposobów. Buddy załatwia wszystko stąd, z Waszyngtonu. Świat się zmienia. Niegdyś potężny dolar traci już swą moc. Owszem, ciągle jeszcze używamy dolarów, ale to, co sprzedajemy, nie jest już amerykańskie. Wkrótce i dolar przestanie się liczyć. Wszystko jedno, stary czy nowy. Myślę, że wiesz o czym mówię. Właśnie w tym nowym świecie nasz przyjaciel staje się nieostrożny. Nie ma pojęcia, że teraz trzeba bardziej uważać. Powiedz mu, że jest mi przykro, ale już nie mogę ryzykować tak jak dawniej. Teraz przepraszam, mam jeszcze sporo do zrobienia, jeżeli chcę jakoś uratować tę transakcję. – Costa podniósł słuchawkę stojącego przed nim telefonu. Spotkanie uznał za zakończone.

Kiedy drzwi za gośćmi zamknęły się, Costa odłożył słuchawkę i wziął neseser. Zwrócił się do mężczyzny, który wcześniej sprawdzał dla niego lot do Chicago.

– Raol, polecisz z tym w nocy na Kajmany. Masz być w George Town London Provincial Bank jeszcze przed otwarciem biura, z samego rana. Znajduje się ono na najwyższym piętrze budynku Pan Pank. Zapytasz o Locktona. On ci da dziewięćdziesiąt centów za dolara w starych banknotach. Wrócisz lotem o dziesiątej. Oczywiście teraz nikt cię nie będzie sprawdzał. Jeżeli w drodze powrotnej zostaniesz zatrzymany, pytaj o głównego dowódcę służb celnych, oficera O’Marę. Zapłacisz mu pięćset dolarów, możesz je wziąć z nesesera. Mówię ci, stary przyjacielu, pluję na

tych żalosnych Amerykanów. Pluję na nich.

W windzie Kay spytała Simona, co Costa miał na myśli mówiąc o tym, że świat się zmienia i że Buddy jest nieostrożny.

– Już podczas naszego poprzedniego spotkania mówił o tym – odparł Simon. – Chyba wbił sobie do głowy, że możemy współpracować za pośrednictwem jego banku, zwłaszcza w sprawach takich jak ta. Kiedyś nazywaliśmy takie transakcje „pieniędzmi w walizce”, ponieważ nie dało się ich wytropić. Teraz ciągle jeszcze wierzy, że elektroniczny transfer może zniknąć bez śladu. Pewnie chce nadażyć za nowoczesnością, i tyle.

– To nierealne, Simon. Nawet Costa na pewno to wie. Zresztą, Departament nigdy by czegoś takiego nie zatwierdził. Być może da się sprawić, że pieniądze znikną, kiedy już trafią do systemu, ale gdzieś musi istnieć jakiś punkt zaczepienia. Wtedy można to sprawdzić.

– Przecież nie mówię, że Costa ma rację. Na pewno będzie chciał spróbować, a wolałby raczej, aby Buddy okazał się bardziej pojętny, a nie „nieostrożny”, jak sam go określił.

– To znaczy?

– To znaczy, że Costa wie równie dobrze jak ja, że Buddy nie posługuje się komputerem na tyle sprawnie, aby sprawić, że pieniądze znikną, zanim dotrą do niego.

– A ty potrafisz? Czy właśnie to Costa chciał powiedzieć?

– Jemu się tylko wydaje, że ja mógłbym to zrobić.

– Mógłbyś? – nie ustępowała Kay.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Simon, co ty, do diabła, knujesz? Jeżeli Costa myśli, że umiałbyś to zrobić, to skądś musi o tym wiedzieć. Co ty mu właściwie powiedziałeś?

– Nic. Praktycznie nic.

– Powiedz mi, co znaczy owo „praktycznie nic”?

– Nie.

– Tak.

– Nie. A zresztą. Costa, Buddy i ja jedliśmy razem kolację kilka dni temu. Na najwyższym piętrze Marriotta. Kupa jedzenia. Ostrygi i wszystko inne. Kiedy w końcu przynieśli nam rachunek, opiewał on na sumę trzykrotnie większą od tej, jakiej ja i Buddy spodziewaliśmy się. Chyba byłem wtedy trochę wstawiony, no i tak dla zabawy poprawiłem stan na moim koncie American Express.

– Co? W restauracji? Tam na miejscu?

– Tak, niestety. Costa uznał to za wspaniały dowcip.

– Nie wątpię. Jak ty to, do diabła, zrobiłeś?

– To naprawdę nie jest takie trudne. Wszedłem do systemu i zmieniłem kilka liczb, tylko tyle.

– Powiedz mi dokładnie, jak.

– Trzeba po prostu mieć dostęp do superkomputera Amexu w Nowym Jorku i stamtąd przeprowadzać zmiany. Robota dla uczeniaka.

– Dostęp do głównej maszyny banku w Nowym Jorku podczas kolacji w waszyngtońskiej restauracji? To wcale nie wygląda na takie proste. Co zrobiłeś? Po prostu włączyłeś laptopa i podłączyłeś się do sieci?

– Mniej więcej.

– W jaki sposób zdołałeś się dostać do ich systemu? Przecież to międzynarodowa korporacja, do cholery!

– Ten kawałek chyba najbardziej spodobał się naszemu partnerowi. Wystarczy tylko mieć kilka kodów dostępu.

– A te skąd, do diabła, wzięłeś?

– Hej? A to co? Przesłuchanie? Chyba muszę mieć przed tobą jakieś tajemnice, co?

– Och, Simon. Ty chyba w ogóle nie masz pojęcia, co zrobiłeś.

– Przecież to nic poważnego. Taka mała sztuczka. Już ci mówiłem, że byłem trochę wstawiony. W przeciwnym razie na pewno bym tak nie postąpił.

– I Buddy widział to wszystko?

– Przypuszczam, że tak. Ale wtedy już nie za bardzo kontaktował. Dryfował w przestrzeni, chyba rozumiesz. Nie sądzę, aby zarejestrował to dokładnie.

– A ja myślę, że tak właśnie się stało.

– Dlaczego?

– Dlatego. Tylko tyle.

Winda dotarła na poziom parkingu i drzwi otworzyły się z sykiem. Wyszli w mroczną przestrzeń i ruszyli w stronę samochodu. Kay spojrzała na Simona, zanim wsiadła do środka.

– A niech to, chyba mogę ci powiedzieć. Wcześniej czy później i tak się tego dowiesz. Jake Cohen sądzi, że Buddy podbiera co nieco ze wspólnego kotła.

– Daj spokój. To śmieszne. Przecież to była tylko zabawa przy kolacji. Unikanie kosztów. Połowa Waszyngtonu robi to w taki czy inny sposób.

– Może, ale nie wykorzystują do tego superkomputerów.

– No dobrze. Ale to przecież nie jest aż tak proste. Buddy nie potrafiłby tego zrobić nawet, gdybyś mu wytłumaczyła, jak. Przecież wiesz.

– Musiał zapamiętać dość, żeby spróbować samemu. Jake nie żartował.

Inni też nie. Właściwie to wszyscy skrecają się z wściekłości. Podobno ktoś włamał się do systemu i pożyczył sobie sporo kasy z centralnych funduszy. Nie znam szczegółów. Myślę, że to mógł być Buddy, ale jeszcze nie mają pewności.

Simon chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Skoro nie mają pewności, to chyba jeszcze nic się nie stało, zgadza się?

– Żartujesz. Jake zdecydował, że wszystko ma zostać dokładnie sprawdzone przez cały personel.

– „Cały personel”? Co to według ciebie znaczy?

– Chyba sam wiesz, co to znaczy. Przykro mi.

– Do diabła, Kay. Ty? Przecież on jest twoim szefem. To nie może być prawda. Przecież ciebie nie powinni w to mieszać.

– Wolałbyś, żeby zajął się tym kto inny? Bradley? A może Centrum Danych? Posłuchaj, Simon, musisz mi powiedzieć, co on takiego zrobił. Bo, bo...

– Bo?

– To strasznie zagmatwane. Przepraszam, że cię w to wciągam.

– Zagmatwane? To się teraz tak nazywa? „Sprzedałam szefa i przyjaciela, ale przecież tylko wypełniałam rozkazy”, czy tak to będziesz tłumaczyć?

Wsiedli do samochodu i Simon położył dłonie na kierownicy. Kiedy wyjeżdżali z parkingu na ulicę, odwrócił się do Kay.

– To cię przygnębia, mam rację?

– Masz na myśli Costę? Oczywiście, że mnie przygnębia.

– Nie bierz tego tak do siebie. Myśl o tym jak o czymś nieprawdziwym. Jak o jakiejś grze.

– Tylko że to nie jest gra. To nasza praca. Właśnie na tym ona polega. Gdyby ktokolwiek zapytał mnie co robię, musiałabym powiedzieć: „Pracuję z Costą, a kiedy nie mam do czynienia z samym Costą, pracuję z kimś, kto jest z nim związany”. To nie gra. To prawdziwe życie.

– A kto cię może o to zapytać?

– Nie wiem. Wszyscy.

– Ale chyba nie pytają, co?

– Nie, nie pytają. Ludzie nic nie wiedzą. – Mocno objęła się ramionami, tak jakby było jej zimno. Dopiero po dłuższej chwili rozluźniła uścisk. – Może to tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, ale wszystko wydaje mi się takie beznadziejne i fałszywe. Czy, zanim przyjechałeś do Waszyngtonu, pomyślałeś, że kiedykolwiek będziesz przewoził walizkę

pełną pieniędzy na narkotyki od faceta, który stracił nerwy, do faceta, który zawsze ma zimną krew?

Przez chwilę jechali w milczeniu. Simon sprawdził w lusterku. Nikt za nimi nie jechał.

– Nie – powiedział w końcu. – Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Żadne z nas nie mogło się tego spodziewać. Zwłaszcza nie Buddy. Jego dzisiejsza nieobecność tu jest chyba potwierdzeniem, że Costa i jego klika wreszcie go pokonali. Mimo to brnie dalej, a my musimy pomagać mu trochę bardziej niż zazwyczaj.

– Dlatego że pije?

– Tak, ale nie pomożemy mu ze względu na to picie. Pomożemy mu dlatego, że znaleźliśmy go przedtem.

Kay przycisnęła dłonie do szyi.

– On pije od zawsze.

– Ale sama mówiłaś, że nigdy nie pił tyle co teraz.

– Nie. Nie tyle.

– Przyjaciele pomagają mu, ponieważ go znają, a nie z poczucia obowiązku.

– Być może, ale dziś to my musieliśmy załatwić sprawę z tym obrzydliwym człowiekiem. Czy zrobiłabym to, gdybym miała jakiś wybór?

– W pewnym sensie mogłaś wybierać. Zdecydowałaś, że zaliczasz się do przyjaciół Buddy’ego. Potem zadzwoniłaś do mnie, a nie do kogoś innego. Mogłaś po prostu to zostawić. Zawiadomić wydział bezpieczeństwa. Sam już nie wiem, kogo jeszcze.

– Ale to nie byłby dobry wybór, tak?

– Dobry i właściwy to nie to samo, Kay.

– Od kiedy?

– Odkąd poznaliśmy Costę.

– To stawia go na bardzo ważnej pozycji. Głównej. Nie podoba mi się takie rozumowanie.

– On jest ważny. Zresztą, nie sprowadzaj wszystkiego do Costy. On działa w tym samym systemie co my. Wiń system, jeżeli musisz coś winić.

– To by było za proste. Gładkie słówka. Ja takich nie lubię, Simon.

– Dlaczego łatwiej byłoby ci winić system niż Costę? Według mnie jedno i drugie to prawie to samo. Dwie części tej samej rzeczy. Przecież „system” oznacza „ludzi”.

– Chyba tak – przyznała. – To również nasza wina. Przecież w grę wchodziły prawdziwe pieniądze. Pozwoliliśmy, aby Costa je wziął. Założę

się, że obrał sobie Buddy'ego za cel już dawno temu. Skupił się na najśłabszym elemencie.

– I sądzisz, że my też jesteśmy słabi, ponieważ zgodziliśmy się na wszystko?

– Tak. Tak właśnie myślę. I czuję się z tego powodu winna. To były prawdziwe pieniądze. Za nie kupią prawdziwe narkotyki. I to wszystko w kraju, w którym żyję. I co ja mogę zrobić?

– Tak jak już powiedziałem, musisz się z tego otrząsnąć. Nie pozwól, żeby aż tak cię to gnębiło. Zresztą wątpię, aby te pieniądze miały pójść na narkotyki. Myślałem, że Costa zabiera je do Puerto Rico, żeby załatwić jakieś chemikalia.

Kay zamknęła oczy.

– Może w końcu i tam trafią, ale najpierw Costa pomnoży je wielokrotnie tu, w Waszyngtonie. Przecież musiałeś o tym wiedzieć.

– Może. Posłuchaj, Kay, nie mam żadnych cudownych odpowiedzi na twoje pytania. Nienawidzę tego tak samo jak ty. Nie jestem od ciebie starszy. Ani mądrzejszy. Nie muszę wiedzieć wszystkiego. Jest beznadziejnie, ale musimy zacisnąć zęby i zrobić to, co do nas należy.

Znowu jechali przez jakiś czas w milczeniu. Ruch na ulicach stawał się coraz większy. Ludzie ściągali do miasta. Do teatrów, restauracji. Na spotkania z przyjaciółmi.

Kay westchnęła.

– Pewnie masz rację. Ale i tak chciałabym wiedzieć, w jakim momencie popełniłam błąd.

– Tak, dobrze by było, gdyby ktoś mógł nam to wyjaśnić. Nie sądzę jednak, aby chodziło tu o jakiś jeden moment. Przytrafiło nam się to stopniowo. Musisz nauczyć się zapominać. Znaleźć coś poza systemem. Coś, na czym będziesz mogła się skupić. Tak postępuje większość. Chyba właśnie po to są rodziny.

– I dzieci też?

– Niekoniecznie.

– A według mnie to prawda. Dzieci są najwspanialszą ucieczką. Gdy są jeszcze małe, kocha się je za to, jakimi są. Ale kiedy dorastają, na pewno czasem noszą w sobie marzenia swych rodziców. Marzenia dzieci wydają się bardziej realne.

– Dość wnikliwa obserwacja, zwłaszcza u kogoś, kto sam nigdy nie miał dzieci.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Oczywiście nie wiem nic o żadnych konkretnych dzieciach. Mówiłam o dzieciach w ogóle. Jeżeli zna się

marzenia, zna się również dzieci.

– Dlaczego więc nigdy ich nie miałaś?

– To skomplikowane. Zresztą, może trochę fantazjuję. Zawsze chciałam mieć dzieci. Nadal tego chcę. Kobieta, która twierdzi, że nigdy ich nie pragnęła, oszukuje sama siebie. W zasadzie to takie proste.

– Generalizujesz.

– Nie. Myślę, że kobiety, które postanawiają nie mieć dzieci, przeżywają szok, kiedy ten wszystkim znany zegar zaczyna tykać trochę głośniejsze.

– Czy to dotyczy także ciebie?

– Częściowo. Tylko że ja jeszcze nie jestem stara. Etap paniki jeszcze przede mną.

Simon zaśmiał się.

– Tak. Masz na to mnóstwo czasu. Choć przyznam, że nie wyglądasz mi na osobę, która łatwo wpada w popłoch. Poza tym, co z ludźmi, którzy nie mogą mieć dzieci? Albo z tymi, którzy ciągle odkładali to, aż w końcu zrobiło się za późno? Przecież takie rzeczy też się zdarzają.

Stanęli na światłach. Kay bezmyślnie patrzyła na ludzi przechodzących przez jezdnię przed nimi.

– Wtedy mogą przecież zachować swoje marzenia – powiedziała. – To nie ci, którzy nie mają dzieci, są smutni. Smutek ogarnia ludzi pozbawionych marzeń.

– Ładnie powiedziane.

– Dziękuję. Kiedyś miałam wiele marzeń, wiesz. Chyba dlatego dzieci nie wydawały mi się aż takie ważne. Ale teraz, po spotkaniu z Costą, przyznam, że moim światem marzeń zatrzęsło. Potwornie zatrzęsło. Pewnie dlatego tak się rozgadałam o dzieciach. Przepraszam.

– Nie musisz. To jak, nie zostało ci już żadne marzenie?

– Zostało kilka. A tobie?

– O tak.

Oddalali się teraz od centrum. Drogi, którymi jechali, były prawie puste. Dojeżdżali już do bloku przy Columbia Heights, gdzie mieszkała Kay.

– O czym marzy Buddy? – spytała.

– Nie wiem. Przypuszczam, że akurat teraz wypłukał się z marzeń. Simon zatrzymał wóz niedaleko od głównego wejścia do budynku. Wyłączył silnik.

– O co chodziło z tym lotem do Chicago? Już myślałem, że Costa nas ma. Buddy o niczym mi dziś nie wspominał.

– Dowiedzieliśmy się o tym dopiero po twoim wyjściu. To tylko jakaś konferencja, na którą Jake go wysłał. Zawsze jest takie czy inne spotkanie, na którym Buddy powinien być obecny, ale zwykle nie jeździ nigdzie, dopóki Jake mu nie każe.

– Wygląda na to, że Jake chce się pozbyć Buddy'ego z Waszyngtonu na jakiś czas.

– Coś w tym rodzaju.

– To daje ci szansę na pogrzebanie w jego biurku, prawda?

– Przestań, Simon. Nie chcę tego robić. Wiesz przecież.

– W każdym razie Buddy nie będzie mógł jechać. Nie z samego rana. Widziałaś, w jakim stanie go zostawiliśmy.

– No to polecisz późniejszym rejsiem. Mogę zmienić rezerwację – zirytowała się.

– Czy nie sądzisz, że ten nagły wyjazd do Chicago mógłby mu się wydać podejrzany? To trochę za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności. Od razu po tej wpadce z pieniędzmi?

– Raczej nie. I tak spodziewał się, że Jake coś wymyśli, żeby mu dopiec. Buddy nienawidzi jeździć na jakiegokolwiek zebrania. To dopiero początek.

– Za mało wiarygodne. To nie w stylu Jake'a. Nawet Buddy się zorientuje.

– Posłuchaj, ja nic nie wiem. Jake po prostu chce wysłać go z Waszyngtonu. Kropka. Zresztą to i tak nie ma nic wspólnego z tobą. Sprawa Departamentu.

– Znowu „Departament”. Dzięki. Nie macie nic przeciwko temu, żebym nosił gotówkę w imieniu Buddy'ego, ale zapytać o to, co się stanie jutro, już nie mogę. Serdeczne dzięki, Kay. A przecież to ty jesteś jego prawą ręką. Ty możesz wszystko wiedzieć. Możesz też wylewać na mnie swoje żale, kiedy przyjdzie ci na to ochota.

– Wiesz, że to nie tak, Simon. To naprawdę sprawa Departamentu. Wewnętrzna. Ciebie ona zupełnie nie dotyczy. Byłoby łatwiej i tobie, i mnie, gdybyś trzymał się z dala.

– Hej, chwila. Najpierw rozmawiamy o Departamencie, a potem, nagle, o tobie i o mnie? Chyba coś przegapiłem. Gdzie tu związek?

Chwilę czekała z odpowiedzią.

– Przykro mi. Nie chciałam ci nic wymawiać. To dlatego, że nagle zaczęło się tyle dziać. Nie wiem wszystkiego, wiem tylko, że w Waszyngtonie nic już nie jest takie, jakim się wydaje. Wszystko opiera się na tajnych planach i intrygach. Nawet coś tak zwykłego jak wyjazd

Buddy'ego do Chicago może nie być tak proste, na jakie wygląda.

– Czy należy spodziewać się jakiejś katastrofy, o której mi nie powiedziałaś?

– W pewnym sensie. – Na przedniej szybie zakreśliła palcem dwa ząbujące się koła. – To ty i ja. Ta część – wskazała na wspólny element – jest nam znana. Reszta jest jednak niewiadoma. Nie wiemy o sobie bardzo wielu rzeczy.

Simon był przekonany, że gdzieś już widział taki rysunek. Może w jakimś czasopiśmie.

– I co? Chodzi ci o złe strony? – spytał.

– To możliwe.

– Posłuchaj, ja nie potrzebuję przeszkód. A już na pewno nie z twojej strony.

– Co uważasz za „przeszkody”?

– Ostrzeżenie przed rzeczami, które mogą się zdarzyć, tak że później możesz stwierdzić: „A nie mówiłam”.

– Ale kiedy ja właśnie próbuję cię ostrzec.

– Kogo w ten sposób chronisz? Mnie czy siebie?

– Nas oboje – odpowiedziała szybko.

Za szybko – pomyślał Simon. – Nawet się nad tym nie zastanowiła. Może wcześniej przygotowała sobie odpowiedź.

– Jest wiele różnych rzeczy, które zwrócone są przeciwko nam, Simon. Przykro mi, ale muszę je zaakceptować.

– Aha, „przeciwności”. Wiesz, czasem naprawdę liczyłem wszystkie przeszkody stojące nam na drodze. Przytłaczające. Ale potem przypominałem sobie, co czułem, gdy ciebie widziałem. Traciłem rachubę i musiałem zacząć liczenie od początku.

Nie odpowiedziała. Oboje siedzieli, patrząc na drogę przed nimi.

W końcu Simon delikatnie wziął ją za rękę. Nie opierała się. Najpierw ich palce splotły się, potem wyprostowane przylgnęły jedno do drugich, by po chwili znowu się spleść. Światła na skrzyżowaniu sto metrów od nich zmieniły się na zielone, a potem z powrotem na czerwone.

– Chodź do mnie na kawę – powiedziała Kay. – Chcę ci coś pokazać.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Mam świetną kawę. Costa przywozi ją Buddy'emu. Może i jest obrzydliwym człowiekiem, ale jego kawa jest wspaniała. A wczoraj kupiłam specjalny dzbanek, żeby mieć ją w czym zaparzyć. Taki z filtrem.

– Mówią na to „kafetiera”.

– No właśnie. Uśmiechnął się do niej.

– No dobrze, ale najpierw musimy uwolnić swoje dłonie. Mieszkanie Kay znajdowało się na najwyższym piętrze bloku. Było o wiele większe i bardziej luksusowe, niż Simon mógł sobie wyobrazić. Wyłożone grubymi dywanami i bardzo ciche. Zajmowało róg budynku, a widok z wielkich okien roztaczał się na południową i wschodnią część miasta. Na południu wyraźnie widział oświetlone pomniki w centrum Waszyngtonu. Na wschodzie wzrok przyciągała wijąca się autostrada Michigan, okalająca jezioro McMillan i znikająca wśród drzew.

– Wspaniały widok, Kay. Fantastyczny. Całe to miejsce jest wspaniałe. Po prostu zdumiewające. Nie miałem pojęcia, że tak mieszkasz – powiedział, podchodząc do jednego ze wschodnich okien.

– Wiem, miałam niesamowite szczęście. Mam chyba najwspanialsze widoki w Waszyngtonie. Prawdę mówiąc to dlatego postanowiłam wziąć to mieszkanie.

– Jest olbrzymie. Pewnie zapłaciłaś za nie fortunę.

– Zastanawiasz się, jak mogłam sobie na nie pozwolić.

– Ja tego nie powiedziałem.

– Nie pierwszy.

– Jak to nie pierwszy? – zdziwił się.

– Aha. – Uśmiechnęła się. – Tu cię mam.

Weszła do otwartej kuchni i zaczęła przygotowywać kawę.

– Naprawdę nie ma o czym mówić. To zależy, na co wydaje się pieniądze. Większość ludzi woli drogie wycieczki i rodziny. Ja mam okna.

– Może masz rację – powiedział Simon. Odwrócił się i ruszył ku tym, które wychodziły na południe. – Ale nie wydaje mi się, aby ludzie rzeczywiście wybierali rodziny i wakacje. Po prostu podążają za tymi, z którymi dzielą życie.

– Dzięki.

– Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chciałem przez to powiedzieć, że drogie rzeczy jakoś same przychodzą, niezależnie od naszej woli. Kiedy się coś zaczyna, nie wie się, dokąd nas to zaprowadzi.

– W takim razie ludzie powinni więcej myśleć, zanim się na coś zdecydują.

– Ale kto tak robi?

– Ja tak robiłam?

– I zawsze ci się udawało?

– Wciąż jeszcze mam moje okna. Ty się rozwiodłeś.

– Teraz ja powinienem powiedzieć: „Dzięki”.

– A ja: „Przepraszam”.

– Dwa razy „przepraszam” w ciągu dwóch minut. Niezły początek, Kay.

– Przecież my nie zaczynamy, Simon. Znamy się już od sześciu lat. Podeszła do niego i stanęła obok. Zapatrzyła się na światła miasta.

– To miejsce stąd wygląda pięknie – powiedziała. – Z takiej wysokości nie widać, jaka tam jest gmatwanina.

– Po prostu Waszyngton taki jak zawsze. Nic innego. – Ujął jej dłoń w swoją i zapytał – Czego ty tak naprawdę chcesz od tego miasta?

Od strony kuchni usłyszeli dźwięk przypominający stuknięcie. Elektryczny czajnik automatycznie wyłączył się.

– Woda się zagotowała – powiedział. – Czas na kawę.

– Ja nie chcę kawy, Simon.

– Czego więc chcesz?

– Chcę się stąd wydostać.

– I?

– I.

Odwróciła się i podeszła do niskiego stolika, z którego wzięła miedzianą kulę, pustą w środku. Miała wielkość pomarańczy. W jej szczycie widniał otwór, wokół którego wycięto kształty gwiazdek. Podąła mu ją.

– Właśnie to chciałam ci pokazać. To pierwsza rzecz, jaką kupiłam do tego mieszkania. Tego samego dnia, kiedy się wprowadziłam. Chciałam ci to dać. Może być twoim talizmanem.

– Talizmanem?

– Tak. Czymś, co cię ochroni.

Wziął miedziany przedmiot do ręki i przyjrzał mu się uważnie. W środku stała mała świeczka.

– Nie używałaś tego – zauważył.

– Nie. Pewnie dlatego, że uważałam ją za symbol.

– To znaczy?

– Spójrz na nią. Nie jest zapalona. Nigdy jej nie użyto. Nie spełniono jej przeznaczenia.

– Porównujesz to do nas? Chodzi ci o nasz Pamiętny Dzień?

– Trochę tak.

– Dziękuję, ale dlaczego sądzisz, że będę potrzebował talizmanu?

– Mam takie przeczucie. Zresztą, to tak, na wszelki wypadek. Ma przynieść ci szczęście. Kupiłam ją jeszcze w czasach, gdy wszystko wydawało mi się możliwe. To twoja świeczka dobrych początków. Nic złego nie może jej się stać. Pilnuj jej. Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie martw się. Będę jej pilnował. – Podniósł jej dłoń i delikatnie pocałował jej palce. – Dziękuję ci.

Część druga

Cambridge, Anglia

O dziesiątej rano następnego dnia Simon jechał taksówką na lotnisko. Wyjął laptopa i wrzucił kartę modemu podłączając się do miejscowej centrali telefonicznej. Stąd dostał się na linie międzynarodowe. Wybrał kierunkowy numer Londynu i zdobył dostęp do konta United Machines na lotnisku Heathrow. Anulował swoją rezerwację na lot British Airways w klasie turystycznej przez Dublin i zmienił rezerwację na miejsce w pierwszej klasie nieco wcześniej odlatującego samolotu linii Virgin. Przynajmniej nie musiał się przesiadać, ponieważ lot był bezpośredni. Uznał, że po tylu latach pracy w firmie przynajmniej tyle mu się należało. Takie wygody mogli mu zapewnić. Potem Simon dostał się do firmowego konta dolarowego w Nowym Jorku i wprowadził odpowiednie poprawki, tak aby jego transakcje nie pojawiły się w miesięcznym rejestrze. Czy kilka dolarów tu i kilka tam miało w ogóle jakieś znaczenie?

Niecałą godzinę później siedział wygodnie na górnym pokładzie Boeinga 747 i popijał gin. Kostki lodu w szklance zadzwoniły cicho, gdy samolot osiągnął wysokość rej sową i wyrównał lot. Przez okno widział białe chmury oświetlone blaskiem słońca. Odległy horyzont miał głęboką, niebieską barwę. Najwspanialsza część każdej podróży. Skończył drinka i wyciągnął rękę z pustą szklanką w stronę przejścia, aby zauważył ją ktoś z personelu. Dlaczego nie? pomyślał. I tak nie miał już tego dnia nic do roboty.

Gdy podano obiad, poprosił o telefon i zadzwonił na domowy numer Buddy'ego. Dzwonek dzwijał dobre pięć minut, zanim jego partner podniósł słuchawkę.

– Dlaczego jeszcze nie jesteś w Chicago? – spytał Simon.

– Odwal się. Lecę o szóstej. A przy okazji, dzięki za wczoraj.

– Nie mnie powinieneś dziękować, tylko Pannie Długonogiej.

– Warn obojgu. Czy wszystko poszło dobrze? Simon wiedział, że nie rozmawiali na bezpiecznej linii.

– Uszy, Buddy. Uszy. Owszem, nasz stary przyjaciel wyglądał na zadowolonego. Zaskoczył go tylko idealny stan towaru. Spodziewał się raczej czegoś z drugiej ręki.

– Wiem, ale ilość się zgadzała, tak? Nie sprawdzałem.

– Na pewno. Mieliśmy więcej niż trzeba. Prawdę mówiąc, ja i moja towarzyszka uznaliśmy, że należy nam się odrobina za wyświadczoną przysługę.

– Chryste! Chyba nic nie wzięliście?

– Nie, ale miałbyś za swoje, gdyby tak było. Sprawileś jej sporo kłopotów.

– Wiem. Na szczęście ona jest w porządku. Ciagle ci to powtarzam. A tak w ogóle, dlaczego jeszcze tutaj siedzisz?

– Nie siedzę, właśnie jestem w drodze do domu. Wrócę mniej więcej za tydzień, tak jak ustalaliśmy. Tymczasem baw się dobrze w Chicago.

– Nie ma szans. Potwornie się czuję.

– Trzymaj się.

Simon przerwał połączenie. Przez chwilę przyglądał się słuchawce. I uważaj na siebie, przyjacielu. Uważaj na siebie.

Postanowił jeszcze zadzwonić do Kay. Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Cześć, Simon. Chyba zdążyłeś na samolot?

– Tak. A jak tam na ziemi? Wszystko w porządku?

– Tak jakby. Nie mogę wyciągnąć naszego przyjaciela z domu.

– Nie martw się. Przed chwilą z nim rozmawiałem. Twierdził, że może jechać o szóstej.

– To dobrze. Obawiam się, że nasz drugi przyjaciel nie opuścił jeszcze Waszyngtonu.

– Nie ma się czym przejmować. Po prostu wysłał towar. Tylko to się liczy. Zresztą, on nigdy nie jeździ z bagażem. Po to właśnie zatrudnia tego muła.

– Trochę tego dużo. Musi bardzo ufać swemu mułowi.

– Wcale nie musi. On jest jego właścicielem. Trzyma w garści i muła, i jego matkę.

– Pewnie wiesz, skoro tak mówisz. A tak przy okazji, dostałam e-mail od Harveya z księgarni. Twierdził, że chcesz dowiedzieć się czegoś o Go.

– Skąd on, do diabła, wiedział, że cię znam?

– Przecież jesteśmy w Sieci, Simon.

– Jak to? Ty i ja?

– No niezupełnie. Podobno prosiłeś go o kilka adresów. Odszukał cię w spisie, którego namiary wziął z twojej karty kredytowej, i wysłał ci listę, o którą prosiłeś, na wypadek gdybyś ty nie mógł trafić do niego. A jak już wszedł do twojej skrzynki, to zobaczył kilka wiadomości ode mnie. Znamy się, bo gramy w tej samej lidze Go. Wystarczyło, że dodał dwa do dwóch.

– Jak on mógł, do cholery, sprawdzić moją pocztę? Przecież mam zastrzeżone konto.

– Owszem, ale dla chcącego nic trudnego. Jak ci na czymś zależy,

dostaniesz się wszędzie. Sam pewnie byś powiedział, że połowa Waszyngtonu się w to bawi. Niezwykłe, że akurat ty się temu dziwisz. To, że chłopak pracuje w księgarni, nie musi wcale oznaczać, że jest matolem.

– No dobra. Nieważne. Co to za wiadomości od ciebie? Przecież widzieliśmy się wczoraj. Może postanowiłaś mi coś wyznać?

– Za dużo byś chciał – roześmiała się. – To tylko zwykła prośba o spis transakcji United Machines z zeszłego miesiąca. Jeszcze mi go nie wysłałeś.

– Zrobię to jutro z samego rana, jak tylko trafię do biura. Załatwiłbym to teraz, ale wątpię czy Aeroflot ma cyfrowe połączenia.

– Sądziłam, że przesiadłeś się na rejs Virgin?

– Wścibska małpa! Usłyszał jej śmiech.

– No to uważaj na siebie, doświadczony podróżniku. Zadzwoń do ciebie do biura jutro. Cześć.

Oddał telefon stewardesie i poprosił o jeszcze jeden duży gin. Oparł głowę o fotel. Buddy miał rację, Kay była w porządku.

Kiedy Simon starał się wygodniej usadowić w lotniczym fotelu, Maddie Booker siedziała naprzeciwko generała Warkowskiego przy długim stole i czytała przygotowane dla niej akta.

Jasne włosy związała z tyłu. Makijaż miała prawie niewidoczny. Tylko tyle, żeby ukryć drobne zmarszczki w kącikach oczu i ust. Drobnymi, wypielegnowanymi dłońmi wygładzała czytane strony. Kiedy skończyła, spojrzała na generała zaskoczona.

– Simon Northcott? Jest pan tego pewien, sir?

– Oczywiście, że jestem pewien. Dlatego chcę, żeby ktoś go sprawdził. To pani zadanie.

– Ale on pracuje z moim bratem. Czy Buddy nie mógłby sprawdzić, co on zamierza?

Warkowski oparł się o krzesło i założył ręce za głowę.

– Pomówmy więc o pani bracie. Jak często się widujecie?

– Ostatnio bardzo rzadko. Nie jesteśmy sobie zbyt bliscy.

– A to dlaczego?

– Myślę, że on nie pochwała tego, co robię, sir.

– To znaczy, że on wie, czym pani się zajmuje.

– Niezupełnie. Wie, że czasem współpracuję z pułkownikiem Rolandsem. Tylko tyle. Przypuszczam, że wie również, iż Rolands zajmuje się inwigilacją tajnych danych. Może sądzi, że to nie jest odpowiednia praca dla kobiety. Mój brat zawsze miał konserwatywne poglądy na to, jakie miejsce powinna zajmować ta druga płeć.

- A jakie jest pani zdanie, pani major? Czy równie konserwatywne?
- Sir, pracuję w tajnych służbach już od dziesięciu lat. Wiem, że nie każdemu taka praca odpowiada, ale ja ją lubię.
- Jest pani w niej dobra.
- Mam taką nadzieję. Zawsze byłam dumna z tego, co robię.
- Podoba mi się taka postawa. Żołnierz powinien być dumny ze swej pracy.
- Tak jest, sir.

Warkowski wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż stołu. Po minucie zatrzymał się i zwrócił do Maddie.

– Czy pamięta pani, co mówiłem, gdy zaczynała pani tu pracować? O zaangażowaniu?

– Tak jest, sir. Mówił pan, że gdybym kiedykolwiek czuła jakiegokolwiek osobiste zaangażowanie wobec obiektu śledztwa, powinnam pana o tym powiadomić i odstąpić od sprawy. – Pochyliła się nieznacznie i oparła łokcie o blat. – Ale jak dotąd nigdy się to nie zdarzyło, sir.

– A tym razem? Czy fakt, że ten Northcott jest przyjacielem pani brata nie utrudni pani działania?

Maddie odpowiedziała bez wahania:

– Nie, sir. Nie mam do tej sprawy emocjonalnego stosunku. Sądziłam tylko, że mój brat mógłby wyjaśnić od razu to, czego zbadanie zajmie mi kilka dni.

– A gdybym powiedział, że pani brat może być w to zamieszany? Co wtedy?

Maddie usiadła wygodniej i uśmiechnęła się.

– Musiałabym stwierdzić, że pańskie informacje pochodzą z mało wiarygodnego źródła, sir. Pułkownik Marlin i ja nie jesteśmy może bardzo sobie bliscy, ale znam go na tyle dobrze, żeby móc powiedzieć, iż takie rzeczy znacznie go przerastają. – Wskazała na teczkę z aktami.

Warkowski usiadł.

– Dobrze. Właśnie taką odpowiedź chciałem usłyszeć. Ja również jestem tego samego zdania. – Choć starał się, aby jego głos brzmiał pewnie, dało się w nim wyczuć wahanie.

Booker nieznacznie pochyliła się do przodu.

– Jestem pewna, że sobie z tym poradzę, sir. Chcę dostać tę sprawę.

– Wspaniale. Ale co z tym drugim przyjacielem Northcotta, Lessingiem? Tym z uniwersytetu?

Przerzuciła kilka stron szukając właściwego fragmentu.

– Z tego nic nie da się wyciągnąć. Muszę mieć więcej. Czy to wszystko

co o nim wiemy?

– Powinno być tego więcej. Lessing jest brytyjskim akademikiem, więc na pewno ma u nas osobne akta. Już kazałem Bradleyowi sprawdzić je i przekazać pani uaktualnienie.

– Czy mogłabym zrobić to sama, sir? Może znajdę coś, co Bradley mógł przeoczyć?

– Nie. Teraz musi pani jechać do Anglii. Proszę posłuchać, może pani nie lubić Bradleya, ale według mnie, jest on bardzo dokładny. Akta Northcotta przygotował świetnie, więc może to samo zrobić z Lessingiem.

– Być może, sir, ale skąd taki nagły pośpiech? To zajęłoby mi najwyżej dzień.

– Niestety, nie możemy sobie pozwolić nawet na jeden dzień zwłoki, pani major. Decyzja należy do mnie, a nie do pani.

Maddie spojrzała na akta.

Warkowski wstał i znowu zaczął przemierzać pokój.

– Pani zadaniem jest zbliżenie się do Northcotta i sprawdzenie, czy jest on zamieszany w sterowanie danymi. Rolands uważa, że tak, ale pani musi się upewnić. Potem ja przejmę sprawę. Natomiast co do Lessinga, przypuszczam, że jeżeli Northcott nie jest człowiekiem, którego szukamy, to musi nim być Lessing. A może obaj w tym siedzą. Dwa końce tego samego kija. Wszystko jest możliwe. Decyzję w każdym wypadku proszę pozostawić mnie. Swoje zadanie pani zna. Sprawa jest pilna, ponieważ za taką uważa ją Rolands. Dla mnie to wystarczający powód, więc dla pani także. Mam najlepszy zespół i ufam wszystkim jego członkom.

– Co się zaś tyczy pani brata, pułkownika Marlina – ciągnął generał – to zgłosił podejrzenie, iż nasze akta w Waszyngtonie infiltrowane są przez kogoś z Cambridge w Anglii. Marlin powiadomił o tym kierownika swojej sekcji. Mamy powody przypuszczać, opierając się na innych źródłach, że problem może się okazać o wiele poważniejszy, niż pułkownik Marlin i generał Cohen uważają. Musimy zidentyfikować tego włamywacza jak najszybciej, zanim dojdzie do poważniejszego naruszenia akt.

Booker chciała wiedzieć, jakie były owe „inne źródła”, ale Warkowski powiedział tylko „federalne” i dodał:

– Nie musi pani wiedzieć, o jaki departament chodzi. Najważniejsze, aby natychmiast rozpocząć działania. – Generał obdarzył ją jednym ze swych lodowatych spojrzeń. – To jest priorytetowa akcja. Zadanie według mnie nie jest za bardzo skomplikowane, ale jeżeli wszystko pójdzie po naszej myśli, na pewno na górze zauważą pani wkład i poświęcenie. Być może będziemy nawet rozmawiali o awansie.

Awans? Czemu nie? Już dawno na niego zasłużyła.

– Tak jest, sir.

Warkowski wycelował w nią palcem.

– Tu nie chodzi o wykrycie jakiejś handlarskiej meliny, pani major. Ktoś próbuje obrobić Stany Zjednoczone na wielką sumę. Moje zadanie polega na powstrzymaniu go, a pani postąpi zgodnie z moim poleceniem. Rolands wspominał mi, że jakaś osoba korzysta z superkomputera naszego departamentu niczym z kanału umożliwiającego dostęp do innych instytucji. Nie obchodzi mnie to, że bank federalny nie potrafi upilnować swoich pieniędzy, ale nie mogę pozwolić, aby do tego celu używali moich maszyn. Gra o pieniądze to jedno, gra o Amerykę, to zupełnie co innego. – Generał uśmiechnął się do Maddie i wskazał drzwi. – Teraz może pani odejść.

Pięć minut później Booker siedziała w biurze Bradleya przeglądając akta Lessinga. Pokój wydawał się jej pusty i pozbawiony charakteru. Na jednej ze ścian wisiał oprawiony w ramki list pochwalny, a na biurku stała fotografia mizernie wyglądającej kobiety. Może to pani Bradley? – pomyślała Maddie. Uśmiechnęła się sama do siebie pochylając głowę nad aktami. Jeżeli rzeczywiście była jakaś pani Bradley, to na jej ścianie powinien wisieć list pochwalny.

Booker zagłębiła się w lekturze.

Bradley wstał zza biurka, okrążył je i zatrzymał się tuż za Maddie.

Nie podobało jej się, że stał tak blisko.

– Zabiorę to ze sobą i przejrzę w samolocie – powiedziała.

– Nie. Przeczytasz je na miejscu i zostawisz u mnie. Chyba znasz zasady.

– W takim razie usiądź sobie. Zasłaniasz mi światło.

Wrócił na swoją stronę i opadł na fotel, posyłając w jej stronę wymuszony uśmiech.

Informacje o Bellmanie Lessingu mieściły się na trzech stronach. Booker szybko skończyła lekturę. Pierwsze dwie kartki zawierały typowe przedstawienie i właściwie powtarzały to, co już wiedziała z akt Simona Northcotta. Szczegóły dotyczące jego katedry na uniwersytecie w Cambridge, jego adres, rodzina, przyjaciele. Rady uniwersyteckie, do jakich należał, zarobki i to, na co je przeznaczal. Wszystko standardowo przedstawione i chyba od dawna nie aktualizowane. Ostatnia strona różniła się od dwóch pierwszych. Zawierała szczegółowy raport z tajnego dochodzenia, z listą wszystkich kontaktów Lessinga z ostatnich dwóch lat. Booker z zaskoczeniem stwierdziła, że imię jej brata pojawiło się na niej

dwa razy. Przejrzała streszczenia utrwalonych nagrań rozmów telefonicznych.

Spojrzała na Bradleya, którego twarz wciąż jeszcze wykrzywił uśmiech.

– Dlaczego Szeff nie wspomniał mi o tych spotkaniach z moim bratem? Czy on o nich wie?

Bradley wzruszył ramionami.

– Może. Szeff jest zavalony aktami. Nie nadaża z czytaniem wszystkiego.

– W takim razie dobrze, że ma ciebie – ucięła ostro. – Ty wyglądasz na takiego, co siedzi z nosem w kartotekach. A może po prostu ta ostatnia strona jakimś cudem nie trafiła do materiałów, które dałeś Szeffowi.

– Udam, że tego nie słyszałem, pani major – Bradley znowu się uśmiechnął. – Proszę dokładnie się z tą stroną zapoznać. I zapamiętać ją. Może się pani przydać podczas pani „konwersacji” z Lessingiem i Northcottom. Oczywiście, jeżeli będzie pani potrzebowała tematu do rozmowy, ale śmiem w to wątpić po tym, co o pani słyszałem.

Spojrzała na niego ze złością.

– Uważaj, Bradley. To, co robię i jak to załatwiam, jest wyłącznie moją sprawą. Możesz tu sobie siedzieć przez cały dzień, podrzucając raporty Warkowskiemu, mam to gdzieś, ale ktoś przecież musi stąd wyjść i rozprawić się z tymi ludźmi. Ja jestem w jednostce operacyjnej, a ty w papierkowej. Następnym razem, kiedy Szeff poprosi cię o akta, lepiej żebyś nie zatrzymywał dla siebie materiałów z ostatnich dwóch lat, w przeciwnym razie postaram się, aby się o tym dowiedział. Czy to jasne?

Bradley nie przestawał się uśmiechać.

– Droga pani major. Chyba nastąpiłem pani na odcisk. Bardzo mi przykro. Jaka szkoda, że się pani spieszy na samolot.

Booker wstała i wyszła bez słowa. Bradley zebrał akta i zamknął je na klucz w górnej szufladzie biurka.

Nazajutrz, około dziesiątej rano, Simon obudził się już we własnym domu. Zadzwoił do biura, żeby uprzedzić, że źle się czuje i przyjdzie do pracy dopiero około czwartej po południu.

Wziął prysznic i przez pół godziny czytał gazetę. Potem wybrał się do miasta. Ostrzygł się u Remiego i wstąpił na kawę do kawiarni Clowns. Oba miejsca prowadzili Włosi i w obu usługi zawsze były najwyższej klasy. Za każdym razem zastanawiał się dlaczego, skoro za najlepsze uważał sklepy włoskie, nie pojechał po prostu do Rzymu? Potem wstąpił do biblioteki uniwersyteckiej i przez dwie godziny wertował różne książki.

W Rzymie na pewno nie mieli takich bibliotek. Może dlatego właśnie warto było zostać w Anglii. No i jeszcze dochodziła praca. Spojrzał na zegarek. Westchnął i wolno ruszył do biur United Machines mieszczących się nad sklepem King's Parade.

Jego sekretarka, Ginny, spojrzała na niego, gdy wszedł.

– Pewnie pomógł jakiś cudowny lek – powiedziała.

– Coś w tym rodzaju. Jakież wiadomości?

– Tylko dwie. Jedna od Bella Lessinga i jedna od Kay.

– Najpierw Kay.

– Jeszcze raz prosiła o listę transakcji.

– Wiem. Rozmawiałem z nią o tym wczoraj. Obiecałem jej, że wyślę to dziś, ale nic się nie zawali, jeśli zrobię to jutro.

– Mówiła, że nie może czekać, aż zjawisz się w biurze i poprosiła, żebym wysłała jej to pocztą elektroniczną.

– Ale jeszcze nie skończyłem. Zabierze mi to jakąś godzinę.

– Rozumiem, tylko że ona musiała natychmiast ją mieć. Chodziło o jakąś podbramkową sytuację. Prosiła, żebym wysłała jej całość dokumentów, powiedziała, że jakoś sobie poradzi.

– Wysłałaś jej wszystko?

– Tak. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego?

– Chyba nie. Tylko tam została kupa śmieci. Wiesz, jak beznadziejny jestem w tworzeniu katalogów. Całe wieki zabierze jej przejrzenie tego i wyszukanie samych transakcji. Lepiej do niej zadzwonię.

– Właściwie to powiedziała, że nie zabierze jej to aż tyle czasu. Podobno wiedziała, czego szuka, a ja nie miałam pojęcia, czy się tu jeszcze dzisiaj pojawisz. Mówiłeś, że źle się czujesz i w ogóle.

– Ironia nie jest potrzebna, Ginny. A czego chciał Bell?

– Tu mam lepsze wieści. Chce, żebyś odwiedził go w jego college'u dziś wieczorem.

– To bez wątpienia lepsza wiadomość. Czy przyjęłaś zaproszenie w moim imieniu?

– Tak. Pomyślałam, że do wieczora może poczujesz się lepiej.

– Bardzo dobrze. W takim razie lepiej pójdę już do domu i przygotuję się, co?

– Simon! Dopiero tu przyszedłeś.

– No i co? Kinga i tak dzisiaj nie ma, prawda?

– Nie, ale przecież masz parę rzeczy do zrobienia.

– Na przykład co?

– Na przykład to. – Wskazała na stos zielonych wydruków.

- Czy to wyniki za sześć miesięcy?
- Tak. Są okropne. Przynajmniej twoje.
- To znaczy, że nie powinienem ich dziś sprawdzać, tak? Wiesz jak łatwo wpadam w zły humor.
- Trzecie kiepskie półrocze pod rząd. To już przestaje być zabawne. Myślę, że tym razem nie można tego lekceważyć.
- Dlaczego? O co chodzi? Czy coś słyszałaś? Powiedz mi.
- Owszem, coś słyszałam – zaczęła Ginny. – To tylko plotka, ale podobno firma holdingowa trochę się tym zainteresowała. Właściwie to więcej niż trochę.
- I co to oznacza?
- Dobrze wiesz, co.
- To tylko pogrożki. Nie ma się czym martwić.
- Skoro tak mówisz.
- Tak mówię. Czy było coś jeszcze?
- Nie, ale lepiej, żebyś się zjawił tu pojutrze o dziesiątej. King zapowiedział zebranie, na którym zamierza omawiać wyniki.
- W porządku. Przyjdę jutro w pół do dziewiątej i przejrzeje.

Simon wyszedł z biura i ruszył ulicą Kings Parade w kierunku swego domu w Trumpington. Popołudnie było ciepłe. Właściwie wciąż jeszcze mamy lato – pomyślał. Wszystkie drzewa nadal zieleniły się, a kiedy mijał tereny klubu sportowego, poczuł w powietrzu zapach świeżo skoszonej trawy. Ulicą przejeżdżało niewiele samochodów. Od strony Leys School dobiegły Simona odgłosy rozgrywanego meczu krykieta. Uderzenia w piłkę, szmer aplauzu. Droga Anglio, pomyślał, uwielbiam cię.

Do Lacrima Christi College przybył o szóstej. Wiedział, że Bella Lessinga nie zastanie w jego gabinecie, ale drzwi do niego były zawsze otwarte, więc pozwolił sobie wejść do środka. Usiadł w wyblakłym skórzanym fotelu przed otwartym kominkiem. Kiedy Bell został wykładowcą w Lacrima jakieś dwadzieścia lat temu, obaj uważali, że otwarty kominek to przeżytek. Dopiero później dostrzegli jego praktyczne strony, gdy pewnego zimowego wieczoru, trochę wstawieni, postanowili zbadać grubość ścian. Pół metra litego piaskowca. Każdego, nawet najbardziej entuzjastycznego fachowca zniechęciłaby perspektywa zakładania centralnego ogrzewania w tych murach. Simon uśmiechnął się na myśl, jak odległe wydawały się tamte czasy. Położył głowę na oparciu fotela i zaczął przyglądać się zdobionemu sufitowi. Otwarte palenisko sprawiało, że sufit zawsze był trochę okopcony. Niestety, administracja college'u, w całej swej mądrości, nigdy go nie czyściła, a jedynie

pokrywała kolejnymi warstwami farby. W rezultacie, wspaniała rozeta pośrodku sufitu oraz gzymsy zdobione roślinnymi wzorami, stawały się coraz mniej widoczne. Bell nigdy nie zwracał na to uwagi, a Simon uznał, że nie powinien się wtrącać, skoro miejsce nie należy do niego. Wziął to po prostu za kolejny przykład tego, jak ludzie otoczeni pięknymi rzeczami, rzadko o nie dbali. Pewnie Bell nie stanowił wyjątku. W końcu przecież życie wykładowcy uniwersyteckiego w Cambridge musiało przypominać sielankę: pracy niewiele, posada na całe życie, sporo czytania i pisanie, czego jeszcze można pragnąć. Bell nigdy tego w pełni nie doceniał, nie miał pojęcia, jak mu się poszczęściło. Kiedyś Simonowi wydawało się, że on też był wolny i mógł zrobić z własnym życiem to, co chciał. Teraz jednak zrobiło się za późno na jakiegokolwiek większe zmiany. Poza tym, nie miał już chęci ruszać w nowym kierunku. Bell często namawiał go na zmiany, ale był zawsze na miejscu, gdy przyjaciel powracał do domu trochę mądrzejszy, bardziej tajemniczy i za każdym razem odrobinę smutniejszy.

– Żadnych powodów do radości, co Simon? – mawiał zwykle Bell. – Nie przejmuj się. Coś wymyślisz. Zawsze coś wymyślasz.

Zawsze, aż do teraz. Już nie miał żadnych nowych pomysłów. Nie wiedział, czy bardziej winić za to zmęczenie czy nudę. A może po prostu wiek. Wszystko jedno dlaczego tak się działo, Simon twierdził, że rozpoczął „szalone lata”, jak nazwał je w rozmowie z Bellem. Praca szła mu źle, ale nie katastrofalnie. Miał dom. Kilkoro przyjaciół. Czasem mu to wystarczało, ale zdarzały się chwile niepokoju, które bardzo go martwiły.

Takie momenty starał się przeczekać przy klawiaturze domowego komputera, obserwując tabele kursów międzynarodowych banków na całym świecie. Wielkie sumy pieniędzy krążyły tam i z powrotem. Miliardy. Miał wtedy wrażenie, że przechyla się przez rufę łodzi i obserwuje jej kilwater. Kiedy patrzyło się tak wystarczająco długo, ślady pojedynczych fal gubiły się i zlewały w jeden strumień znikający w oddali. To samo działo się z tabelami różnych rynków, jeżeli patrzyło się na nie dość długo.

Podczas jednej z nocnych sesji alkoholowych Simon opowiedział o tym Bellowi. Włączył komputer Bella i dostał się do akt bankowych. Bell siedział obok niego i chyba nie za bardzo uważał. Głowa co chwila opadała mu na pierś.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, Simon – mamrotał. – Przecież to tylko liczby. Tabele liczb. Wcale niepodobne do łódki.

– Do kilwateru, Bell. Mówiłem o kilwaterze.

– No tak, ale po co tak się im przyglądasz. Nie rozumiesz nic z tego. Nie jesteś bankierem.

– Nie – zgodził się Simon. – Ale patrzysz teraz na morze pieniędzy, a ja nie mam z tego nic. To niezbyt przyjemna myśl.

– Wariactwo. Przecież nie czujesz nic podobnego patrząc na słynny obraz, drogi samochód czy jeszcze coś innego, prawda? Nie jesteś także częścią świata, który nazywa się planetą bogatych. – Bella bardzo bawiły podobne rozważania.

– Nie – Simon nie dawał za wygraną. – Ale ja nie znam się na malarstwie i samochodach, za to znam się na komputerach. Powinienem na nich trochę zarobić.

– No to napisz jakiś porządny program. Grę czy coś takiego. Za to możesz sporo dostać.

– Tak, tylko że do tego musiałbym się znać też na interesach. A obaj dobrze wiemy, że nie jestem w tym zbyt dobry. Muszę znaleźć sposób, żeby zarobić na komputerach bez potrzeby wchodzenia w krąg komputerowców. Dlatego właśnie przyglądam się tym tabelom na ekranie. Musi istnieć jakiś sposób. Monitor to okno z widokiem na to, jak pieniądz zmienia właściciela. Gdybym tylko znalazł jakiś schemat albo coś, do czego mógłbym się podczepić, może dałbym sobie radę. Ale nic z tego. To właśnie jest takie frustrujące. Wszyscy ci ludzie kryjący się za cyferkami, na które patrzę, zarabiają w tym czasie tysiące. Kolumny liczb. Ciągące się jak kilwater. Ładnie wyglądają, ale wiele na nich nie zarobię.

Bell znowu opuścił głowę i Simon samotnie wpatrywał się w monitor, na którym liczby przesuwały się i zmieniały.

Jacyś studenci przeszli pod oknem pokoju Bella Lessinga, krzycząc i śmiejąc się. Ich wrzaski obudziły Bella.

– Chyba na chwilę straciłeś słuchacza, Simon. Słuchaj, może zejść po butelkę porto, zanim Manciple zamknie piwnicę na noc.

Kiedy wyszedł, Simon rozsiadł się wygodnie w fotelu, nie spuszczać wzroku z ekranu. Nagle liczby na monitorze przestały się zmieniać. Najpierw tylko pojedyncze, a potem całe grupy. Po chwili cały ekran zamarł na jakieś pięć sekund, po czym równie szybko jak przedtem wrócił do poprzedniego stanu. Simon usłyszał jak zegar college'u wybija północ. Poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Z rozdziawionymi ustami patrzył na migające kolumny.

– Tak! – wykrzyknął. – Mam to. Mam to! Wreszcie znalazłem! – Gdzieś w tle jego życia ktoś odwrócił olbrzymią klepsydrę odmierzającą czas. Odtąd wszystko miało się zmienić.

Właśnie w tym momencie wrócił Bell, niosąc butelkę porto.

– Miałem szczęście – stwierdził. – Ten chytrus chciał zamknąć wcześniej. Ale mu nagadałem. No i proszę. Taylor, rocznik sześćdziesiąty ósmy.

– Znalazłem to! – krzyknął Simon. – Rozgryzłem. Północ. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?

Bell jak zwykle nie mógł znaleźć korkociągu.

– O czym ty znowu gadasz, stary? Widziałeś to cholerne coś?

– Bell, jak ciebie tu nie było, cały ekran stanął. Wszystkie liczby zamarły i dopiero po chwili ruszyły znowu. Myślałem, że to jakaś usterka na linii. Już wcześniej to widziałem, tylko nigdy nie zdawałem sobie sprawy, która była godzina. Zegar wybił północ. Koniec dnia pracy na giełdzie londyńskiej. Wszystkie transakcje muszą do tego czasu zostać zamknięte. Po paru sekundach wszystko znowu rusza, ale na tę jedną chwilę, dokładnie o północy, wszystkie waluty zostają zamrożone.

– To bardzo interesujące, Simon. Aha, znalazłem! – Triumfalnie podniósł korkociąg.

– Szukałem jakiegoś schematu, pamiętasz? Co prawda nic takiego nie mam, ale mam coś lepszego: brak ciągłości. Przerwę w przepływie danych.

– Znowu nic nie rozumiem. Masz. Potrzymaj to przez chwilę, dobrze?

– Bell podał mu odnaleziony korkociąg i poszedł szukać kieliszków.

– Teraz mogę to zrobić, Bell. Wiem to.

To już pięć lat. Uśmiechnął się wtedy do siebie na wspomnienie tamtych czasów. Był wtedy przekonany, że miał przed sobą proste zadanie. Inne rzeczy też wydawały mu się łatwe. Żył wówczas w szczęśliwym małżeństwie. Lewes miał dopiero czternaście lat.

– Kochanie – powiedział pewnego dnia do żony – już nigdy nie będziemy musieli martwić się o pieniądze. – Marzenia nie miały granic. Jeszcze nie.

Jednak rzeczywistość powoli ściągała go w dół, oplatając wokół niego swe lepkie macki. Zdobycie pieniędzy już nie wydawało się takie proste, a Ellen nie wystarczały same obietnice. Męczyło ją ciągle życie marzeniami i snucie planów. Coraz bardziej pragnęła szczęścia, którego on coraz częściej nie mógł jej zapewnić. Łatwo czekać na coś, gdy jest się młodym, ale z każdym kolejnym rokiem staje się to trudniejsze, zwłaszcza kiedy marzenia są równie odległe jak na początku.

Tamtą transakcję z magazynami uważał za ostatnią deskę ratunku. Okazała się brzytwą dla tonącego. Ellen miała dość, wyprowadziła się od

Simona, zabierając ze sobą Lewesa. Przebrnął przez rozwód. Wpadł w apatię, nie był nawet pewien, czy w ogóle chciał cokolwiek zrobić. Czuł się jak jeden z projektów ogrodów Ellen, które tworzyła bez końca. Kilkakrotnie odkładany na później, aż w końcu zupełnie zapomniany. Mimo to, nie ustawał w pracy nad swoim systemem.

Cierpliwie próbował opisać go Bellowi przy wielu okazjach, już po tym jak odkrył ową przerwę.

– Brak ciągłości jest tutaj kluczem. Sprawdziłem, że powoduje go bardzo niewielki wzrost wartości ważniejszych walut pod koniec każdego dnia na giełdzie. O północy w Londynie. Sądzę, że na wszystkich pozostałych rynkach również zapada północ. Cały przestój trwa nie dłużej niż trzydzieści sekund, ale to razem z opóźnieniem transmisji oraz przekazu na łączach satelitarnych. Sama przerwa trwa około piętnastu sekund.

– Na początku nie wiedziałem, dlaczego tak się działo – ciągnął Simon.
– Potem zrozumiałem, że nie miało to znaczenia tak długo, jak długo mogłem ową przerwę przewidzieć. No a później odkryłem, że ma to coś wspólnego ze sposobem uzgadniania kont przez komputery. Kiedy pod koniec dnia zamykane są wszystkie transakcje, wolna gotówka oraz nie zakończone transakcje zostają przeniesione w główne środki płatnicze, co powoduje niewielki wzrost kursów. Efekt jest minimalny, ale *istnieje* i pojawia się za każdym razem. Może to być jedna tysięczna procenta, ale zawsze jest.

– Jedna tysięczna procenta? To chyba niewielki margines, Simon.

– Owszem, ale ważny jest fakt, że pojawia się on zawsze. Jeżeli zdołam zebrać wystarczająco dużo przez te kilka sekund, mogę sam sobie gratulować.

– Skoro to takie proste, dlaczego banki same tego nie robią?

– Ponieważ tego nie widzą. Wszystko za nie robią maszyny. Zresztą nie zapominaj, że w ich pojęciu wzrost ten jest bardzo mały.

Bell wciąż jeszcze miał niepewną minę.

– Słuchaj, to będzie tak – zaczął wyjaśniać Simon. – Znajdę sposób dostępu do superkomputerów bankowych. – Wyciągnął rękę przed siebie i przeciął nią powietrze. – Potem wyślę plik przez satelity łączące wielkie ośrodki finansowe: Nowy Jork, Londyn, Tokio i inne. – Rozpostarł palce dłoni. – Potem będę przysyłał ten plik z jednego satelity do drugiego i trzeciego, i tak dalej, dookoła Ziemi. – Kilka razy strzelił palcami w różnych punktach niewidzialnego kręgu nad swoją głową. – Jeden, drugi, trzeci, czwarty... wszystko w górze, bez schodzenia na dół. Właśnie

ten plik załatwi wszystko, tylko że nikt go nie będzie widział, bo zarejestrują go jedynie satelity, a w systemach naziemnych nie pojawi się wcale. A więc dosłownie napełnię ten plik pieniędzmi i ukryję te sumy w wielkiej sieci liczb, tak zwanej zmiennej tabeli. I kiedy już będę gotowy, prześlę pieniądze z satelity na wybrane przez siebie konto. – Uderzył dłonią w kolano. – Chryste, Bell, oni nie zorientują się w niczym! Nie będą w stanie tego zauważyć!

Bell przekrzywił głowę na bok i wydał wargi, co miało oznaczać, że nie tylko nie rozumie Simona, ale mu nie wierzy.

– Pokaż mi, jak to działa – powiedział. Oczywiście Simon nie mógł tego zrobić.

Zorientował się szybko, że nie chodziło tu wyłącznie o zauważenie braku ciągłości. Wkrótce odkrył, że aby operować wystarczająco dużymi sumami pieniędzy w określonym marginesie, musiał korzystać z nieznanym mu wcześniej dziedzin matematyki oraz rachunkowości.

Pierwszym problemem okazało się opanowanie podstaw Teorii Wielkich Liczb. Potrzebował jej, aby przechowywać dane i nimi manipulować. Na temat TWL napisano wiele książek, ale Simon zapoznawał się z nią powoli.

Musiał się również nauczyć, jak korzystać z międzynarodowego systemu łączności satelitarnej, ponieważ tam właśnie zamierzał wejść w strumień operacji. Na początku mało brakowało, żeby zniechęcił się zupełnie. Dopiero po jakimś czasie odkrył, że niewiele się to różniło od podłączania do zwykłych linii telefonicznych. Tylko zakres i szybkość były inne, a z tym umiał sobie radzić.

Następnie musiał rozwiązać problem dotyczący sposobu wprowadzenia swoich plików na łącza satelity, tak żeby nikt tego nie zauważył, i jak je ukryć, gdy już się tam znajdują. Odrzucił możliwość korzystania z wirusów jako zbyt oczywistą i wybrał ukryte pliki, zbiory informacji, które mogły wykorzystywać tę samą częstotliwość sygnału co inne dane. Kiedy trafiały już „na górę”, jak nazywał to Simon, wykorzystywał pliki krążące, które wędrowały wokół całego globu od satelity do satelity, nigdy nie schodząc na dół. Przekonał się, że w ten sposób mógł być „wewnątrz” systemu, a jednocześnie pozostawał niewykrywalny dla naziemnych komputerów banków. Mógł „pożyczać” pieniądze z dowolnie wybranego konta, wykorzystać je w dowolnej liczbie transakcji w przeciągu magicznych ośmiu sekund, zainkasować zyski i zwrócić pożyczone pieniądze, zanim oficjalnie stwierdzono by ich brak.

Na koniec zaczął pracę nad własną wersją matematycznych zmiennych

tabel, które miały ukryć jego pliki, gdy wysyłał je na dół, do systemu banków. To zabrało mu najwięcej czasu. Podczas ostatniego spotkania z Buddym w Arlington kłamał, ale jeszcze rok temu była to prawda. Teraz wszystko trafiło na swoje miejsce. Kody dostępu do pralni CIA, które Simon dostawał od Buddy'ego, przypieczętowały jego sukces. Dzięki nim, zamiast pięciu minut na zwykłych łączach telefonicznych, czas całej operacji trwał krócej niż owe magiczne trzydzieści sekund, które miał na dokończenie sekwencji. Dwie sekundy na wejście. Dziesięć na wysłanie plików na górę. Kolejne dziesięć na stworzenie plików krążących i zbudowanie zmiennych tabel. To dawało mu tylko osiem na zakończenie transakcji, ściągnięcie pieniędzy na konta bankowe i wyjście z systemu. Niezbyt wiele, ale wystarczało.

Jednak im więcej czasu poświęcał tej operacji, tym bardziej zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw. W końcu przecież popełniał przestępstwo, kradł pieniądze, nieważne jakie stosował metody, aby to ukryć. Banki na pewno nie uważałyby tego za nieszkodliwą grę, jak się to wydawało Simonowi owego pierwszego wieczoru spędzonego z Bellem w college'u. To był dla niego punkt zwrotny.

Nigdy nie sądził, że przytrafi mu się coś tak nieprawdopodobnie ważnego. Potem spotkał Kay. Ona stała się dla Simona jeszcze ważniejsza, ale nigdy o tym nikomu nie wspomniał. Zamknął to w sobie.

Teraz żałował, że zaczął o niej myśleć. To go zawsze wybijało z rytmu i przypominało mu, jak beznadziejnie poplątane stało się jego życie. Tkwił tak daleko od tego, czego naprawdę pragnął. Daleko od domu. Siedział tu, czekając na kolację, którą miał zjeść ze starym przyjacielem. Zwykłe życie. Nuda. Żadnych więcej punktów zwrotnych. Już ich nie chciał.

Zapał w drzemkę. Obudził go dopiero huk, z jakim Bell wpadł do pokoju pół godziny później.

– Wstawaj, Simon. Czy już sobie popiłeś? Nie? Dlaczego nie? W barku stoi mnóstwo sherry.

Po jakichś dwóch dużych drinkach ruszyli przez trawniki do sali Senior Common Room.

– Dziękuję ci za zaproszenie, Bell, mam nadzieję, że to nie jest żaden wieczór dla gości ani nic podobnego?

– Nie, mój kochany, nic takiego. Sam dziekan polecił mi ciebie przyprowadzić. Podobno musi zorganizować czas jakiejś Amerykance od komputerów i dlatego prosił o kogoś, kto może z nią pogadać przy stole. A ty, erudyta, doktor Northcott, jesteś właśnie tym kimś.

– Schlebiasz mi, ale powinieneś raczej poprosić kogoś z wydziału

matematyki, kogoś, kto naprawdę wie, co jest grane. Ja jestem tylko miernym hobbistą.

– O nie, nie. Dziekan nalegał. Nie pytaj mnie dlaczego. Zresztą, im mniej ludzi z matematycznego, tym dla mnie lepiej. A tak przy okazji, staruszek wspominał, że babka jest bomba.

– Myślałem, że on już przeszedł ten etap życia. Jak tam jego serce?

– Lepiej niż powinno.

Obaj uśmiechnęli się. Choć nikt o tym nie mówił, wszyscy wiedzieli, że Bell Lessing był następnym w kolejce do stanowiska dziekana Lacrima Christi. Bell otrzepał poły swojej togi.

– Skoro już jesteśmy przy matematyce, jak ci idzie praca nad twoim programem?

– Nie za dobrze. Ostatnio brakuje mi czasu. Ciągłe coś wyskakuje.

– Szkoda. College'owi przydałoby się solidne dofinansowanie. Mógłbyś zostać naszym członkiem, wiesz? Jakies sto tysięcy załatwiłoby sprawę.

Simon klepnął przyjaciela w ramię.

– Bell, gdybym miał sto tysięcy, chyba nie wsadziłbym ich w winiarnię. Wszystko mi jedno, czy dostałbym za to członkostwo czy nie.

– Wiem. Chciałem ci tylko przypomnieć, jaka z nas skorumpowana banda. A tak poważnie, powinienes skończyć ten program i sprawdzić, czy działa. Nikt inny go nie napisze, wiesz o tym.

– Może tej zimy będę miał trochę więcej czasu. A jak tam twoje dzieło?

– Postanowiłem nadać mu tytuł „Spekulant giełdowy Lessinga”. W zasadzie idzie mi nieźle. Właśnie dwaj brokerzy testują dla mnie wersję beta.

– To wspaniale. Nie miałem pojęcia, że już go skończyłeś. Jak daleko wyprzedza on rynek? – dokuczał przyjacielowi Simon. I tak już znał odpowiedź.

– W zasadzie to on jeszcze nie *wyprzedza* rynku. Siedzi tylko wszystkie działania i sporządza wykresy głównych trendów.

– No i co dalej? Kiedy zaczniesz przewidywać ruchy na giełdzie?

– Uczciwie mówiąc, staruszkule, bardzo by mi się przydała twoja pomoc. Jeżeli chodzi o programowanie, jesteś ode mnie kilka klas wyżej, zgadza się?

Simon uśmiechnął się pod nosem.

– Nie ma sprawy. Pokażę ci wszystko raz jeszcze, ale będzie cię to kosztowało jeszcze kolację albo nawet dwie.

– Przyjmuję twoje warunki. Tak naprawdę, to chciałbym, żebyś napisał

mi całe fragmenty. Jestem teraz bardzo zajęty. Oczywiście dostaniesz swój udział.

– Bell, nie zrozum mnie źle, ale z tego, co mówisz, wynika, że w zasadzie nie masz o tym zielonego pojęcia i chcesz, abym napisał za ciebie całość. Mam rację?

– Nie. Nie. Naprawdę chodzi głównie o to, że mam mało czasu na siedzenie przy tych machinach, poza tym nigdy nie zostawiłeś mi żadnych notatek ani nic, czego mógłbym użyć jako wskazówki. No i jeszcze do tego jesteś ode mnie o niebo szybszy.

– Pochlebstwa. Pochlebstwa. No dobra, postaram się co nieco poskładać i prześlę to e-mailem na twój dysk w superkomputerze.

– Dobrze. Tylko bądź ostrożny. Sporo by mnie to kosztowało, gdyby ktoś się dowiedział, że masz dostęp do naszego systemu.

Bell pchnięciem otworzył wysokie drzwi do Senior Common Room.

– Jesteśmy na miejscu – wyszeptał głośno. – Głowa do góry, brzuch wciągnięty. Sprawdźmy co to za kobietę dziekan przyprowadził nam do towarzystwa.

Wchodząc na salę rozejrzeli się za ewentualnymi kandydatkami. Zauważyli ją od razu.

Stała obok dziekana, otoczona kręgiem adoratorów. Jej długie jasne włosy opadały na nagie ramiona. Wydekoltowana czerwona suknia sprawiała, że słabe serce dziekana biło coraz szybciej. Śmiała się i mówiła coś do niego z ożywieniem. Jedną dłonią dotykała jego ramienia, drugą, w której trzymała papierosa, gestykulowała. Dziekan wydawał się tym zmieszany.

– Dobry wieczór panu, dziekanie – powiedział Bell, przechodząc przez salę. – A to pewnie doktor Booker.

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do kobiety i wyciągnął dłoń do uścisku.

– Witamy w Lacrima Christi, droga pani. Jak się pani miewa. Nazywam się Bell Lessing. Dziekan wiele mi o pani mówił.

Obdarzyła Bella pięknym uśmiechem.

– Cieszę się. Maddie Booker. Skąd pan wiedział, że to właśnie ja?

– Moja droga, dziekan doskonale panią opisał. Ach, gdzie się podziały moje maniery? Przedstawiam pani drugiego gościa tego wieczoru, doktora Simona Northcotta.

Simon ujął jej wyciągniętą dłoń.

– Bardzo mi miło. Przepraszam, ale mam wrażenie, że skądś panią znam. Czy już się gdzieś nie spotkaliśmy?

Bell zareagował natychmiast.

– Simon! Co ty opowiadasz? Przecież to śmieszne!

Kobieta ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i roześmiała się.

– Chyba obaj macie rację. Jestem siostrą Buddy’ego Marlina. Witam, Simon. – Ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się szeroko.

– Rzeczywiście, widziałem twoje zdjęcie u Buddy’ego chyba ze sto razy. Przepraszam, że cię od razu nie poznałem. Mieliśmy wszyscy spotkać się na konferencji w Ohio, w zeszłym roku, ale pamiętam, że wtedy otrzymałaś jakieś wezwanie czy coś takiego.

– Tak. Byłam potwornie zła. Czasem mam wrażenie, że pół życia schodzi mi na różnych wezwaniach, na które nie zawsze mam ochotę.

– Miejmy nadzieję, że tym razem tak się nie stanie. Pewnie przyjechałaś tu na konferencję w sprawie protokołu danych.

– Jestem tu tylko w zastępstwie. Mój profesor zachorował, więc muszę zamiast niego wziąć udział w kilku spotkaniach. Mam zrobić dla niego notatki z paru rozpraw, ale mam wrażenie, że nic z tego nie zostanie mi w głowie.

Bell nie zamierzał dać się zepchnąć na dalszy plan.

– Proszę się nie ograniczać do samej konferencji. Mogę oprowadzić panią po naszych uczelniach. To dość fascynujące.

– Bardzo dziękuję, ale nie wiem, czy starczy mi czasu.

– Zobaczmy – stwierdził Simon, a potem pochylił się ku niej. – Musiała pani zrobić olbrzymie wrażenie na dziekanie. Zwykle nie pozwala tutaj palić nikomu.

– Och! Nie pomyślałam o tym. Powinna się tego domyślić, przecież nigdzie nie ma popielniczek. Co mam z tym teraz zrobić?

– Nie ma sprawy. Ja to wezmę – zaoferował Simon.

Zabrał papierosa, wychodząc przez boczne drzwi do kuchni. Skoro już tu jestem, postaram się, aby Manciple zmienił układ miejsc przy stołach – pomyślał.

Nie musiał. Z zaskoczeniem stwierdził, że miał usiąść obok Maddie Booker, zaledwie dwa krzesła od dziekana. Zazwyczaj, zgodnie z protokołem uczelni, zajmował znacznie dalsze miejsce. Gdyby to zależało od samego dziekana, posadziłby Simona na samym końcu. Nigdy nie przestał wypominać Bellowi, że Northcott nie należał do grona pedagogów i pracowników college’u. Być może Booker stała znacznie wyżej w hierarchii uczelnianej, niż im się wydawało.

Kiedy Simon wrócił na salę, Bell z zapalem tłumaczył coś Maddie.

– O tak – mówił. – W dzisiejszych czasach tyle rzeczy robi się dzięki

komputerom. Na pewno nie jesteśmy tak zacofani, jak niektórzy myślą.

Kobieta odwróciła się do Simona i obdarzyła go jeszcze jednym uśmiechem.

– Profesor Lessing opowiadał mi o swojej pracy. Z jego książek wiedziałam, że jest ekonomistą, ale teraz słyszę, że wyklada również informatykę.

A to dla mnie nowina – pomyślał Simon.

– Bell jest utalentowany w wielu różnych dziedzinach. – powiedział, a w myślach dodał: Daj człowiekowi palec, pociągnie za rękę.

– Buddy mówił, że sam jesteś niezły w tej dziedzinie. Nazwał cię mistrzem od komputerów. To prawda? – spytała Maddie.

– Niezupełnie. To tylko moje hobby. Na pewno daleko mi do mistrzów. Prawdę mówiąc, myślę, że to raczej o tobie można tak powiedzieć. Jeżeli dobrze pamiętam z opowiadań Buddy’ego, wykladasz Teorię Wielkich Liczb w Ohio.

– Teoria Wielkich Liczb – natychmiast wtrącił się Bell. – Zawsze mnie to fascynowało.

Maddie położyła dłoń na ramieniu Lessinga.

– Praca, praca i tylko praca. Może mi pan opowie coś o sobie, profesorze.

– Och, nie ma o czym. Nudny ze mnie osobnik. I proszę mówić mi Bell, tak jak wszyscy.

I nie „profesorze” tylko „doktorze” – uzupełnił w myślach Simon. Nie ma co, staruszek ostro ruszył do ataku.

Właśnie wtedy rozległ się gong. Członkowie college’u oraz zaproszeni goście przeszli do wielkiej sali jadalnej.

Podczas pierwszej części kolacji Simon właściwie nie miał okazji porozmawiać z Maddie. Bell zarekwirował ją wyłącznie dla siebie, zostawiając przyjaciela z nudnym historykiem specjalizującym się w siedemnastowiecznym życiu wioski Fen. Simon z trudem zdobył się na kilka „doprawdy” oraz „kto by pomyślał”.

Pod koniec kolacji, alkohol sprawił, że Bell zwolnił tempo. Kiedy na chwilę zamilkł zupełnie, Maddie zwróciła się do Simona.

– Skoro w końcu trafiłam do Cambridge i udało mi się ciebie odnaleźć, muszę o coś spytać. To dotyczy Buddy’ego.

– Chodzi ci o jego chorobę?

– Tak. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Bo widzisz, Buddy chyba nie do końca zdaje sobie z tego sprawę, uznałam więc, że powinnam sama porozmawiać z jego przyjaciółmi. On potrzebuje kogoś, kto

podtrzymałby go na duchu, a ty znasz go chyba lepiej niż inni.

– Chyba tak. Nie uważam jednak, że sytuacja jest aż tak poważna. Jeszcze nie.

– Mam taką nadzieję. Ale gdzieś przecież trzeba zacząć. Czy moglibyśmy porozmawiać o tym jutro?

– Tak, oczywiście. Zadzwoń do ciebie. Czy zatrzymałaś się w college'u?

– Nie. W hotelu. Niestety, nie pamiętam jego nazwy. To ten nad samą rzeką.

– Wallingford? Ważna z ciebie osoba.

– Och, wcale nie. Nie zapominaj, że zastępuję tu mego profesora.

– No tak. Nie będę dzwonił. Może od razu umówmy się, że przyjadę po ciebie około pierwszej. Pójdziemy gdzieś ma obiad.

– Dobrze, o pierwszej będę już wolna. Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?

Bell ciężko przechylił się przez stół.

– Czy mój przyjaciel sprowadza panią na złą drogę, młoda damo? – wysapał.

– Jeszcze nie, profesorze. Chyba nie mam szczęścia.

– Bell, kochana. Mów mi Bell.

– Dobrze, jeżeli pan będzie mi mówił Maddie zamiast „kochana”. Uśmiechnęła się do Simona i nieznacznie wzruszyła ramionami.

Do czasu gdy zaczęto podawać porto, Bell doszedł do wniosku, że lepiej mu zrobi rozmowa z dziekanem, więc Maddie mogła poświęcić całą uwagę Simonowi.

– Co sądzisz o naszym słynnym ekonomście? – zagadnął ją Northcott.

– O Bellu? Na pewno nie jest suchym akademikiem, jakiego spodziewałam się zobaczyć sądząc na podstawie lektury jego książek i artykułów. Wygląda na kogoś, kto wiele czasu poświęca także na przyjemności ciała.

Simon zaśmiał się.

– Tak, tylko że niektóre z tych przyjemności może już jedynie wspominać. Raz jeszcze lekko wzruszyła ramionami.

– Jest bez wątpienia inteligentny. Opowiadał mi o jakimś programie giełdowym, nad którym pracuję. Podobno może wejść do systemu transakcji i wyjść z niego w ciągu minuty, załatwiając przy tym wiele operacji. Czy to naprawdę możliwe?

– Nie sądzę – odparł Simon ostrożnie. – Nawet gdyby mógł to zrobić, nie wyprzedziłby tych, którzy dobrze znają rynek. Trzeba znać schemat

wzrostu i spadku cen, sama szybkość przeprowadzania transakcji nic tu nie da.

– On twierdzi, że z tym też daje sobie radę. Podobno potrafi przewidzieć, co się wydarzy o określonej porze. Czy to, co mówię, ma jakiś sens, czy też zupełnie źle go zrozumiałam? Nie słuchałam go zbyt uważnie.

– Z tego co wiem, Bell może mieć rację. To człowiek wszechstronnie utalentowany.

– Tak, o tym też wspominał. – Uśmiechnęła się. – Ale czy on sam zajmuje się pisaniem swoich programów? Nie wygląda mi na takiego.

– Jestem pewien, że akurat ta część jest prawdziwa. Tylko kiedy zacznie cię przekonywać, że jego żona, Lizzie, zupełnie go nie rozumie, musisz uważać.

Jeszcze jeden uśmiech.

– Sądziłam, że jesteś jego przyjacielem.

– Owszem, ale staram się również pełnić funkcję jego kardiologa. Według mnie jesteś dla niego odrobinę za młoda.

– Dziękuję za komplement. Prawdę mówiąc, jestem w tym samym wieku co wy obaj.

– Ha? Skąd możesz to wiedzieć?

– Bell wspomniał przy kolacji, że jesteście rówieśnikami – zreflektowała się Maddie – a od Buddy’ego wiem, ile ty masz lat. Voila. Wystarczyło dodać dwa do dwóch.

– Po co Buddy mówił ci, ile mam lat?

– Już nie pamiętam jak to było. Chyba rozmawialiśmy wtedy o urodzinach czy o czymś takim. Ale lepiej przestańmy już mówić o wieku. To takie przygnębiające.

– Zupełna racja – przyznał Simon i pomyślał, że jak dotąd rozmowa idzie całkiem nieźle.

Po chwili wszyscy umilkli, słysząc głośne szuranie krzesła dziekana o kamienną podłogę. Dziekan wstał, aby zmówić modlitwę dziękczynną. Najwyraźniej kolację uznał za zakończoną. To, że inni wciąż jeszcze jedli, wcale go nie obchodziło.

Przy kawie Simon znowu musiał ustąpić pola Bellowi i kilku innym. Kolejne pół godziny spędził ze znajomym specjalistą w dziedzinie historii Fen. Potem udało mu się znaleźć wymówkę i wymknąć z sali. Wychodząc, uklonił się lekko w stronę Maddie, która uśmiechnęła się na pożegnanie.

Piechotę pokonał dwa kilometry do domu. Kiedy był już obok chaty, usłyszał dzwonek telefonu. Sądził, że ktoś po drugiej stronie linii podda

się, zanim Simon zdąży dobiec do aparatu, ale telefon wciąż dzwonił.

– Halo, mówi Simon.

– Och, już myślałam, że będę musiała zostawiać ci wiadomość na automatycznej sekretarce. – Poznał głos Kay. – Przepraszam, że ci przeszkadzam. Weryfikuję tylko listę numerów telefonów. Sprawdzalam, czy się nie przeprowadziłeś. Muszę zadzwonić do wszystkich. Trzeba było zostawić włączoną sekretarkę. Ktoś może próbował się z tobą skontaktować.

– Kay, jest już po północy, do cholery. Czy możesz mi wyjaśnić, po co dzwonicz?

– O Boże. Rzeczywiście u was jest już północ. Nie pomyślałam o tym. Bardzo przepraszam. Nie odkładaj jeszcze słuchawki. Mam dla ciebie wiadomość. Właściwie to ta wiadomość jest dla Maddie Booker. Podobno miała się z nią spotkać dziś wieczorem?

– Maddie? Skąd wiedziałaś, że jest w Cambridge?

– Nie wiedziałam. Buddy zadzwonił do mnie. Mówił, że próbował ją złapać tam, gdzie się podobno zatrzymała, ale nie mógł uzyskać połączenia czy coś takiego.

– To dziwne. Przecież ona mieszka w hotelu.

– Pewnie myślał, że nocuje w college'u. To zresztą nie ma już znaczenia. Czy mógłbyś ją poprosić, żeby zadzwoniła do swego brata jutro, to znaczy jutro waszego czasu?

– Nie ma sprawy. Masz jego numer w Chicago?

– Nie. Nie zostawił żadnego. Może ona go zna.

– To trochę dziwne.

– Nie miej pretensji do mnie. Ja tylko przekazuję wiadomość. A tak przy okazji, co o niej sądzisz?

– O Maddie? Chyba jest w porządku. Znasz ją?

– Tylko trochę. Słyszałam, że nie cieszy się zbyt dobrą opinią. Jedna z koleżanek mi o niej mówiła.

– Co takiego?

– Nic nie wiem na pewno. To tylko stołówkowe plotki, ale uważaj na siebie, Simon.

– Dziękuję ci bardzo. Sądzę, że potrafię o siebie zadbać.

– Wątpię w to. I jeszcze jedna rzecz.

– Tak?

– Chodzi o te dane, które przesłała mi Ginny. Nie znalazłam tego, czego szukałam. Chcesz, żebym skasowała całość?

– Mówiłem Ginny, że pewnie się nie połapiesz w tym bałaganie.

Musisz poczekać, aż go uporządkuję.

– To nic. Nie ma pośpiechu.

– Ale podobno mówiłaś, że to pilne. Dlatego właśnie Ginny wysłała ci wszystko.

– No tak. Rzeczywiście musiałam dostać te dane, ale teraz już po krzyku. Sprawa już nie jest taka paląca. W twojej dokumentacji nie znalazłam tego, co było mi potrzebne. Teraz to może poczekać do następnego tygodnia. Przywieź ze sobą kopię. Tę u siebie mogę skasować.

– Dziękuję ci. Wolę kiedy inni nie przetrzymują moich dokumentów – przyznał. – Nigdy nie wiadomo, kto do nich zajrzy.

– Masz rację. To już chyba wszystko. Nie wściekaj się na mnie. I pamiętaj, co ci powiedziałam.

– Co takiego? Niczego mi nie mówiłaś.

– To o Maddie.

– Na litość boską. Dopiero ją, do cholery, poznałem, a ty już mnie przed nią ostrzegasz. To zwyczajna kobieta. Siostra Buddy’ego. Nikt więcej.

– Po prostu uważaj na siebie, tylko tyle.

– Tak jest, mamó. Dziękuję ci, mamó. Pilnuj swoich spraw, mamó.

– To żalosne.

– Właśnie. Jest późno i jestem wstawiony. Zamierzam teraz iść spać. Dobranoc, K. Kolorowych snów.

Simon odłożył słuchawkę. Dziwne. Kay nigdy nie dzwoniła do niego do domu. Nawet nie wiedział, że znała jego numer. Wyjął z portfela jedną ze swoich wizytówek. Nie. Tylko telefon do pracy. Zabawna z niej dziewczyna. Właściwie to kobieta. Zabawna kobieta. Musiało jej się strasznie nudzić, skoro zaczęła sprawdzać listę telefonów. Mało interesujące zajęcie.

Zdecydował, że dziś już jest za bardzo zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać. Poszedł na górę i położył się. Zanim zasnął, przyszła mu do głowy dziwna myśl. Skąd Maddie wiedziała o pracy Bella, zanim go poznała? Po co miała czytać jego książki, skoro była matematykiem? Interesujące. Może było coś, o czym nie wiedział.

Maddie położyła się na łóżku i zapaliła papierosa. Spojrzała na zegarek. Pierwsza rano. Czasu londyńskiego. Sięgnęła po telefon i wykręciła numer w Waszyngtonie. Sześć dzwonek.

– Departament budownictwa i robót publicznych. Mówi Linda Hart. Słucham, w czym mogę pomóc?

Pięć słów. Trzy słowa. Pięć słów.

– Och, bardzo przepraszam – odezwała się Maddie. – Pewnie wykręciłam zły numer.

– To nic. Pozostaje mi tylko *Tyczyć* miłego dnia – odpowiedział głos w słuchawce, ale połączenie nie zostało przerwane.

Dwa. Sześć.

Maddie wcisnęła guziki z odpowiednimi numerami. Przez dziesięć sekund po drugiej stronie panowała głucha cisza. Potem Maddie usłyszała syk urządzenia szyfrującego.

– Proszę z generałem Warkowskim. Przy telefonie major Booker.

– Jedną chwilę. – Kolejne dziesięć sekund. Syczenie zmieniło ton.

– Warkowski, słucham.

– Generale. Uważam, że sprawa jest już rozwiązana. Ten Northcott jest zupełnie zielony. On nie może być człowiekiem, którego szukamy. Jest zupełnie niewinny.

– Jeden z niewinnych, co? Wszyscy wiemy, jak skończyli. Ile wie na temat nielegalnego dostępu do systemów? Proszę pamiętać, że potrafi włamać się do swego konta w American Express. Pytała go pani o to?

– Jeszcze nie, sir.

– Dlaczego więc dzwoni pani z połową raportu?

– Myślałam, że chciałby pan to usłyszeć, sir. Chciałam przedstawić postępy w sprawie.

– Proszę posłuchać, do mnie nie dzwoni się z połowicznym raportem. Jestem zajęty. Niech się pani dowie, kto to zrobił, zdobędzie nazwisko osoby, która mu pomagała albo pokazała mu, jak to zrobić. Chcę mieć wszystko. Oczekuję pełnego raportu za dwa dni. Możliwe, że nawet gdy dowiemy się, kto jest naszym człowiekiem, będziemy musieli pozwolić mu działać.

– Czy mogę spytać dlaczego, sir?

– Major Nocta sprawdza go z naszej strony, ale od Cohena wiem, że jeszcze nic nie znalazła. Jak dotąd wiemy tylko o kartach kredytowych, jeżeli potrafi ukryć resztę przed Noctą i Cohenem, to musi być piekielnie

dobry. Chcę wiedzieć o nim wszystko.

– Możliwe, że nic na niego nie znajdziemy, sir.

– Ja się nie mylę. Nie popełniam błędów. Proszę zabierać się do roboty.

– Tak jest, sir – potwierdziła Booker, ale połączenie już zostało zakończone.

Maddie nie czekała na Simona w hotelowym foyer, gdy, zgodnie z umową, przyszedł *zabrać* ją na obiad. Siedział w hallu dziesięć minut, a potem podszedł do recepcjonisty i zapytał o nią.

– Doktor Northcott? – spytał mężczyzna za kontuarem.

– Tak. Miałem spotkać się z panią Booker o pierwszej.

– Bardzo przepraszam. Nie wiedziałem, że to właśnie pan. Pani prosiła, abym przekazał panu, że czeka na górze. Pokój 412, od strony rzeki.

Maddie uznała, że najlepiej będzie rozpocząć ten dzień w jej pokoju, tak by Simon czuł się mniej skrępowany, gdyby później tutaj wrócili. Zawsze uważała się za profesjonalistkę. Kiedy Northcott zapukał, siedziała na łóżku, udając, że czyta magazyn.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Simon. Czekałam na telefon, dlatego nie mogłam spotkać się z tobą na dole, ale chyba nie musiałam tu tkwić. Przecież w recepcji zawsze przyjmują wiadomości.

– Czekałaś na wiadomość od Buddy'ego?

– Od Buddy'ego? – zdziwiła się.

– Podobno próbował się z tobą skontaktować. Miałem informację z biura. Prosił, żebyś do niego zadzwoniła.

– Aha. Dobrze. Dziękuję ci. Nie czekałam teraz na Buddy'ego, tylko na ludzi z Londynu. Mam się z nimi spotkać w Waszyngtonie w następnym tygodniu i myślałam, że może uda nam się zobaczyć wcześniej, skoro już tu jestem. To nic tak ważnego. Możemy iść. Zadzwonię do Buddy'ego po powrocie. Teraz w Ameryce jest jeszcze trochę za wcześnie.

– Pewnie masz rację. Buddy jest w Chicago. Wiesz, w jakim hotelu się zatrzymał?

– Tak. W Hiltonie. – Wzięła płaszcz przewieszony przez zagłówek łóżka. – Dokąd idziemy?

– Po pierwsze, nie będzie ci to potrzebne. Jest dość ciepło. Wróciło lato.

– Co takiego?

– Mamy bardzo ciepły wrzesień. Piękna pogoda. Czeka nas wspaniały dzień. Cambridge w swym najlepszym wydaniu, specjalnie dla nowego gościa.

– No dobrze. Tylko nie ciągnij mnie godzinami po trasach z zabytkami

historycznymi. Załatw mi wycieczkę dla obywateli seniorów. Taką, podczas której dużo się siedzi.

– Nie ma sprawy. W takim razie pominiemy wszystkie uczelnie i udamy się prosto do wspaniałej winiarni.

– Jesteś cudownym przewodnikiem. W sam raz dla mnie. – Maddie uśmiechnęła się.

Może i tak – pomyślał Simon.

– A zatem ruszamy do Shades?

– Shades?

– To dawna nazwa tego miejsca. Pewnie już ją zmienili. Takie knajpki często zmieniają nazwy. Nasza znajduje się w samym centrum miasta, więc możemy ją uznać za turystyczną atrakcję.

W winiarni znaleźli cichy kącik. Rzeczywiście nazywała się już inaczej, ale ceglane sklepienia piwnicy adaptowanej na lokal pozostały takie same, a wino wciąż jeszcze miało przystępną cenę.

Simon zamówił butelkę chardonnay, którą podano w wiaderku z lodem.

– Chciałaś porozmawiać ze mną o Buddym. Co chcesz wiedzieć? – spytał Simon. – Martwisz się, co z nim będzie?

– Chyba tak. Kiedy dowiadujesz się, że bliska ci osoba jest prawdopodobnie nieuleczalnie chora, od razu wyobrażasz sobie najgorsze rzeczy. Zastanawiasz się też, czy możesz jakoś pomóc. Wiem, że wy obaj od dawna przyjaźnicie się, więc chciałam się dowiedzieć, co ty zamierzasz.

Simon nalał wina do dwóch kieliszków i przesunął jeden z nich po drewnianym stole w stronę Maddie. Promienie słońca wpadające przez małe okienko nad nimi rozświetlały wzór dębowego blatu.

– Chcesz wiedzieć co zrobię, jeżeli on trafi do szpitala na jakąś kurację, tak?

– Tak.

– Chyba nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Po prostu nie zastanawiam się nad takimi rzeczami. Jeszcze nigdy nikomu z moich współpracowników nic się nie stało.

– Może nie powinnam cię o to pytać. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak dobrze znacie się poza pracą. Pewnie zbyt wiele sobie wyobrażałam.

– Znamy się całkiem nieźle. Wiele razem podróżowaliśmy. Poza tym, zawsze gdy przyjeżdżałam do Waszyngtonu, spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Nasze rodziny też się znały. Ale tak naprawdę, łączyła nas tylko praca. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Ja sprzedawałam mu swoje pomysły projektów, sprzęt i tak dalej, a on musiał znaleźć odbiorców na

pomoc od US Aid. Mógł wykorzystać do tego jednego z wielu producentów, jednak wybrał nas, ponieważ uznał, że mamy wiele cennych kontaktów.

– To prawda?

– Rzeczywiście znam sporo ludzi. Już od kilku lat sprzedaję różne rzeczy w różnych krajach, ale kiedy powie się ludziom, że można im załatwić pomoc z funduszu US Aid, zawsze chętnie cię przyjmują. Chyba dzięki temu lepiej wypadałem, choć wcale nie byłem lepszy. Pewnie myślisz, że to nieuczciwe.

– Nie. Wcale nie. Dlaczego jednak Buddy nie kontaktował się z tymi ludźmi bezpośrednio?

– W idealnym świecie pewnie mógłby to robić, ale w rzeczywistości potrzebował kogoś, kto pełniłby rolę pośrednika. Agenta załatwiającego transakcje i oficjalnie przekazującego zlecenia. Kiedy różne państwa prowadzą wspólne interesy, muszą mieć osobę, która zajmie się sprawami finansów.

– Nie rozumiem.

– Tryby maszyny trzeba naoliwić.

– Masz na myśli łapówki?

– Niezupełnie. Nie o to mi chodzi. Tak po prostu prowadzi się interesy. Kilka procent tu, kilka tam. Opłaty wstępne. Koszty ustawienia operacji. Niewiele różni się to od słynnego amerykańskiego darmowego obiadu.

– Chodzi ci o znane stwierdzenie „Nie ma czegoś takiego jak darmowy obiad”.

– Właśnie. Zresztą, sama na pewno o tym wszystkim wiesz. Zdajesz sobie sprawę z tego, co robi Buddy, nie wyglądasz mi na naiwną dziewczynkę. Poza tym, on nie jest w nic bezpośrednio zamieszany.

– A ty jesteś?

– Nie bardziej niż inni. Nie nazwałbym tego jednak nieuczciwością. To tylko kwestia kultury. W każdym kraju nazywają to inaczej. „Pishkesh” w Iranie. „Dash” w Nigerii. „Bakszysz”. I tak dalej.

– Ale to wciąż są łapówki, tak?

– Nie. Po co to całe przesłuchanie?

Podniósł kieliszek i krytycznie spojrzał na kolor wina.

– Przepraszam – powiedziała Maddie. – Nie zamierzałam nic z ciebie wyciągać na siłę. Po prostu interesuje mnie twoja praca.

– Nic się nie stało. Większości ludzi nie obchodzi to, co robię, więc nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiam. Traktuję to jak pracę i w pewnym sensie zapominam o niej, kiedy wracam do domu, do

Cambridge. – Wciągnął zapach wina, a potem wziął niewielki łyk.

– A co takiego czeka na ciebie w domu? – spytała Maddie żartobliwie.

– Może jakaś strasznie inteligentna i piękna pani profesor?

– Nie mam aż takiego szczęścia. Chyba wciąż jeszcze usiłuję dojść do siebie po rozwodzie. Niewiele zastanawiałem się nad takimi rzeczami. Pewnie myślisz, że jestem strasznym nudziarzem. Praca niewiele mnie obchodzi, a mało uwagi poświęcałem domowi.

– Nic takiego nie myślę. Nie potrafisz dobrze się sprzedać. Na pewno nigdzie nie wybrałabym się z tobą, gdybym uważała, że jesteś nudny. Wczoraj wieczorem bardzo mnie zainteresowało to, co mówiłeś o Bellu i o tej sprawie z giełdą. Pewnie właśnie tym się interesujesz, czy tak?

– To trochę abstrakcyjna dziedzina, nie sądzisz? – zauważył, wskazując jednocześnie na jej kieliszek. – No dalej, spróbuj.

– Mam wrażenie, że w tym wszystkim chodzi o pieniądze, a to chyba nie abstrakcja.

– Nie. Pieniądze nie są tu najważniejsze. Przede wszystkim liczy się to, czy cała operacja jest wykonalna czy też nie.

– Masz na myśli to, czy pokonasz system? – spytała popijając wino.

– Tak. Dobrze to ujęłaś. Pokonać system. Widzisz, w zwykłym hazardzie tak naprawdę nie można wygrać. Weźmy na przykład ruletkę. Zawsze działa na korzyść kasyna, ponieważ między czerwonym a czarnym są dwa pola zielone. Matematyka zawsze działa na twoją niekorzyść. Na dłuższą metę nie możesz wygrać. Tak samo jest na wyścigach. Nigdy nie możesz wiedzieć więcej niż ludzie z wewnątrz. Tylko dlatego w ogóle przyjmowane są jakiegokolwiek zakłady. Z rynkami finansowymi jest trochę inaczej. Żadna grupa nie ma nad nimi pełnej kontroli i matematyka nie wygląda już tak źle. Jeżeli potrafisz znaleźć coś, o czym wtajemniczeni nie mają pojęcia, możesz ich trafić w samo serce.

– I właśnie tym zajmuje się Bell Lessing? – zapytała, odstawiając kieliszek.

– Pewnie bardzo by chciał się tym zajmować, ale przypomina to poszukiwania świętego Graala. Wszyscy się do nich przyłączają, choć jak się w końcu przekonują, przedmiot ich poszukiwań nie istnieje.

– Ale Bell wspominał przy kolacji, że udało ci się coś znaleźć. Że zauważyłeś jakiś brak kontynuacji czy coś takiego.

– Brak ciągłości. Rzeczywiście odkryłem taką przerwę, tylko że Bell zapomniał ci powiedzieć o następnym etapie, którego nie zdołaliśmy pokonać. Musielibyśmy napisać taki kod maszynowy, który mogłoby wykorzystać ów brak ciągłości, a to już zupełnie inna sprawa. Nigdy nam

się to nie udało.

– Kod maszynowy? A nie zwykły program?

– Program nie wystarczy.

– Dlaczego?

– Z przyczyn technicznych. Chodzi o to, w jaki sposób działają superkomputery. Odpowiedni kod maszynowy jest o wiele szybszy. Zresztą, wystarczyło mi przekonanie, że jest to teoretycznie możliwe. Poza tym, zgarnianie poważnych pieniędzy w taki sposób oznaczałoby odbieranie ich komu innemu. Czyli po prostu kradzież.

– W transakcjach rynkowych? Myślałam, że tam wszyscy ciągną jak najwięcej dla siebie. Nie sądziłam, że pracując w takim departamencie będziesz jeszcze miał skrupuły. Nie po tym, czym się zwykle zajmujesz.

– Może – przyznał, napełniając kieliszek po raz kolejny. – Ale gdyby oni przyszli i zażądali zwrotu swojej części? To wcale nie muszą być mili ludzie, wiesz?

– Rozumiem. Co zatem zrobiliście z tamtą pracą?

– Bell przez jakiś czas kontynuował swoją część, ja zarzuciłem jakiegokolwiek próby.

– I teraz wszystko jest w jego rękach, to znaczy napisanie tego wszystkiego?

– Pewnie tak. Chwali się tym, ale nie wiem, ile tak naprawdę osiągnął. On się chwali tyloma rzeczami, że trudno powiedzieć co jest prawdą, a co nie.

– Chwileczkę – przerwała mu, podnosząc dłoń. – Chyba czegoś nie zrozumiałam. Skoro ta cała sprawa z giełdą nie jest zakończona, to jakim cudem Bell może twierdzić, że jest gotowy sprzedać ją brokerom?

– Aha – Simon uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Po pierwsze, Bell opracował dopiero wersję beta, a po drugie, zależy mu na wersji dla giełdy papierów wartościowych. To nikomu nie będzie przeszkadzało.

– A nad czym ty pracowałeś?

– Mnie bardziej interesowały rynki dewizowe. Forex. Tam są prawdziwe pieniądze i można sobie napytać prawdziwej biedy. Widzisz, dostęp do giełdy papierów wartościowych jest otwarty, natomiast rynek dewizowy jest zamknięty i zasady operowania na nim są dosyć skomplikowane.

– I ty przestałeś się nim zajmować?

– Tak. Za mało wiedziałem na temat rynków dewizowych. Całość wyglądała jak sen, ale w końcu się z niego ocknąłem.

– To rzeczywiście przypomina sen. Tyle pieniędzy.

– Ale tak jak mówiłem, ocknąłem się. Wróciłem do prawdziwego świata. Booker postanowiła na jakiś czas zostawić ten temat i porozmawiać o czym innym. Wypiła do końca swoje wino i zachęciła Simona, żeby także dopił swój drugi kieliszek.

On jednak mówił dalej, tak jakby nie zauważył jej gestu.

– Myślę, że w którymś momencie marzenia Bella i moje zaczęły się rozmiącać. On doszedł do wniosku, że życie daje mu to, czego oczekiwał i dlatego przestaliśmy dążyć do tych samych celów.

– Czy to twój ostrożny sposób na stwierdzenie, że on ma więcej pieniędzy niż ty? Mam wrażenie, że jest to zaledwie ułamek tego, co zdobyłbyś dzięki swojemu projektowi.

Simon lekko zakręcił kieliszkiem, zanim zdecydował co ma odpowiedzieć.

– Pewnie jest w tym część prawdy, ale to co innego niż myślisz. Widzisz, dziesięć lat temu obaj mieliśmy jeszcze wszystko przed sobą. Rzeczy, których pragnęliśmy. Nie tylko dla nas samych, ale także dla naszych rodzin. Rzeczywiste cele, a nie jakieś tam marzenia. Zwykle mówimy w takich przypadkach o ambicjach. Myślę, że on zdobył mniej więcej to, na czym mu zależało, a ja nie. Dawniej obaj marzyliśmy o pieniądzach i one były tym, co chcieliśmy zdobyć. Z czasem przekonaliśmy się, że nie chodziło wyłącznie o nie. Utraciliśmy więc to, co nas łączyło. Spotykaliśmy się dalej, kontaktując się chyba tylko z grzeczności i przyzwyczajenia. Lubimy gadać o dawnych czasach, kiedy mieliśmy wspólne cele. Takie bajanie dziadków.

Maddie uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

– To brzmi trochę jak samokrytyka. Wcale mnie nie przekonałeś. Jestem pewna, że Bell widzi to zupełnie inaczej. Zresztą, przedtem mówiłeś, że nie zakończyłeś swojej pracy dlatego, że nie potrafiłeś.

– Być może.

– Gdy przekonałeś się, że nie dasz sobie rady, zostawiłeś wszystko i Bell też musiał się poddać, ponieważ to ty byłeś mózgiem, zgadza się?

– Wcale nie mówiłem, że byłem mózgiem.

– Nie musiałeś. To oczywiste, że jesteś bardziej inteligentny od Bella. Wystarczy dodać dwa do dwóch i wiadomo, że to ty odpowiadałeś za myślenie, a on tylko popychał sprawę do przodu.

Simon uśmiechnął się, patrząc w kieliszek.

– To niby ja jestem tym inteligentnym? Nie sędzę. Przecież Bell jest wykładowcą w Cambridge, a ja tylko podróżującym sprzedawcą. Niestety, to świat wydaje osąd o naszej inteligencji, a nie ty.

Maddie położyła dłoń na jego rękę.

– Posłuchaj, Simon, już ci mówiłam, że nie potrafisz dobrze się sprzedać. Ludzie ciągle przeżywają upadki i wzloty. Teraz on jest na górze, a ty na dole, ale wszystko może się zmienić. – Mówiąc to, pochyliła się nieznacznie ku niemu.

Spojrzał na nią i jeszcze raz uśmiechnął się.

– I kto tutaj jest marzycielem?

– Zaraziłam się od ciebie – powiedziała niemal szeptem. – To ty „przędziesz marzenia i snujesz opowieści”.

– Zabawne określenie.

– Ale prawdziwe. Potrafisz sprawić, że ludzie zaczynają wierzyć w różne rzeczy.

– Masz na myśli Bella?

– Tak. On naprawdę wierzy w tę aferę z giełdą, czy jak ją tam nazywacie. Wyprostował się.

– Projekt. Nazywamy to projektem.

– Nie chodzi mi wyłącznie o Bella. Przypomnij sobie Buddy’ego. Miał naprawdę dość tego funduszu pomocy, zanim się nie zjawiłeś. Potem, już razem z tobą, odzyskał chęć do pracy. Zaczął jeździć po świecie, załatwiać wasze sprawy. Na początku nie przestawał o tobie mówić. Zresztą, ciągle jeszcze cię wspomina w każdej rozmowie.

– Miło mi, że tak uważasz, Maddie, ale, jak widzisz, moje małe marzenie zaprowadziło Buddy’ego donikąd. Założę się, że pije teraz tyle samo co wtedy, zanim go poznałem.

– Może i tak, ale bez ciebie poddałby się już dawno temu. Dlatego właśnie tak bardzo będzie cię teraz potrzebował.

– Masz na myśli jego chorobę?

– Tak.

– Posłuchaj – Simon wzruszył ramionami – gdybym rzeczywiście mógł coś zrobić, żeby mu pomóc, nie wahałbym się. Dobrze o tym wiesz. Niestety, nie widzę żadnego wyjścia. Co ja według ciebie mogę?

– Możesz skończyć pracę nad swoim planem zdobycia gotówki. Nie nazwę już tego aferą, ponieważ uważam, że to okropne słowo. Czy nie mógłbyś pracować nad tym wspólnie z Buddym? To by dla niego wiele znaczyło, czy mam rację?

– Nie mam pojęcia dlaczego ciągle do tego wracasz – powiedział Simon, odchylając się od stołu. – Czuję się jak na przesłuchaniu. Po raz ostatni mówię ci, że to był całkiem niezły pomysł, możesz to nazwać marzeniem fantasty. Niestety, z różnych powodów nic z tego nie wyszło.

Skoro ja i Bell nie radzimy sobie z matematyczną stroną problemu, to Buddy na pewno też jej nie podoła. Koniec sprawy. Czas na następny kieliszek.

Maddie nie dała się tak łatwo zbyć. Wolną dłonią objęła nadgarstek Simona.

– Przepraszam. Nie chciałam cię denerwować.

– Nie mówiłem, że jestem zdenerwowany. Delikatnie ścisnęła jego rękę.

– Nie musiałeś tego mówić. Nagle zacząłeś się bronić.

– Posłuchaj, o co ci tak naprawdę chodzi? – Simon *zabrał* rękę. – Siedzimy sobie spokojnie przy obiedzie, a ty nagle zaczynasz mi mówić o tym, co ja czuję. Zejdź ze mnie, dobrze, Maddie?

Nie mam na to czasu – pomyślała Booker, ale cofnęła obie dłonie i splotła je wokół kieliszka.

– Przepraszam – powiedziała. – Zawsze mówię, zanim się zastanowię. Chyba po prostu przejmuję się sprawą Buddy’ego. Wytrąciła mnie z równowagi.

– Pewnie tak. Nie musisz mnie przeproszać. – Simon wciąż wpatrywał się w blat stołu, nie wiedząc, co powinien teraz zrobić.

Napełnił oba kieliszki. Maddie postanowiła nie dawać za wygraną.

– Czy United Machines to duża firma?

– Ogromna. Kiedyś była jeszcze większa, ale całkiem niedawno inni zaczęli nas doganiać. Wciąż jeszcze jest dość znana. Świetni ludzie. Pompy nawadniające dla krajów Trzeciego Świata, takie tam rzeczy. Bezwzględna, godna zaufania i bardzo brytyjska. Niestety, nasze urządzenia są dość proste, co w pewnym sensie jest dużą wadą.

– Jak to?

– Pompy nawadniające nie muszą być bardzo skomplikowane. Wystarczy, że je włączysz i będziesz pompować wodę z głębokości trzech czy pięciu metrów. Im prostsze urządzenie, tym lepiej, ponieważ można je wtedy naprawiać na miejscu. W obecnych czasach jednak modne są wszelkie udoskonalenia. Elektroniczne kontrolki, czujniki, zdalne sterowanie i tak dalej. Rządy państw Trzeciego Świata chcą nowoczesności i dlatego łatwo dają się nabrać na świecące i mrugające maszyny. A to oczywiście oznacza japońskie albo koreańskie. My wciąż jeszcze produkujemy pompy obsługiwane ręcznie, jak to mówią „jeden człowiek i jego pies wystarczą”, dlatego właśnie musieliśmy wejść w opracowywanie nowych projektów.

– A czy tacy jak Buddy, którzy zajmują się rozdzielaniem pieniędzy

z funduszy pomocy, nie mogą powiedzieć tym ludziom, co mają kupić? Przecież to wszystko i tak pochodzi z darów.

– Tylko pewna część. I właśnie dzięki temu jakoś udaje nam się przetrwać. Poza tym Buddy zakłada jeszcze punkty serwisowe, w personelu zawsze znajdzie się kilku Amerykanów mieszkających w danym kraju. To dość kosztowna operacja i dlatego Buddy przez cały czas musi wszystkiego pilnować. Ma sporo szmatławej roboty w Waszyngtonie. Niby pracuje dla Jake'a, ale Jake nie wygląda mi na kogoś, kto się przemęcza.

– Jake?

– Jake Cohen. Jest już prawie na emeryturze. Mam wrażenie, że jedynie podpisuje jakieś dokumenty.

Maddie starała się powstrzymać od uśmiechu. Wyobraziła sobie minę Jake'a Cohena, kiedy słyszy, że ktoś określa go jako faceta „prawie na emeryturze”.

– To mi wygląda na niezłą robotę – powiedziała. – Od jak dawna się tym zajmuje?

– Od założenia sekcji przez Cartera w latach siedemdziesiątych. Z tego co wiem, to zawsze pracował w administracji Departamentu Stanu. Pracę w terenie pozostawia Buddy'emu i mnie. Lubię go, ale niestety mam wrażenie, że to, co robi, jest niezbyt skuteczne, jeżeli rozumiesz co mam na myśli.

– Chyba tak. Czy nie pracuje z wami jeszcze jakaś bardzo inteligentna kobieta?

– K. Pewnie o nią ci chodzi. Czy to Buddy mówił ci, że jest inteligentna?

– Tak. Twierdził, że nazywacie ją „K” od oznaczenia tysiąca w zapisach komputerowych. Podobno na uniwersytecie szło jej wspaniale i wszyscy żartowali, że ma iloraz inteligencji powyżej tysiąca.

Simon roześmiał się.

– Niezupełnie tak. Naprawdę ma na imię Kay. Stąd właśnie wzięło się owo „K”.

– Tylko tyle? I co, może wcale nie jest taka inteligentna?

– Na pewno jest. Mózg ma w porządku. Czasem zastanawiam się, dlaczego marnuje czas na pracę w tym dziale. Mogłaby dostać o wiele lepszą.

– Jaka ona jest?

– Prawdę mówiąc, całkiem niebrzydka. Wysoka. Jasne włosy. Niebieskie oczy.

Maddie ścisnęła jego ramię.

– Nie o to pytałam, głuptasie. Jaka jest jako osoba?

– Och, właściwie nie mam pojęcia. Co prawda sporo razem przebywamy, ale Buddy i ja jakoś nigdy nie zdołaliśmy jej namówić, żeby wybrała się gdzieś z nami po pracy. Myślę, że jest dość spokojna.

– To znaczy nudna.

– Nie sędzę. Raczej po prostu spokojna.

– I co? Jest ich tylko troje? Mało jak na departament.

– Bo to niewielki dział. Zajmuje się jedynie subwencjonowaniem i realizacją projektów. Główna jednostka pomocy zagranicznej mieści się gdzie indziej. Chyba jest częścią ministerstwa rolnictwa. Część Jake’a podpada pod Departament Stanu z przyczyn finansowych.

– Finansowych?

– Tak. Jego dział jest mały, ale obraca sporymi pieniędzmi, dlatego właśnie jest w Departamencie Stanu. Dzięki temu może korzystać z funduszy banku wewnętrznego.

– Bank wewnętrzny? Nie wiedziałam, że w ogóle jest tam jakiś bank.

– Czasem obracają dziesiątkami tysięcy dolarów w gotówce i dlatego politycy chcą trzymać to oddzielnie od głównych zasobów.

– Gotówka? Duże sumy? To brzmi podejrzanie.

– Dlatego właśnie trzymają to oddzielnie. Można powiedzieć, że gotówka w pewnym sensie smaruje tryby subwencjonowania.

– Aha. I pewnie tutaj właśnie na scenę wchodzi słynny pan Costa.

– Costa? Czy Buddy mówił ci o nim? Maddie szybko wycofała się.

– Tylko raz czy dwa coś o nim wspomniał. Mam wrażenie, że to jakiś okropny facet. Buddy użył chyba określenia „zafajdany pasożyt”.

Simon ze śmiechu przechylił się mocno do tyłu.

– Tak. To świetne określenie. Oczywiście jeśli chcesz go nazywać grzecznie.

Maddie również roześmiała się. Uff! Dobry początek.

– Jaki jest ten Costa? – spytała. – Ty też z nim pracujesz?

– Tak. Stale. Naprawdę nazywa się San Antonio Fabian Jesus da Costa. Twierdzi, że pochodzi z Kolumbii, ale według mnie jest w połowie Libańczykiem. Sądząc po tym co robi, musi nim być. Trudno go nazwać miłym.

– Dlaczego to, czym się zajmuje, jest takie straszne?

– Nakręca przemyt na wielką skalę. Broń, narkotyki, prostytutka, tego typu rzeczy.

– Co takiego! Dlaczego w ogóle chcecie z nim pracować?

– Nie mamy wyboru. Nie on, to kto inny. Costa pomaga nam załatwiać transakcje, których bez niego nigdy byśmy nie przepchnęli. Wie wszystko o dostawach. Wie, jak coś wwieźć do danego kraju i jak coś z niego wywieźć. Ma swoje wtyczki w portach państw Trzeciego Świata, a to dla nas bardzo ważne. Każda pompa przetrzymana w dokach ponad tydzień zostałaby skradziona. Costa potrafi przeprowadzić wszystko przez cło i wywieźć w głąb kraju w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wszystko.

– Czyli jeszcze więcej łapówek.

– Chyba tak. Więcej łapówek. Ale przynajmniej pompy trafiają tam, gdzie Buddy i ja chcielibyśmy je mieć. Bez niego nic byśmy nie załatwili.

– Rozumiem dlaczego wy go potrzebujecie, ale co on z tego ma? To pewnie głupie pytanie. Myślę, że sporo pieniędzy.

– Tak, głównie to – przyznał Simon. – Ludzie tacy jak Costa są wszędzie, gdzie się nie obejrzyś. Zdominowali handel w krajach Trzeciego Świata i nie da się wejść na rynek bez ich pośrednictwa. To powszechnie znana tajemnica. Tylko moja cholerna firma, United Machines, pozostaje bardzo brytyjska i woli raczej utonąć sama niż korzystać z pomocy takich jak on. Już wiele razy mówiłem im, że mogą zapomnieć o niezawodnych dostawach, jeżeli nie mają „agenta”.

– A czy nie moglibyście pracować z kimś innym? Z kimś mniej okropnym?

– Raczej nie. Amerykańskie subwencje to spory interes. Pewnie wiele osób, które zapewniamy, że są dobrymi agentami, nie sprawdziłoby się. Musimy mieć kogoś tak wielkiego jak Costa. Jedna nasza dostawa może być warta milion dolarów, a nawet więcej. Potrzebny jest nam ktoś, kto naprawdę dopilnuje, aby trafiła na miejsce przeznaczenia.

– A zatem wszystko rozbija się o pieniądze? Odpalacie trochę przy każdej dostawie?

– Nie tylko. Costa naprawdę sporo dla nas robi. Lubi z nami pracować i potrzebuje nas dlatego, że dzięki nam ma dostęp do funduszu, o którym już ci wspominałem.

– Do czego potrzebny mu taki fundusz?

– Może zrozumiesz to lepiej, jeżeli zamiast słów „fundusz” czy „bank” powiem „pralnia”. My pierzemy jego pieniądze. Zamieniamy na dolary każdą walutę, jaką akurat obraca, dosłownie na cokolwiek. I nie zadajemy żadnych pytań. Nawet Szwajcarzy nie robią tak od tej afery łapówkowej Lockheeda. A ponieważ jest to bank. Costa może także pożyczać pieniądze. Może wziąć na tydzień dwadzieścia tysięcy, żeby na przykład rozkręcić jakiś interes.

– A potem spłaca dług tak jak w banku, z procentami i tak dalej? Simon znowu się roześmiał.

– Nie ma mowy. Jeden za jeden. Costa gra ostro.

– Teraz już wiem, dlaczego to oddzielacie od innych finansów. Nie miałam pojęcia, że wszystko odbywa się w taki sposób. Tylko dlaczego amerykański rząd w ogóle miesza się do czegoś podobnego? Gdyby to kiedykolwiek wyszło na jaw!

– Gdyby Costa nie znalazł tego, czego mu potrzeba w Waszyngtonie, poszedłby do Seulu albo do Tokio. W ten sposób przynajmniej stale wiemy, co się dzieje.

– To wszystko brzmi potwornie.

Simon wzruszył ramionami i spojrzał na swój kieliszek.

– Pewnie takie jest. Staram się o tym nie myśleć. Moja działka jest czysta. Ja tylko sprzedaję pompy. Więcej nic nie wiem. Muszę tak robić.

Maddie skończyła swoje wino.

– Może dokądś pójdziemy. Co mi teraz pokażesz w tym waszym wspaniałym Cambridge, skoro już widziałam słynną winiarnię?

Rozluźnił się i usiadł wygodniej.

– To zależy, ile masz czasu. Najwspanialsze rzeczy mieszczą się w bibliotece uniwersyteckiej oraz w miejscu, które my nazywamy Real Tennis Courts. Ty wybieraj. Aha, jest jeszcze Byron's Pool. Gwarantuję, że to główne atrakcje tego regionu i żadnej z nich nie można nazwać turystyczną.

– Czy możemy do nich dojść piechotą?

– Do biblioteki i na korty mamy dziesięciominutowy spacer. Do Byron's Pool trzeba jechać samochodem. Znajduje się w pobliżu Grantchester.

– Co to w ogóle jest?

– To rozlewisko rzeki. Do tego miejsca można tylko dopłynąć łodzią z Cambridge. Tam właśnie zaczyna się według niektórych Cambridge. Moglibyśmy zwiedzić kilkanaście uczelni i nie zapamiętałabyś żadnej z nich. Ale wspaniała woda i wspaniałe popołudnie, tego połączenia na pewno nie zapomnisz. Nie ma sensu bawić się w turystę, jeżeli i tak wszystko wyleci z pamięci, prawda? Poza tym wiem, że to ulubione miejsce Buddy'ego w Cambridge. Może, jeżeli tam pojedziemy, uda nam się wymyślić, jak mu pomóc.

Maddie spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Jesteś zupełnie inny niż się spodziewałam – pomyślała. – Sądziłam, że będziesz bardziej przypominał Buddy'ego. Cień człowieka żyjącego przeszłością. Albo

przynajmniej komputerowy szaleniec. Ale ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Nie sądziłam, że cię polubię, a tak właśnie jest.

Uważaj, Maddie – powiedziała sobie w myślach. – Nie zapominaj, po co tutaj jesteś. Nie masz na to wiele czasu.

Jeszcze chwilę milczała, po czym uznała, że dość już patrzenia sobie nawzajem w oczy.

– Zamilkłeś tak nagle. Myślisz o Buddym?

– Nie. Myślałem tylko, że sporo czasu minęło, odkąd miałem okazję zaprosić nową znajomą na obiad. Wiesz jak to jest.

Uśmiechnęła się do niego.

– Świetnie sobie radzisz. Przynajmniej jak na starszego faceta. Dłonią odgarnęła z jego czoła nieistniejący włos.

– Tak lepiej. Poza tym, ja nie jestem przecież „nowa”. Można powiedzieć, że znamy się już od paru lat, choć nigdy nie spotkaliśmy się osobiście.

– Chyba masz rację. Buddy wiele mi o tobie opowiadał. Zamarła na moment. Z trudem zdołała to ukryć.

– Naprawdę? I co takiego okropnego mówił? – Nie zauważył jak była spięta. To dobrze.

– Właśnie staram się sobie przypomnieć. Opowiadał historie z czasów, gdy oboje byliście jeszcze dziećmi i wspominał też o twoim małżeństwie?

– Rzeczywiście wyszłam za mąż i rozwiodłam się, ale od tamtego czasu upłynęło już dziesięć lat. Mój mąż odszedł ode mnie do jednej ze swoich studentek. W dzisiejszych czasach można to uznać za ryzyko zawodowe wykładowcy uniwersyteckiego. Ludzie w pewnym sensie to akceptują. Choć przez to wcale nie było mi łatwiej. Miałam wrażenie, że się rozpadam na drobne kawałki. Dwa lata zabrało mi pozbieranie się ze wszystkim. Bardzo długo nie potrafiłam w ogóle o tym mówić.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru tego odgrzebywać.

– Och, teraz to już nie ma znaczenia. To tak, jakbym mówiła o kimś innym. Buddy uważał, że powinnam jakoś wytrzymać do powrotu Henry’ego. Pewnie ci o tym wspominał.

– Nie.

– To nie ma znaczenia. I tak nie mogłabym. Nie mieliśmy dzieci, to, co nas łączyło, przestało się liczyć. Kiedy Henry wyraził chęć powrotu, ja już go nie kochałam. Nie zniosłabym go jako mężczyzny. Pewnie nie powinnam w ogóle za niego wychodzić. Byłam młoda. Po prostu płynęłam z prądem, nie zastanawiając się nad niczym. A kiedy po raz pierwszy dotarło do mnie, co zrobiłam, nie mogłam już tego odkręcić. Przekonałam

się, że nie zależy mi już na nim. Pewnie pomyślisz, że to nie fair z mojej strony.

– Nie. Wcale nie. Pewnie zostałąbyś z nim, gdyby nie miał tego romansu.

– Tak. Chyba tak. Tylko z rozpędu. Henry nie był zły, ale wystarczyło, że raz coś się między nami zerwało, abym wiedziała, że to już koniec. On nie potrafił tego zaakceptować. Wciąż jeszcze wierzy, że do niego wrócę. Pewnie niektórzy powiedzieliby, że można wybaczyć mu to, co zrobił, tylko że ja nie potrafię i nie chcę. – Wzruszyła ramionami. – A ty i Ellie?

– Ellie. Dlaczego tak o niej mówisz?

– Myślałam, że tak jej na imię. Twojej żonie. Byłej żonie.

– Ellen, nie Ellie. Zanim zostaliśmy małżeństwem, rzeczywiście nazywałem ją zdrobniale Ellie. – Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych czasów. – Potem, już po ślubie, powiedziała mi, że nigdy tego nie lubiła. I od tamtej pory mówiłem do niej Ellen. To dziwne, że akurat ty użyłaś tego zdrobnienia. Mam wrażenie, jakbym cofnął się w czasie.

– Ellen czy Ellie. Nie ma różnicy. Co się między wami stało? – I dlaczego akta nie były aktualizowane? – dodała w myślach.

– Można powiedzieć, że zostałem „projektem zaniechanym”. Nie chodziło o jakąś jedną rzecz. Żadne z nas nie miało romansu ani ekscytującej przygody. Nie. Po prostu pewnego dnia zaczęliśmy dzielić nasze rzeczy i rozstaliśmy się.

– A dzieci?

– Mam tylko syna. Lewesa. Pewnie musiało to zrobić na nim wrażenie, ale przypuszczam, że i tak byłoby gorzej, gdyby patrzył, jak ja i Ellen bez końca sobie wymyślamy. Nigdy nie dowiem się tego na pewno. Akurat ta część naszego rozstania do dziś nie daje mi spokoju. Nawet teraz.

– Czyli nie zamknąłeś tego rozdziału?

– Rozdziału? Wiem, że ludzie tak mówią, ale nigdy nie wiedziałem, co to dokładnie oznacza.

– Oznacza zakończenie czegoś. Po prostu koniec.

– W takim razie jest niewłaściwe. Przecież nie istnieje żaden definitywny koniec związku. Nawet kiedy wydaje się, że wszystko już skończone. Wystarczy pomyśleć o dzieciach, przecież ta część małżeństwa zostaje na zawsze. Nie można tak po prostu powiedzieć „koniec”, zamykam sprawę i odchodzę.

– Myślę, że można. Trzeba przynajmniej spróbować. Może ty też powinienes.

– Nie. Związki między ludźmi to nie jakieś pudełka, które można

otwierać i zamykać. Wpadasz w sieć i część ciebie już na zawsze pozostaje w nią zaplątana. Gdybym „zamknął rozdział”, tak jak ty to nazywasz, wyparłbym się wszystkich dobrych rzeczy, które wydarzyły się w ciągu tych lat. A przecież było ich sporo. Myślę, że dla niej również.

Kiedy ty zmądrzejesz, Simon – pomyślała Maddie. – Otwieranie i zamykanie związków? Ja w ten sposób zarabiam na życie. Każdy może odejść, kiedy tylko chce. Zresztą, nie mam zamiaru słuchać wykładu z filozofii na temat relacji międzyludzkich, potrzebuję kilku odpowiedzi.

Oparła brodę na rękę.

– Założę się, że Ellen nie miałaby nic przeciwko większej gotówce. Czy ona nie starała się wpłynąć na ciebie? Nie namawiała, żebyś wprowadził w życie swój plan?

– Raczej nie. Ona nigdy nie wierzyła, że potrafię to zrobić. Właściwie to nie pamiętam, aby w ogóle wierzyła, że potrafię robić cokolwiek. Kiedyś podczas kłótni powiedziałem jej, że znalazłem sposób, a ona tylko machnęła ręką i stwierdziła, że powinienem w końcu spoważnieć.

– Ale ty przecież nic nie znalazłeś, czy tak? W końcu miała rację.

Westchnął.

– To prawda. Przebrnąłem przez najtrudniejsze etapy, ale nie zacząłem nawet następnego, na który trzeba poświęcić kupę czasu. Dopracowanie szczegółów trwa najdłużej. Już wtedy, gdy zauważyłem tamten brak ciągłości, wiedziałem, że pewnego dnia uda się zrealizować mój plan.

– Jesteś tego taki pewien?

– Tak. Zresztą, po co ciągle do tego wracasz? Mam wrażenie jakbyśmy jeździli w kółko. Opróżniliśmy kieliszki, możemy więc ruszać do Byron's Pool.

– Hej! Nie popędzaj mnie. Nie mogę pić tak szybko. Lepiej powiedz mi coś jeszcze o Lewesie. Dlaczego wybrałeś takie dziwne imię?

– Wcale nie jest dziwne – sprzeciwił się Simon. – Tak nazywało się miasto, skąd pochodził ród mojej matki. Przypuszczam, że to imię było pewnego rodzaju kompromisem. Powinienem może nadać mu imię jakiegoś bohatera. Takie jak Marko albo Jurij.

– Imię bohatera?

– No tak. Widzisz, kiedy chłopcy dorastają, zawsze żałują, że nadano im imię jakiegoś krewnego, a nie bohatera, którego podziwiają. Gdy ja miałem dziesięć lat, chciałem mieć na imię Jurij, tak jak Gagarin. Wspaniały człowiek, wspaniałe imię. Niestety ja byłem tylko zwykłym, nudnym Simonem.

Wspomnienie imienia Jurij zaskoczyło Maddie. Przed oczami stanął jej

obraz Mikaela Łomakina powalonego na ziemię, a potem zastrzelonego. O Jezu – pomyślała. – Czy z nim zrobią to samo jeżeli powiem, że to on. Może on jest niewinny; może go puszczać wolno. A może jest po prostu bardzo sprytny. Uważaj, Maddie, to tylko praca. Nie angażuj się w nią za bardzo.

Simon chyba nie zauważył jej zmieszania.

– Albo – ciągnął swój wywód – mógłbym dać mu na imię Buzz.

– Buzz? Na cześć Buzza Aldrina, tego, który lądował na księżycu? – Przekrzywiła głowę na bok. Uśmiech wyrażający zdziwienie i zainteresowanie powrócił na jej usta.

– Tak, ale nie dlatego, że poleciał na księżyc. Raczej ze względu na to, co powiedział, gdy na nim wylądował.

– Masz na myśli słynny „jeden mały krok”? Sądziłam, że to słowa Armstronga. Nie pamiętam, żeby Aldrin powiedział coś wyjątkowego.

Simon, pewien swego, pokręcił głową.

– Nie dostało się to co prawda do gazet, ale jego kwestia była znacznie bardziej interesująca.

– To znaczy jaka? – Maddie uśmiechnęła się. – Co takiego powiedział?

– Żeby to zrozumieć, musimy odrobinę cofnąć się w czasie. Kiedy Buzz miał mniej więcej dziesięć lat, lubił bawić się w samolot. Tamtej niedzieli też biegał po podwórzu za domem swoich rodziców, rozkładając szeroko ręce i udając samolot. W tym czasie jego sąsiedzi, pan i pani Blumenstein, odpoczywali po obiedzie. Pan Blumenstein uznał, że czas dodać ich związkowi nieco pikanterii i postanowił namówić swoją żonę, żeby przyłączyła się do niego i spróbowała, jak mam to określić, seksu oralnego.

– Co! – wykrzyknęła Maddie wybuchając śmiechem.

– Ciii! Właśnie tak. Wtedy pani Blumenstein powiedziała do męża: „Tak to możliwe, jak to że ten mały Aldrinów przespaceruje się po księżycu”. Nie wiedziała tylko tego, że Buzz wtedy tankował paliwo akurat pod otwartym oknem ich sypialni i słyszał, o czym mówili. Dziwnym trafem, zapamiętał wszystko.

Teraz Maddie trzęsła się już ze śmiechu.

– No i jak się okazało – ciągnął Simon, który też zaczynał się śmiać – kiedy Aldrin rzeczywiście doleciał na księżyc i zszedł na jego powierzchnię, wykrzyknął: „No to już, pani Blumenstein! Niech się pani do tego zabiera!”.

Po dłuższej chwili, gdy oboje przestali się w końcu śmiać, Simon zapytał:

– No to jak myślisz, dobre imię czy nie?

– Myślę, że to kolejna zmyślona przez ciebie historyjka – odparła Maddie i znów wybuchła śmiechem. – Ale jak na to zareagowała Ellen?

– Na co? Na oralny seks czy na imię?

– Na imię, ty wariacie!

– Niestety, nigdy nie miałem okazji o nie spytać. Nie przeszłoby przez rodzinną cenzurę!

– Mam wrażenie, że nie.

– Zresztą, dość już tego gadania o przestrzeni kosmicznej. Myślę, że powinniśmy ruszać do Byron's Pool.

– Tak jest. Wszystko gotowe, sir.

– To dobrze. Muszę jeszcze tylko wpaść po drodze do biura i odebrać pocztę.

Wyszli razem na zalaną słońcem ulicę i skręcili w Kings Parade, przy której mieściła się firma United Machines. Chodnik był niemal całkowicie zastawiony rowerami, więc Simon chwycił dłoń Maddie, ciągnąc ją na drugą stronę.

Ona jednak przysunęła się bliżej niego i wzięła go pod ramię.

– Chyba nie znasz piosenki Boba Dylana – powiedział.

– Jak to?

– W jednym ze swoich kawałków śpiewa: „Podałem jej mą dłoń, lecz wzięła mnie pod rękę, w tej chwili pomyślałem, że zgotuje mi mękę”.

Ścisnęła lekko jego ramię.

– Znam tę piosenkę i nie zamierzam zgotować ci męki. Ze mną jesteś bezpieczny. Zresztą myślę, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy tak szli.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie. Prawdę mówiąc, podoba mi się to. – Odwzajemnił jej uścisk. Stanęli przed wejściem do jego biura. Były to małe czarne drzwi obok witryn sklepu.

– Poczekaj tu na mnie – poprosił. – To zajmie mi tylko chwilę. Ginny czekała na niego.

– Myślałam, że już nie żyjesz – stwierdziła. – Próbowałam złapać cię w domu, ale pewnie zażyłeś swój cudowny lek i wyfrunąłeś. Powinnam była wiedzieć. – Skinęła głową w stronę okna. – To twoja Matka Teresa?

– Dzień dobry, Ginny. Możesz przestać bawić się moim kosztem. Czy jest do mnie coś pilnego?

– Tak. Dzwoniła Kay. Prosiła, żebyś natychmiast się z nią skontaktował.

- Zostawiła jakąś wiadomość.
- Nie. Mówiła tylko, żebyś zadzwonił do niej, jak tylko się pojawisz.
- Zrobię to później. Coś jeszcze?
- Mnóstwo spraw, ale skoro jesteś taki chory, pewnie nie dasz sobie dziś z nimi rady. Musisz tylko być tu jutro rano.
- Na pewno.
- To dobrze, o dziesiątej masz spotkanie z KK. Włóż garnitur.
- Dzięki. Aha, jeszcze jedno, czy Kay mówiła, gdzie będzie?
- Nie. Pewnie u siebie. Powiedziała tylko, że później idzie do miejsca z oknami. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Zadzwon do niej wieczorem.
- Z oknami? Ach tak. Wiem, gdzie to jest. Teraz nie mogę tu zostać. Mam już żółte światło. Jeżeli Kay zadzwoni jeszcze raz, przekaż jej, że obiecałem zadzwonić do niej później.

Ginny uśmiechnęła się i przesunęła z krzesłem trochę bliżej okna, tak że mogła wyrzeć na ulicę. – Żółte światło? Według mnie wygląda na tlenione.

- Nie. To naturalny kolor. Możesz mi wierzyć.
- Daj spokój, Simon! Przecież nawet stąd widzę jej odrosty. Lepiej uważaj. Nie zapowiada mi nic dobrego.
- Masz na myśli to, że jestem taki chory i w ogóle?
- Nie. Raczej to, że jesteś taki głupi i w ogóle.
- Dzięki. Do zobaczenia jutro rano.

Ginny patrzyła za nim smutno gdy schodził na dół. On naprawdę nie grzeszy mądrością w sprawach z kobietami – pomyślała. – Dlaczego nie widzi, że to, czego naprawdę mu trzeba, ma tuż obok siebie, we własnym biurze? Lepiej by mu było z kimś spokojnym i godnym zaufania, takim jak ja, a nie z tą żółtą pułapką czekającą na zewnątrz.

Spojrzała na biurko. W niewielkim lusterku obok monitora dostrzegła swoje odbicie. Może rzeczywiście miała nieco zbyt pospolitą urodę. Była trochę za chuda, ale za to rozsądna i praktyczna, a Simon potrzebował trochę równowagi w swoim szalonym życiu. Pewnie zdołałaby jakoś wpłynąć na jego skłonność do zbyt długich przerw obiadowych.

Przerwy obiadowe? Uśmiechnęła się wspominając, ile razy ona i Simon karmili razem kaczki na rzece. Rozmawiali przy tym swobodnie, starając się odnaleźć sens w życiu. Miała wrażenie, że zwłaszcza w czasie trwania procesu rozwodowego był mu potrzebny jej spokój i rozsądek.

Zawsze kiedy wyjeżdżał za granicę, przywoził jej małe figurki albo obrazki kaczek. Czasem były wymyślnie zdobione, tak jak ta z Dalekiego

Wschodu. Gdy pojechał na konferencję do Danii, przywiózł jej raz z Kopenhagi prawdziwą porcelanową kaczkę.

Jeżeli nie udało mu się znaleźć żadnej kaczki, przywoził malowane jajeczka. Trzymała je w drewnianej misie na biurku. Kaczki zajmowały specjalne miejsce na półce w jej sypialni. Stały rzędem blisko okna, a pod każdą z nich, Ginny umieściła karteczkę z opisem, skąd pochodziła.

Miała nadzieję, że pewnego dnia Simon zechce je zobaczyć, ale nigdy jej o to nie poprosił. Właściwie nigdy nie wspominał o ich „kaczkowym” zwyczaju. Tylko gdy dawał jej kolejny egzemplarz do kolekcji, mówił: „Kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że jest specjalnie dla ciebie”.

Ginny zamyśliła się, patrząc na naczynie z drewnianymi jajkami. Potem szybko zabrała się za stos faktur i korespondencji piętrzący się na stole przed nią. Miała jeszcze mnóstwo pracy.

Maddie stała odwrócona plecami do słońca. Simon uważał, że jej włosy wyglądały wspaniale.

– Wstąpimy jeszcze tylko do sklepu po wino i pożyczymy dwa kieliszki.

– Piknik – rozpromieniła się Maddie. – Uwielbiam pikniki. Kiedy wyszli ze sklepu, znowu wzięła go pod rękę.

– Gdybym wcześniej wiedziała, że z tobą można się tak świetnie bawić, nakłoniłabym Buddy’ego, żeby nas wcześniej sobie przedstawił.

– Tak, tylko że ja wtedy byłam żonaty, prawda?

– Zmusiłabym ją, żeby mi ciebie wypożyczała na pikniki. Darmowe popołudnia.

– Nie ma czegoś takiego jak darmowe popołudnie.

– Ty zawsze wiesz co powiedzieć, Simon.

– Być może. Mam nadzieję, że to zapamiętasz. Na pewno – pomyślała.

– Na pewno.

Dziesięć minut później wysiadali już z samochodu na zarośniętym trawą parkingu przy moście, niedaleko od Byron’s Pool. Dalej ruszyli na piechotę ścieżką biegnącą między rzeką a lasem. Powietrze było nieruchome i ciepłe. Słońce rozświetlało wodę w miejscu, gdzie opływała korzenie drzew przy brzegu rzeki. Białe nasiona wierzbówki delikatnie lądowały na falach, które unosiły je ze sobą. Szli w milczeniu.

Ścieżka prowadziła aż do rozlewiska. Znaleźli równy teren niedaleko brzegu i usiedli na trawie. Na lewo od nich, woda cicho rozpryskiwała się o groblę. Simon podniósł patyk i wrzucił go do rzeki. Patrzyli, jak fale wokół niego rozchodzą się kręgiem i zanikają.

– W podobne popołudnie Buddy po raz pierwszy zobaczył to miejsce –

odezwał się Simon. – To już chyba pięć lat minęło od tamtej wyprawy. Pamiętam, że zachwycił go niewiarygodny spokój tego zakątka. Mówił o nim „wyspa ciszy”. Akurat wtedy rozwodził się, więc wszędzie było spokojnie w porównaniu z tym, przez co przechodził w domu.

– Miał rację – powiedziała Maddie. – Tutaj panuje wyjątkowy spokój. Niezależnie od tego, czy ktoś się właśnie rozwodzi czy nie.

– Tak. Buddy ciągnął mnie tu za każdym razem kiedy przyjeżdżał do Cambridge. Twierdził, że to miejsce jest odgradzone od reszty świata.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym.

– O Chryste. Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

– To nic. Zresztą, w pewnym sensie to już przeszłość. Odtąd jego życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Zobaczy wszystko w innym świetle.

– Skąd wiesz?

– Ktoś mi o tym opowiadał. Nie pamiętam już kto.

– Mam nadzieję, że nie zmieni swego zdania na temat tego miejsca.

– Raczej nie. Przypuszczam, że polubi je jeszcze bardziej. Pewnie będzie niecierpliwie czekał każdej następnej wizyty.

– Postaram się zapamiętać te słowa. Chciałbym, żeby jeszcze kiedyś tu wrócił.

– Na pewno. Nie martw się tym. W ten sposób nie pomożesz żadnemu z was.

Kiedy rozmawiali, spomiędzy trzcin rosnących przy wodzie wyleciała ważka. Mignęła błękitem i zielenią przelatując ponad wodą w ich stronę, a później z powrotem.

– Ważka. Poślaniec – powiedział Simon.

– Poślaniec?

– Tak. Przecież to ważka, zgadza się? Należy do najstarszych owadów. Ta jest niemal identyczna z jej krewnymi znalezionymi w skamielinach sprzed milionów lat. Większość stworzeń ewoluowała tak, że dziś trudno byłoby dostrzec podobieństwo między nimi a ich przodkami, ale ważka pozostała nie zmieniona.

– Ale dlaczego twierdzisz, że jest pośłańcem?

– Powiedzmy, że chcesz przesłać wiadomość do innego czasu. Przekazałabyś ją ważce. One potrafią podróżować w przeszłość i przyszłość. Mogłaby dostarczyć twoją wiadomość.

– Jesteś zabawny, wiesz? Zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałam. Mówimy o Waszyngtonie, a ty po chwili zaczynasz opowiadać mi bajki o ważkach. Nie mam pojęcia, jaki jesteś naprawdę i której z twych twarzy mogę wierzyć.

– Obu. – Uśmiechnął się. – Waszyngton i pozostałe sprawy są równie ważne w realnym świecie co ważki w tym. W naszym świecie rzeki. Możesz wybierać, w którym świecie chcesz mnie zapamiętać, ja wolałbym ten, w jakim żyją ważki.

Pochyliła się, aby uważniej przyjrzeć się owadowi.

– Chyba jeszcze nigdy nie widziałam żadnej tak blisko. Czy często się tu je spotyka?

– Dość często. Ale raczej wczesnym latem. Ta czekała specjalnie na ciebie, na wypadek gdybyś miała dla niej jakąś wiadomość do przekazania.

Maddie uśmiechnęła się i oparła o niego. Simon objął ją ramieniem. Patrzyli jak słońce bawi się kolorami ważki. Nagle owad znikł równie szybko, jak się pojawił. Simon odwrócił jej twarz ku sobie i delikatnie pocałował Maddie w usta. Opadli na trawę. Maddie położyła głowę na jego ramieniu.

– Nie byłem pewien, czy tego chciałaś – powiedział Simon.

W odpowiedzi Maddie podniosła się i spojrzała na niego. Słońce prześwietlało jej włosy. Uśmiechnęła się, objęła dłońmi jego twarz i pochyliła się, aby go pocałować.

– A więc – powiedziała – teraz już wiesz. Przeczesła dłonią włosy i popatrzyła mu w oczy.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio dałam się komuś pocałować. Mam wrażenie, że przez ciebie zmieniam swoje zasady. Pewnie z powodu tego miejsca. Ono ma na mnie jakiś magiczny wpływ. Już nie wiem, czy to wszystko jest prawdziwe. Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– Dla mnie ten zakątek jest jak najbardziej rzeczywisty – stwierdził Simon. Maddie położyła się obok niego. Poczowała, jak ogarnia ją spokój popołudnia. Zamknęła oczy. Poleżę tak tylko minutę, pomyślała. Odpocznę chwilę.

Niedługo potem zobaczyli dwie małe dziewczynki w wieku mniej więcej dziewięciu lat, które brodząc przy brzegu rzeki szły w ich kierunku.

– Jesteśmy słynnymi odkrywcami! – wykrzyknęła jedna z nich. – Właśnie rozpoczynamy naszą wyprawę! – Wyszły z wody i wspięły się na trawiasty brzeg niedaleko Maddie i Simona, a potem ze śmiechem i piskiem wskoczyły z powrotem do rzeczki i przepłynęły przez głębszą część rozlewiska na drugą stronę. Po chwili znowu bawiły się na płyciźnie przy brzegu, chlapiąc i wyrzucając krople wody wysoko do góry. Połyskujące bryzgi opadały z powrotem do rzeki. Dziewczynki wreszcie wyszły na brzeg i na chwilę odwróciły się do Maddie i Simona, żeby im

pomachać, po czym ruszyły biegiem ścieżką w kierunku, z którego wcześniej przyszły.

– Dzieci rzeki – powiedział Simon. – Przybyły ze świata fantazji. Miałaś szczęście, że udało ci się je zobaczyć. Niewiele osób ma taką szansę.

– Mam wrażenie, że dziś stały się zupełnie realne. Dla nas. W ten szczególny dzień.

Raz jeszcze delikatnie ją pocałował.

– Tak. W ten szczególny dzień. To dziś nasze dzieci. Usiadł i wrzucił jeszcze jeden patyk do wody.

– Musimy zaraz iść. Musimy wracać.

– Chyba nie mam na to ochoty. Nie wiem, czy to, co zastanę, spodoba mi się tak jak ten świat. Czy mogę tu zostać?

– Tak. Możesz. Zawsze już tutaj będziesz. Jak tamte dzieci. Jak ważka. Niektóre rzeczy istnieją nie przywiązane do żadnego czasu. Możesz tu wracać, kiedy tylko zechcesz.

– Czy ty także tutaj będziesz?

– Być może. Bardzo bym chciał.

Powoli wstali i ruszyli ścieżką do samochodu. Idealne popołudnie – pomyślał Simon. Doskonalsze sienie zdarzają.

Odwiózł Maddie do hotelu i spacerem ruszył do miasta, aby odebrać pocztę z biura. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Uśmiechnął się sam do siebie. Już dawno popołudnie nie minęło mu tak szybko. Maddie wydawała się taka przyjacielska. Nie pamiętał, żeby Buddy mówił wiele o siostrze, postanowił przy najbliższej okazji zapytać go, dlaczego. Była bez wątpienia atrakcyjna, ale nie chodziło mu wyłącznie o to. Wydawała się naprawdę zainteresowana nim i tym, co robił. Co więcej, chciała wiedzieć, jak on odbierał pewne sprawy, co sądził na temat Buddy'ego, Ellen, Cambridge. Chciała nawet wiedzieć więcej o jego projekcie, ale doszedł do wniosku, że pytała o to tylko z grzeczności. Mówienie o tym nudziło wszystkich, którzy nie mieli pojęcia, co można było dzięki niemu zdobyć, a ona z całą pewnością nie miała żadnych podejrzeń co do tej strony planu Simona. Miał wrażenie, że była wokół niej atmosfera niefrasobliwości. Ciągle się uśmiechała. Wydawała mu się taka przyjazna, zabawna, atrakcyjna. Więcej chyba nie mógł oczekiwać po pierwszym, wspólnie spędzonym popołudniu. Jutro zamierzał stawić się w hotelu na czas i zabrać ją gdzieś na obiad. Na pewno podobałby się jej jakiś niewielki angielski lokal. Mógłby zaprowadzić ją do Tickell Arms? A potem może znowu przyglądałiby się ważkom.

Nie spieszył się. Szedł, patrząc na nisko zawieszony jesienne słońce. Do biura wszedł nie zapowiadany, otwierając drzwi specjalnym kluczem. Z zaskoczeniem stwierdził, że Ginny wciąż jeszcze pisała coś przy swoim biurku.

– Cholernie interesujące notatki z rady, która się odbyła dzisiaj po południu – wyjaśniła. – Proza mojego życia. Lepiej opowiedz, jak tobie poszło.

– O czym ty mówisz?

– Dokładnie wiesz, o czym mówię, Simon. No i? Jaka jest?

– Skoro już musisz wiedzieć. Jest bardzo miła. Bardzo miła.

– Tylko tyle? – nie dawała za wygraną Ginny. – Kiedy znowu ją zobaczysz?

– Jutro.

– Błyskawica!

– Ja? Błyskawica?

– Niety, panie inteligencie. Ona. Założę się, że już cię owinęła sobie wokół palca.

– Och, nie bądź śmieszna. Jest tylko moją przyjaciółką.

– Ja słyszałam zupełnie co innego.

– Co to ma znaczyć, Ginny?

– Kay znowu dzwoniła i od niej dowiedziałam się sporo o tej twojej przyjaciółce.

– Kay? A co ona ma tutaj do gadania?

– Prawdę mówiąc nic. Tylko my kobiety rozmawiamy ze sobą, jak wiesz. To przecież dozwolone.

– No dobra. A skąd Kay w ogóle wiedziała, że Maddie jest w Cambridge?

– Podobno słyhać o tym w całym tajniackim Waszyngtonie. Zadzwoiła tutaj, ponieważ próbowała skontaktować się z Buddym i zastanawiała się, czy może Maddie wie, gdzie on się podziewa.

– Przecież Maddie widuje go bardzo rzadko. Skąd miałyby wiedzieć, gdzie on jest?

– Na to ci nie odpowiem. Kay prosiła tylko, żebyś zadzwonił do niej w sprawie jakichś danych.

– Dobrze. Żałuję jedynie, że tutaj nikt nie pilnuje swoich spraw, a pcha nosa w cudze.

– Och, daj spokój, Simon. Przecież to nic takiego. Jeszcze jedno, ta twoja Kay mówiła, że z Maddie jest prawdziwa pozeraczka męskich serc. Strasznie przyklepna. Kay miała nadzieję, że będziesz wiedział, co to

znaczy.

– O Chryste!

– Przepraszam. Ja tylko przekazuję, co mi powiedziano.

– To przestań. Skoro nic więcej nie masz dla mnie, pójdę już. Do zobaczenia rano.

– Punkt dziesiąta – zaznaczyła Ginny, a potem pogroziła mu palcem. – Zafunduj swoim butom porządne czyszczenie. Zabłociły ci się podczas tych spacerów po parkach uczelni.

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Lepiej skończ to przepisywanie i idź już do domu.

– Tak jest, kapitanie.

Pół godziny później Maddie wzięła whisky z mini baru w swoim pokoju hotelowym i wyszła na balkon. Musiała się zastanowić, co dalej robić. Miała dwóch Anglików. Jeden z nich musiał być tym, którego szukali. Informacje, które zebrała w Waszyngtonie i tutaj, w Cambridge, nie wskazywały na to, aby istniał ktoś trzeci. Jednak żaden z tych dwóch nie pasował jej do wizerunku komputerowego oszusta. Z nich dwóch wybrałaby Lessinga. A może fakt, że naprawdę polubiła Simona Northcotta, wpływał na jej osąd? Niemożliwe. Zdecydowanie nie była „zaangażowana” według definicji Warkowskiego. Przecież nigdy nie angażowała się emocjonalnie. Owszem, musiała zbliżyć się do niego, aby wyciągnąć od niego informacje, których potrzebowała. Tylko tyle. Dalej nigdy się nie posuwała.

Lessing powiedział jej wystarczająco dużo podczas tamtej kolacji. Wiedziała, że technicznie potrafił to zrobić. Co prawda Simon nie do końca w to wierzył, ale mogła przypuszczać, że Lessing po prostu nie miał zamiaru wyjawiać przyjacielowi, iż wykorzystał jego pierwotny plan, rozwinął go i teraz czerpał z niego korzyści. Sama pracowała jako programista i z własnego doświadczenia wiedziała, że złamanie kodów dostępu wcale nie było aż tak trudne, jak twierdził Warkowski. A mogła przypuszczać, że Lessing nie bez powodu został starszym wykładowcą ekonomii w Cambridge. Musiał radzić sobie z komputerami całkiem nieźle. A zatem wybrała jego.

Uśmiechnęła się, popijając drinka. Biedny Simon – pomyślała. Założę się, że inni przez całe życie wykorzystywali twoje pomysły i ciebie. Taki już jesteś.

Spojrzała z balkonu w dół, na ogród i rzekę. Niedaleko, na łodziach bawiła się hałaśliwa grupa młodzieży. Dziewczęta miały na sobie długie, staromodne suknie, a chłopcy nosili blezery w jaskrawe pasy i słomkowe

kapelusze. Jeden z nich trzymał na kolanach stary gramofon na korbę z wielką tubą – głośnikiem. Skrzeczące dźwięki walca dobiegały aż do Maddie. Dwa wielkie, białe łabędzie płynęły majestatycznie w przeciwną stronę.

Na łące za rzeką krowy pasły się w cieniu wierzb. Maddie raz jeszcze uśmiechnęła się do siebie. Teraz już wiedziała, dlaczego Simon nie chciał mieszkać gdzie indziej.

Po chwili wróciła do swoich poprzednich rozważań. Nawet gdyby Buddy podejrzewał Simona, myślała, nigdy nie oddałby swego przyjaciela na pożarcie tym wilkom, ponieważ wiedział, jak by się to zakończyło. Na pewno Departament nie znaczył dla Buddy'ego więcej niż dziesięcioletnia przyjaźń. Czyli znowu wybór padał na Bella Lessinga.

Bardzo chciała porozmawiać o tym wszystkim z bratem, ale w żaden sposób nie mogła się z nim skontaktować. Próbowwała dzwonić do niego do domu, do biura, do centrum konferencyjnego w Chicago, a nawet do hotelu, w którym, jak powiedziała Nocta, zatrzymał się na kilka dni. Nic. Co on miał na myśli mówiąc o „ingerencji” w konta dolarowe Forexu. Dokładnie takie stwierdzenie przekazał jej Warkowski podczas spotkania.

Wyrzuciła niedopałek papierosa przez balustradę do ogrodu i wróciła do pokoju, żeby zatelefonować.

Położyła się na łóżku i przez chwilę zastanowiła się, jaki obraz sytuacji powinna namalować Warkowskiemu. Już zdążyła się przekonać, że bardziej interesowały go konkretne odpowiedzi niż komentarze, a w tym wypadku odpowiedzią miało być jedno nazwisko, Lessing albo Northcott. Zdecydowała, że tym razem chodzi o Lessinga. Musiała tylko powiedzieć, że zbadala wszystko dokładniej, niż miała okazję w rzeczywistości, gdyby Warkowski chciał poznać jakieś szczegóły sprawy.

Zapaliła kolejnego papierosa, wybrała numer i zaczęła, aż włączy się urządzenie kodujące rozmowę i w słuchawce odezwie się Warkowski.

Wypuściła chmurę dymu.

– To profesor Lessing, generale. Całe popołudnie spędziłam z nim w college'u. Nie mam wątpliwości, to on jest tym, którego szukamy. Jest taki próżny. Nie musiałam go o nic pytać. Wystarczyło siedzieć i słuchać. On uważa to za pewnego rodzaju grę. Włamywanie się do systemów. Transakcje Forexu. Zacieranie śladów. To dość skomplikowane, ale Lessing nie jest aż tak sprytny, jak mu się wydaje. Myśli, że jeżeli zostanie złapany, odpowiada tylko przed sądem brytyjskim za naruszenie prawa ochrony danych.

– Tym większy z niego głupiec. Jutro się przekona.

– Tak przypuszczam, sir. Czy mam wziąć w tym udział?

– Nie. Zorganizuję wszystko stąd. Sam porozumiem się z Mildenhellem w Wielkiej Brytanii. Oni skontaktują się z panią, jeżeli będzie to konieczne.

– Tak jest, sir. A co z jego plikami i aktami? Najlepiej załatwić to tu, na miejscu. Mam nieograniczony dostęp do sieci uniwersyteckiej, z której Lessing korzysta.

– Nie. To też możemy załatwić stąd. Każę Ronaldsowi zbadać później odpowiednie taśmy.

– Oczywiście, generale.

– Dobra robota, Booker. Jeszcze tylko jedno. Northcott? Czy on wie coś o całej tej operacji?

– Nie, sir. Nie ma pojęcia o tym, co robił Lessing. Jego udział polegał jedynie na nieświadomym skontaktowaniu Lessinga z moim bratem. Przypuszczam, że spotkali się na stopie towarzyskiej. Ma pan dokumentację wszystkich kontaktów.

– Tak, pani major. Dziś rano rozmawiałem z pułkownikiem Marlinem. Bardzo się cieszy, że to właśnie pani jest w Cambridge. Chciałbym, żeby została tam pani jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny. Proszę obserwować reakcję Northcotta po tym, jak zdejmujemy Lessinga. Jeżeli cokolwiek wie, na pewno się z tym zdradzi.

– Tak, generale. Wykonam polecenie, ale jestem pewna, że nie ma o niczym pojęcia.

– A ta sprawa z kartami kredytowymi?

– Okazuje się, że to nie takie trudne, generale. Kilku studentów z wydziału informatyki odkryło na to sposób. Podobno wiele osób tutaj wie o tym. Sądzę, że Amex już zlikwidował słaby punkt swej sieci, ale mogę to sprawdzić.

– Proszę tak zrobić. Czekam na raport. Zleciłbym to Rolandsowi, ale przypuszczam, że ma już dość roboty tutaj co najmniej na tydzień. Czy wie pani, z kim należy się kontaktować?

– Tak jest, sir.

– A zatem rozumiem, że na tym sprawa się zakończy. Zobaczymy się za trzy dni, gdy stawi się pani u mnie z raportem.

Klik. Koniec.

Maddie powoli odłożyła słuchawkę. Zaciągnęła się dymem papierosowym i wypuściła jego chmurę na sam środek pokoju. Patrzyła, jak zatacza kręgi i płynie w kierunku okna.

Sprawa zakończona? W pewnym sensie. Musiała jeszcze tylko

wystraszyć Simona tak bardzo, aby już nigdy nie próbował swoich głupich gier z transakcjami giełdowymi. To nie powinno przysporzyć jej trudności. Wyglądał na takiego, którego łatwo przerazić. Może nawet mogła się nieźle przy tym zabawić.

Wzięła długi prysznic, po czym przebrała się i zeszła na dół, na kolację. Drzwi balkonowe restauracji stały otworem. Po rzece raz po raz przepływały płaskodenne łodzie powracające do Cambridge. Booker znowu usłyszała poszarpane dźwięki walca. Wyjrzała przez okno. To była ta sama grupa młodych ludzi. Musieli pływać po rzece przez godzinę albo dłużej. Czy tyle wystarczyło na dopłynięcie do Byron's Pool? Raczej nie. Za daleko. W innym świecie, pomyślała.

Wracając do swego pokoju, z zaskoczeniem zauważyła, że w recepcji czeka na nią wiadomość.

– Pewien pan zostawił to mniej więcej pół godziny temu. Dzwoniłem do pani pokoju. Nie wiedziałem, że zeszła pani do restauracji. Gdybym wiedział, wysłałbym go do pani.

Wzięła żółtą kopertę do pokoju. Wyszła na balkon i otworzyła ją. Wieczne słońce właśnie znikало za horyzontem. W kopercie znalazła niewielkie pudełko. Zdjęła wieczko i zobaczyła piękną broszę giętą ze srebrnego drutu. Zdumiona, wróciła do pokoju i zapaliła światło, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Od razu zauważyła, z jakim kunsztem wykonano tę niezwykłą ozdobę. Ale to nie robota jubilera tak ją zachwyciła. Zdumiał ją kształt. Była to srebrna ważka. Doskonała w każdym calu.

Gdy Maddie stała w pokoju hotelowym w Cambridge, Kay siedziała przy swoim biurku w Departamencie Stanu. Splecione dłonie założyła za głowę. Do pokoju wszedł Jake Cohen.

– Znalazłaś już te telefony? Chcę dostać spisane taśmy przed Bradleyem. Niech go cholera, podczas wczorajszego spotkania ta gnida nawet mi nie powiedziała, że ich potrzebuje. A dziś dowiaduję się o wszystkim dopiero wtedy, kiedy gównem jest sześć centymetrów od wentylatora.

– Tak, Jake. Znalazłam je. To rutynowe rozmowy. Właśnie wysłałam taśmy do sekretarki, żeby je spisała. Przed szóstą będziesz je miał na biurku.

– Rutynowe rozmowy? Jeżeli tak, to dlaczego Buddy korzystał z bezpiecznej linii?

– Ponieważ musiał zachować ostrożność. On i Northcott rozmawiali o płatnościach dla Costy. Buddy miał rację, że skorzystał z kodowania.

– Czy ktoś manipulował przy zapisie rozmów? Robiono jakieś kopie?

Muszę wiedzieć, że te są oryginalne. Nie przepuszczę niczego Bradleyowi.

– Sprawdziłam część transkrypcji, Jake. To na pewno właściwe rozmowy, żadnych kopii nie robiono.

– Dobra. Przyślij mi je, jak tylko się pojawią.

– Tak. Nie przejmuj się, Jake. Naprawdę wiem, co robię.

– Mam taką nadzieję, majorze. Trudno przewidzieć, co szef może zrobić. Jest w podłym humorze.

– Wiem.

Kiedy Jake wyszedł z pokoju, przeczesła palcami włosy. To był okropny dzień.

Jak tylko przesłuchała pierwszą taśmę, wiedziała co się święciło. Najpierw wpadła w panikę. Chciała dzwonić do Buddy'ego. Do Simona. Zrobić cokolwiek. Ale wyrządzonych szkód już i tak nie dałoby się naprawić.

Ze wszystkich sił starała się zapanować nad sobą. Potem przez cztery godziny siedziała z głową opartą na pięściach i zastanawiała się, co mogła zrobić.

Następne cztery godziny pracowała nawet bez przerwy na kawę. Godzina na zdobycie dostępu do rejestru telefonów. Godzina na podstawienie rozmów mniej więcej tej samej długości z jej własnego logu. Jeszcze jedna na ich edycję, dodawanie i kasowanie pojedynczych słów, aż do chwili gdy utworzyły one idealnie spójną całość. Ostatnią godzinę poświęciła na zamianę pierwotnych pozycji, załogowanie nowych oraz na wyjście z systemu i zatarcie śladów.

Zrobiłam tyle, ile mogłam – pomyślała ze złością. Teraz muszę znaleźć jakiś sposób, aby ich powstrzymać. Przecież to totalne szaleństwo. Muszę jakoś do nich dotrzeć i przekonać ich o tym. Muszę. Dlaczego, do cholery, nie odpowiadali na moje telefony? Gdzie byli?

Jeszcze trzy razy próbowała połączyć się z numerem hotelu Buddy'ego w Chicago, ale telefon był zajęty.

Godzinę później przyniesiono jej już przepisane transkrypcje. Przeczytała je bardzo uważnie, podpisała jako właściwe i zabrała do biura Jake'a Cohena, które mieściło się w końcu korytarza.

– Co tak długo? – zapytał, gdy weszła.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Wysłałam je na dół po obiedzie. Pewnie byłoby szybciej, gdybym sama je przepisała.

Jake przejrzał kartki, czytając od czasu do czasu po zdaniu.

– Nic tu nie ma, tak? – spytał, spoglądając na Kay. – Nie rozumiem po co to całe zamieszanie, a ty?

– Ja też nie. Pewnie Bradleyowi coś nagle strzeliło do głowy. Szef za często daje mu wolną rękę.

– Może i tak. Ale tym razem musi chodzić o coś więcej, bo Rolands też został wciągnięty w sprawę.

– Rolands? – zdziwiła się. – A co on ma z tym wspólnego?

– Mnie o to nie pytaj – odparł Jake, składając podpis obok nazwiska Kay na pierwszej stronie dokumentów. – Podobno doszło do jakiegoś przecieku, a te rozmowy odbyły się dokładnie w tym samym czasie, kiedy ktoś zdobył dostęp do naszego superkomputera.

– Jeżeli tylko tyle mają, to mogłam im zaoszczędzić sporo pracy. Buddy sam nie wiedziałby, jak użyć kodu dostępu. Przecież za każdym razem muszę mu to od nowa pokazywać, sam wiesz.

– Może i tak, Kay, ale ten Anglik, Northcott?

– Simon? Nie wierzę. Co prawda bawi się trochę z komputerami, ale to nic poważnego. Nie potrafiłby nawet wejść do naszego systemu. Musiałby mierzyć czas między kolejnymi klawiszami kodu, a przecież nie zna sekwencji.

– Ja o tym wiem, ale Buddy mógł mu je przekazać.

– Och, daj spokój, Jake. Oboje wiemy, że nie zrobiliby tego nawet gdyby wiedział, co ma dać Simonowi.

– Wszystko jedno. – Jake oddał jej teczkę z transkrypcjami. – Zabierz to na dół i oddaj Disleyowi. On już przekaże papiery szefowi. To wszystko. Potem możesz iść do domu. Co za dzień!

Kay wzięła teczkę i zjechała windą na dół do poziomu, na którym mieścił się gabinet Warkowskiego. Zastanawiała się, dlaczego nie mogła nigdzie złapać Buddy'ego. Wszędzie zostawiała wiadomości dla niego, ale mimo to nie odezwał się. Przedtem zawsze mogła się z nim skontaktować, nawet kiedy wyjeżdżał z Waszyngtonu. Zdarzało się, że zapominał o czymś ważnym i dlatego odpowiadał na jej wiadomości zaraz po ich otrzymaniu. Zawsze, tylko nie dziś.

Drzwi windy otworzyły się. Kay podeszła do żołnierza i podała mu teczkę.

– Dziękuję, pani major. Generał chciał zobaczyć się z panią osobiście.

– Ze mną? – spytała zaskoczona. – Jest pan pewien?

– Tak. Proszę za mną.

Idąc betonowym korytarzem, czuła narastający niepokój. Dotąd tylko dwukrotnie miała okazję spotkać generała Warkowskiego. Raz, gdy została mianowana na swoje stanowisko, i drugi raz, podczas waszyngtońskiego przyjęcia dla gości Departamentu Bezpieczeństwa. Ani

razu nie dał jej do zrozumienia, że wie o niej więcej niż tylko jak ma na imię.

Disley wystukał kod na klawiaturze i otworzył ciężkie drzwi, wpuszczając Kay do środka.

Warkowski czytał jakieś dokumenty, gdy podeszła do stołu.

– Proszę usiąść, pani major. Czy ma pani te transkrypcje? – spytał, nie podnosząc wzroku znad papierów.

– Tak, mam je tutaj, sir – odparła, zajmując miejsce naprzeciwko niego.

Generał zgarpnął dokumenty i wsunął je do leżącej przed nim teczki. Dopiero wtedy spojrział na nią i wziął papiery, które przyniosła. – Czy transkrypcja jest poprawna? Przesłuchała pani taśmy?

– Tak, sir. Generał Cohen również je przesłuchał i podpisał dokumenty.

– No i?

– Sir?

– Co pani o nich sądzi, pani major? – zapytał lekko kpiącym tonem.

– To rozmowy w interesach, sir. Dotyczą głównie uzgodnionych warunków dostaw oraz dat spotkań z panem da Costą.

– Skoro tak, to dlaczego pułkownik Marlin skorzystał ze specjalnej linii?

– Prawdopodobnie na prośbę doktora Northcotta, sir. Firma, dla której pracuje, United Machines, nie dopuszcza współpracy z panem da Costą i dlatego doktor Northcott poprosił o dodatkowe zabezpieczenie.

– Czy aby na pewno, pani major? – Warkowski zaczął czytać transkrypcję.

Patrzyła na niego z niepokojem. Raz czy dwa wracał do poprzedniej strony, żeby coś sprawdzić. Jej niepokój rósł. Wiedziała, że Warkowski przeczyta raport, nie miała tylko pojęcia, że zrobi to tak dokładnie.

Kiedy skończył i spojrział na nią, jego wzrok nie wyrażał nic.

– Czy wie pani, dlaczego zarządzono ów stan pogotowia, pani major?

– Nie, sir.

– W takim razie jest pani chyba jedyną osobą w tym budynku, która tego nie wie.

Nie odpowiedziała. Patrzyła mu tylko prosto w oczy. Do gry potrzeba dwojga – pomyślała.

– Chodzi o kody dostępu. Ktoś manipulował sekwencjami naszego superkomputera. Nie podoba mi się to.

– W mojej sekcji dystrybucją kodów zajmuję się ja, sir. Dostęp do nich jest ściśle ograniczony.

– W takim razie na pewno wie pani, kto co otrzymuje.

– Tak, sir. Mogę dostać się do wszystkich komputerów osobistych w systemie naszego piętra. Tylko pułkownik Marlin i generał Cohen mają możliwość korzystania z głównego komputera tutaj, na dole. Major Bradley codziennie rano przynosi mi zapieczętowane kody i razem zabieramy je do starszych oficerów, którzy łamią pieczęcie w naszej obecności. Potem umieszczamy je w jeszcze jednej kopercie, składamy na niej podpisy i major Bradley zabiera kody na dół.

– Za każdym razem, majorze?

– Za każdym razem, sir.

– Czy nie wydaje się pani, że trochę za dużo z tym zachodu?

– Nie, sir. Wiem, jak ważne są te kody. Generał Cohen ściśle przestrzega przepisów bezpieczeństwa. Wszyscy musimy to robić.

– Dobra odpowiedź, pani major. Mam nadzieję, że jest też prawdziwa.

– Prawdziwa, sir?

Warkowski nie odpowiedział, tylko wyprostował się w fotelu i spojrzał na nią chłodno.

– No dobrze – odezwał się po dłuższej chwili. – Jak przebiega sprawdzanie pułkownika Marlina?

– Już skończyłam, sir. Właśnie pisałam raport, gdy zostałam poproszona o rozszyfrowanie tych rozmów telefonicznych. Pełne sprawozdanie otrzyma pan jutro z samego rana.

– Czy jest w nim cokolwiek o tej katastrofie z dostawą kontenerów z Lagos i Manili?

– Tak, sir. Znam tę sprawę. Przejrzałam całą korespondencję przesłaną pocztą elektroniczną.

– I?

– Sądzę, że błąd popełnili celnicy w Lagos. Zawsze coś pomylą albo przekręcą, ale nigdy dotąd nie doszło do tak poważnego uchybienia.

– A co do umowy składowej w Puerto Rico? Czy to także uwzględniła pani w swoim raporcie?

Miała nadzieję, że wyraz jej twarzy nie zmienił się.

– Tak, sir. Sama zostałam w to zaangażowana bezpośrednio. Pułkownik Marlin poprosił, abym mu towarzyszyła na spotkaniu z panem da Costa, kiedy to przekazana została opłata wstępna.

– Opłata wstępna. Czy on ją tak określił?

– Tak, sir.

– A dokumentacja? Jak o niej mówi? Czy tam także użyto tej samej nazwy?

– Tak, sir.

– I rzeczywiście jest to opłata wstępna?

– Nie, sir.

– A zatem co?

– Pieniądze na rozkręcenie interesu. Da Costa chciał wykorzystać je do stworzenia łańcucha transakcji. Pułkownik nazywał to pożyczką i mówił, że cała suma zostanie zwrócona w przeciągu siedmiu dni.

– Ale w papierach widnieje to jako „opłata wstępna”? Zgadza się?

– Tak, sir. We wszystkich.

– We wszystkich. To dobrze. W takim razie czekam jutro rano na pani raport. Proszę, wychodząc, poprosić do mnie Disleya.

Audiencja zakończona. Kay wstała i ruszyła do drzwi.

– Jeszcze tylko jedno, majorze – zawołał za nią generał. – Czy Northcott mógł zdobyć kody?

Spodziewała się tego pytania, ale i tak cieszyła się, że padło w chwili, gdy była odwrócona do generała plecami. Zapanowała nad sobą i odwróciła się do niego.

– Doktor Northcott? Nie. W żaden sposób nie mógł zdobyć kodów.

– Szybko pani odpowiedziała.

– Tak, sir. Jediną osobą, od której mógł te kody dostać, jest pułkownik Marlin, a on nie przekazałby ich nikomu. Znamy obu współpracowników dość dobrze, sir.

– A tak. Co nieco o tym słyszałem.

– Sir?

– Czy Northcott przypadkiem nie kręcił się koło pani jakiś czas temu? Jak na kogoś, o kim myślała, że zna tylko jej imię i nazwisko, Warkowski wiedział o wiele za dużo.

– Tak, to prawda. – Zdołała zmusić się do uśmiechu. – To było kilka lat temu. Szybko sobie z tym poradziłam, sir. Myślę, że tak naprawdę mu na mnie nie zależało, a poza tym był wtedy trochę pijany. Uznałam jednak, że i tak powinnam to zgłosić przełożonemu.

– Cieszę się, że tak się stało – powiedział Warkowski. – Zmroziła go pani jednym ze swych słynnych „lodowatych uśmiechów”?

– Można to i tak określić, generale. – Czy zostało jeszcze coś czego on nie wiedział?

– To wszystko. Może pani iść. – Otworzył teczkę z zapisem rozmów telefonicznych i znowu zagłębił się w lekturze.

Waszyngtońskie gierki – pomyślała Kay, jadąc windą na górę. To tylko waszyngtońskie gierki. Buddy nie jest jedynym, który tak ich nienawidzi.

Kenneth King, KK, siedział przy swoim uporządkowanym biurku, w siedzibie United Machines, i przyglądał się zielonym wydrukowi. Przerzucił jedną czy dwie kartki, ale potem odłożył je z powrotem na stos. Dłonie położył na płask po obu stronach sterty i spojrzął na Simona.

Pracę w firmie zaczęli razem jako młodzi chłopcy. Simon piął się w górę powoli, a ostatnio zaczął się z niej staczać, natomiast KK zawsze radził sobie świetnie. Kiedy zwolniła się posada kierownika działu, obaj wiedzieli, że dostanie ją King. Gdy Simon awansował na podobne stanowisko, King był już w zarządzie firmy. Kenneth ożenił się w młodym wieku i miał czworo dzieci, natomiast Simon długo zwlekał z małżeństwem i jego syn urodził się znacznie później. W czasie gdy Simon borykał się z rozwodem, King planował wesele najstarszej córki.

Simon często zastanawiał się, czy mógłby rozegrać to wszystko inaczej i lepiej. Wiedział, że Kenneth wcale nie był bardziej inteligentny ani nie znał się lepiej na projektach. Po prostu pracował powoli i konsekwentnie, tak że w przeciągu kilku lat sprzedał więcej.

Czasem Simon mówił sobie, że niektórzy po prostu mieli szczęście, a innym ono nie dopisywało. Później jednak przekonał się, że jest inaczej. Niekiedy odnosili sukcesy, a inni nie.

Teraz Simona czekała kolejna przeprawa. Usiadł w fotelu stojącym przy ścianie i patrzył, jak Kenneth odrywa dłonie od blatu, a potem opiera brodę na palcach.

– Pewnie jesteś tym równie zawiedziony jak ja – powiedział King. – Wiem, że ciężko pracowałeś, ale, prawdę mówiąc, nie widać rezultatów tej pracy, zgodzisz się ze mną?

– To był trudny okres. Bardzo trudny.

– Dla wszystkich innych też. Tylko że oni poradzili sobie znacznie lepiej. Campbell w Europie Wschodniej. McNally w rejonie Pacyfiku. Udało im się nawet przekroczyć normę. Ty już czwarty kwartał z rzędu nawet jej nie osiągasz. Jest naprawdę bardzo źle. Nie sądzę, że można to dalej ciągnąć. Nie mogę na to pozwolić.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Ken? – W ustach poczuł kompletną suchość.

– Chyba rozumiesz, to jest firma handlowa. Mam nad sobą zarząd oraz przedsiębiorstwo holdingowe.

– Tak.

– Simon, myślę, że powinniśmy pomówić o twoim odejściu. Prosto

z mostu. Bez owijania w bawełnę.

– Czy ja aby dobrze cię rozumiem?

– Niestety, tak. W zeszłym kwartale uzgodniliśmy, że musi nastąpić jakaś poprawa. Nie nastąpiła. Jestem zmuszony oddać twój region komu innemu. Bardzo mi przykro. Możesz pracować jeszcze te trzy miesiące, które masz w umowie. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić wobec zaistniałych okoliczności.

– Może mógłbym wrócić na rynek krajowy. Pracować tutaj. Odwiedzać lokalne zakłady.

– Nie, Simon. Nic nie wiesz o rynku brytyjskim. Obaj zdajemy sobie z tego sprawę. Nie utrudniaj mi decyzji.

A dlaczego nie, do diabła? – pomyślał Simon i powiedział głośno:

– Ale przecież nikt nie zna mojej działki tak dobrze jak ja. Subwencji amerykańskich. Wszystkich ludzi. Kontaktów. Waszyngtonu. Tylko ja wiem wszystko o US Aid.

– Nie, Simon. Chyba nie muszę ci tego powtarzać. Gdybyś rzeczywiście znał swój region tak dobrze, jak mówisz, sprzedawałbyś więcej. Okido i Paris-Nord mieli o wiele większe obroty od ciebie. Widziałeś zestawienia. Nie mogę tego dalej ciągnąć. Muszę też myśleć o swojej pozycji.

Simon wpatrywał się w podłogę. King patrzył na blat biurka. Żaden z nich nie odzywał się przez dłuższy czas.

Wreszcie Kenneth King podniósł głowę.

– Tutaj masz list od personalnego w Londynie. Wyjaśnia wszystko na temat warunków twojego odejścia. Emerytura, i tak dalej. Posłuchaj, jedź w następnym tygodniu do Waszyngtonu, tak jak planowałeś. Porozmawiaj z Cohenem, może on będzie miał coś dla ciebie. Jakaś posadę doradcy. Coś w tym rodzaju. Przecież jeszcze nie masz pięćdziesięciu lat. Wciąż możesz próbować nowych rzeczy.

Simon wstał i bez słowa wziął list. Z biura Kinga przeszedł do swojego. Minał Ginny, która nagle zaczęła się przyglądać papierom na biurku. Nawet na niego nie spojrziała.

Wszedł do swego pokoju i zamknął drzwi.

Zwolnienie nie zaskoczyło go. Już od jakiegoś czasu wiedział, co się święci. Lepiej niż kto inny znał swoje wyniki. Były coraz gorsze. Przez jakiś czas mógł to tłumaczyć „trudnościami” w Waszyngtonie. Niestety, wielkie kontrakty, na które czekał, jakoś ciągle mu umykały. Buddy zawsze potrafił nakręcić mu kilka transakcji, ale nigdy na rynkach, które się liczyły. Czasami miał wrażenie, że organizował jedynie bazy

terytorialne dla departamentu Buddy'ego. Bywało, że obaj żartowali ze swojej pracy. Mówili, iż tworzą „ładny łańcuszek” wokół byłego Związku Sowieckiego.

Rozpatrywanie tego bez końca nie miało sensu. Już tu nie pracował. Wyleciał. Skończyły się jego podróże do Waszyngtonu. Do Buddy'ego. I do Kay.

Kay. Wyglądało na to, że wszystko się skończyło. Tyle czasu – powiedział sam do siebie. Tyle czasu czekał, aż coś się wydarzy. Ale jej wystarczało to, że razem pracowali. Owszem, zbliżyli się do siebie, ale tylko ze względu na wspólną pracę. Nawet tamten wieczór w jej mieszkaniu. Może chciała naprawić parę spraw, tak jak wtedy, gdy on i Buddy szli po pracy na piwo, żeby skierować świat na właściwy tor. Chciał o tym zapomnieć, ale wiedział, że będzie za nią tęsknił.

Nagle w jego życiu zrobiło się pusto. Bez pracy. Bez żony. Bez Kay.

Co mu jeszcze zostało? Czy tylko ten jego projekt? Nie. To przecież idiotyczne. Skoro nie miał już pracy, nie miał też kodów bankowych. Chyba nadszedł czas przebudzenia. Musiał dorosnąć do swych pięćdziesięciu lat i przestać zachowywać się jak dwudziestolatek.

I tak zawsze cofał się przed większym skokiem. Kilka setek, czy nawet kilka tysięcy w zupełności wystarczało. To była tylko gra, tak jak te sztuczki z kartami kredytowymi i biletami lotniczymi. Nie opłacało się ryzykować. Zbyt wiele musiałby poświęcić. Postawić wszystko na jedną kartę.

Ale teraz nagle nie zostało mu wiele.

Może gdyby jego plan zadziałał, w jego życiu mogłyby też nastąpić istotne zmiany. Praca nie miałaby już takiego znaczenia. Ellen i tak odeszła i nie zamierzała do niego wracać. Pozostawała tylko Kay. Może gdyby miał pieniądze, mógłby nadal się z nią widywać.

Bez pieniędzy nie mógłby tego robić. Jaki miał wybór?

Wiedział, że jeżeli już się zdecyduje na przeprowadzenie planu na wielką skalę, nie może popełnić błędu. Poza tym miał tylko jedną szansę. Potrzebował tej ostatniej podróży do Waszyngtonu i Buddy'ego, żeby otworzyć więcej kont w bankach, a potem przygotować się do stworzenia wystarczająco dużej zmiennej tabeli, która przez określony czas utrzymałaby wszystkie transakcje. Zbudowanie takich tabel utrudniała jego ograniczona znajomość Teorii Wielkich Liczb, ale wiedział, że musi zaryzykować. Raz, dwa, trzy... bogaty. Może miał szansę zbudować tabelę tak dużą, że efekt braku stabilności na krańcach nie miałby znaczenia? Szkoda że nie znał nikogo, kto by mu pomógł.

Wyjrzał przez okno swego biura na Kings Parade. „Najwspanialszy widok w mieście”, powiedział kiedyś Buddy’emu. Już nie? Czy to się działo naprawdę?

Spojrzał na stertę papierów piętrzącą się na biurku. Zasady serwisu. Faktury. Notatki z konferencji. Broszury. Plany hal targowych.

Oparł łokcie o blat i podparł czoło czubkami palców. Cholera.

Nie chcę tu siedzieć – pomyślał. Nie wiem, gdzie chciałbym teraz być, ale na pewno nie tutaj.

Wstał i wyszedł z biura. Minał Ginny, która i tym razem nie podniosła głowy. Zbiegł po wąskich schodach i wypadł na hałaśliwą ulicę. Jakże inaczej czuł się wczoraj. Maddie? Uświadomił sobie, że w ogóle o niej nie pomyślał. Może później do niej zadzwoni.

Spojrzał na zegarek. Dwunasta. Czas na drinka? Nie był pewien, czy naprawdę miał ochotę na alkohol. Przeszedł na drugą stronę ulicy i bez celu ruszył przez Kings College w kierunku rzeki.

Przynajmniej nie musiał wracać do domu i tłumaczyć wszystkiego Ellen. Usiadł na ławce i przez chwilę przyglądał się grupie dzieci, które szły do pobliskiej kaplicy. Wyglądały na znudzone.

Z kim mógł teraz porozmawiać? Z Buddym? Tak. Z Kay. No i tutaj, w Cambridge, z Bellem. Właśnie w tej kolejności. Potem był jeszcze Lewes.

Uznał, że jednak powinien się czegoś napić. Wstał z ławki i ruszył w kierunku centrum.

W winiarni zamówił kieliszek czerwonego wina i usiadł przy tym samym stole, przy którym poprzedniego dnia siedział z Maddie. Zastanawiał się, co ona o nim pomyśli, gdy się dowie. Pewnie nie przejmie się tym zbyt. Co prawda wczoraj było bardzo miło, ale na tym koniec. Historia bez ciągu dalszego. Z broszką czy bez, wszystko jedno.

Miał nadzieję, że kolejny kieliszek poprawi mu nastrój.

Siedział w winiarni jeszcze przez godzinę. Na początku tkwił przy stole sam, ale po trzech drinkach podszedł do baru i zaczął dyskutować z barmanką na temat zalet australijskiego i hiszpańskiego chardonnay. Potem rozmawiali o winie w ogóle, a jeszcze później przerwali się na samą Australię i Hiszpanię. Dość interesująca pogawędka.

Kiedy w końcu spojrzął na zegarek, stwierdził, że spóźnił się na spotkanie z Maddie o godzinę.

Zaskoczyła go jasność popołudnia, gdy wyszedł z półmrocznej winiarni. Wszyscy wyglądali tak przeraźliwie trzeźwo i nudno. To potworne, że człowiek nie może sobie wypić kilku kieliszków przed

obiadem.

Ruszył do hotelu Wallingford. Po drodze pomachał kilku osobom, które znał albo tak mu się przynajmniej wydawało.

W hallu podszedł prosto do ubranego w liberię recepcjonisty.

– Chcę się zobaczyć z Madeline Booker.

– Tak proszę pana. Czy jest ona naszym gościem?

– Nie. Przypuszczam, że musi zapłacić.

– Spróbuję zadzwonić do jej pokoju. Och, przykro mi, ale numer jest zajęty. Może zechce pan poczekać w hallu. Podam panu telefon, zaraz jak tylko numer tej pani się zwolni.

– Dobrze. Tylko wolę poczekać w barze. – Simon przechylił się ciężko przez kontuar i przyjrzał się plakietce z imieniem recepcjonisty.

– Jak się nazywasz?

– Jackson, proszę pana. Stanley Jackson.

– Dobrze, no to słuchaj, Stanleyu Jackson. Będę w barze.

– Dobrze, proszę pana.

Simon ruszył do hallu, ale po chwili zorientował się, że nie trafił tam, gdzie zamierzał. Wracając, pomachał swemu nowemu przyjacielowi za kontuarem po czym wszedł do baru.

– Trochę tu ciemno, co? – powiedział do barmanki.

– To na zewnątrz jest bardzo jasno. Co mam podać?

– Kieliszek czerwonego, poproszę.

– Wino sprzedajemy tylko na butelki, proszę pana.

– W takim razie wezmę butelkę. Czerwonego. I dwa kieliszki. – Simon pochylił się w jej stronę. – Ty jesteś jego siostrą?

– Przepraszam, co takiego?

– Tego faceta. Przy recepcji. Jacksona. Jesteś jego siostrą?

– Nie, proszę pana.

– Ale jesteście podobni.

– Nawet go nie znam.

– Bardzo podobni.

– Być może z powodu tych uniformów. Wszyscy nosimy takie same.

– Ach tak. Łatwo się pomylić.

– Tak, proszę pana. Czy mam podać wino tu, czy może wyjdzie pan do ogrodu?

– Czemu by nie? Może być ogród. Zielony, zielony ogród.

– Dobrze, proszę pana.

Maddie dołączyła do niego jakieś dziesięć minut później.

– Powiedziano mi, że mam gościa. Domyśliłam się, że to ty.

– Przepraszam za spóźnienie. Wyskoczyło mi parę rzeczy. Poszedłem do winiarni. Nie miałem pojęcia, że zrobiło się tak późno.

– Do winiarni?

– A tak. Właśnie masz przed sobą byłego kierownika działu sprzedaży. Usiadła.

– Nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– Myślałem, że to jasne. Wylali mnie i musiałem to omówić z panią butelką. Jeszcze dziś rano, kiedy się obudziłem, miałem pracę, a teraz już nie mam.

– Okropne. Kiedy to się stało?

– Dziś rano. Jak tylko przyszedłem do biura.

– Och, Simon, tak mi przykro. Dlaczego? Simon westchnął.

– Musieliśmy się rozdzielić. Tak powiedział mój szef. Jak Morze Czerwone. I dlatego właśnie trochę się spóźniłem.

– To nie ma znaczenia. Ale twoja praca? Przecież to zupełnie idiotyczne. Myślałam, że tobie i Buddy'emu tak dobrze szło.

– Najwidoczniej nie. Nie tak dobrze, jak oni chcieli. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Czułem, że tak będzie.

– Ale przecież oni nie mogą tak po prostu cię zwolnić. – Spojrzała na niego zaszokowana. Jej umysł pracował na zwiększonych obrotach, ale starała się to ukryć. – I co teraz zrobisz?

Nalał jej kieliszek wina.

– Mam coś na oku. Zastanawiam się nad pewną ofertą.

– Inna praca? Przecież powiedziałaś, że zwolnili cię dopiero dziś rano?

– To prawda. Ale sam sobie złożyłem ofertę. – Podniósł kieliszek i przyjrzał mu się pod światło. – I z radością zawiadamiam cię, że została przyjęta. Umarł król. Niech żyje król.

– Co takiego?

– To takie angielskie powiedzenie. Potwierdzenie istniejącego stanu rzeczy. Wszystko się zmienia, ale w gruncie rzeczy pozostaje takie samo.

– Niestety, nie widzę żadnego sensu w tym co mówisz. Ile już dzisiaj wypiełeś? – Przyjrzała mu się, przechylając głowę.

– Aha! Znam to spojrzenie. Byłem żonaty wystarczająco długo. Owszem, wypiełem kieliszek albo dwa. Czemu by nie? W końcu nie codziennie wylatuje się z pracy. Przynajmniej ja nie. Oczywiście nie mogę mówić za pozostałe trzy miliony. Rozumiem jednak, że praca raz jest, a raz jej nie ma. To tak jak w małżeństwie. Teraz jest, a już za chwilę przestaje istnieć. A co ty o tym myślisz, Maddie?

– Chyba wybrałaś zły moment na takie rozważania. Może przejdziemy

się gdzieś?

– Po co iść, kiedy możemy jechać? Wybierzmy się do Fens albo gdzieś dalej.

– Raczej nie powinieneś prowadzić w tym stanie.

– No to ty poprowadzisz. Myślisz, że uda ci się jechać po złej stronie drogi?

– Chyba tak. Gdzie jest to Fens?

– Gdzie są. Nie jest. To w zasadzie stan świadomości. Zupełnie niezwykły. Maddie nieznacznie pokręciła głową.

– Gadasz dziś zupełnie bez sensu. Lepiej już jedźmy dokądkolwiek. Ruszyli do samochodu trzymając się blisko siebie.

– Miło tak, co? I tak dobrze – stwierdził Simon.

– Co takiego?

– Kiedy tak sobie razem idziemy. To miłe.

Przetrzęsął kieszenie w poszukiwaniu kluczyków i oddał je swojej towarzyszce.

Maddie usiadła po stronie kierowcy. Prowadziła ostrożnie. Skręciła na północ od Cambridge, starając się zrozumieć cokolwiek z bardzo chaotycznych wskazówek Simona.

– Co to za muzyka? – spytała, wskazując magnetofon. – Całkiem niezła.

– Aha, słynny Feliks Mendelssohn, koncert skrzypcowy.

– Nie sądziłam, że lubisz muzykę poważną. Wyobrażałam sobie ciebie jako wielbiciela jazzu. Półklasyczny i półnowoczesny: Tubby Hayes, może nawet Brubeck.

– Jeden wspólny dzień to za mało, żeby dowiedzieć się wszystkiego.

– Przypuszczam, że jest wiele rzeczy, o których nie mam pojęcia – stwierdziła.

– I pewnie wcale nie pomaga fakt, że jestem nawalony, co?

– Nawalony?

– Wstawiony, pijany. To nie ma nic wspólnego z odwalaniem się.

– Aha. Tak jak mówiłeś, nie co dzień traci się pracę. Według mnie masz prawo do kilku drinków.

– Tak. Ale tylko do kilku. Już zaczynam trzeźwieć. Pewnie teraz wpadnę w jakiś szok albo odrętwienie.

– Wątpię w to. Poza tym, myślałam, że masz iść do nowej pracy. Wspomniałeś o niej, tak?

– Nigdzie nie idę. To ona do mnie przyjdzie. Zresztą, już wczoraj ci o tym wspominałem.

– O czym?

– O tej sprawie z pieniędzmi, o którą tak się dopytywałaś. Teraz, kiedy niewiele mi zostało, mogę chyba postarać się o większą gotówkę, a nie tylko o niej gadać.

– To znaczy, że chcesz spróbować naprawdę? Sądziłam, że nie jesteś jeszcze gotowy. Poza tym, sam mówiłeś, że to niebezpieczne i że tylko Bell może przeprowadzić transakcje.

– To nieprawda.

– Dzisiaj jesteś tego bardziej pewien niż wczoraj.

– Nie muszę być niczego pewien. Wystarczy, że pojedę do Ameryki i wcisnę odpowiednie guziki.

– Do Ameryki?

– Tam, gdzie są największe banki. No i kody.

– I Buddy?

– Tak. I Buddy.

– Z tego co mówiłeś, wywnioskowałam, że ty i Bell działaliście sami. Nie wspominałeś nic o Buddym.

– Już ci powiedziałem, że nie można poznać kogoś w jeden dzień. Nawet po wspólnym pikniku.

– Przypomniałeś mi o czymś. Nie podziękowałam ci za broszkę. Powinnam to zrobić od razu. Jest naprawdę piękna.

– Posłaniec. I co ci przekazał?

– Tylko tyle, że dni takie jak wczorajszy nie zdarzają się często.

– Miał rację. I dzisiaj nie da się już tego powtórzyć.

– Dlaczego?

– Przez tę sprawę z pracą. Raczej nie mam dziś ochoty na przesiadywanie nad rzeką.

– Rozumiem. Naprawdę jest mi przykro. Niepotrzebnie pytałam cię o to, co dalej. Pewnie w ogóle nie potrzebujesz dziś towarzystwa. Wolałbyś zostać sam.

– Nie. Gdybym wolał spędzić ten czas sam ze sobą, nie wyszedłbym w ogóle z winiarni i Bóg jeden wie, w jakim stanie byłbym teraz. I tak ledwie dotarłem do hotelu.

– Prawdę mówiąc, zauważyłam to – uśmiechnęła się.

– Przepraszam.

– Nie ma o czym mówić. Było, minęło. Powiedz mi tylko, dokąd jedziemy.

– Do March. Zobaczymy te słynne drewniane anioły z March.

– Czy to kolejna z twoich wyjątkowych atrakcji turystycznych?

– Tak. Ale mamy jeszcze przed sobą jakieś pół godziny jazdy. Nie masz nic przeciwko temu? Powinienem wcześniej cię spytać. Może masz jakiś wykład albo spotkanie.

– Miałam dziś rano. Poszłam tylko, żeby zrobić notatki dla szefa.

– Nie mógł po prostu zamówić materiałów konferencyjnych?

– Powiedz to jemu. Zresztą, na te materiały trzeba jeszcze czekać przynajmniej miesiąc, a on musi wiedzieć o wszystkim w chwili, gdy coś zaczyna się dziać.

– To znaczy, że konferencja już się skończyła? Musisz wracać?

– Chciałam tu zostać tydzień dłużej, planowałam odwiedzić znajomych w Londynie, ale niestety, już jutro lecę do Stanów. Wczoraj wieczorem miałam telefon.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– Bo nie miałam okazji. Naprawdę zamierzałam ci o tym powiedzieć. Simon przeczesał palcami włosy.

– To wszystko jest dość zabawne, nie sądzisz? Wczoraj spędziliśmy miłe i spokojne popołudnie nad rzeką, a dziś dowiaduję się, że musisz wracać do domu i że straciłem pracę.

– To i tak lepiej, niż gdybyśmy w ogóle nie przeżyli tamtego popołudnia. Zresztą, nie jest jeszcze tak źle. Mój szef chciał, żebym na kilka dni pojechała do Waszyngtonu. Moglibyśmy się tam spotkać za tydzień, gdybyś chciał.

– Waszyngton? To chyba nie twój rewir, co?

– Niezupełnie. Mój szef, Erickson, uczestniczy w spotkaniach różnych komitetów w stolicy i jeden z nich zbiera się właśnie w następnym tygodniu. Wczoraj dzwonił, żeby mi powiedzieć, że on sam nadal nie jest w stanie ruszyć się z miejsca.

– Co mu się stało?

– Ma jakąś grypę czy coś takiego. To na pewno nic poważnego.

– Cieszę się, że akurat ty pojedziesz. Gdzie się zatrzymasz?

U Buddy'ego?

– Tak. Możemy się gdzieś wybrać we trójkę.

– Czemu nie?

– Buddy. Wciąż jeszcze nie zdecydowaliśmy, co zrobimy w jego sprawie.

– Nie. Masz jakiś pomysł?

Maddie odwróciła się do Simona z uśmiechem.

– Coś innego zaprzętnęło naszą uwagę, prawda?

Simon wygodniej oparł się o fotel i raz jeszcze przeczesał palcami

włosy.

– Czy jest jeszcze ktoś z rodziny? Buddy nigdy nie wspomina o nikim poza tobą i dziećmi.

– Nie. Tylko one pozostały, a sam wiesz, że nie widuje się z nimi często. Mama i tata już od dawna nie żyją. Buddy poszedł do wojska od razu po skończeniu college'u. Niedługo potem doszły nas wieści, że lata helikopterami w Wietnamie. Później ożenił się z Sue i został w Waszyngtonie. Nie wydaje mi się, aby miał wielu znajomych, a i tak większość z nich poznał przez Sue.

– Lubiłem ją. A ty? Dobrze ją znałaś?

– Dość dobrze. W latach siedemdziesiątych częściej przyjeżdżałam do Waszyngtonu i zawsze zatrzymywałam się u nich. Dzieciaki były wspaniałe. Mam wrażenie, że Sue nastawiła je przeciwko Buddy'emu. Później, kiedy dorosły i same mogły zrozumieć coś z tych rozwodowych korowodów, było już trochę za późno.

– Co robiłaś wtedy w Waszyngtonie?

– Prawie to samo co teraz. Zajmowałam się programowaniem.

Skłamała. We wczesnych latach Warkowski nazywał to, co robiła, „kontrwywiadem”. Dokładnie mówiąc, szpiegowała przyjaciół. Zdobywała zaufanie ludzi. Potem posuwała się jeszcze dalej. Spała z tymi, których miała sprawdzić, wyciągała od nich wielkie tajemnice, które powierzali jej w zaufaniu, po czym przekazywała ich w ręce tak zwanych specjalistów. Zwracała niczym książki do biblioteki.

Ze zdumieniem stwierdzała, że przychodziło jej to niezmiernie łatwo. Za każdym razem coraz łatwiej. Zaczęła rozumieć, jak dobra była w tym, co robiła. Absorbowały ją szczegóły zadań. Ludzie, których sprzedawała, tracili dla niej tożsamość, stawali się po prostu szansą na rozwiązywanie jeszcze bardziej zawiłych i skomplikowanych przypadków.

– Dokładnie tak – powiedziała. – Prawie to samo co teraz. Potem wyszłam za mąż i coraz rzadziej przyjeżdżałam do Waszyngtonu. Dopiero dwa czy trzy lata temu tych wyjazdów znowu zrobiło się więcej. Ale już wtedy Buddy'emu przestało się układać. Winił za to Costę, ale nie sądzę, aby to był jedyny powód jego niepowodzeń. Przede wszystkim Buddy za dużo pił. Zresztą nie wiem, może Costa rzeczywiście się do tego przyczynił.

– Znowu słynny pan da Costa – stwierdził Simon. – Pewnie powinniśmy się w porę zorientować, że tak dobre układy po prostu się nie zdarzają. Za umiarkowaną cenę potrafił załatwić wszystko w takim tempie, że graniczyło to niemal z cudem. I nigdy nie chciał więcej niż pięć

procent. Zawsze był pod ręką, kiedy go potrzebowaliśmy. „Simoon, Buddii, witam. W czym mogę wam pomóc?”. Oczywiście wiedzieliśmy, że nie wszystko, co robił, było legalne, ale na początku naprawdę tego faceta lubiliśmy.

Przesunął dłonią po desce rozdzielczej w jedną i w drugą stronę, tak jakby chciał wytrzeć niewidoczny kurz.

– Myślę, że wszystko zmieniło się jakieś dwa lata temu. Costa zaczął mówić coraz mniej i mniej o swoich interesach i nagle zwiększył swoje żądania. Chyba dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, z jakiego rodzaju dealerem współpracowaliśmy. Jednakże wtedy już było za późno. Stał się naszym „głównym człowiekiem”. Bez niego nie moglibyśmy osiągnąć czegokolwiek. Co z tego, że jego usługi stale drożały, ale dzięki niemu właśnie machina toczyła się dalej. Zaskoczyło mnie, że nikomu z działu Buddy’ego absolutnie to nie przeszkadzało. Kilka razy mówiłem mu, żeby powiedział o wszystkim Jake’owi, ale usłyszeliśmy tylko, że mamy się zamknąć i działać tak jak dotąd. Nagle dotarło do nas, że jesteśmy tylko pionkami w jakiejś grze, której zasad nie rozumieliśmy. Nie miało znaczenia, co robiliśmy, jeżeli wszystko przebiegało bez zakłóceń. Może Buddy’emu to odpowiadało. Wspólnie zakładaliśmy punkt dystrybucyjny i serwisowy, on zdobywał na to kredyty, ale w końcu to ja miałem wysłać te przekłete pompy, co nigdy nie obywało się bez problemów. Miałem wiecznie niezadowolonego szefa i wiecznie nieszczęśliwą żonę. Nie wystarczało im to, że zaznaczaliśmy swoją „obecność” w takim czy innym kraju. Liczyły się tylko zasady. A prawdę mówiąc, rezultaty były kiepskie, nawet z pomocą Costy. Tylko na samym początku spełniał on nasze oczekiwania. Chyba dość szybko zorientowaliśmy się, że postawiliśmy na niewłaściwego konia, ale w zasadzie nigdy nie mieliśmy wyboru. Albo Costa, albo nikt, a przecież już lepiej mieć cokolwiek niż nic.

– A zatem zakończył się etap marzeń.

Uśmiechnął się.

– Pewnie tym właśnie był. Odkąd nauczyłem się włamywać do systemów komputerowych, robiłem to stale. Potem, stopniowo, zacząłem dostrzegać w tym pewne możliwości. Wokół krążyło tyle pieniędzy. Wiedziałem, że na pewno istnieje jakiś sposób, żeby zgarnąć trochę dla siebie. Traktowałem to jak grę do czasu, kiedy przekonałem się, że nikt mnie nie może złapać. Widzisz, najwspanialsze w moim projekcie jest to, że nie da się go zatrzymać.

– Och, daj spokój, Simon. Jestem pewna, że projekt jest dobry, ale żeby aż taki? To niemożliwe!

– Ja też tak myślałem przez jakiś czas. Próbowałem wymyślić różne sposoby na przerwanie operacji. Zapewniam cię, że nie istnieje żaden. Taka już tego natura. Nie jest to wirus i nie musi korzystać z czegoś, co nazywamy „nielegalnymi połączeniami”. Wszystko przebiega standardowo. Żeby to zatrzymać, musieliby zmienić sposób działania łączy satelitarnych, a wątpię, aby ktokolwiek się na to zdecydował.

– Chyba o czymś zapomniałeś?

– Mam nadzieję, że nie.

– Zastanów się raz jeszcze. Skoro jest tylko jedna osoba, powiedzmy ty, która jest za wszystko odpowiedzialna, wtedy mają jeden sposób na przerwanie nielegalnych operacji. Żeby je zatrzymać muszą po prostu zatrzymać ciebie.

– Tylko, że oni nigdy nie dowiedzą się, kim jestem ani w jaki sposób to zrobiłem. Mówię ci, Maddie, tu nie ma żadnych śladów. Nic, co wskazywałoby na mnie.

– Daj spokój! W końcu jakoś cię znajdą. Postawią wszystko co mogą przeciwko tobie. Wygrają. To ich gra. I w tej grze nie ma cieni. Kiedy po kogoś przychodzą, nie ma gdzie się ukryć.

– Buddy zawsze tak mówił. To zabawne, że akurat od ciebie to słyszę.

– Co?

– W tej grze nie ma cieni.

– Pewnie słyszałam to od niego.

– Kiedyś myślałem, że jeżeli nie wyjdziemy poza niewielką skalę działań, nie będzie im się chciało nas szukać. Jednakże wspaniała jest sama świadomość, iż w jednej chwili możemy błyskawicznie wziąć tyle, że wystarczy nam na zawsze. Na czysto. Bez żadnych śladów.

– Tak, tylko ile potrzeba na to „na zawsze”?

– Sama zdecyduj.

– Nie wiem. Weźmiesz milion? Dwa? Gdyby naprawdę chcieli cię odszukać, poruszyliby niebo i ziemię. Pieniądze nie grają roli.

– Milion? Dwa? Jesteś daleko od rozwiązania. W ciągu jednej nocy suma wszystkich transakcji na rynku dewizowym wynosi pięćset milionów.

– Jezu! Mówisz poważnie?

– Przeróżające, co?

– I tak w to nie uwierzę.

– Nie musisz. Takich rzeczy nie trzeba udowadniać. Gdybyś wiedziała choć trochę, jak to działa, sama przekonałabyś się, że właściwie nie ma ograniczeń.

– Czy Buddy o tym wie?

– Nie, oczywiście że nie. Mówiłem mu, że nie możemy działać na wielką skalę. Zresztą, on i tak nie ma pojęcia, jak to funkcjonuje.

– Dlaczego więc mówisz mi o tym?

– Wcale nie. Ja tylko powiedziałem ci „co”, a nie „jak”. Poza tym, byle jaki półinteligentny administrator systemów, a muszą jakiegoś zatrudnić, na pewno już wie, że coś się dzieje. Zauważyli przynajmniej tyle, że ktoś nielegalnie wchodzi do systemu i buszuje w nim. Może nawet wiedzą, co będzie dalej, ale nie mogą nic znaleźć, ponieważ nie mają nawet pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania.

– A jeżeli się mylisz? Jeśli wiedzą, gdzie szukać, i znajdą cię w systemie?

– To tylko bardzo wielkie „może”. Zresztą, wtedy już mnie tam nie będzie.

– Simon, nie mów tak.

– Już mnie tam nie będzie – powtórzył. – Szast-prast. Zakończone. Pięć milionów dla mnie. Pięć dla Buddy’ego. A ile dla dziewczyny z broszką w kształcie ważki? Jeszcze pięć? Może dziesięć?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Simon odezwał się pierwszy.

– Gra wygląda inaczej, kiedy jest się w środku, prawda?

– Pięć milionów – powiedziała Maddie cicho.

– Albo dziesięć. Sama decyduj. Chyba za dużo dziś gadam, co? Nie powinnaś mnie słuchać.

O tak, stanowczo za dużo dziś gadasz – pomyślała. Wy wszyscy za dużo gadacie.

Pokonali niewielkie wzniesienie i w oddali zobaczyli katedrę w Ely.

– Czy to właśnie tam są słynne anioły? – spytała.

– Nie. Żadnych aniołów. Przynajmniej ja nigdy ich tam nie widziałem. Kiedyś było ich kilka na witrażach, ale miejscowi zbili je kamieniami.

– Kamieniami?

– Podczas plądrowania klasztorów. A może to było za Henryka VIII. Nie wiem. Wszystkie okna warte oglądania zostały wybite. Teraz nie ma tam nic prócz Amerykanów i skarbonek.

– Ja też jestem Amerykanką.

– To prawda, ale ty się nie liczysz. Nie jesteś turystką. Przyjechałaś tu w interesach, zgadza się?

– Tak, w interesach. – Pięć milionów? Cały ten plan wydawał się jej coraz bardziej idiotyczny.

– My, moja droga pani, jedziemy zobaczyć prawdziwą atrakcję Fens.

Drewniane anioły Świętej Eteldredy. Sam jeszcze nigdy ich nie widziałem, ale wiem, gdzie je znajdziemy. Podobno tylko za dnia są drewniane. Nocą latają po okolicy i spełniają swe anielskie czyny.

– Może więc powinniśmy tu przyjechać w nocy?

– Tylko że wtedy nie zastalibyśmy ich u Świętej Eteldredy, prawda? – Roześmieli się oboje.

Jadąc drogą prosto przed siebie, minęli Ely oraz kilka małych i jeszcze mniejszych miejscowości. Tereny stawały się coraz bardziej płaskie, a ziemia coraz ciemniejsza. W końcu wyjechali na długą, prostą szosę, po której obu stronach ciągnęły się czarne pola.

– Czy to już Fens? – spytała Maddie.

– W pewnym sensie – uśmiechnął się Simon. – Zwykle nazywają to miejsce krainą wielkiego nieba. Dawniej wszędzie tu były moczary. Bagna. Nawet malaria. Grunty osuszono i farmerzy zaczęli je uprawiać. Gleba okazała się niezwykle żyzna. Rosło tu dosłownie wszystko. Bez żadnego wysiłku. Niestety, ludzie nie zadbali o ziemię i znaczna część jej górnej warstwy uległa erozji.

Na horyzoncie pojawił się kościół.

– Oto właśnie nasz cel. Kościół Świętej Eteldredy. Wzniesiono go w mieście o nazwie March. Kiedyś była to duża miejscowość, ale potem o niej zapomniano. Teraz ludzie przyjeżdżają tu tylko po to, żeby zobaczyć anioły.

– Kościół wygląda na bardzo duży.

– Tak. Taka jest większość kościołów w Fens. Myślę, że gdy farmerom dobrze szła uprawa roli, wznosili kościoły, żeby zapewnić sobie wstęp do nieba. Modlitwa nikomu nigdy nie zaszkodziła. A w ich przypadku okazała się skuteczna. Przypuszczam, że tam, w górze, siedzi sporo farmerów. Teraz już nie muszą się specjalnie wysilać. Po prostu siedzą i liczą błogosławione dary. Zresztą, niewiele różni się to od pracy rolników tu, na ziemi.

Maddie uśmiechnęła się.

– Myślałam, że niebo jest dla dobrych, a nie dla bogatych.

– Pewnie tak planowano, ale w tych najwcześniejszych latach niewielu dobrych kwalifikowało się do nieba, więc Najwyższy musiał wynająć całe Pola Elizejskie, żeby jakoś wypełnić to miejsce. A oczywiście najwyżej licytowali bogaci. Ludzie często popełniają błąd, wierząc, że do nieba nie można się wkupić.

Maddie znowu się roześmiała.

– Skąd ty bierzesz te swoje zabawne historyjki?

– Znikąd. To tylko odzywa się we mnie Bajarz. Takie głupstwa plotę.

– Może, ale mnie się podobają. Przebywanie z tobą to jak czytanie zbioru opowieści, prawda? Aniołowie, ważki, dzieci rzeki. Ciekawe, ile takich historyjek opowiedziałeś wcześniej. Nie mam pojęcia, jak powstają, wiem tylko, że podobają mi się. Są trochę zwariowane, ale podobają mi się.

– Nigdy przedtem ich nie opowiadałem. Wszystkie są nowe. Naprawdę.

Byli już prawie przy kościele. Z bliska nie wydawał się tak duży. Stał pośrodku dość zaniedbanego cmentarza. Brnąc przez wysoką, nierówną trawę dotarli do wielkich drewnianych drzwi. Były zamknięte.

Zajrzeli do środka przez okna. Dostrzegli jedynie ciemne kształty anielskich skrzydeł wysoko na ścianach, tuż pod sklepieniem.

– Myślałem, że będzie to widok bardziej wstrząsający. – Powiedział Simon.

– Hmm. Może gdybyś trafił tu w nocy, zobaczyłbyś, jak latają. Pewnie wtedy zrobiłyby na tobie większe wrażenie.

– Widzisz? – roześmiał się Simon. – Ty naprawdę wierzysz w te historie. Przycisnęła dłonie do swoich policzków.

– Czasem łatwiej jest wierzyć w opowieści niż w to, co dzieje się w realnym świecie.

Simon spojrzał jej w oczy.

– Naprawdę tak uważasz?

– Możesz mi wierzyć, Bajarzu. Możesz mi wierzyć. – Stanęła na palcach i pocałowała go.

Simon zasnął w drodze powrotnej do Cambridge. Maddie nie wiedziała, gdzie zwykle zostawiał samochód, więc pojechała do hotelu. Uważnie sprawdziła w lusterku makijaż i dopiero potem potrząsnęła Simona za ramię, aby go obudzić.

– O Boże, znowu zasnąłem.

– Nie przejmuj się. Jazda przez taką okolicę jest przyjemnością. Nie miałam prawie żadnych problemów z trafieniem tu.

Simon ziewnął, zasłaniając dłońmi twarz, po czym pokręcił głową.

– To nauuczka. Nie powinienem pić tak wcześnie. Pewnie myślisz, że w takim wieku powinienem już to wiedzieć. Chyba trochę przeholowałem.

– Nie ma sprawy. Masz ochotę na kawę?

– Nie, dziękuję. Muszę wracać do domu. Może zadzwonię do ciebie później i wybierzemy się gdzieś na kolację, skoro już jutro wracasz do Ameryki. Wezmę kąpiel i spróbuję się jakoś pozbierać.

– Wspaniale. Umówmy się może na ósmą. W barze, na dole.

– Dobrze. Jeżeli mam szczęście, to do wieczora zmienią barmankę.

– Dlaczego? Co za różnica, kto stoi za barem?

– Dla mnie spora. Moje zachowanie przed lunchem pozostawiało chyba sporo do życzenia.

– Och, to nic nie znaczy. Jestem pewna, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Zadzwonź do mnie później.

Wracał powoli przez łąki w kierunku Trumpington, próbując sobie przypomnieć, co jej wcześniej powiedział. Mówił o pracy? Tak. Niby dlaczego miał o tym nie wspominać. Powiedział jej też o projekcie. To już gorzej. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że nie wierzyła mu bardziej niż innym.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że obiecał jej pieniądze. To nic takiego. Podczas kolacji mógł to zbagatelizować. Wytłumaczyć to swoim marzycielstwem.

W domu, na jego automatycznej sekretarce czekały dwie wiadomości. Pierwszą zostawiła Kay.

– Simon. Jest teraz trzecia po południu. Gdzie ty się podziewasz? Muszę z tobą porozmawiać. Dzwoniłam do Ginny i od niej wiem, że możesz być z Maddie. Mam nadzieję, że to nieprawda. Atak przy okazji, Ginny powiedziała mi o twojej pracy. Bardzo mi z tego powodu przykro, ale chyba przypuszczałeś, że to się może stać. W następnym tygodniu możemy sobie o tym pogadać. Teraz jednak muszę z tobą pomówić na

temat Maddie. Zadzwoń do mnie do biura, jak tylko odbierzesz tę wiadomość. Oddzwonię do ciebie z bezpiecznej linii. Wszystko tutaj zaczyna się sypać i musimy coś w tej sprawie postanowić. Pamiętaj, o co cię prosiłam. Trzymaj się.

Drugą wiadomość nagrała Ginny.

– Simon. Jest czwarta. Gdzie ty, do diabła, jesteś? Wydarzył się wypadek. Bella Lessinga potrącił samochód. Zabrali go do szpitala. Obawiam się, że jego stan jest bardzo ciężki. Chyba położyli go na oddział intensywnej terapii. Dzwoniła do mnie Lizzie. Jest zupełnie załamana. Podobno lekarze nie chcą jej wpuścić do Bella ani udzielić jakiegokolwiek informacji o jego stanie. Myślę że powinieneś zaraz tam pojechać. Będę w biurze do szóstej, potem dzwoń do mnie do domu. Daj mi znać, co z Bellem. Do usłyszenia.

Simon zaklął. Żałował teraz, że zostawił samochód przed hotelem. Musiał przejechać półtora kilometra do szpitala na rowerze.

Bell Lessing leżał w bocznej sali oddziału nagłych przypadków. Labirynt przewodów łączył go z monitorami nad łóżkiem. Obok stał stelaż z kroplówką. Jedna strona głowy Bella została szczelnie zabandażowana. Widoczna część twarzy miała kolor popiołu, oko było zamknięte. Lekarze umieścili jedną rękę Bella na wyciągu, druga leżała wzdłuż ciała. Lizzie trzymała ją w swoich dłoniach i płakała. Miała opuchniętą twarz ze smugami rozmazanego od łez makijażu.

Gdy Simon wszedł na salę, podniosła głowę.

– Dziękuję, że przyszedłeś. Nie wiedziałam, do kogo mam zadzwonić. Właśnie przywieźli go z sali operacyjnej i lekarz mówi, że jeszcze za wcześnie, żeby dokładnie określić jego stan.

– Co się stało? Czy to on prowadził?

– Nie. To naprawdę dziwne. Przechodził przez drogę przy college'u, kiedy jakiś rozpędzony wariat nadjechał zbyt szybko, i to po niewłaściwej stronie drogi. Wpadł prosto na niego. Kierowca pewnie w ogóle nie patrzył, gdzie jedzie. Nie zatrzymał się ani nawet nie próbował. A przecież było zupełnie jasno. Zobacz, co oni mu zrobili. Tylko spójrz.

Simon usiadł i objął ją. Wtuliła twarz w jego ramię i rozplakała się.

– Och, Simon, popatrz na niego. Czuję się taka bezradna. Co mam teraz robić? Tak mi źle. Co ja mam robić?

Simon przytulił Lizzie do siebie i spojrzał na przyjaciela. Bell leżał zupełnie nieruchomo, wydawało się, że prawie nie oddycha. Tylko zielona, pulsująca linia na monitorze ponad jego głową świadczyła o tym, że wciąż jeszcze żyje.

– Wyjdzie z tego, Lizzie. Jestem pewien, że z tego wyjdzie. Mają tutaj wspaniałych lekarzy. Czy chcesz może, żebym zadzwonił do dziewczynek? Wiesz, gdzie teraz są? Nie mam ich londyńskiego numeru.

Lizzie przestała szlochać i spojrzała na Simona.

– Przepraszam, że zachowuję się tak głupio. Trudno przychodzi mi zachowanie spokoju. Już dzwoniłam do córek, ale akurat ich nie było. Zostawiłam im wiadomość, żeby przyjechały tu jak najszybciej. Może nie powinnam tego robić? Zaczekasz, aż przyjadą? Proszę, zaczekaj.

– Oczywiście, Lizzie. Ale jestem pewien, że nic mu nie będzie. Poczekaj tu, a ja spróbuję odszukać lekarza i dowiedzieć się czegoś. Zaraz wrócę.

W oddziałowej dyżurce nie było nikogo. Simon w końcu odnalazł lekarza w kuchni w końcu korytarza. Rozmawiał z pielęgniarkami. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia parę lat. Ubrany był w koszulkę z wizerunkiem mostu w Sydney, na którą narzucił biały fartuch.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć jaki jest stan doktora Lessinga? Jestem doktor Northcott.

– Proszę się nie denerwować, doktorze. Może przejdźmy do biurka i zajrzyjmy do jego notatek. To nie mój pacjent. Poza tym, dopiero zacząłem dyżur.

Notatki były po prostu kartką papieru przymocowaną do metalowego usztywnienia. Wśród innych wisiała ona na jednym z haczyków.

– Oto i mamy. Mężczyzna. Lat sześćdziesiąt. Lessing Bellman. Pokaleczona prawa strona i góra brzucha. Podejrzenie złamania mostka. Podejrzenie złamania drugiego i trzeciego kręgu. Zwichnięcie prawej łopatki. Podejrzenie pęknięcia śledziony. Podejrzenie krwiaka podczaszkowego. Jak dotąd tyle wiemy.

– Obawiam się, że to mi nic nie mówi.

– Mówił pan, że jest doktorem.

– Ale nie takim doktorem.

– Och, bardzo przepraszam. W takim razie nie powinienem nic panu mówić. Myślałem, że jest pan lekarzem pacjenta.

– Nie. Tylko przyjacielem rodziny. Co mu tak naprawdę jest?

– W zasadzie nie powinienem udzielać żadnych informacji. Mogę tylko powiedzieć, że jest bardzo ciężko ranny. Będą go operować mniej więcej za godzinę, jak tylko jego stan ulegnie stabilizacji.

– Sądziłem, że już był operowany.

– Nie. Zabierano go tylko na prześwietlenie. Mówiłem o tym tej kobiecie, ale nie sądzę, aby wiele do niej docierało. Zwykle tak jest.

– I to pana dziwi? Proszę posłuchać, nie chciałbym mówić nic niestosownego, ale czy pan jest dziś tutaj głównym lekarzem?

– Tak. Neurochirurg już został powiadomiony. Powinien zaraz przyjechać. W tej chwili nie możemy zrobić nic więcej.

– Neurochirurg?

– Tak. Dwie kości u podstawy czaszki są pęknięte. Jeszcze nie wiemy, jaki nacisk wywiera to na tkanki miękkie.

– Chce pan powiedzieć, że on ma złamany kark?

– Obawiam się, że jest nawet gorzej. Wyjdzie z tego, jeżeli nic nie zostało zmiażdżone. Czy mogę spytać, jak dobrze zna pan rodzinę pacjenta?

– Wystarczająco dobrze. Czy pani Lessing wie, jak poważny jest stan jej męża?

– Jak już mówiłem, sami jeszcze tego nie wiemy dokładnie. Musimy poczekać na neurochirurga. Lepiej byłoby nie mówić jej zbyt wiele w tym stadium.

– „W tym stadium”? Przecież ona siedzi tu już od dwóch godzin i jak dotąd nikt jej nic nie powiedział.

– Niezmiernie mi przykro. Jesteśmy bardzo zajęci.

– Właśnie widzę. Wrócę tam i zaczekam.

Simonowi wydawało się, że jedna z pielęgniarek zrobiła minę do lekarza, gdy on ruszył z powrotem do Lizzie.

– Doktor powiedział, że coś jest z szyją Bella. Być może będą chcieli wkrótce go operować, żeby usunąć jakiś ucisk.

– Ucisk? Jaki ucisk? Przecież nic mu nie będzie, prawda?

– Oczywiście. Musimy tylko poczekać na specjalistę, który przyjdzie go zbadać.

– Jakiego specjalistę? Czy nie można czegoś zrobić od razu?

– Na pewno zrobią coś, jak tylko będą mogli, Lizzie. Lekarz zaraz tutaj będzie.

Około północy Bella zabrano na salę operacyjną. Wcześniej nie poruszył się ani razu.

Dwie godziny potem, zmęczony chirurg podszedł do Lizzie i Simona, aby wyjaśnić im, jaki jest stan pacjenta.

– Zrobiliśmy dla pani męża wszystko, co w naszej mocy, pani Lessing. Został przewieziony na salę pooperacyjną, gdzie zostanie przez resztę nocy. Rano zabiorą go na zwykły oddział. Ma wiele poważnych ran i złamań, ale najgorsze jest uszkodzenie pnia mózgu. Na szczęście nie doszło do jego przerwania, tylko tkanka wokół linii złamania kręgow

została zmiądzona. Może teraz pani przy nim posiedzieć, ale według mnie powinna pani iść do domu i spróbować odpocząć. Pielęgniarka poda pani jakiś środek na uspokojenie, jeżeli pani chce. Zbadam go jutro około dziesiątej i wtedy będę mógł powiedzieć więcej. Przykro mi, że nie możemy bardziej pomóc, ale jeszcze jest za wcześnie.

Lizzie odwróciła się do Simona.

– Co ja mam teraz robić? Myślisz, że powinnam zostać?

– Nie, Lizzie. Odwiozę cię do domu i zaczekam, aż przyjadą wasze córki. Możesz z nimi tutaj wrócić, jak się trochę prześpisz.

Pochyliła głowę w przód i położyła dłonie na karku. Simon spojrzał na chirurga.

– Może do tego czasu już się obudzi?

Chirurg nie odpowiedział, tylko nieznacznie pokręcił głową.

Lessingowie mieszkali niecały kilometr od szpitala. Kwadrans później Simon i Lizzie siedzieli już w salonie, czekając na dziewczynki.

– Chcesz herbaty, Lizzie? A może coś zjesz? Pewnie nie jadłaś w ogóle kolacji.

– Nie, dziękuję. Nie mam na nic ochoty, ale ty weź sobie co chcesz. Zrób sobie drinka. W kuchni powinno być trochę szkockiej.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, ale się napiję. Jesteś pewna, że się do mnie nie przyłączysz? Pomoże ci to zasnąć.

Dwie dorosłe córki Lessingów przyjechały w chwili, gdy Simon wracał z kuchni do pokoju.

Usiadł razem z nimi. Oboje z Lizzie powiedzieli im tyle, ile sami wiedzieli.

Simon czuł się kompletnie pozbawiony energii i bardzo zmęczony. Wiedział, że powinien iść do domu i przespać się. Kiedy wstał i zaczął szykować się do wyjścia, starsza córka Lessingów, Nancy, wyszła z nim na korytarz.

– Czy już znaleźli ten samochód? Wiedzą, kto to zrobił?

– Nie sędzę, Nancy, ale ja nie znam szczegółów sprawy. Jeżeli chcesz, rano zadzwonię na komisariat i dowiem się wszystkiego.

– To dobrze. Wiem, że to, co mówię, może się wydawać okropne, ale sprawca nie powinien wywinać się od odpowiedzialności. Pewnie był pijany.

Kiedy rozmawiali, zadzwonił telefon stojący na stoliku w hallu. Zanim Simon zdążył odebrać, Lizzie krzyknęła z salonu:

– Ja odbiorę. To pewnie ze szpitala. Odgarnęła włosy z twarzy i podniosła słuchawkę.

– Halo. Tak. Tak. Jest tutaj. Chwileczkę.

Lizzie spojrzała na niego zaskoczona. Zasłoniła dłonią mikrofon aparatu.

– To do ciebie, Simon. Ta Amerykanka. Northcott wziął słuchawkę.

– Maddie, to ty?

– Nie, to nie Maddie. To ja, Kay. Słuchaj mnie bardzo uważnie. Nie mam zbyt wiele czasu. Wiem dokładnie, co się stało. Przed chwilą rozmawiałam z Ginny. Dzwonię z domu z oknami, ale muszę z tobą porozmawiać z cichej linii z biura. Jedź teraz do domu. Zadzwoń do ciebie dokładnie za godzinę. Rozumiesz?

– Prawdę mówiąc, nie. O co tobie chodzi? I po co, do cholery, dzwonicz do Ginny w środku nocy? Założę się, że była z tego powodu bardzo szczęśliwa.

– Teraz to nie jest ważne. Muszę z tobą pomówić. Zrób to, o co cię proszę.

– Jeżeli chodzi o Costę, to sprawa może poczekać. I tak przylatuję do was w następnym tygodniu.

– O Costę? Nie, tu nie chodzi o Costę. I to nie może poczekać. Chodzi o projekt. Proszę, zrób to, co powiedziałam. – Połączenie nagle zostało przerwane.

Nancy wzięła od niego słuchawkę.

– O co chodziło?

– Nie wiem. Jestem co prawda śpiący, ale ona mówiła coś zupełnie bez sensu. Nie mam pojęcia, skąd wiedziała, że jestem tutaj. Chce, żebym jutro do niej zadzwonił. Jestem na wpół żywy. To był cholernie długi dzień. Naprawdę muszę już iść do domu. Zatelefonuję do was z samego rana.

Noc była chłodna i spokojna. Simon wolno przeszedł kilometr dzielący dom Lessingów od jego chatki. Dopiero kiedy wyszedł od Lizzie i zamknął za sobą drzwi, uświadomił sobie, że nie ma swego samochodu, a nie chciał wracać i prosić o pożyczenie wozu Lizzie.

Okragły księżyc oświetlał ulice i drzewa. Po drodze minęły go tylko dwa auta. Jednym był ambulans z migającymi światłami, ale z wyłączoną syreną. Simon w myślach życzył szczęścia temu, do kogo ta karetka jechała. Mógł przecież trafić na łóżko obok Bella.

W połowie drogi zaczął żałować, że nie wezwał taksówki. Postawił kołnierz marynarki, chroniąc się przed chłodem. W lekkim wietrze poczuł zapach jesieni. Uśmiechnął się na wspomnienie, jak bardzo Ellen lubiła tę porę roku. „Uwielbiam ten zapach. Oznacza on, że letnia praca zakończona i wszystko może zacząć przygotowania do zimy” – mawiała.

Simon zastanawiał się, czy wciąż jeszcze to powtarzała. Pewnie nie. Oboje kochali jesień z jej zapachami i kolorami, a chyba Ellen wolała zapomnieć o tym, co wspólnie przeżywali. Kiedyś powiedziała, że chciałyby rozpocząć zupełnie nowe życie. Szło jej znacznie lepiej niż jemu. Może w tym właśnie tkwił problem. Była od niego lepsza w tylu różnych sytuacjach. Pewnie właśnie to zniechęciło ją bardziej niż cokolwiek innego. Być może powinna wybrać kogoś zupełnie innego już na początku. Może oboje powinni. Ale wtedy nie mieliby Lewesa.

Zdał sobie sprawę, że znowu wydeptuje w myślach znajome ścieżki, kręcąc się w kółko. Zmusił się do myślenia o czymś zupełnie innym. Na przykład, co takiego ważnego sprawiło, że Kay chciała do niego zadzwonić w środku nocy? To, że stracił pracę? Na pewno nie. Zresztą wiedziała już o tym, gdy wcześniej zostawiła mu wiadomość. Może chodziło o wypadek Bella. Ale niby dlaczego chciała o tym rozmawiać?

Dopiero o czwartej nad ranem dotarł w końcu na swoją ulicę. Uświadomił sobie, że nie jadł nic od śniadania. Wypił tylko sporo wina w porze obiadu, a potem whisky u Bella w domu. Nic dziwnego, że był taki zmęczony. Dawno już nie czuł się tak staro. Zdecydował, że musi się przespać przed rozmową z Kay. W domu poszedł prosto do sypialni i położył się na łóżku. Zasnął niemal natychmiast.

Miał wrażenie, że spał tylko chwilę. Obudziło go dzwonienie i stukanie do drzwi frontowych. Była szósta.

Opuścił stopy na podłogę i usiadł na łóżku. Od razu podniósł dłonie do czoła. Poczł koszmarny ból głowy. Otworzył okno sypialni i wychylił się, aby sprawdzić, kto tak uporczywie dobijał się do drzwi. Dopiero zaczynało świtać. Przed domem stał policjant.

– O co chodzi?

– Ach. Wreszcie. Już od dziesięciu minut staram się pana obudzić. Czy mogę z panem zamienić słowo?

– W jakiej sprawie?

– Czy mógłbym wejść do środka? Nie zabiorę panu wiele czasu. Simon zszedł na dół i otworzył drzwi.

– Czy chodzi o wypadek? Niestety, niewiele wiem. Poszedłem tylko do szpitala. Nie byłem z nim, kiedy to się stało.

– Nic nie wiem o żadnym wypadku. Przyszedłem tu w sprawie włamania do pańskiego biura. Chciałem zadać panu kilka pytań.

– Włamanie? Jakie włamanie?

– Do pańskiego biura. Mniej więcej o drugiej nad ranem. Z tego co wiem, ma pan klucze. Nie znaleźliśmy żadnych śladów sforsowania drzwi,

ale włączył się alarm. Oficer dyżurny skontaktował się z zarejestrowanym posiadaczem kluczy. Zdaje się, że z panem Kingiem. To on uznał, że pan będzie w stanie wyjaśnić nam więcej w tej sprawie. Chodzi o zabrane stamtąd przedmioty.

– Jakie przedmioty? Jeszcze raz powtarzam, że nie wiem nic o żadnym włamaniu.

– Rozumiem, ale zabrano tylko rzeczy, których właśnie pan używał.

– Nie mam tam przecież żadnych „rzeczy”. O co panu chodzi? Policjant zajrzał do notatnika.

– Dwa komputery osobiste, jedno pudło z taśmami i jedno pudełko z dyskietkami.

– O Chryste. Co to ma być? Przecież w biurach zdarzają się włamania. Dlaczego niby ja miałbym cokolwiek o tym wiedzieć?

– Nie wiem, co pan wie. Właśnie przyszedłem tu, żeby to ustalić. Z tego, co zrozumiałem, pan King uznał, że pan będzie mógł nam pomóc. Może mógłby pan pojechać ze mną do biura?

– Co takiego? Teraz? Czy to nie może poczekać do rana? Jeszcze nawet nie zdążyłem się obudzić.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, już jest rano. Tam na nas czekają.

– Kto taki?

– Pan King oraz inspektor Morris z wydziału ochrony danych. Naprawdę, proszę mnie nie zmuszać, abym dłużej nalegał.

– Przecież to idiotyczne. Skąd ja mam wiedzieć coś, czego nie wie King? Przecież to cholerne biuro jest jego, a nie moje.

– Zgadza się, ale z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, wczoraj po południu doszło między panami do kłótni. W tej chwili chodzi o dane zawarte na taśmach i dyskietkach. Inspektora Morrisa interesują zwłaszcza te dane.

– Aha, rozumiem. On pewnie myśli, że wszedłem tam i zabrałem swój komputer. Prawdę mówiąc, potrafię wymyślić lepsze rzeczy, które można robić o drugiej w nocy.

– Czy moglibyśmy już iść? Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej będzie pan mógł tu wrócić.

– Bezblędna logika, konstablu. Daleko pan zajdzie.

– Proszę, chodźmy już. Poza tym, jestem sierżantem, a nie konstablem.

– Ach tak? Nie zauważyłem. Proszę chwilę poczekać, wezmę tylko mój kapelusz i szkło powiększające.

– Co?

– To tylko żart, sierżancie. Możemy już iść.

Sierżant został przy frontowych drzwiach biura, a Simon sam poszedł na górę. Przy recepcji Kenneth King i inspektor Morris pili kawę. Ginny też już tam była. Siedziała przy biurku.

– Czy to twój pomysł na jakiś cholerny dowcip, Simon? – spytał King.
– Muszę przyznać, że masz wyjątkowo zły gust.

Inspektor podniósł dłoń do góry.

– Proszę, Ken. Pozwól, że to ja będę zadawał pytania.

– Czy wy dwaj jesteście starymi kumplami? – zapytał Simon.

– Inspektor Morris. Wydział Handlu i Ochrony Danych. Czy pan Simon Northcott?

– Trafiony!

– Simon! – uciał King. – Już i tak wlałeś w niezłe kłopoty. Nie pogarszaj sprawy swoimi odżywkami. Zważywszy na to, co się wydarzyło, masz szczęście, że osobiście znam inspektora Morrisa. Udało mi się nakłonić go, aby zaprosił cię tutaj, a nie na posterunek policji.

– Chwila, Ken. Ten, który został na dole, powiedział mi, że zginęły dwa komputery i ileś tam dyskietek. Twierdzisz, że ja mam z tym coś wspólnego. I na tej podstawie inspektor Morris każe mnie *zabrać* na posterunek? Raczej nie ma na to szans. Dla twojej wiadomości, o drugiej nad ranem byłem w szpitalu razem z Lizzie Lessing. Jak chcesz, to zapytaj doktora Kildare’a.

– Proszę zrozumieć. To nie wyglądało najlepiej – odezwał się inspektor. – Pan King obawiał się, że może żywi pan do niego urazę.

– O co, na litość boską!

– Czy mogę kontynuować? Takie rzeczy się zdarzają. Rozumiem, że urządzenia, o które chodzi, nie były bardzo drogie, ale zabrano także taśmy i dyskietki. Pan King obawiał się konsekwencji i dlatego zadzwonił do mnie. Podobno zawierały one dane handlowe, które mogłyby mieć wartość dla firm konkurencyjnych. Pan King wspomniał też, że był pan bardzo poruszony wczoraj po południu. Uznałem więc, że powinienem spotkać się z panem osobiście, zanim podejmę jakiegokolwiek działanie. Rozumiem, że pan wciąż ma klucz do tych pomieszczeń, a zamek nie został wyłamany. Sam pan teraz rozumie, jak to wyglądało. Twierdzi pan, że znajdował się gdzie indziej w czasie gdy doszło do włamania? Bardzo dobrze. Jeżeli uda nam się to potwierdzić, nie będziemy pana więcej fatygować w tym stadium śledztwa.

– Już mówiłem przecież, że byłem w szpitalu.

– Obecna tu pańska sekretarka wspominała, że mógł pan się tam udać. Podobno zostawiła panu na automatycznej sekretarce wiadomość, iż

pański przyjaciel miał wypadek. Za jej radą, sierżant zadzwonił do szpitala, ale nie mają tam pana w rejestrze odwiedzających. Tylko pani Lessing odwiedziła rannego męża.

– Nie dziwi mnie to – stwierdził Simon. – Oni nie potrafią nawet znaleźć chirurga, gdy akurat jest potrzebny.

– Słucham?

– Och, to nieważne. Byłem razem z panią Lessing. Możecie spytać lekarza. Niestety, nie znam jego nazwiska.

– Sprawdzimy to oczywiście. Kenneth King spojrzał na inspektora.

– Dziękuję, że przyszedłeś, Brian. Być może za bardzo się z tym wszystkim pospieszyłem. Teraz widzę, że to nie mógł być Simon. Ale sam rozumiesz, co wcześniej mogłem sobie wyobrażać. Naprawdę jestem wdzięczny, że znalazłeś czas.

– Nie martw się, Ken. Cieszę się, że mogliśmy to wyjaśnić. Wciąż jeszcze pozostaje nam ustalenie, kto dostał się do biura. Mogę to zostawić moim chłopcom. Sam nic więcej nie zdiagnozowałem. Może podwieźć cię do Grantchester? – Zwrócił się do Simona. – Byłbym wdzięczny, gdyby podał pan konstablowi listę skradzionych rzeczy.

– Dobrze – powiedział Simon. – Sądziłem, że już ją macie. Podobno zabrano dwa komputery. Ja miałem tylko jeden.

– Drugi należał do pani Webb. Była tak miła, że zechciała przyjechać tu, jak tylko się z nią skontaktowaliśmy.

– A ja nie byłem miły? Rozumiem. Dobrze, przygotuję listę na podstawie naszych dokumentów. Czy teraz już mogę wrócić do domu?

– Oczywiście.

Inspektor i King wyszli, zostawiając Simona i Ginny samych. Simon odsunął się z krzesłem do tyłu.

– Ale cyrk, Ginny. Co za dzień. King chyba nie myśli, że mogłem zrobić coś takiego?

– Nie. Nie sądzę. Tylko że sam słyszałeś, co mówił ten inspektor. Nie wyglądało to za dobrze, co? Zwłaszcza po wczorajszym dniu.

– Pewnie masz rację. Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę do domu i prześpię się. Może po obudzeniu stwierdzą, że wczoraj w ogóle się nie wydarzyło. Praca. Bell. Potem to. Pracowałem tu przez piętnaście lat i nic się nie działo. Wszystko na medal. Stary, dobry Simon. Potem jednego dnia wylatuję z pracy i zostaję oskarżony o kradzież.

Ginny uśmiechnęła się do niego.

– Trudno to nazwać wielką kradzieżą. Raptem dwa komputery. Obawiam się jednak, że na razie nie możesz się położyć. Jest coś jeszcze.

– Co?

– Waszyngton. Lecisz o jedenastej.

– Nie. To jakiś błąd. Miałem tam jechać dopiero w następnym tygodniu.

– Wiem, ale King był jakiś dziwny po twoim wyjściu wczoraj. Pamiętam, mówił, że możesz lecieć tam raz jeszcze, ale bałam się, że zmieni zdanie, dlatego razem z Kay przyspieszyliśmy trochę bieg rzeczy.

– Ale ja nie mogę jechać. Bell. Lizzie mnie potrzebuje.

– Nikt nie jest niezastąpiony. Nawet ty. Córki zajmą się nią. Może im wszystkim wyjdzie to na dobre. Ty musisz jechać do Waszyngtonu. Wiesz, że Jake Cohen to twoja największa szansa na nową pracę. Tutaj już nic nie znajdziesz.

– Chyba masz rację. Lepiej pojedę już do domu. Przynajmniej wezmę kąpiel.

– Najpierw napijesz się kawy. Zaparzę ją, a ty porozmawiaj z tym miłym policjantem. Potem pożegnamy się odpowiednio. W końcu piętnaście lat to kawał czasu. – Spojrzała na swoje kolana.

– Ginny?

Nie podniosła wzroku.

– Tak?

– Och, daj spokój. Przecież ja wrócę.

– Może, ale już nie tutaj. Tu wszystko się skończyło, prawda?

Simon nie od razu odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili wstał i podszedł do niej.

– Nie wygłupiaj się, Ginny. Nie teraz. Posiedź tu, a ja zrobię tę kawę. Zostań tu.

– Tak – powiedziała cicho. – To dobry pomysł. Przygotowałam listę, gdyby jej potrzebowali. Jest na moim biurku. Zrobiłam ją, kiedy pojechali po ciebie.

– Dzięki. – Wziął listę i ruszył na dół do policjanta. Kiedy wrócił, Ginny już poszła zaparzyć kawę. Słyszał jak kręci się po niewielkiej kuchni w końcu korytarza.

Usiadł, pochylił głowę i zamknął oczy. Poruszył się dopiero wtedy, gdy ona wróciła.

– Dziękuję – powiedział. – Jeszcze się zobaczymy. Cambridge wciąż jest moim domem, niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy w Waszyngtonie. Dlaczego miałbym się przeprowadzać?

– Tak. – Ginny podniosła kubek. – Nie jestem głupia. A twój a nowa przyjaciółka? Gdzie ona mieszka?

– Kto?

– Ta naturalna blondynka. Czy właśnie u niej byłeś wczoraj?

– Maddie. O Chryste! Miałem się z nią spotkać wczoraj wieczorem, ale zupełnie o tym zapomniałem. Ten wypadek Bella. Mówiła, że dziś wraca do Ameryki. Może powinienem do niej zadzwonić. Która jest godzina?

– Dopiero siódma. Jeszcze do niej nie dzwoń.

– Dobra. Zresztą i tak muszę iść do hotelu Wallingford. Zostawiłem tam samochód. Przypomnij mi, żebym po niego wpadł, gdy będę wychodził. Zostawię go przed domem.

– Samochód w hotelu? Simon! Przecież cię ostrzegałam. Chyba z nią nie... Nie zrobiłeś tego?

– Nie, Ginny. Nie zrobiłem „tego”. Wóz zostawiłem, bo byłem wstawiony. To wszystko. Dlaczego wszyscy ostrzegają mnie przed Maddie?

– Wszyscy?

– No, ty i Kay.

– Kay jest w porządku. Powinieneś częściej jej słuchać.

– Może. – Simon łyknął kawy. Ginny spojrzała na niego.

– A tak poważnie, co zrobisz, jeżeli Jake nic dla ciebie nie znajdzie?

– Myślę, że znajdzie. On albo Buddy.

– Słynny Buddy. Na niego raczej bym nie liczyła.

– Buddy jest OK. – Simon odstawił kubek i wstał. – Pójdę już. Zobaczmy się po moim powrocie.

Ginny również wstała.

– Obejmij mnie, Simon. Pożegnaj się ze mną porządnie. Przytulił ją do siebie i pocałował w czoło.

– Uważaj na siebie.

– Dobrze. Ty też. – Odsunęła się i musnęła dłonią jego policzek. – Ty też. – Pochyliła się, biorąc kubki ze stołu. – Proszę, idź już.

– Tak. – Odwrócił się i ruszył w stronę klatki schodowej.

Ginny odstawiła kubki z powrotem na blat i usiadła. Słyszała, jak Simon zbiega na dół. Poczekała, aż trzasną za nim drzwi. Potem zaczęła płakać.

Część trzecia

Waszyngton

Następnego dnia rano Simon był już w biurze Kay. Z założonymi rękami stała przy oknie i patrzyła na coś. Kiedy wszedł, odwróciła się i opuściła ręce.

– Wiem, co stało się z Bellem. Przykro mi. To musiało być straszne. Simon ciężko usiadł w fotelu stojącym pod ścianą.

– Rzeczywiście było okropnie. Zaledwie dzień wcześniej jadłem z nim kolację. Był taki sam jak zawsze, ożywiony i gadatliwy, a potem zobaczyłem go już leżącego nieruchomo, całego w bandażach. Miałem wrażenie, że to ktoś zupełnie inny. No i jeszcze Lizzie. Dla niej to koszmar.

– Jak on się teraz czuje?

– Dzwoniłem tam zaraz po zameldowaniu się w hotelu, wczoraj wieczorem. Wciąż jeszcze jest nieprzytomny, ale jego stan ustabilizował się. Nie potrafią powiedzieć, jak długo to potrwa. Nie mówią nawet, w jakim stopniu odzyska zdrowie.

– Powiedzieliby, gdyby sami wiedzieli. Obawiam się, że nie możesz spodziewać się dobrych wieści.

– Wiem. Lizzie wciąż pakuje w siebie jakieś prochy. Chyba nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje.

Kay znowu odwróciła się do okna.

– Ginny Webb mówiła mi, że przyjechałeś zobaczyć się z Jakiem Cohenem.

– Tak. Trudna sprawa. Myślisz, że będzie miał coś dla mnie? Może zna kogoś?

Kay wróciła do biurka i usiadła. Odchyliła się w fotelu i przyjrzała uważnie Simonowi.

– A co ty na ten temat sądzisz?

– Dzięki za zachętę.

– I tak dziś Jake'a nie ma. Musiał się udać na spotkanie na dole i pewnie zostanie tam przez większość dnia.

– Na dole? W administracyjnym? Z kim się tam umówił? Uśmiechnęła się do siebie.

– Na niższym dole. A Buddy wraca dopiero o północy. To daje nam cały dzień na rozwiązanie pewnej sprawy.

– Rozwiązanie?

– Tak. Pomimo wszelkich pozorów, nie wszystko jeszcze stracone. Bynajmniej nie dzięki wam. Z dwóch klaunów byłby większy pożytek.

Możemy gdzieś wyjść i porozmawiać?

– Dopiero co przyszedłem. Nie możemy porozmawiać tutaj? Nie odpowiedziała. Wstała i zdjęła zakiet z oparcia krzesła.

– Chodź, postawię ci kawę.

– Pytałem, czy nie możemy tego załatwić tutaj? Nie mam ochoty na kawę.

– Ale będziesz miał. Czy masz ze sobą laptopa? To dobrze. Weź go. Idziemy.

– Chwila. Przeżyłem piekielne dwa dni. Prawie nie spałem. To nie ja postanowiłem nagle przyjechać do Waszyngtonu. Chciałem tu być za tydzień.

– Wiem. To mój pomysł. Powiedziałam Ginny, że twój szef, King, może się rozmyślić. Czy sądzisz, że rzeczywiście mógłby zmienić zdanie?

– Tak. Prawdopodobnie. Zwłaszcza po włamaniu.

– Ach tak. Tajemnicze włamanie.

– Żadne tam tajemnicze. Po prostu włamanie.

– Być może. Chodźmy już. Zjedziemy na dół windą. – Szybko ruszyła w stronę dźwigów.

Gdy wyszli z budynku, Kay przeszła na drugą stronę jezdni. Nie wzięła Simona za rękę.

Odwrócił się do niej.

– Coś mi mówi, że nie jesteś w nastroju na Pamiętny Dzień numer dwa. Nie patrząc na niego powiedziała:

– Może i nie. Powiem ci tylko tyle, że zapamiętasz ten dzień na całe życie. To już od ciebie zależy, jak go sobie nazwiesz.

Simon sądził, że na rogu skręca do małej kafejki, w której zwykle pijali kawę. Ona jednak szła dalej prosto, w kierunku sklepów.

– Dokąd my idziemy? Czy z tamtą kafejką coś jest nie tak?

– Idziemy do księgarni Buchan Music and Tapes. Otworzyli tam bar kawowy na piętrze. Poza tym, Harvey dzwonił wcześniej, że ma książkę, którą zamawiałam. Pomyślałam więc, czemu nie tam? Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Może będziesz mówiła bardziej z sensem, kiedy już usiądziemy.

– Na pewno, Simon. O nic się nie martw. Jesteśmy na miejscu. – Popchnęła ciężkie, szklane drzwi sklepu i weszła do środka przed nim.

– Cześć, Harvey – zawołała. – Jak leci?

– Hej, Kay! W porządku. Widzę, że dostałaś moją wiadomość, co? Mam tu tę książkę. Co prawda w zeszłym tygodniu grałaś tak bombowo, że chyba już nie będzie ci potrzebna.

– W zeszłym tygodniu? – spytał Simon.

– Jeszcze ci nie mówiła? Osiągnęła najwyższy stopień mistrzowski Go w jednej serii rozgrywek. A tego nie dokonał jeszcze nikt. Absolutnie nikt. Kay uśmiechnęła się do niego.

– To nie takie trudne, Harvey. Tak jak ci mówiłam, trzeba się tylko skoncentrować.

Wzięła książkę.

– Zapisz na moje konto. – Otworzyła ją, kierując się prosto ku spiralnej klatce schodowej pośrodku sklepu.

– Kafeczkę otwierają dopiero o dziesiątej – zawołał za nią Harvey. – Ale mogę wam nastawić jakąś muzykę. Życzenie sobie coś szczególnego?

Nie podnosząc wzroku znad książki odparła:

– Może być Mendelssohn. Dzięki.

– Zaraz włączę.

Simon wzruszył ramionami patrząc na Harveya i poszedł za Kay.

Usiadła w niszy przy oknie. Książkę ułożyła równo na stoliku przed sobą. Potem oparła się wygodnie i założyła ręce. Dobięły ich pierwsze takty Mendelssohna.

– O czym chciałaś porozmawiać? – spytał Simon. – To miejsce nie wygląda mi na szczególnie odosobnione.

– Nie jest źle. Nikt nas nie usłyszy bo muzyka zagłuszy wszystko, a poza tym nie ma tu żadnego podsłuchu.

– Nie mów mi, że sprawdziłaś. Uśmiechnęła się.

– Zaufaj mi.

– Ludzie stale proszą mnie, żebym im zaufała. Rozplotła ręce i wytarła niewidzialne okruchy z blatu stołu.

– Posłuchaj mnie, Simon. Wiem, co ty i Buddy knuliście razem.

– Och, naprawdę?

– Tak. Naprawdę. Ale to nie ma znaczenia. Ważne jest to, czy tylko ja jedna o tym wiem.

– Przykro mi, Kay, ale nic nie rozumiem. – Wyprostował się, założył ręce za głowę i spojrzał w sufit.

Zignorowała to, co powiedział.

– Wczoraj rano, czasu waszyngtońskiego, dostałam pięć rozmów telefonicznych do sprawdzenia. Wszystkie Buddy'ego. Wszystkie z tobą. Każda z nich trwała dokładnie pięć minut i rozpoczynała się cztery minuty przed północą. Czy teraz już będziesz mnie słuchał?

Nie poruszył się.

– Och, pamiętam. Dotyczyły Costy. Szkoda, że rozmawialiśmy na

cichej linii, w przeciwnym razie ty też wiedziałabyś, o czym była mowa.

– Sądzę, że możemy wyłączyć z tego pana da Costę. Może powiesz mi, co się dzieje, czy wolisz, żebym sama poskładała kawałki i ułożyła je w całość? Jeżeli zrobimy to po mojemu, może uda się nam osiągnąć jakiś postęp i wyciągnąć ciebie i Buddy'ego z tej sytuacji, bo jesteście między młotem a kowadłem. Jeżeli zostaniemy przy twoim sposobie, skończy nam się piasek w górnej części klepsydry, a wtedy już nie będę w stanie ci pomóc.

Przesunął splecione dłonie zza głowy na czoło. Wydał policzki i patrzył na Kay przez dłuższą chwilę. W końcu powiedział:

– Czy słyszałaś kiedyś o zasadzie dziesięciu procent?

– To tylko mit. Ale chętnie wysłucham twojej wersji.

– Dobrze. Już od dwudziestu pięciu lat jestem sprzedawcą. Sprzedawałem różne rzeczy. Zawsze podróżowałem. Często sześć czy osiem miesięcy w ciągu roku spędzałem poza domem. To dość nudne. Jedyną rekompensatą jest to, że firma pokrywa moje wydatki. Wypełniłem w swoim życiu więcej formularzy o zwrot kosztów, niż ty zjadłaś obiadów. Tak samo Buddy. Zresztą, sama powinnaś to wiedzieć. Przez ciebie przesyłał je Jake'owi.

– Tak, ale dopiero gdy zaczął pracować z tobą, stały się one dziełami sztuki.

– Może i tak. Dałem mu parę wskazówek. Ale nigdy, ani razu, nie znalazło się tam więcej niż dziesięć procent bez pokrycia w rachunkach. Tyle nikomu nie przeszkadza. Ani Jake'owi. Ani Kingowi. Nikomu. To dopuszczalna granica. Zasada dziesięciu procent. Wszystko się zgadza.

– Skoro tak mówisz.

– Tak mówię. W tych chwilach, o których wspomniałaś, Buddy i ja nie robiliśmy nic więcej niż ściąganie owych dziesięciu procent. Trochę tu. Trochę tam. Nic do stracenia.

– Tak, ale tym razem nie chodziło o wydatki, Simon. Buddy podawał ci bankowe kody dostępu. To było jak wyciąganie pieniędzy prosto z kasy, nawet bez dotykania przegródek. Nie wiem, dokąd to wszystko poszło, ale dokładnie wiem, skąd te pieniądze pochodziły. Żadnego związku z kosztami. Nawet nie miało to nic wspólnego z departamentem Buddy'ego czy z jakimkolwiek innym. Po prostu bank na jedną noc, a wy weszliście do środka i wzięliście forszę. Dziesięć procent? Dziesięć procent czego, Simon? – Wyciągnęła ręce przed siebie i po chwili podjęła przerwany wątek. – Teraz już wiem, że wszędzie bawisz się kontami. Bilety lotnicze, rachunki hotelowe, restauracje i wszystko inne. To pewien

rodzaj gry i ty jesteś w niej dobry. Twierdzisz, że nikomu to nie przeszkadza. Przecież oni widzą, co robisz. Bawisz się w kotka i myszkę. Znajdujesz jedno, oni próbują cię powstrzymać, więc znajdujesz drugie. I tak dalej. Wszyscy wiedzą, ile zostało zabrane i dokąd to poszło, ale to, co robisz teraz, jest zupełnie inne. Nowa gra. Będę z tobą uczciwa, nie sędzę, aby oni w ogóle mieli pojęcie, jak to robisz, i nie sędzę, aby wiedzieli, dokąd idą pieniądze. Może przez to poczujesz się lepiej, ale jak, według ciebie, czują się teraz oni. Co mogą teraz czuć?

– To nie mój problem.

– A właśnie że to twój cholerny problem. I zaraz powiem ci dlaczego. Nawet jeżeli jeszcze nie *wiedzą, jak*, mają już całkiem niezłe pojęcie *kto*, i są diabelnie wściekli.

– Bzdura. Nie mają żadnych poszlak.

– A rozmowy telefoniczne?

– Już ci mówiłem. Zakodowane. Bezpieczne kody waszyngtońskie. Nie ma sposobu, żeby je złamać.

– W takim razie przyjmij do wiadomości, że właśnie to zrobiłam.

– Nie ma mowy. Może jakąś część, ale nie wszystko. Blefujesz.

– Czy gdybym tego nie zrobiła, siedziałabym tu teraz z tobą? Rozszyfrowałam rozmowy, ponieważ posiadam ten sam dostęp do systemu co Buddy. Powinien był użyć wyższego poziomu i pewnie powiedział ci, że tak właśnie zrobił, ale teraz już wiesz, jaki czasem potrafi być beznadziejny. Czy zaczynasz uważać?

– Trochę.

– To dobrze. Wreszcie. Z tego, co się orientuję, jestem jedyną osobą, która zna prawdę. Przypuszczam, że zaakceptowali wersję, którą im podałam. Ale to ich nie powstrzyma na długo. Siedzą ci na ogonie i im wcześniej się o tym przekonasz, tym lepiej. Owszem, zgadzam się z tobą, że jeszcze im daleko do tego *jak* to działa, ale przypuszczam, że na razie zadowoliliby się tym *kimś*, kto to robi.

– Wymyślasz.

– Wymyślam! Ja wymyślam? Wyciągnij swego laptopa i sprawdź pliki Bella Lessinga w Cambridge.

– Co to ma, do diabła, wspólnego z Bellem?

– Po prostu zrób to, o co cię proszę. Zobaczysz sam.

Niechętnie wyjął komputer i za pośrednictwem modemu połączył się z superkomputerem w Cambridge.

– To zupełna strata czasu, Kay. Znam wszystkie dokumenty Bella. Zresztą, on nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Wszystkie jego pliki są

chronione hasłem. Dziesięciocyfrowym. Wystukiwanym w odpowiednich odstępach czasowych. Wszystko jest rejestrowane. Nie ma możliwości wejścia i wyjścia bez śladu.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś miał większe problemy z dostaniem się do środka.

– Nie. Oczywiście. Znam jego numer identyfikacyjny. Dał mi go, bo nad niektórymi rzeczami pracowaliśmy razem. Pomagałem mu trochę. Wiesz o tym.

– Już jesteś w środku?

– Tak. Wszystko wygląda zwyczajnie. – Simon czytał z ekranu. Dwa katalogi dotyczące książki, którą pisze. Dwa arkusze kalkulacyjne. Dwa pliki z notatkami na wykłady. Zwyczajnie. Zwyczajnie. Zwyczajnie.

– A twoje rzeczy u niego?

– Tak, w porządku. Są razem z arkuszami. Nic specjalnego. Nie jestem jakimś cholernym głupkiem, wiesz?

– Cieszę się, że to słyszę, Simon. Twierdzisz, że tylko ty i Bell znacie numer identyfikacji?

– Tak.

– Jesteś tego pewien?

– Prawie całkowicie. W końcu to Cambridge. W takim miejscu trzeba się umieć zabezpieczyć. Studenci węszą wszędzie.

– Może więc Bell dał swój numer któremuś z nich?

– Niemożliwe. Nie Lessing. Ledwo zdołałem Bella przekonać, że ja powinienem go mieć. Zwykle jest w tych sprawach dość niedbały, ale na pewno nie pozwoliłby, aby jacyś studenci szperali mu w plikach.

– No to kiedy po raz ostatni ktoś je przeglądał? Simon pochylił się nad klawiaturą.

– Dwanaście godzin temu. Dostęp z modemu lokalnego. Pięć minut. Nie, poczekaj. Tu jest zero. Pięćdziesiąt minut. Tylko czytane. Żadnych zmian w katalogach. Żadnego kopiowania. To bardzo dziwne. – Spojrzał na Kay zaskoczony.

Odsunęła się od stołu i założyła ręce.

– A gdzie dokładnie był twój przyjaciel Bell dwanaście godzin temu? Na pewno nie przy klawiaturze komputera. Przyznasz, że leżał wtedy tam gdzie teraz. Bez ruchu. Twierdzisz, że system jest zabezpieczony? Najwidoczniej jednak nie.

Simon podniósł dłonie do góry.

– Przyznaję, że to dziwne. Nie sądziłem, że ktokolwiek może się dostać do środka. Na pewno istnieje jakieś zwyczajne wytłumaczenie.

– O tak. Wyjaśnienie jest zupełnie proste. Mam tylko wrażenie, że nie za bardzo ci się spodoba.

– Zobaczymy.

– Co powiesz na kogoś, kto ma dostęp do olbrzymich superkomputerów. Kogoś, kto może wejść i wyjść z każdego pliku, jaki tylko istnieje? Kogoś, kto ma mniej więcej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, wydatne usta i włosy farbowane na blond.

– Co to ma znaczyć? Przecież to absurd.

– Tak to nazywasz? Absurd? Anie dziwi cię to trochę, że pojawiła się nagle po tych wszystkich latach, akurat w tygodniu, kiedy ten mały eksperyment planowany przez ciebie i Buddy'ego wyszedł na światło dzienne? W tym samym tygodniu ktoś włamał się do twego biura i dostał się do plików Bella. Co więcej, dokładnie w tym samusińskim tygodniu Buddy został wysłany tam, gdzie nie można go nawet złapać telefonicznie? A ja dostałam pięć zakodowanych rozmów telefonicznych do rozszyfrowania?

– Ona nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Posłuchaj, przyznaję, że ktoś na pewno sprawdzał, co robię z Buddym, ale Maddie była w Cambridge tylko przypadkiem. Zresztą ona wcale nie „pojawiła się po latach”, tak jak ty to ujęłaś. Przecież jest siostrą Buddy'ego i wiedziałem o niej od dawna. Ty sama pewnie też ją znasz.

– O tak. Znam ją aż za dobrze. Wiem też, czym się zajmuje. A ty?

– Mniej więcej. Wykłada na jakimś uniwersytecie. Chyba w Ohio, jeżeli dobrze pamiętam.

– Czy tak właśnie ci powiedziała? – Kay położyła obie dłonie płasko na blacie stolika i pochyliła się do przodu. – Simon, posłuchaj mnie, ona nie jest wykładowcą. Nie mieszka też w Ohio. Pracuje tutaj, w Waszyngtonie. Dla rządu. Buddy nigdy się z nią nie spotyka, bo nie może jej znieść. Wiesz dlaczego? Ponieważ Maddie jest tajną agentką. Cholerną tajniaczką. Na pewno wiesz, co to znaczy, prawda?

– Na litość boską, Kay. W jakim świecie ty żyjesz? Agentka? Na pewno nie jest nikim takim. Jest po prostu kobietą, którą poznałem w zeszłym tygodniu. Owszem, to siostra Buddy'ego, ale nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z Waszyngtonem, ani z tym, co się tu dzieje. To moja sprawa. I powiem ci jeszcze jedno. W tym potwornym tygodniu ona była jedynym miłym elementem, więc zostaw już ten temat.

– Bzdura. Jeszcze raz ci powtarzam, ona uosabia najgorsze, co ci się mogło kiedykolwiek przytrafić. W tym czy w innym tygodniu. To chodząca zła nowina.

– Kay, wcale nie mam ochoty tego słuchać. Przyjechałem tu zobaczyć Jake'a, to wszystko. Nie wiem, po co mnie tu przyciągnęłaś i twierdzisz, że nadszedł koniec mojej i Buddy'ego gry. Trudno. Przyznaję, to zła wiadomość, ale jakoś się z tym pogodzę. Dziękuję ci bardzo. Problem w tym, że nie potrafisz zostawić tego tak, jak jest. Wolisz snuć opowieści o jakimś świecie fantazji, łamaniu kodów, włamań i agentek. Czy mam już wezwać ambulans i facetów w białych fartuchach, czy jeszcze trochę poczekać?

Kay położyła dłonie na policzkach.

– Powinnaś wiedzieć, że nic nie wskóram, próbując ci wszystko wyjaśnić. Gdyby to nie było tak ważne, powiedziałabym, że marnuję czas i po prostu zostawiłabym to. Teraz proszę cię, przestań kręcić i powiedz mi lepiej to samo, co powiedziałaś jej. Kiedy zamierzasz się z nią znowu spotkać?

– Pilnuj swoich spraw. To, co robię, ciebie nie dotyczy. Koniec rozmowy. – Odsunął się od stołu i odwrócił głowę w stronę okna.

Na szczycie schodów pojawił się Harvey.

– Jak tam u was? Wszystko w porządku? Dziewczyna, która pracuje w kawiarence, dzwoniła, że dziś nie przyjdzie, więc nie będę w ogóle otwierał. Zrobiłem wam kawę na dole.

Kay wstała i wzięła od niego kubki.

– Dzięki, Harvey. To miło z twojej strony. Postawiła kawę na stole i usiadła.

– Nie chciałam wszczynać kłótni – powiedziała.

– To również moja wina. Nie powinienem podnosić głosu.

– Może to i tak nie ma żadnego znaczenia. Albo mi uwierzysz, albo nie.

– Niestety, nie wierzę ci.

– To widzę. Chciałam ci powiedzieć jeszcze tylko jedno.

– Strzelaj.

– Chodzi o ludzi, którzy, jak sądzę, wiedzą o tobie.

– Tajemniczy „oni”.

– Tak. Nie są wcale mili. Nie chodzą i nie biją ludzi po łapach. Ich źródła i źródki są praktycznie nieograniczone. Mają carte blanche na wszystko. Jeżeli chcą się gdzieś włamać, po prostu to robią. Jeżeli potrzebne im są pieniądze, to je mają. Jeżeli chcą zrujnować komuś życie, to też potrafią zrobić.

Simon znowu założył ręce za głowę.

– O tak. To mi przypomina opis twardego świata. Niemal słyszę filmowy podkład muzyczny w tle. Pewnie zaraz mi powiesz, że to gra bez

cieni. Bez możliwości ucieczki. A pewnie jeszcze niektórzy z tych „onych” mają 00 przed imieniem i licencję na zabijanie.

– Nie mówiłbyś tak o nich, gdybyś wiedział, co mogą zrobić. Zresztą jest zupełnie odwrotnie niż mówisz. To tak nie działa.

– Co nie działa?

– Ostatnia część. Nikt nie ma „licencji na zabijanie”. Po prostu niektórzy z nich mają ogromne doświadczenie, że nikogo już nie obchodzi co robią. Cieszą się zaufaniem. Dostają zadanie i mogą je wykonać tak jak chcą. Jeżeli przy okazji zginie kilka postronnych osób, trudno, w końcu takie jest ryzyko zawodowe, prawda? Zanim znowu powiesz coś ironicznie i puścisz całą rozmowę w niepamięć, lepiej zapytaj sam siebie, co się stało z twoim przyjacielem, Bellem Lessingiem.

– Wiesz przecież, że to był zwyczajny wypadek. Potrafił go samochód. Chyba nie tak działają spece z nadzwyczajnego szwadronu śmierci, co? Lepiej powiedz, że mają truciznę w szpikulcach parasoli, jeżeli chcesz zrobić na mnie wrażenie.

– Może więc tym razem zrobili to dobrze. Nawet najlepszy przyjaciel uważa, że to był wypadek.

– Posłuchaj. Bell przecież nie umarł. Jest w szpitalu. Wyjdzie z tego. Kay przez moment siedziała w milczeniu wyglądając przez okno.

– Czyżby? Zobaczymy. Simon spojrzał na zegarek.

– Czy już skończyliśmy?

– Chyba tak. Skończyliśmy. Mam nadzieję, że kawa ci smakowała. Muzyka pewnie też była odpowiednia. Finito. Możesz iść.

– Jutro rano wpadnę zobaczyć się z Cohenem. Czy mogłabyś mnie z nim umówić około dziesiątej?

– Spróbuję. Ale i tak na nic ci się to nie przyda. Mówiłam ci.

– Chcę też pogadać z Buddym. Pewnie też zastanę go jutro w biurze.

– Tak myślisz? Zależy od tego, ile dziś wieczorem wypije, prawda? Simon wstał.

– Nie chcę, żebyśmy tak to zakończyli, Kay.

– Wiem. Spotkamy się jeszcze jutro. Zjedzmy sobie pożegnalny obiad. Ty. Ja. Buddy. Może przyprowadzisz też swoją nową znajomą?

Nagle pochylił się i uderzył dłonią w stół.

– Gdybyś kiedyś chciała wiedzieć, dlaczego wieczorami możesz tylko wyglądać z tych swoich cholernych okien, to odegraj sobie taśmę z ostatnią kwestią. W końcu przecież z taśmami radzisz sobie doskonale.

Odwrócił się i zszedł po schodach, nie oglądając się za siebie. Kay siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie. Harvey niepewnie wszedł na

górze.

– Wszystko w porządku, Kay? Słyszałem z dołu, jak się kłóciliście.

– Przepraszam, Harvey. To tylko niewielkie nieporozumienie, nic więcej.

– Mam nadzieję. To on jest tym, o którym mi wspominałaś? Wygląda na miłego faceta. Pamiętam sposób, w jaki o nim mówiłaś, miałem nadzieję, że coś z tego będzie.

Uśmiechnęła się.

– Tak. To całkiem miły facet. Ale chyba nie jestem w jego typie. Niebieskie oczy, sam rozumiesz.

– Aha – potwierdził Harvey. – To nie moja sprawa. A jak tam książka? Przejrzałem ją, zanim przysłałaś, ale to dla prawdziwych mózgowców. Dla mnie o wiele za trudna.

Kay podniosła książkę i przeczytała tytuł: *Zastosowanie Teorii Wielkich Liczb w komputerowej wersji Go*. Uśmiechnęła się raz jeszcze.

– Miałam taki jeden pomysł.

– Tylko musisz się skoncentrować, tak?

– Może, ale sądzę, że moja największa szansa zrozumienia wszystkiego właśnie zniknęła za drzwiami.

Harvey zabrał puste kubki.

– Muszę iść. Złapię cię później w Sieci. Mam nadzieję, że jakoś to załatacie. Trzymaj się. – Zbiegł w dół po krętych schodach.

Simon umówił się na spotkanie z Maddie przy Pomniku Marynarki Wojennej na południowym krańcu Columbia Island. Na drugi brzeg rzeki przejechał mostem Arlington Memoriał i skręcił w lewo, w kierunku wjazdu na parking. Zostawił tam samochód i usiadł na niskim kamiennym murku przy rzece.

Kolorowe łódki żeglowały w pobliżu basenu jachtowego Pentagon Lagoon. Niektóre miały go, płynąc w górę rzeki do Roosevelt Island, inne przepływały rzekę wszerz, znikając za mostem Riverside Drive.

W ciągu tych trzech dni, które spędził w Anglii, zaczęła się jesień. Drzewa na wyspie i te po drugiej stronie rzeki w parku Potomac zmieniały już kolory. Ciemna zieleń końca lata ustępowała głębokim czerwieniom i jasnym żółciom amerykańskiej jesieni.

To była jego ulubiona pora roku w Waszyngtonie i właśnie zaczął zastanawiać się nad tym, co na jej temat sądziłaby Ellen, kiedy usłyszał za sobą Maddie. Do klapy zakietu przypięła broszkę w kształcie ważki.

– Cześć, Simon. Widzę, że nie miałeś problemów z trafieniem tu? – Booker przyniosła brązową, papierową torbę, którą postawiła na trawie, i usiadła na murku obok niego.

– To nic trudnego. Często widziałem to miejsce z mostu i zastanawiałem się, co tu się znajduje. Razem z Buddym przyjeżdżaliśmy do Arlington, kiedy mieliśmy już dość biura.

– Nie przypomina to, co prawda, Byron's Pool, ale chyba w całym Waszyngtonie nie ma ładniejszego miejsca.

– Rzeczywiście – Simon uśmiechnął się. – Co masz w torbie?

– Piknik. Pomyślałam, że powinnam ci się zrewanżować. Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłeś?

– Nie. Wspaniale, że o tym pomyślałaś.

– Po amerykańsku. Pizza na wynos i piwo.

– Świetnie. Włoskie zarcie i czeski napój.

– Tak jak mówiłam, po amerykańsku. Największą zaletą dla ciebie powinno być to, że nie ja gotowałam.

– Jesteś aż tak kiepską kucharką?

– Powiedzmy, że wolę mieszać niż gotować. Świetnie wychodzi mi mus czekoladowy, ale on chyba nie nadawałby się na piknik.

– Rozumiem. Maddie roześmiała się.

– Nie powinnam ci o tym mówić. Zasada numer jeden, nigdy nie zdradzaj mężczyźnie, że nie umiesz gotować.

Podawała mu puszkę piwa, a drugą otworzyła dla siebie.

– I co, dopisało ci dziś szczęście z Jakiem Cohenem?

– Jeszcze się z nim nie widziałem. Nie mam zbyt wielkiej nadziei.

Nawet Kay uważa, że tracę tylko czas.

– A co ona wie? Buddy mówił mi, że nawet podczas najlepszej zabawy straszna z niej nudziara.

– Może.

– Ale nie przyszliśmy tu przecież rozmawiać o niej. Chcę cię poprosić o pewną przysługę.

Simon łyknął piwa.

– Tak?

– Ma to związek z tym, o czym mi opowiadałeś.

– To znaczy?

– No wiesz. Z twoim programem.

Wzięła łyk ze swojej puszkę i odstawiała ją na trawę między nimi.

– Rzecz polega na tym – powiedziała biorąc kawałek pizzy z torby – że to mi nie wygląda na najlepszy plan.

– Co? Dlaczego?

– Popraw mnie, jeżeli nie mam racji, ale chodzi tu o włamanie się do systemu dla zysku, tak?

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Ale w zasadzie można byłoby całość do tego sprowadzić, prawda? Znalazłeś sposób na ściąganie pieniędzy, które nie są twoje. Czy tak?

– Jeżeli tak to stawiasz, przypuszczam, że masz rację. Maddie podsunęła torbę z pizzą Simonowi.

– Nie próbujmy tego komplikować ani wyjaśniać. My Amerykanie, nazywamy to sięganiem do cudzego pudełka z ciastkami.

– I?

– I chciałabym cię prosić o przysługę. Skończ z tym, tylko tyle. Skończ, i już.

– Nie mogę, Maddie. To nie takie proste.

– A właśnie, że tak. Zastanawiałam się nad tym. Jeżeli sam tego nie przerwiesz, zrobi to ktoś inny. A są to zaszrani Amerykanie. Jeżeli to oni cię złapią, będą chcieli odzyskać swoje pieniądze. Na pewno dopną swego.

– Nie, jeżeli będę uważał.

– Nie pomoże nawet największa ostrożność. Wiem, że w teorii to możliwe, ale kiedy zaczniesz, może się okazać, iż stąpasz po bardzo niepewnym gruncie. Sam wspominałeś, że to ma związek z bankami. Chyba nie wierzysz, że ich właściciele potraktują to jako zabawę i dadzą

się przeprosić. Mówię ci, lepiej ci będzie, jeśli porzucisz ten plan. Naprawdę.

– W Anglii mówiłaś zupełnie co innego. Skąd nagle ta zmiana poglądów?

– Wtedy byłam raczej zdumiona, a nie zainteresowana. Sposób, w jaki przedstawiłaś swój projekt, sprawił, że wydawał się on całkiem realny, ale rzeczywistość jest zupełnie inna. Przeprowadzenie go wiązałoby się z dużym niebezpieczeństwem, poza tym ty przecież nie potrzebujesz pieniędzy.

– Każdy ich potrzebuje. Zwłaszcza ja. Zapomniałaś, że od niedawna nie mam pracy.

– Człowiekowi z twoimi kwalifikacjami nie będzie trudno znaleźć inną. A już na pewno nie w Ameryce.

– Skąd miałbym to wiedzieć. Mieszkam przecież w Anglii.

– Tak, ale nie musisz tam zostawać. Powiedz mi, po co?

– Tak po prostu jest. Tam mam dom. Wszystko. Nie zapominaj, że Lewes też tam mieszka. Jestem Anglikiem.

– Mówiłaś mi, że Lewes studiuje na uniwersytecie i spotykacie się tylko podczas wakacji. Gdybyś mieszkał tutaj, miałby do ciebie tylko trochę dalej.

Wyjęła papierosa i zapaliła go.

– Więc – ciągnęła – myślę, że powinieneś się nad tym zastanowić. Taka okazja może się już nie powtórzyć. W tej twojej Anglii i wspaniałym Cambridge teraz jakoś nie bardzo ci się powodzi, prawda? Przyjedź do Ameryki, tutaj będziesz miał więcej szans. Mógłbyś przyjechać do Ohio. Tamtejszy uniwersytet jest dobry i znam tam sporo ludzi. Jest tam Fakultet Rolnictwa i jestem pewna, że mógłbyś na nim wykładać.

Simon podniósł rękę do góry.

– Chwila, zwolnij trochę, Maddie. To nie jest takie proste.

– A właśnie że jest. Masz doktorat z Cambridge, a niewielu stamtąd może się czymś takim pochwalić. Tutaj ludzie wiele by dali za dyplom takiej uczelni. Do tego dochodzi jeszcze twoje doświadczenie w projektach urządzeń nawadniających, no i dobre referencje od Jake'a. Praca załatwiona.

– Jesteś szalona. Ohio, mówisz? Ja nawet nie wiem, gdzie to jest. Wiem tylko tyle, że ty tam mieszkasz.

– Ohio jest w porządku. To nazwa stanu. Mój uniwersytet mieści się w Columbus. Czy o nim słyszałaś?

– Tak, ale nic ono dla mnie nie znaczy. Nas nie uczyli w szkole

o Ameryce. A od Alistaira Cooke'a tylko tyle można się nauczyć.

– Od kogo? Zresztą, to nie ma znaczenia. Możesz mi wierzyć na słowo. To ładne miasto i niezły uniwersytet. Mieszkam kilkanaście kilometrów od centrum. Jest trochę inaczej niż na filmach z tym twoim detektywem Cookiem, czy jak mu tam. Ameryka nie jest pełna ludzi, którzy do siebie przez cały czas strzelają. Zastanów się nad moją propozycją.

Skończył swoje piwo.

– Jesteś zabawna, Maddie. Wiesz?

– Nawet nie musiałbyś sprzedawać swojego domu tak od razu. Wynajmiesz go na rok. Spróbujesz. Musisz dać sobie jeszcze jedną szansę. Zresztą, jak mam ci gotować mus czekoladowy, skoro będziesz tkwił po drugiej stronie Atlantyku?

Simon wyciągnął z torby kawałek pizzy i ugryzł go.

– Po co to wszystko mówisz? Wiesz, że to niemożliwe. Spojrzała na niego poważnie.

– Być może brzmi to mało realnie, ale ten plan, o którym mówiłeś, wydawał się równie nierealny, prawda? Ten program z transakcjami. Przynajmniej mój pomysł ma jakąś szansę powodzenia. W naszym wieku powoli zaczynamy mieć coraz mniej dróg wyboru. Jeżeli akurat obok przejeżdża wagon towarowy z otwartymi drzwiami, po prostu wskakuj do środka.

– Ale mój projekt... On jest naprawdę realny. Nawet kilka razy próbowaliśmy, czy zadziała. I zadziałał. Mógłbym z tego wyciągnąć trochę pieniędzy. Nie mam pojęcia, skąd się wziął twój pomysł. A myślałem, że to ja jestem marzycielem.

– Nie musiałbyś zupełnie porzucić swoich zamierzeń. Jeżeli zrobisz wszystko tak jak ja mówię, będziesz miał czas na dokończenie prac nad planem, a potem, kiedy już będziesz gotowy, może zdecydujesz się wprowadzić go w życie. Jeszcze masz czas, aby wybierać.

– Wystarczy tylko raz – powiedział Simon. – Przecież ty nic nie wiesz. Mógłbym nawet przeprowadzić to dzisiaj w nocy.

– Ale nie zrobisz tego?

– Nie. Muszę omówić to z Buddym, a z nim zobaczę się dopiero jutro. Czy wspominałaś mu, że przyjeżdżam wcześniej?

– Nie. Zanim znalazłam numer hotelu, w którym się zatrzymał, on już zdążył się wymeldować. Poinformowano mnie tylko, że miał zamiar wziąć udział w ostatnim dniu konferencji, a wieczorem miał samolot do Waszyngtonu. Dotrze tu dopiero po pierwszej. Lepiej nie licz, że zjawi się w biurze z samego rana.

– Dobrze. A ty? Jak długo tutaj zostajesz?

– Wcale. Ostatnia sesja, na którą miałam iść, zaczyna się o trzeciej. Potem jadę prosto na lotnisko i o piątej mam lot do Columbus. W domu będę na ósmą. Co robisz dziś po południu?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie wrócę do hotelu i położę się spać. Jutro chyba polecę z powrotem do domu.

Wyciągnęła ku niemu rękę i położyła dłoń na jego rękawie.

– Nie uciekaj tak szybko. Zrób sobie parę dni wolnego. Przypuszczam, że i tak są ci to winni.

– Owszem, ale nie mogę przecież bez sensu wałęsać się po Waszyngtonie.

– Myślałam raczej o Columbus. Zauważyła, że na nią spojrzął.

– Dlaczego by nie? – powiedziała – Przecież tu już zakończyłeś swoje sprawy, prawda? Może udałoby mi się namówić Buddy’ego, żeby też przyjechał na parę dni. Zawsze lubił Columbus. Moglibyście spędzić trochę czasu razem.

– Nie wszystko na raz, Maddie. Dopiero zacząłem przyzwyczajać się do tego, że nie mam pracy, jeszcze nie jestem gotowy na kolejny etap.

– Ja nie proponowałam żadnego „kolejnego etapu”. Tylko kilka dni wolnych. Nic więcej.

– Muszę wracać. Jest jeszcze Bell.

– Bell Lessing? Ale przecież dla niego i tak teraz nic nie możesz zrobić.

– Dla Bella nie, ale mogę pomóc Lizzie. Znamy się od tak dawna. Takie wydarzenia wszystkich wytrącają z równowagi. Trzeba sobie pomagać nawzajem. To tak jak z nami: oboje możemy pomóc choćby w niewielkim stopniu Buddy’emu. Tam wciąż jeszcze nie znają szczegółów wypadku.

– Co masz na myśli? Sądziłam, że potrafił go samochód?

– Tak, ale śledztwo się na tym nie kończy. Muszą odnaleźć tego, kto to zrobił. Jeżeli Bell pozostanie niesprawny albo nie będzie mógł wrócić do pracy, wtedy musi się tym zająć firma ubezpieczeniowa. W grę wchodzi może spora suma pieniędzy. Powinienem pomóc rodzinie w załatwianiu wszystkich spraw.

– Dlaczego ty?

– Ponieważ jestem przyjacielem Bella. Lizzie nie ma pojęcia, co trzeba w takich sytuacjach robić, a wie, że może polegać na mnie.

– Nie pomyślałam o tym. Pewnie dlatego, że prawie go nie znałam. Spotkałam go tylko raz i, prawdę mówiąc, nie spodobał mi się.

– Bell jest w porządku. Może trochę zbyt gadatliwy na początku. Ale

tak jak już mówiłem, pomagałbym nie tylko ze względu na niego. Jest jeszcze Lizzie, no i dziewczynki.

– Dziewczynki?

– Tak. Mają dwie dorosłe córki. Przyjechały z Londynu tej nocy, kiedy zdarzył się wypadek. Jedna z nich zostanie z matką do mojego powrotu.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy naprawdę potrafisz to zrozumieć? To nie jest tylko jeden z przypadków, jakieś zestawienie statystyczne. On jest częścią rodziny. Ma grono przyjaciół i właśnie nas wszystkich najbardziej to dotyka. Jeżeli dla Bella życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem, to życie nas wszystkich ulegnie zmianie.

– Tak, ale nie bądź tak bardzo przygnębiony. Może Bell z tego wyjdzie. Z tego co wiem, najbardziej krytyczne są pierwsze dni.

Oboje obserwowali przepływające nieopodal łodzie. Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę. W oddali, helikopter wylądował na trawniku Białego Domu. Nad nimi przeleciał samolot podchodzący do lądowania na waszyngtońskim lotnisku.

Maddie przysunęła się do Simona i wzięła go za rękę.

– Myślisz, że będziesz za tym tęsknił? Za Waszyngtonem?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Przekonałem się tylko, że człowiek, który stracił pracę, czuje się koszmarnie. Całe fragmenty życia odchodzą razem z posadą, ale zauważasz to dopiero wtedy, gdy zaczynasz się za nimi rozglądać. Sądzę, że właśnie taki jest dla mnie teraz Waszyngton. Był częścią mego życia tak długo, że nie potrafię wyobrazić sobie przyszłości bez tych wizyt. Ale przecież miejsca tworzą ludzie, którzy w nich mieszkają, a poza pracą nikogo tutaj nie znałem. Tylko Buddy'ego.

– I Jake'a, i Kay – dodała Maddie. Uśmiechnął się.

– Ich właściwie nie znałem. Bardzo słabo. Pewnie niedługo zatrudnią jakiegoś nowego Simona. A jeżeli Buddy będzie musiał odejść, wezmą też nowego na jego miejsce. Woda bardzo szybko zamyka ci się nad głową. Wszystko toczy się dalej jakby nigdy nic.

– A Costa? Co z nim?

– To jedyny człowiek, za którym zdecydowanie nie będę tęsknił. Nawet trochę mnie pociesza fakt, że nigdy nie spotkam już ani jego, ani tej całej załogi.

– Załogi?

– Jego towarzyszy. Ochroniarzy. Costa nigdy nigdzie nie chodził sam. Zawsze było przy nim dwóch albo trzech mężczyzn. Nawet kiedy szedł do restauracji, oni zjawiali się razem z nim i siadali przy sąsiednim stole. Ktoś mógłby pomyśleć, że zaraz zaczniemy do niego strzelać.

– Wy może nie, ale pewnie wielu by chciało. Mówiłeś mi, że Costa zajmuje się różnymi podejrzanymi interesami.

– Bo tak jest, ale kiedy Buddy i ja odejdziemy, to zostanie na głowie Jake'a. I Kay.

– Królowej Śniegu. A tak przy okazji, jak zareagowała na to, że straciła pracę?

– Powiedziałbym, że była uprzejmie rozczarowana. Nic więcej. Ona ciebie nie lubi, wiesz? Twierdziła, że powinienem na ciebie uważać. Właściwie podkreślała to kilka razy.

– Nigdy jej nawet nie spotkałam. Przecież nic o mnie nie wie. Simon spojrział na Maddie.

– Ona mówi, że wie. Podobno wie o tobie wszystko.

– Nie sądzę, żeby było tego wiele.

– Kay twierdzi, że cię sprawdziła. Dowiedziała się, że pracujesz dla rządu. Dla CIA. Ja tylko powtarzam to, co słyszałem od niej.

Maddie wyjęła kolejnego papierosa i zapaliła go.

– Sprawdziła mnie, tak? W jednym z tych jej komputerów? Mamy wolność informacji, zgadza się?

– Czy to prawda? Pracujesz dla rządu? Powiedz.

– Kiedyś. Rzeczywiście raz coś dla nich zrobiłam. Ale to było dawno temu. Dwadzieścia lat. Rządowcy są w głębi duszy biurokratami. Jak już coś zapiszą, to trzymają przez wieki. Wtedy on powiedział mi, że będą ze mną w kontakcie na wypadek, gdyby sprawa powróciła czy coś takiego. Mówił, że raczej nic się nie stanie, ale wolał mieć pewność, że mnie gdzieś złapie. W tamtym okresie, kiedy to wszystko się stało, bałam się. Myślałam, że on chciał mnie w ten sposób uspokoić. Pokazać, że Wuj Sam troszczył się o mnie.

Simon patrzył na nią cały czas.

– On? Nie wiem, o kim mówisz.

– O Buddym. Mówię o Buddym. Zrobiłam to dla niego. Prosił mnie. Wtedy był zupełnie innym człowiekiem, nie tym Buddym z funduszu pomocy międzynarodowej. W tamtym okresie służył jeszcze w wojsku. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, więc nie miałam powodu, żeby ci cokolwiek o tym mówić, ale skoro Królowa Śniegu wyciągnęła to na światło dzienne, nie zamierzam dłużej tego ukrywać. Ona może mnie nie

lubić, ale po tym, co ci powiem, sam zrozumiesz, dlaczego ja też nie przepadam za nią i jej podobnymi.

Wypuściła chmurę dymu papierosowego.

– Buddy właśnie wrócił z Wietnamu – zaczęła. – Ja studiowałam na uniwersytecie w Columbus. On, jak wiesz, latał helikopterami. To nie były żadne regularne loty. Jego ówczesny dowódca, facet o obco brzmiącym nazwisku, działał jednocześnie w wywiadzie, więc Buddy latał też trochę z jego sprawami. Nie znam żadnych szczegółów, Buddy nigdy mi o niczym nie opowiadał, ale nie sądzę, aby uważał to za miłe zajęcie. Nie mógł się doczekać, kiedy zostanie zwolniony z armii. Niestety, gdy wrócił do Ameryki, tamten facet ściągnął go do siebie i powiedział, że nie może odejść. Chciał, żeby mój brat coś jeszcze dla niego zrobił. Mówił, że dostanie za to awans i wyższą pensję, więc Buddy się zgodził. Myślał, że chodziło o latanie, ale to było co innego. Szef kazał mu zwerbować mnie do „operacji specjalnej”.

– Szef?

– Ten facet o śmiesznym nazwisku. Polsko brzmiącym, ale on był Amerykaninem.

– Mów dalej.

– Buddy przywiózł mnie do Waszyngtonu. Trafiłam do jakiegoś pokoju pod ziemią. Posadzono mnie przy długim drewnianym stole i powiedziano, co mam robić. Chodziło im o pewnego rosyjskiego studenta z wymiany. Chcieli wiedzieć, co robił w Ameryce. Pamiętaj, że wtedy często mówiono o utajnionych czerwonych. Myśleli, że on był szpiegiem. Oczywiście nim nie był. Miał przecież dopiero dziewiętnaście lat.

– A kim był?

– Zwykłym inżynierem. Pracował dla jakiegoś megaministerstwa w dziale zarządzania energią. Po powrocie do kraju miał zostać specjalistą od oprogramowania w energetyce. Strasznie kaleczył angielski, ale znał też francuski. Uczyłam się francuskiego w szkole i mogłam się z nim jakoś porozumieć. Myślę, że czuł się bardzo samotnie. Oni chcieli tylko, żebym go lepiej poznała. Żebym się z nim parę razy umówiła.

– I zrobiłaś to?

– Tak. Nazywał się Andrej Gorow. Był całkiem miły. Miałam tylko uśmiechnąć się do niego parę razy.

– I co, planował coś?

– Oczywiście że nie. No, może w pewnym sensie. Widzisz, Andrej wiedział, że kiedy wróci do domu, będzie musiał tworzyć oprogramowanie

dla systemów bezpieczeństwa ich reaktorów. Nic tajnego. W tamtych czasach jeszcze nie mieli tylu komputerów, a te, które były u nich używane, łączono między sobą za pomocą układów scalonych nielegalnie przywożonych z Zachodu. Scalała były w porządku, tylko Andrej mówił, że komputery zawodziły i pracowały bardzo wolno, ponieważ brakowało porządných systemów. Jemu zależało właśnie na tym, żeby znaleźć taki szybki i niezawodny system. Mówił, że gdyby mu się udało, można by go używać jako programu zabezpieczającego, który wyłączałby reaktory w razie jakiegokolwiek awarii. Bez tego programu musieli odłączać je mechanicznie, co, jak twierdził, następowało zbyt wolno i było niebezpieczne.

Mówił o tym zupełnie otwarcie. Nie uważał tego za tajemnicę. Nic wspólnego z rządem. Po prostu jedna z rzeczy, które chciał uzyskać podczas swego pobytu w Columbus.

– I co się stało?

– Nic. Tak na początku myślałam. Spędziłam z nim trochę czasu. Czułam do niego sympatię. Potem, jednego dnia wezwano mnie do Waszyngtonu, żebym złożyła raport. Powiedziałam im mniej więcej to samo co teraz tobie. Nie sądzę, aby ten cały komitet znał się na komputerach, nie wiedziałam nawet, czy rozumieli, o czym mówiłam. Myślałam, że to koniec mojego zadania, ale kiedy następnego dnia wróciłam do Columbus, Andrej zniknął.

– Zniknął?

– Tak. To był akurat weekend, więc pomyślałam, że pewnie postanowił zwiedzić jakieś miejsce podczas mojej nieobecności. Potem dowiedziałam się, że pojechał na wyprawę kajakową. Nigdy przedtem tego nie robił, ale, prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym, aż do chwili kiedy dowiedziałam się o wypadku. Pozostali wrócili w niedzielę wieczorem. Podobno pod koniec drugiego dnia wszyscy trochę szarżowali. Wypili po kilka piw. Postanowili przepłynąć wyjątkowo silnymi bystrzynami. Wszystkim, oprócz Andreja, udało się. Jego ciało znaleziono dwie godziny później.

– Od razu zadzwoniłam do Buddy'ego, żeby mu powiedzieć o wypadku, ale on już o wszystkim wiedział. Mówił, że oni o wszystko zadbali i żebym się niczym nie przejmowała. Spytałam, o co mu chodziło. Powiedział, że to, co przekazałam im o Gorowie, potwierdziło ich przypuszczenia. Podobno byli ze mnie bardzo zadowoleni. Właśnie od Buddy'ego dowiedziałam się, że Andrej wcale nie zginął w wypadku. Na początku mu nie wierzyłam. Przecież nic nie zrobił. Nie aresztowali go.

Nie miał procesu. Nic. Jednego dnia żył. Drugiego już nie. Naprawdę nie mam pojęcia, jak przez to wszystko przebrnęłam. Byłam wtedy bliska obłądu. Nigdy mnie nie uprzedzali o swoich zamierzeniach. Nigdy. Może wiedzieli, że wtedy nie zgodziłabym się. Chryste, przecież on był tylko studentem. Tak jak ja. Andrej był naprawdę dobrym człowiekiem. Tylko wierzył w trochę inne rzeczy, to wszystko. A wiesz, co naprawdę wzbudziło moją odrazę? To, dokąd go chcieli wysłać po powrocie do kraju. Do Czernobyla. Tak. Właśnie to zamierzał zrobić ze swoim tajnym systemem operacyjnym, nad którym pracował, wykorzystać go w systemie nagłego wyłączania reaktorów, które próbowali zbudować.

Rzuciła papierosa na ziemię i przydeptała go butem.

– To wszystko – powiedziała. – Mały sekret Maddie. Może to robi ze mnie pracownika Agencji w oczach jakiejś komputerowej orlicy, ale ty powinieneś sam mnie ocenić.

– Nie miałem pojęcia, Maddie. Nic nie wiedziałem.

– Niby skąd miałeś wiedzieć. Byłam przecież tylko kolejną znajomą. Dopiero zaczęliśmy się poznawać, a ta jęcza już wrzeszczy, żebyś na mnie uważał. Pewnie mogłam się tego spodziewać. W końcu to Waszyngton. Wszyscy interesują się wszystkimi. Żadnych wątpliwości ani tajemnic. Nie mam pojęcia, jak Buddy tu może wytrzymać.

– Przepraszam, Maddie. Nie wiedziałem o niczym.

– To nic. – Wyjęła następnego papierosa, popatrzyła na niego i schowała go z powrotem do paczki. – Potem bardzo długo nie widziałam się z Buddym. Chyba wstydził się mnie. A ja ruszyłam z prądem. Poszalałam trochę. Potem poznałam Henry'ego. Był ode mnie starszy, bardziej rozsądny. Sprawiał wrażenie osoby, której powinnam się trzymać. Pobraliśmy się. Z czasem nauczyłam się nie myśleć o sprawie Andreja. Kiedy znowu spotkałam się z Buddym, niewiele o tym mówiliśmy. Powiedział mi, że wtedy był równie przerażony jak ja i że wkrótce potem odszedł z armii. Nigdy nie udało mi się zupełnie o tym zapomnieć, ale zamieniło się w pewien rodzaj koszmaru ukrytego głęboko, na dnie mojej świadomości.

Przeczesała palcami włosy i odwróciła się, żeby spojrzeć na rzekę.

– To wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam dla armii. Wątpię, aby wynikło z tego coś dobrego. Może tylko lepiej rozumiałam, jak czuli się ci, którzy wracali z wojny. Nikt nie chciał pytać ich, jak było, a oni nie zamierzali nikomu o tym opowiadać. Tak jak Buddy o tym, co przeżył w Wietnamie. Wiele osób ma coś, o czym chciałoby zapomnieć. Teraz wiem przynajmniej tyle.

Uśmiechnęła się i odwróciła się z powrotem do Simona.

– Jake Cohen był wtedy w Waszyngtonie. On i Buddy znali się, ponieważ obaj należeli do KA. Jake zdołał jakoś załatwić Buddy’emu pracę przy tym funduszu pomocy.

– KA?

– Kappa Alpha. To rodzaj klubu, do którego ludzie wstępują na uniwersytecie. Myślałam, że to głównie klub towarzyski, ale potem jego członkowie pomagają sobie w znalezieniu pracy. Pewnie macie podobne stowarzyszenia w Anglii.

– Nie mam pojęcia. Sam nigdy nie należałem do żadnego z klubów czy towarzystw.

– Tamto miało miejsce dawno temu i nie sędzę, aby ktokolwiek chciał o tym jeszcze usłyszeć. Nie zapominaj, że to nie ja zaczęłam.

– Nie. To Kay. Chciała mnie źle do ciebie nastawić.

– Czy mówiła dlaczego? Pewnie jest zazdrosna.

– Raczej nie.

– Dlaczego? Przecież miała co do ciebie własne plany, prawda? Simon roześmiał się.

– Nie sędzę. Na pewno tak byś nie mówiła, gdybyś ją poznała. Nie jest z tych kobiet, które robią co do kogoś jakiegokolwiek plany.

– Bzdura. Wszyscy są w tym podobni. Zresztą i tak już cię nie dostanie. Ona miała swoją szansę wystarczająco długo. Teraz moja kolej. – Pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

– I ty mówiłaś, że to ja jestem marzycielem – stwierdził.

– To się udziela. Och, wiem, co chcesz powiedzieć. Czy nie za szybko działamy? Kiedy jest się w naszym wieku, trzeba szybko się decydować. To jedno z powiedzeń, które zapamiętałam z młodości: okazja nie trwa wiecznie.

– Ale w ten sposób łatwo można się sparzyć. Kolejna lekcja, którą powinnaś pamiętać.

Spojrzała w górę. Na jej twarzy malowała się powaga.

– Takie ryzyko podejmuję. W drodze tutaj myślałam, że gdybym nic nie zrobiła i nie mówiła, to chciałabym gdzieś polecieć, bez biletu powrotnego. Nie jest łatwo powiedzieć komuś, że chciałoby się jeszcze z nim zobaczyć, ale staje się to wręcz niemożliwe, gdy ten ktoś mieszka po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Przytulił ją delikatnie.

– Powiedzmy, że pojechałbyś ze mną do Columbus zamiast do domu?

– Żebyś mogła „spróbować”?

Uśmiechnęła się i wargami musnęła jego policzek.

– Zobaczymy. Spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść. Wyciągnąć notatnik i przybrać poważną minę. Wstała, ale on nie puścił jej dłoni.

– Może zadzwonisz do mnie kiedy już będziesz w domu. Porozmawiamy o tym. Skoro mam jechać do Columbus, muszę zmienić rezerwację i załatwić parę rzeczy.

– Dobrze. Będę miała o czym myśleć podczas nudnego lotu.

Simon wstał. Objął dłońmi jej twarz i pocałował ją. Raz w usta, raz w czoło i jeszcze raz w usta.

– Bezpiecznej podróży, maleńka. Do zobaczenia wkrótce.

Kiedy Maddie odeszła, Simon znowu usiadł na niskim murku. Przez ramię obejrzał się na cmentarz Arlington rozciągający się za nim. Płyty nagrobne układały się w równe, białe rzędy na wzgórzu. W oddali dostrzegł szereg ławek, na których zwykle przesiadywał z Buddym. Czy naprawdę minęły dopiero trzy dni, odkąd byli tu razem? Odwrócił głowę w stronę żeglujących po rzece łódek. Ustawiały się właśnie do startu w regatach. Rozwieziono już boje wyznaczające kurs i wkrótce jachty ruszyły w kierunku Roosevelt Island. Patrzył, jak halsowały pod wiatr, wykorzystując każdą popołudniową bryzę.

Widział stąd pomnik Lincolna oraz pomnik Waszyngtona stojący naprzeciwko. Dalej teren wznosił się ku Mount Pleasant i Columbia Heights. Kraj Kay. Właśnie tak patrzyli na niego z okien jej mieszkania po tamtej wizycie u Costy. Całe wieki temu. W innym świecie. Tak, Maddie miała rację, okazja nie trwa wiecznie. Szansa jego i Kay minęła już dawno. Zaprzeczanie temu sprawiło, że zaczęła mu się wydawać ważniejsza, niż była w rzeczywistości. Tak jak mówiła Maddie, teraz nadeszła „jej kolej”. Uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie jej proste podejście do takich spraw. Może miała rację.

Wrócił do samochodu i ruszył z powrotem w kierunku mostu Arlington Memoriał. Przejeżdżając przez rzekę, widział w dole kolorowe łódki powracające do portu po drugim okrążeniu.

Po powrocie do hotelu, Simon zastał Kay czekającą na niego w hallu. – Czy mogę z tobą porozmawiać? Nie zabiorę ci wiele czasu. Chodzi mi o jutrzejszy dzień.

– Myślałem, że już wszystko sobie powiedzieliśmy.

– Simon, proszę.

– Dobrze – wzruszył ramionami. – Może się czegoś napijemy?

Nie czekając na nią, ruszył do baru. Bez zastanowienia wybrał stolik przy oknie wychodzącym na rzekę. Kay usiadła obok niego. Żadne z nich nie odzywało się.

Kiedy przyszedł kelner, Kay poprosiła o sok pomarańczowy, a Simon zamówił whisky.

– O czym chciałaś mówić?

– To nie takie proste. Ty mi niczego nie ułatwiasz.

– Przecież jeszcze nic nie powiedziałem. Powinnaś zobaczyć mnie, jak już się rozkręcę.

– Posłuchaj, Simon, myślę, że jedna kłótnia dziennie wystarczy. Naprawdę nie czekałam na to z niecierpliwością, ale czułam, że muszę z tobą pomówić, tylko że ty powinienesz jakoś mi to ułatwić.

Raz jeszcze wzruszył ramionami.

Wzięła głęboki wdech, a potem powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Najpierw łatwiejsza część. Rozmawiałam z Jakiem. Spotyka się jutro z Buddym o dziesiątej trzydzieści. Sądzi, że zabierze mu to z godzinę, więc zobaczy się z tobą około wpół do dwunastej. Będziesz miał mniej więcej kwadrans.

– Czy mówiłaś mu, o co mi chodzi?

– Sam już wiedział. Może domyślił się. Nie mam pojęcia. Chyba nie powinienesz zbyt wiele oczekiwać.

– Już rano tak twierdziłaś.

– Czy masz jakąś propozycję, coś, co mógłbyś mu przedstawić?

– Niestety, nie miałem wiele czasu na przygotowania, jak wiesz. Gdybym przyjechał tu za tydzień, tak jak planowałem, może bym coś wymyślił. Teraz pozostaje mi tylko powołać się na lata doświadczenia.

Podniosła dłoń do góry.

– Nie wiń mnie za to. Gdyby King zmienił plany, w ogóle byś tu nie przyjechał.

– Nie winie ciebie. Po prostu mówię ci, jak jest.

Kelner przyniósł drinki. Simon zamieszał whisky plastikowym

mieszadłem. Kiedyś zbierał takie dla Lewesa.

Spojrzał przez szybę na Roosevelt Island. Żaglówki z basenu portowego zbierały się przed kolejnymi regatami. Podniósł szklankę i odwrócił się do Kay.

– Czy chciałaś mi powiedzieć coś jeszcze?

– Już się więcej nie zobaczymy, prawda? Tylko jutro i koniec – powiedziała. – A jutro nie będę mogła z tobą porozmawiać. Nie tak jak bym chciała.

– Skoro tak twierdzisz. Czy to ma być nasz pożegnalny drink? Czy właśnie po to tu jesteśmy?

– Tak, Simon. Właśnie po to. Dlaczego ustawiłeś między nami mur? Pewnie nigdy więcej cię nie zobaczę, a ty mnie odpychasz.

Podniosła szklankę i zakręciła nią tak, że sok zawirował.

– Spójrz na to z mojego punktu widzenia, chociaż przez chwilę – poprosiła. – Wiem, że przeżyłeś najdziwniejsze trzy dni w życiu. Costa, twoja praca, Bell, włamanie. Zresztą, nie muszę przecież wyliczać. Powiem ci, że te trzy dni były również cholernie przykre dla mnie. Tamta sprawa z Costą i Buddym niezupełnie należała do moich rutynowych zajęć. Potem jeszcze doszły te rozmowy telefoniczne. Musiałam wszystko załatwić zupełnie sama. A kiedy ty i ja mogliśmy wreszcie porozmawiać, po prostu mnie odepchnąłeś. Przypuszczam, że to z powodu Maddie Booker. Próbowałam ci wyjaśnić, co o niej wiem, ale nie chciałeś mnie nawet słuchać. Teraz to pewnie przez nią nie wierzysz w ani jedno moje słowo, ale nie sądz, że tak po prostu możesz mnie wykluczyć z gry. Zapytaj sam siebie, dlaczego to wszystko robię.

– Jestem pewien, że i tak mi powiesz.

– Tak. Zrobię to. Raz. Tylko jeden raz. – Ostrożnie odstawiła szklankę z napojem na stół. – Tamtej nocy, po wizycie u Costy, kiedy wróciliśmy razem do mojego mieszkania, pamiętasz jak staliśmy przy oknie i patrzyliśmy na miasto? Wtedy wydawałeś się zupełnie inny. Myślałam, że robimy postępy, naprawdę czekałam na kolejne spotkanie z tobą. Myślałam, bo w końcu nie jesteśmy już młodzi i nie mamy wszystkiego przed sobą, ale miałam nadzieję, że możemy mieć nadzieję. Dla nas. Niezależnie od wszystkiego, co dzieje się wokół. Pamiętam, co powiedziałeś o tych „przeszkodach”. To była najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Ale kiedy dostałam te rozmowy do odkodowania i usłyszałam, że Maddie wybierała się do ciebie, wpadłam w panikę. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Jak tylko dowiedziałam się, że ona została w to zaangażowana, przewidziałam

dalszy tok wydarzeń. Widzisz, ona jest naprawdę dobra w tym co robi. Nie wyciągają jej do jakichś błahostek. Maddie Booker oznacza, że sprawa jest poważna. Przypomina mi jastrzębia. Wysyłają ją, oczekując, że wróci ze szponami umazanymi krwią ofiary i powie im, skąd się ta krew wzięła. Jak tylko usłyszałam, że jest w Cambridge, zrobiło mi się niedobrze. Wiedziałam, że chodzi jej o ciebie. Potem Bell trafił do szpitala i pomyślałam, że ty jesteś następny w kolejce. Było blisko. Tak blisko. Musiałam wyciągnąć cię stamtąd jak najszybciej. Niestety niewiele mogę zrobić, żeby ci pomóc, ale na pewno tutaj mogę więcej niż w Europie. Dlatego właśnie tu jesteś. Ginny i King nie mieli z tym nic wspólnego. To ja wszystko załatwiłam. To był mój pomysł. A teraz nie chcesz mi nawet uwierzyć. Dlaczego nie przestaniesz na chwilę myśleć o sobie i nie powiesz mi, co ja mam teraz robić? Zastanów się chociaż nad tym. Ale nie, ty wolisz siedzieć tu z taką miną, jakbyś chciał powiedzieć „to nie twój problem”.

Podniósł szklanke, upił łyk whisky i długo patrzył na Kay, zanim odpowiedział.

– Posłuchaj – zaczął – nie możemy ciągle tego wałkować. Szansa dla nas dwojga już dawno minęła. Pamiętny Dzień i tak dalej. To już przeszłość. Nie wyszło. Nie ważne dlaczego, po prostu nie wyszło. Wiele czasu spędziłem, zastanawiając się nad tym, i pewnie ty też o tym myślałaś. Może to było zupełnie niepotrzebne. Szansa nie powtarza się, nie trwa wiecznie. Myśmy mieli swoją i straciliśmy ją. Dzięki niej co prawda zdołaliśmy się lepiej poznać. Musieliśmy nadal razem pracować, co nie było dla mnie łatwe, mimo to ciągnąłem nasze sprawy. Nadal możemy na siebie liczyć, jeżeli znajdziemy się w potrzebie. Zadzwońska do mnie przed tamtym spotkaniem z Costą i pomogłem ci. To się nie zmienia, ale niczego więcej nie możemy oczekiwać. Już nie. Nie ma co udawać, że mogliśmy być razem, bo przecież gdyby to miało nastąpić, to stałoby się już dawno. Upił kolejny łyk ze szklanki.

– Potem poznałem kogoś nowego – ciągnął. – I teraz okazuje się, że ona tobie nie odpowiada i dlatego zaczynasz na nowo mówić o mnie i o sobie. Czy nie potrafisz zostawić tego w spokoju? Straciłem pracę i wątpię, czy jeszcze przyjadę do Waszyngtonu. Na pewno będę tęsknił za Buddym, ale może uda mi się z nim spotkać, kiedy przyjedzie do Londynu. Ciebie też będzie mi brakowało. Ale tak jest od zawsze. Już nic nie potrafię z tym zrobić. Przykro mi. Wracanie w kółko do tego samego nic nie da. Pożegnania nigdy nie są łatwe, a to właśnie jest nasze pożegnanie. Jesteś wyjątkową osobą i mam nadzieję, że zdołasz jakoś

ułożyć sobie życie. Jestem tego pewien. Uważaj na siebie.

– Masz rację – powiedziała nagle. – Jak zwykle. Wstała szykując się do wyjścia.

– I jeszcze raz dziękuję ci za tamten wieczór – dodała. – Jestem twoją dłużniczką. Gdybyś kiedyś czegokolwiek potrzebował, wiesz gdzie mnie szukać. Mówię serio.

– Wiem. Ty też możesz na mnie liczyć. Odprowadzić cię do samochodu?

– Nie. Proszę, nie rób tego. Pójdę sama.

Simon wstał i patrzył, jak szła przez salę. Zastanawiał się, czy spojrzy za siebie, zanim wyjdzie. Spojrzała, pomachała mu ręką i znikła za drzwiami.

Usiadł z powrotem, żeby skończyć whisky. Na rzece żaglówki wracały do portu. Powoli zapadał zmierzch. W wysokim budynku przy brzegu zapaliły się dwa światła. Kolejny dzień w Waszyngtonie zmierzał ku końcowi.

Dziesięć pięter poniżej poziomu ulicy, w Departamencie Stanu, generał Warkowski siedział przy drewnianym stole w podłużnej sali. Czytał jakieś dokumenty, kiedy weszła Maddie. Nie patrząc na nią, powiedział:

– Spóźniła się pani.

– Miałam umówione spotkanie z Northcottom i nie mogłam go odwołać.

– Przecież mówiłem, że ma się pani z nim zobaczyć zaraz po wypadku Lessinga i sprawdzić jego reakcję. Dlaczego zlekceważyła to pani?

– Pojechałam do Waszyngtonu, zanim zdążyłam się z nim spotkać. Dopiero dziś po południu miałam szansę to nadrobić.

– Szansę? Nie podoba mi się to słowo, pani major.

– Sposobność, generale.

– I co pani powiedział?

– Wierzy, że to był wypadek, sir. Doktor Northcott znał Lessinga od wielu lat i nieszczęście przyjaciela wytrąciło go z równowagi, ale nic nie podejrzewa.

– Co to znaczy „od wielu lat”?

– Od dwudziestu dwóch, sir.

– To już lepiej. Mało brakowało, a rzeczywiście moglibyśmy mówić o wypadku. Kazałem Mildenhallowi po prostu zdjąć obiekt, a oni wymyślili, że walną Lessinga wynajętym wozem. Nie mam pojęcia, w co oni, do cholery, grają. Musiałem wysłać tam swoich ludzi, żeby dokończyli sprawę.

– Rozumiem, generale, ale w Anglii usunięcie kogoś nie jest takie proste. Cambridge to bardzo spokojna miejscowość. Sądzę, że cokolwiek innego, niż wypadek drogowy spowodowałoby więcej problemów, niż bylibyśmy w stanie rozwiązać. Mają tam bardzo ściśle określone prawa regulujące wydawanie pozwoleń na broń.

– To już ich problem. Teraz słucham, jaka jest dalsza część pani raportu na temat Northcotta.

Maddie usiadła z założonymi rękami.

– On nie jest w nic zamieszany, sir. Lessing działał w pojedynkę.

– Skąd ma pani taką pewność?

– Northcott nie posiada ani zdolności, ani odpowiedniego charakteru do zajmowania się czymś więcej niż drobnymi oszustwami komputerowymi. Z kolei Lessing cieszył się reputacją znakomitego specjalisty w zakresie złożonych analiz finansowych. Nie potrzebował współnika do przeprowadzenia tego planu. Rozmawiałam z pułkownikiem Rolandsem, który może potwierdzić, że na dyskietkach i w komputerach zabranych z biura Northcotta nie znaleźliśmy żadnych danych zagrażających integralności naszego systemu. Jestem pewna, że mój brat, pułkownik Marlin, zaalarmowałby nas, gdyby cokolwiek podejrzewał.

– Czy rozmawiała pani o tym z bratem?

– Nie, sir. Swoją analizę oparłam na pracy majora Bradleya. Mój brat przebywał poza Waszyngtonem.

– Tak. Dobrze. To na razie wszystko, pani major. Proszę pozostać w Waszyngtonie jeszcze przez dwa dni w razie gdybyśmy pani potrzebowali. Potem może pani powrócić do Columbus i podjąć przerwane zajęcia.

– Dziękuję. Jeszcze tylko jedno. Northcott chciał się znowu ze mną spotkać.

– W jakiej sprawie?

– Towarzysko, sir. Wyłącznie towarzysko. Chce razem z moim bratem przyjechać do Columbus na krótki urlop.

– Odpowiedź brzmi: nie. To jest sektor bezpieczeństwa, a nie jakaś zabawa w randki. Proszę mu odmówić.

– Tak jest, sir, ale na pewno ponowi prośbę.

– Proszę mu odmówić skutecznie. Czy rozumie mnie pani? Sprawę uważam za zamkniętą.

– Tak jest, sir.

Maddie wstała, a Warkowski powrócił do studiowania dokumentu. Już przy drzwiach usłyszała jego głos.

- Jeszcze jedno, pani major. Odwróciła się do niego.
- Tak, sir?
- Dobra robota. Bardzo trudne zadanie.
- Dziękuję, sir.

Kiedy wyszła, drzwi po przeciwnej stronie sali otworzyły się i do środka weszli Rolands i Bradley. Każdy z nich zajął miejsce po bokach generała, po obu stronach stołu.

Warkowski spojrzał na nich.

– Słyszeliście wszystko? Obaj skinęli głowami. Generał zwrócił się do Rolandsa.

– Najpierw chcę usłyszeć pana zdanie, pułkowniku.

– Z technicznego punktu widzenia, Booker miała rację. W danych z biura Northcotta nie znaleźliśmy żadnych niekomercyjnych informacji. Sprawdziliśmy także jego komputer w domu oraz, za pośrednictwem modemu, jego laptopa. Wszystkie są czyste. Jedyne interesujące nas pliki znajdowały się na osobistym koncie Lessinga w superkomputerze uniwersytetu, dla którego pracował. Chciałbym jeszcze porozmawiać na temat materiałów Lessinga, ale uważam, że Northcotta możemy wykluczyć.

Warkowski spojrzał na Bradleya.

– Czy pan też tak sądzi?

– Muszę się z tym zgodzić, sir. Rozmawiałem dziś z major Noctą i ona także to potwierdza. Northcott nie byłby w stanie tego przeprowadzić.

– Dobrze. Czy znalazła coś w sprawie pułkownika Marlina?

– Nie stwierdziła żadnych anomalii w danych, sir. Ale to tylko jeżeli chodzi o komputer. Nie przeprowadziła behawiorystycznej analizy sytuacji.

– Rozumiem, że pan to zrobił, tak?

– Tak, sir. Przystudiowałem wszystkie jego raporty, sprawdziłem wyjazdy zagraniczne z ostatnich dwóch lat. Przejrzałem też jego kartotekę medyczną.

– I?

– Rezultaty jego pracy są coraz gorsze. Zarówno jego prywatne wydatki, jak i kwoty, które brał z departamentu wykazywały coraz większy brak konsekwencji. Sądzę, że możemy mieć z nim problem. Wygląda na to, że sytuacja będzie coraz poważniejsza.

– Bradley, czy pamięta pan, o czym rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu?

– Sir?

– O inicjatywie, majorze. O inicjatywie. Czy to przysparza panu trudności?

– Nie, sir.

– To dobrze. W takim razie proszę się nią wykazać. Zróbcie coś z tym Marlinem.

Generał zwrócił się do Rolandsa.

– Co znaleźliście w plikach z Cambridge? Proszę mówić prostymi słowami, tak żeby Bradley też mógł zrozumieć.

– Oczywiście, generale. Obawiam się tylko, że sprawa jest odrobinę skomplikowana.

– Powiedziałem, prostymi słowami. Czy to jasne?

– Tak jest, sir. Przygotowałem kilka wykresów. – Rolands wyciągnął plik kartek.

– Żadnych wykresów – przerwał mu Warkowski. – Jeżeli nie potrafi pan wyjaśnić czegoś bez obrazków, to znaczy, że sam pan tego nie rozumie, a wobec tego my również nie będziemy w stanie. Zawsze powtarzam ludziom, że tu nie telewizja.

– Tak, sir. W takim razie po pierwsze, musicie wiedzieć, że znaleziona przez nas wersja albo raczej zespół procedur, może nie być najnowszym opracowaniem. Nic w plikach, które sprawdziliśmy, nie pochodziło z okresu późniejszego niż sześć miesięcy temu. Być może od tamtej pory program został rozwinięty, ale sądzę, że podstawowe zasady są nadal takie same.

– W takim razie zdobądźcie nowsze pliki – stwierdził Warkowski. – Tu nie ma czasu na żadne domysły.

– Szukaliśmy ich, sir, ale sądzę, że nie powinniśmy tracić więcej dni. Musimy działać na podstawie tego, czym dysponujemy i co, opierając się na tym, potrafimy przewidzieć.

– To przestaje mi się podobać.

– Wiem, że sytuacja nie jest najlepsza. Muszę to przyznać, sir.

– Proszę dalej.

– Tak jest. – Rolands poprawił palcem okulary na nosie. – Po pierwsze, trzeba zrozumieć, jak przeprowadza się komputerowe transakcje na giełdzie dewizowej, zwanej Forexem. Na rynku tym, podobnie jak na wielu innych, ceny nieustannie rosną albo spadają w zależności od sytuacji zewnętrznej. Zyski osiąga się przy kupnie dewiz po niskiej cenie i sprzedaży po wyższej. W tym wypadku przedmiotami transakcji są dwadzieścia cztery waluty używane w światowym handlu. Zasada jest taka sama na każdym rynku, a jedyna różnica między Forexem a innymi

giełdami polega na szybkości przeprowadzanych operacji oraz na tym, że fizycznie żaden towar nie zmienia właściciela.

Rolands nerwowo wytarł dłonie.

– Głównymi graczami na tej giełdzie są rządy, banki oraz organizacje międzynarodowe, a to głównie dlatego, że pojawiające się wahania cen na rynkach są małe w zakresie procentowym i z tego względu pojedyncze transakcje muszą być duże, aby osiągnąć znaczne zyski. Tylko ci potężni gracze dysponują wystarczającymi funduszami. Pozostali użytkownicy Forexu są znacznie słabsi, powiedzmy firmy kupujące waluty w celach handlowych, a nawet pojedyncze osoby wymieniające pieniądze przed podróżą. Fundamentalna różnica między graczami polega na tym, że ci mniejsi nie mogą dowolnie wybierać czasu transakcji. Jest to dla nich usługa i wiedzą, że muszą za nią zapłacić. Wielcy gracze, prawdę mówiąc, wcale nie potrzebują wymieniać pieniędzy.

Przeprowadzają transakcje wyłącznie dla zysku. Kiedy zauważają, że kurs jakiejś waluty idzie w górę, kupują ją, a potem sprzedają po wyższej cenie. Ogranicza ich tylko to, że jeżeli kupią zbyt wiele naraz, wpłyną na ceny, z których sami chcą korzystać.

Warkowski spojrzał na Bradleya.

– Rozumie pan wszystko?

– Tak, sir.

Rolands starał się nie zauważać roztargnienia generała. Wiedział, ile pozostaje mu czasu, zanim Warkowski zupełnie się znudzi. Najwyżej pięć minut.

– Pod koniec każdego dnia pracy – kontynuował wyjaśnienia – powiedzmy o szóstej, wielcy gracze mają na kontach gotówkę, którą nie mogą operować na giełdzie, aż do rozpoczęcia następnego dnia roboczego. Owe „pływające” pieniądze umieszczane są na międzynarodowych rynkach Forexu. Transakcje po godzinach pracy odbywają się głównie za pośrednictwem komputerów. Jeżeli cena rośnie, waluta jest automatycznie kupowana. Sprzedaż następuje, gdy jej kurs zaczyna spadać. Każdy z operatorów ustawia w swoim systemie trochę inny margines, tak więc cały rynek oscyluje w wąskim paśmie cen.

Rolands wiedział, że idzie mu nieźle. Zetknął palce dłoni.

– Komputery są stale monitorowane i przerywają wszelkie operacje, jeżeli na rynku dochodzi do większej zmiany. Tak samo wygląda to również w czasie dnia, w transakcjach nocnych zdarza się to niezmiernie rzadko i operacje przebiegają dość spokojnie. Gracze są zawsze ci sami. Różnice w cenach niewielkie i wszystkich to zadowala.

Poprawił okulary na nosie, zanim przystąpił do dalszych wyjaśnień.

– Tak wyglądają wszystkie większe giełdy na świecie. W Londynie, Nowym Jorku, Tokio i tak dalej. O północy na każdym z tych rynków dochodzi do technicznej zmiany daty z operacji jednego dnia na operacje dnia następnego. W zasadzie nie ma czegoś takiego jak zamknięcie rynku, ale następuje krótka przerwa, kiedy konta są uzgadniane i rozpoczyna się nowy dzień giełdowy. Na ten krótki okres wszyscy więksi gracze lokują swoje pieniądze w jednej z silniejszych walut, w dolarach, markach, jenach albo funtach, żeby, jak to nazywają, umieścić je w „skarbonce”.

Rolands palcem zakreślił na blacie kształt pudełka.

– Jeszcze pamiętam jak wygląda skarbonka – powiedział Warkowski.

– Robią to – podjął Rolands – ponieważ rząd ma możliwość zamknięcia swego narodowego banku i gracze nie chcą zostać ze słabszą walutą w razie gdyby taka sytuacja powstała. Jeżeli dochodzi do zamknięcia banku, następuje to o północy. Pod koniec dnia operacyjnego na giełdzie.

– Dlaczego rząd miałby zamykać swoje banki? – spytał Warkowski.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, mamy zaplanowane zamknięcia podczas świąt narodowych, po drugie, może to podyktować polityka wewnętrzna. Na przykład konieczność ukrycia braku stabilności, próba powstrzymania krachu na giełdzie towarowej, a czasami po prostu dla zasady. W państwach bardziej uprzemysłowionych rzadziej do tego dochodzi, ale w mniejszych krajach dość często mamy do czynienia z zamykaniem banków z tego drugiego powodu. Przeciętnie dochodzi do planowanego bądź nie planowanego zamknięcia banku na świecie mniej więcej co dziesięć lub dwanaście dni. Dlatego, tak jak już mówiłem, więksi gracze lokują swoje pieniądze w „skarbonce” przed zakończeniem dnia. Tak na wszelki wypadek. Efektem tego jest sztuczna „popularność” bardziej znaczących walut, spowodowana tym, że wszyscy skupują je jednocześnie, pod koniec dnia. To zawsze powoduje wzrost w wysokości ułamka procenta w wartości tych walut przed zamknięciem rynku. Niewielki wzrost, ale zawsze jest. Zawsze. Wszyscy o tym wiedzą, lecz nie mogą go wykorzystać gdyż występuje on dokładnie w chwili, gdy rynek jest zamykany. Gracze mogą ów wzrost obserwować, lecz nie mają do niego dostępu. Z jakiejś przyczyny nazywają to „zapakowaną mielonką”.

– Z jakiej przyczyny?

– Chyba ma to coś wspólnego z książką o policji w Chicago.

– Jaką książką?

– Nie jestem tego pewien, sir – skłamał Rolands.

– Jeżeli nie jest pan pewien, to po co w ogóle o tym mówić. Proszę dalej.

– Tak. Faktem jest, że Lessing znalazł sposób na wykorzystanie owych „skarbonek”. Potrafi wejść na konto walutowe, przeprowadzić skarbonkową transakcję i wyjść stamtąd jeszcze przed zamknięciem rynku. Zyski osiąga za każdym razem. Stuprocentowa gwarancja. Niezależnie od tego, co postawi, zawsze jest na tym do przodu, ponieważ ceny na giełdzie zawsze wzrastają.

– Jak to? Skoro to takie proste, to dlaczego inni tego nie robią?

– Chodzi o ograniczenia w czasie. Nikt inny nie potrafi zrobić tego wystarczająco szybko. Potrzebnych jest wiele oddzielnych, ale zarazem sprzężonych ze sobą procedur. Wszystkie są nielegalne i, prawdę mówiąc, genialne.

Bradley zaczął obgryzać jakąś niewidoczną skórkę przy kciuku.

– Najpierw musi się dostać do systemu operacji – ciągnął Rolands.

– Czyli włamać się?

– Mówiąc dosadnie, tak. Ale musi tego dokonać w bardzo sprytny sposób. Właściwe transakcje przeprowadzane są oczywiście w samym komputerze i Lessing korzysta z tak zwanych plików ukrytych, żeby dostać się do środka.

– Zaczyna pan za bardzo komplikować, Rolands.

– Przepraszam, sir. – Wolno wciągnął powietrze i wydał policzki. Wciąż jeszcze było sporo do wyjaśnienia.

– Plik ukryty przypomina trochę wirusa komputerowego, ale podczas gdy wirus używa pewnego kodu w celu zniekształcenia albo zmiany programu, plik ukryty towarzyszy głównemu programowi, nie powodując w nim żadnych zmian. Można powiedzieć, że staje się jego cieniem. Jeżeli główny program przenosi pliki, a głównie to robią komputery Forexu, ukryte pliki przenoszą taką samą liczbę plików. Takie pliki „na gapę” docierają w to samo miejsce co pliki główne. Ukrytych plików nie da się wykryć, ponieważ w żaden sposób nie kolidują one z działaniami głównego programu. Już od pewnego czasu mówi się o możliwości istnienia ukrytych plików. Wiele na ten temat czytałem, ale dopiero teraz po raz pierwszy ich istnienie zostało stwierdzone. To pierwszy taki przypadek na całym świecie, sir. Warkowski wyprostował się.

– Nie ma co, trzeba przyznać, że należy mu się podziw.

– Lessingowi, sir? – zapytał Rolands.

– Nie. Bradleyowi. Pan opisuje światową premierę, a ten siedzi tu i obgryza paznokcie jakby nigdy nic.

Bradley opuścił dłonie na stół.

Rolands starał się podjąć przerwany wątek.

– Same transakcje są dosyć proste: powtarzające się akty kupna i sprzedaży, w miarę jak kurs walut rośnie. Wiadomo, że musi on przeprowadzić olbrzymią liczbę transakcji, aby osiągnąć znaczne zyski, ale zrobić to w taki sposób, aby ukryć wszystkie te transakcje, w przeciwnym razie wprowadziłby błąd do superkomputera.

– I tu znowu korzysta z ukrytych plików.

– Nie, sir. Z plików krążących.

– Rolands, znowu zaczyna pan to wszystko gmatwać.

– Sir, jeżeli niewielki plik przekazywany jest między dwoma komputerami, powiedzmy za pośrednictwem łącza satelitarnego, wtedy jest taka chwila, gdy opuścił już jeden komputer, a jeszcze nie dotarł do drugiego. Tak jak piłka wyrzucona w powietrze. Ten plik przypomina taką właśnie piłkę. Lessing właśnie to robi, przesyła swoje pliki od jednego satelity do drugiego wokół całego globu, aż trafią do punktu wyjścia, po czym cały proces zaczyna się od nowa. Te pliki nie istnieją w żadnym komputerze, sir. To są jego pliki operacyjne powtarzające instrukcje transakcji. Kupić sprzedać. Kupić sprzedać. Kupić sprzedać. Taki plik krążący może całkiem dosłownie wypełnić się pieniędzmi, kiedy tak krąży od satelity do satelity, nie mając odzwierciedlenia w żadnym z superkomputerów.

Warkowski spojrzał na Bradleya.

– Wiedział pan o tym wszystkim?

– Nie, sir. To najnowsze teorie.

– Już prawie kończę, generale – wtrącił Rolands. – A zatem, kiedy ów plik krążący jest już pełny, wysyła pieniądze na dół na konta bankowe za pośrednictwem kolejnego zestawu ukrytych plików. Nie ma sposobu na jakąkolwiek interwencję w żaden z tych trzech etapów. On wie, że nie możemy go złapać.

– O jakich kwotach tu mówimy?

– Nie mamy pewności, sir.

– Unika pan odpowiedzi.

– Można powiedzieć tylko tyle, że obrót Forexu w ciągu jednej nocy wynosi pięćset milionów dolarów.

– Ile? Ile?

– Pięćset milionów.

– Słyszałem przecież. A jaka część tej kwoty może być dostępna dla tych krążących plików?

Teraz z kolei Rolands zaczął dłubać przy paznokciach.

– Pytałem ile, Rolands, ile? – powtórzył Warkowski.

– Trudno określić to dokładnie, generale.

– Nie płacimy panu za robienie tego co łatwe. Proszę mi powiedzieć.

Rolands poprawił się na krześle.

– Rzecz w tym, że kwota ta może być nieograniczona. Obawiam się, że mógłby wziąć tyle, ile by chciał.

Warkowski odsunął się od stołu.

– W takim razie dobrze, że jest teraz w szpitalu, co?

– Kto taki?

– Lessing. Dobrze, że akurat leży nieprzytomny. Ucz się, Bradley. Jeżeli istnieje jakiegokolwiek ryzyko, nie podejmuj go. Działaj.

– Tak jest, generale.

Warkowski odwrócił się z powrotem do Rolandsa.

– Kiedy dowiedział się pan o tym?

– Dopiero dziś rano, sir.

– Ale już w zeszłym tygodniu mówił mi pan, że coś się działo. Znikało nie więcej niż kilka tysięcy za każdym razem. Wspominał pan o pięciu takich operacjach. A teraz dowiaduję się, że ten szaleniec może sobie wziąć ciężarówkę, przejechać przez nasz cały system, załadować na nią pięćset milionów dolarów i wrócić do domu. I nikt nie może go zatrzymać, czy dobrze zrozumiałem?

– Na to wygląda, sir.

– W takim razie dlaczego nie zrobił tego poprzednim razem. Dlaczego wziął tylko kilka tysięcy, skoro mógł mieć miliony?

– Zastanawiałem się nad tym, generale.

– To wspaniale. Cieszę się, że ktoś to zrobił.

– Lessing mógł mieć jakieś trudności natury technicznej. Może nie jest w stanie stworzyć wystarczająco dużych zmiennych tabel, które ukryłyby wszystkie transakcje.

– Jak dotąd nie wspominał pan o żadnych zmiennych tabelach.

– Nie, sir. W celu przeprowadzenia transakcji, Lessing musi gdzieś gromadzić dane przychodzące z satelitów. Do tego służą mu specjalnie ułożone tabele liczb. Składają się na nie kolumny i szeregi stale poruszające się w odpowiedniej sekwencji jedno przed drugimi. Przesuwają się pod spodem i na wierzchu, niczym nici tkaniny. Kiedy tak się przemieszczają, rzędy i kolumny tworzą formy gromadzące odpowiednio wielkie liczby. Przypomina to warsztat tkacki, sir. Problem w tym, że duża zmienna tabela jest bardzo niestabilna i sędzę, że to jest

właśnie przeszkodą dla Lessinga, dlatego musi ograniczyć swoje transakcje i nigdy nie zdarzyło się, aby ich wartość przekroczyła kilka tysięcy.

– Czy jest jakiś sposób na obejście tego?

– Tylko jeden, sir. Zbudowanie zmiennej tabeli wymaga znajomości działu matematyki, zwanego Teorią Wielkich Liczb. Jeżeli nie pozna jej dostatecznie, wielkie sumy pieniędzy pozostaną dla niego nieosiągalne.

– A zatem można powiedzieć, że jesteśmy bezpieczni? Nie wygląda na to, że mu się uda.

– Niestety, nie wiemy. Tak jak wspomniałem na samym początku, materiały Lessinga, które znaleźliśmy w bazie komputerowej Cambridge nie są najnowsze. Być może w ciągu sześciu miesięcy poczynił jakieś postępy. Według mnie wykorzystał ten czas na naukę, jak stworzyć większe zmienne tabele.

– Czy sądzi pan, że przyłapaliśmy go w samą porę?

– Nie ma sposobu na sprawdzenie tego, generale.

– Czy mógłby to zrobić ktoś inny?

– Poza Lessingiem?

– Przecież właśnie o nim mówimy, pułkowniku.

– Tak. To zupełnie możliwe. Projekt i konstrukcja, które przedstawiłem, są tworem wyjątkowego intelektu, ale do zbudowania dużej zmiennej tabeli wystarczy, jak przypuszczam, znajomość matematyki na poziomie uniwersyteckim. Kiedy to już zostanie osiągnięte, przeprowadzenie całej sekwencji jest dość proste. W zasadzie każdy mógłby to zrobić.

– A zatem, jeżeli Lessing powiedział komukolwiek, jak to przeprowadzić, ta osoba poradziłaby sobie bez niego, tak?

– To zupełnie możliwe, sir.

– Kiedy to może nastąpić?

– Jak tylko wykonawca zdobędzie bankowe kody dostępu. Dosłownie w każdej chwili, sir. Podczas każdego następnego zamknięcia giełdy o północy.

– A skąd on weźmie te kody?

– Jeżeli jest tak dobry jak sądzę, włamanie się do systemu i zdobycie ich nie będzie dla niego trudne, sir.

– Czy możecie go powstrzymać? Skoro już wiecie, jak to wszystko się odbywa?

Rolands znowu zmienił pozycję.

– Tak jak mówiłem, sir, wiemy, z czym mamy do czynienia, ale wciąż

jeszcze nie potrafimy wszystkiego wykryć. Proszę nie zapominać, że to wszystko dzieje się w ostatniej minucie otwarcia giełdy, przypuszczalnie w ciągu niecałych trzydziestu sekund. Moglibyśmy opracować odpowiedni program zabezpieczający, ale na razie jesteśmy bezsilni.

– A ten program? Kiedy moglibyśmy go mieć?

– Jeszcze nigdy nie wypróbowałyśmy go w takiej sytuacji. Istniejący system został stworzony w zupełnie innym celu i musielibyśmy zmienić jego konfigurację oraz wprowadzić do niego wewnętrzne kody każdego z komputerów kontrolujących krąg satelitów.

– Nie pytałem, jak to zrobić. Pytałem: kiedy.

– Za dwa dni, sir. Mój zespół zdoła opracować działający system w przeciągu dwóch dni. Wprowadzimy go w ruch, jak tylko zakończymy defragmentację danych z Cambridge i sprawdzimy dokładnie, czego potrafili dokonać. Pierwsza wersja naszego programu nie będzie jeszcze doskonała, ale zadziała. Odpowiednie przetestowanie systemu zajmie nam około miesiąca, ale za dwa dni będzie on już wystarczająco bezpieczny.

– Dwa dni. A zatem dwa zamknięcia giełdy. Dlaczego tak długo?

– Ze względu na złożoność systemu zabezpieczającego, sir. Jest on bardzo skomplikowany i nie mamy żadnego eksperta, który znałby go dokładnie. Działa on na podstawie specjalnego szybko działającego systemu nazwanego od nazwiska człowieka, który go stworzył. System Gorowa. Pierwotnym jego zadaniem była ochrona radzieckich reaktorów jądrowych przed przegrzaniem i odłączanie ich w razie niebezpieczeństwa. Nie wiem, co się stało z oryginalnymi badaniami, wiem jedynie, że nigdy nie zostały zakończone. Mamy jedynie wstępne wyniki, od których możemy rozpocząć pracę, ale za dwa dni powinniśmy stworzyć podstawę, na której da się coś zbudować.

Warkowski bębnił palcami o blat stołu.

– W porządku – powiedział w końcu. – Dwa dni na system zabezpieczenia, a co do tego czasu?

– Wykorzystamy wspomniane przeze mnie krążące pliki. Co prawda nie możemy ich wykryć bezpośrednio, ale wiemy, że pobierają one energię ze źródła zasilania satelitów. Sądzę, że monitorując wykorzystanie energii możemy stwierdzić jej zużycie i odciąć dopływ, jeżeli przekroczy ono dopuszczalną dla takich transakcji ilość. Wiem, że to dość radykalne posunięcie, ale jestem pewien, że zadziała.

– Brzmi nieźle. A co pan na to, Bradley?

– Zanim wyrażę swoją opinię, muszę wiedzieć, jakie są wady takiego posunięcia, sir.

– Czy znamy je? – Warkowski odwrócił się z powrotem do Rolandsa. – Istnieje jakieś ryzyko?

– Niestety tak, sir. Wszystkie dane przekazywane w momencie odcięcia dopływu energii przypadną. Z normalnymi transakcjami dokonywanymi za pośrednictwem satelitów stanie się to samo co z krążącymi plikami. Zostaną wymazane.

– Po ludzku, Rolands. Po ludzku.

Rolands objął dłońmi twarz, opierając łokcie o blat stołu.

– Chodzi mi o to, że wszelkie transakcje przeprowadzane w danym momencie znikną. Wszystko, co wtedy będą robiły banki, ulegnie przemieszaniu. Transakcje zostaną unieważnione.

– Znikną? Czy to znaczy, że pieniądze również przypadną?

– Tak.

– Ile?

– W najgorszym wypadku, generale?

– W najgorszym wypadku.

– Piętnastosekundowa przerwa w dopływie energii w ostatniej minucie operacji? Mogłoby to wynieść do dziesięciu procent całonocnego obrotu. Czyli przypadłoby dwadzieścia pięć milionów, sir.

– Przypadłoby całkowicie?

– Tak. Ogólny efekt całkowitego odcięcia dopływu energii byłby taki, że wszystkie pliki zostałyby skasowane. Moglibyśmy próbować odzyskać część, ale raczej bym na to nie liczył.

– A jeżeli odcięcie zostanie zaplanowane? Na przykład gdybyśmy uprzedzili o nim banki?

– Ma pan na myśli ujawnienie zamiarów? Wtedy nie doszłoby do utraty danych. Ale odpowiedzialnością za wszystko obarczono by nas i my musielibyśmy zrekompensować im utratę dochodów z transakcji. Kosztowałoby to mniej więcej tyle samo ile nieujawnione odcięcie energii. Jeżeli zrobimy to moim sposobem, czyli po prostu wyciągniemy wtyczkę, zapłacić będą musiały firmy ubezpieczeniowe.

– A zatem postanowione. Czy możecie to mieć na miejscu już dziś wieczorem? Za sześć godzin?

– Potwierdzam. Sam podejmę się obsługi systemu dziś i jutro. Potem będziemy mieli program Gorowa i wtedy dowiemy się wszystkiego.

– Powiedziałbym, że mało brakowało, co Rolands?

– Tak, generale. Bardzo mało.

– Mam nadzieję, że to już się nigdy nie powtórzy. Rozumiecie? Rolands spojrzał na leżące przed nim papiery.

Głos *zabrał* Bradley:

– Ale co powiemy mediom, sir? Jeżeli tak bez ostrzeżenia będziemy musieli odciąć dopływ zasilania satelitów? To wywoła kompletny chaos. Dziennikarze będą się domagali wyjaśnień.

– Bradley – generał nie stracił cierpliwości – ja powiedziałbym, że to wypadek. Przecież właśnie od tego mamy ubezpieczenia. Zresztą to nie ja będę rozmawiał z mediami, tylko pan. To pana twarz nadaje się do telewizji.

– Miejmy więc nadzieję, że do niczego nie dojdzie, sir.

– Może, ale wypadki się zdarzają. Sam Gorow powinien był o tym wiedzieć?

– O czym, sir?

– To było jeszcze przedtem, nim pan do nas przyszedł, Bradley. Już bardzo dawno temu.

Po spotkaniu z Kay Simon poszedł na górę, do pokoju hotelowego. Wziął prysznic, a potem wyjął sobie piwo z lodówki i wyrztał przez okno. Theodore Roosevelt Island rozciągała się płasko przed Fort Myers i Randor Heights.

Na lewo od nich, prawie niewidoczne z hotelowego okna, wznosiły się wzgórza Arlington. Simon zaciągnął zasłony na noc.

Spojrzał na zegarek. Ósma wieczorem.

Zadzwoił telefon. Podeszedł do aparatu przy łóżku i usiadł, zanim podniósł słuchawkę.

– Simon, mówi Ginny. Kenneth King chce wiedzieć, jak ci idzie. Czy mógłbyś zadzwonić do niego do domu?

– Tak. Czy coś jeszcze?

– Nie. Tylko to. U ciebie wszystko w porządku?

– Jestem trochę zmęczony. Ale nic mi nie będzie. Mam jutro kilka spotkań, potem wymelduję się z hotelu. Może wezmę kilka dni urlopu i zostanę jeszcze w Stanach, przypomnij Kingowi, że mam nie określoną datę powrotu na bilecie i że nie będzie go to nic więcej kosztowało.

– Ale gdzie się zatrzymasz? Na pewno nie zgodzi się, żebyś ujął to w kosztach.

– Przekaż mu, żeby się nie obawiał. Nie dostanie żadnych nadliczbowych rachunków.

– Gdzie będziesz nocował? Chyba nie u tej kobiety?

– Nie, Ginny. Zatrzymam się u Buddy’ego. Dobrze? Posłuchaj, jestem bardzo zmęczony. Zadzwonię do ciebie za kilka dni.

Rozłączył się i położył na łóżku. Piwo postawił obok. Pomyślał, że zdrzemnie się tylko na chwilę, zanim Maddie zadzwoni.

Zasnął niemal natychmiast. Otwarta puszka piwa stoczyła się z łóżka i zawartość wylała się na podłogę.

Obudził się dopiero o dziewiątej rano następnego dnia. Telefon obok łóżka dzwonił dwukrotnie w ciągu nocy. Raz o trzeciej, a potem znowu o szóstej. Simon nie słyszał go.

Mniej więcej w tym czasie kiedy Simon się budził, Buddy wychodził z domu, żeby pojechać do biura w Waszyngtonie.

Samochód, który jechał za nim, musiał czekać przy skrzyżowaniu Great Falls Road z Leesburg Road w Elkins. Na pewno nie śledził go od samego domu przy Great Falls, ale kiedy Buddy włączył się w strumień aut, już niezmiennie trzymał się trzy samochody za nim. Szary buick rudera

z numerami innego stanu. Pewnie Buddy wcale by go nie zauważył, gdyby sam nie jechał za szybko i gdyby tamten nie starał się zachować tej odległości trzech samochodów. Kiedy zaczął podejrzewać, że jest śledzony, zwolnił, a szary buick natychmiast dostosował się do jego prędkości.

Zadzwoił do biura.

– Kay, sprawdź dla mnie szarego buicka, rejestracja z Ohio, 317884. A przy okazji zapytaj Jake’a, czy nie wie nic o tym, że ktoś ćwiczy na mnie ogon.

– Dzień dobry, Buddy. Jak się masz?

– Przestań, Kay. Zrób to, o co cię prosiłem.

– Tak jest, panie obraźliki. Wstałeś dziś lewą nogą?

– Powiedziałem ci, żebyś przestała.

– Daj mi pięć minut, a znajdę ten numer.

– Jedną.

– Dobra. Dobra. Już to robię.

– Czekam na linii.

Właśnie minął Swinks Mili i znajdował się teraz na długiej prostej, prowadzącej do węzła autostrady przy Langley Farms. Wielokrotnie przyspieszał, to znów zwalniał. Tamci ciągle trzymali się trzy samochody za nim. Byli nawet całkiem niezli. Po chwili Buddy usłyszał głos Kay.

– To wóz wynajęty w Waszyngtonie zeszłej nocy. Na nazwisko Baigent. Zapłacony kartą American Express.

– Sprawdź tę kartę.

– Już to robię. Nie, zaczekaj. Jest pewien problem. Odmówiono mi dostępu. To niezwykle. Nie. Już jestem w środku. Nie wygląda to za dobrze. Zgłoszenie kradzieży karty dziś o drugiej nad ranem. Dalsze transakcje odwołane.

– Aha. Sprawdź, czy została użyta w czasie między wynajęciem samochodu a zgłoszeniem.

– Nie. Mam to akurat na ekranie. Tylko to.

– Cholera. Kto kradnie kartę i używa jej tylko raz? Powinien skorzystać z niej przynajmniej kilkakrotnie.

– Możliwe, że wcale nie została skradziona. Wynajmującym mógł być sam Baigent.

– Diabli nadali. Sprawdź podpis.

– Nie mam tego na ekranie. Muszę zadzwonić bezpośrednio do Amexu, a do tego potrzebne mi pozwolenie Jake’a.

– Możesz je zdobyć?

– Nie. Właśnie poszedł na spotkanie. Zabronił mi dzwonić w jakiegokolwiek sprawie. Mam mu nie przeszkadzać.

– Właśnie że możesz.

– Nie, Buddy. Sam wiesz, że nie mogę. Wścieknij się. Zwłaszcza po tym, co mieliśmy w zeszłym tygodniu.

– Wściekłyby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że jedzie za mną ktoś, kogo nie znamy, w skradzionym samochodzie. Zapytaj się go tylko.

– Mogę spróbować.

– Dobrze. A przy okazji sprawdź tego Baigenta. Możesz przejrzeć jego dane z Amexu?

– Co mam załatwić najpierw? Baigenta czy Jake'a?

– Nie wiem. Dobra, chrzanić Jake'a. Pewnie i tak powiedziałyby: nie. *Znajdź* mi coś o tym Baigencie.

– Już mam. Baigent. George. 48 lat. Adres Sidney Heights 187, Huntington, dystrykt Fairfax.

– To chyba niedaleko stąd, prawda?

– Niedaleko. Po twojej stronie rzeki. Na południe od Alexandrii, zaraz za terenem północnej kolei. Ale to nie jest region mieszkalny. Pewnie podał adres firmy. Nie jedź tam, Buddy. Trzymaj się drogi. Zostań w tłumie.

– Dlaczego?

– Przecież nie wiesz, czego oni chcą.

– No to co?

– Nie prowadź ich na ich własne podwórko. Zostań tu, gdzie jest bezpieczniej.

– Bezpieczniej? Cholera, co chcesz przez to powiedzieć?

– Buddy. Myśl. Jeżeli znają cię na tyle dobrze, że wiedzą, gdzie mieszkasz, to na pewno wiedzą też, gdzie pracujesz. Nie jadą za tobą, żeby sprawdzić, dokąd się kierujesz. Poza tym pewnie wiedzą już, że ich zauważyłeś.

– Po co więc ciągną się za mną, jeżeli wiedzą, dokąd jadę?

– Spróbuj się im przyjrzeć. Może ich rozpoznasz.

– Dobra. – Buddy niespodziewanie wyjechał na środek drogi, zahamował gwałtownie i wcisnął się w sznur wozów tuż za buickiem. Ten natychmiast zrobił podobny manewr, ale ta chwila wystarczyła, aby Buddy zdążył zajrzeć do środka.

– Widzę teraz jednego. Ten z tyłu pewnie się schował.

– To dziwne. Myślę, że powinieneś spróbować ich zgubić. Gdzie jesteś?

– Dojeżdżam do Shrewdly.

– Dobrze. Przejedź przez most Key w kierunku Pennsylvania Avenue. Potem skreć w prawo w Dwudziestą Trzecią. Chyba tamtędy zawsze jedziesz do Departamentu.

– Tak, ale co mi to da?

– Rób co mówię. Gdzie jest teraz tamten wóz?

– Znowu trzy samochody za mną. Wiesz, chyba powinniśmy go zatrudnić, jest całkiem niezły.

– Obyś nie miał racji. Jesteś już na moście?

– Właśnie wjeżdżam.

– OK. Akurat mam na ekranie więcej informacji o Baigencie. Tamto się zgadzało, 48 lat, zamieszkały w Fairfax. Urodzony w Illinois. Żonaty. Nie ma dzieci. Jego firma nazywa się Tartak Fairfax. Regularnie płaci podatki. Trzy karty kredytowe. Amex. Diners. Visa. Ma wspólną hipotekę z żoną, ale dziewięćdziesiąt procent jest na nią. Nie notowany. Zwykły facet.

– Sprawdź jego pozostałe karty. Kiedy używał ich po raz ostatni. Atak przy okazji, właśnie zjeżdżam z mostu.

– Dobrze. Teraz trzymaj się rzeki, aż dojedziesz do mostu Memoriał, potem zawróć autostradą Lee z powrotem do mostu Key. Zrób kilka takich kółek. To nam da trochę czasu. Mam już dane na temat tych kart. Nigdy nie używa Diners Club i bardzo rzadko Amexu. Przeważnie wszystko płaci kartą Visa. Benzyna, zakupy, wszystko.

– Ale za samochód zapłacił Amexem. Chyba zaczyna mi się to nie podobać.

– Mnie też. Jest jeszcze coś gorszego. Poza tym wynajmem samochodu nie używał Amexu przez trzy miesiące.

– Czy zarezerwował wóz osobiście, czy przez telefon?

– Czeka.

Buddy zawrócił mostem Arlington Memoriał.

– Telefonicznie. Przykro mi, Buddy.

– Wiesz, co masz teraz sprawdzić?

– Szpitale. Właśnie to robię. Mam. Zła wiadomość. George Baigent przyjęty do szpitala Illinois Memoriał dziesięć dni temu. Udar.

– Zapomnijmy o nim. Sprawdź mi jeszcze raz samochód. Zobacz, czy jest tam telefon, a potem połącz mnie z nim. Chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

– Mam go już na ekranie. Owszem, jest tam telefon, ale nie mogę zdobyć numeru. Zablokowany dostęp.

– Wykorzystaj bezwzględne pierwszeństwo.

– I tak jestem na twoim.

– To fajnie, że w ogóle prosiłaś mnie o pozwolenie. Spróbuj poziom Jake'a.

– Nie znam jego numeru identyfikacyjnego.

– Mojego też nie znałaś, dopóki nie był ci potrzebny. Po prostu zrób to.

– Dobrze już, dobrze.

Buddy skręcił znowu na most Key. Kay odezwała się ponownie:

– Mam numer, ale nie mogę cię stąd z nim połączyć. Musisz sam tam zadzwonić.

– Mam lepszy pomysł – przerwał Buddy. – Ty do nich zadzwoń. Dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz. Jak będziesz z nimi gadać, postaram się ich zgubić.

– Chyba tylko masz nadzieję.

– Owszem, mam. Cholera. Minąłem zakręt. Muszę teraz jechać na wschód wzdłuż Independence i wrócić dopiero wtedy, kiedy skręcę w Aleję Konstytucji.

– Ich numer jest zajęty.

– Wspaniale. W takim razie chcę zapis wszystkich rozmów w Waszyngtonie. Tak, wszystkich. Chcę wiedzieć, kto do niego dzwoni i skąd. Wszystkie linie.

– Zamówię log, ale tak szybko go nie dostanę. Nie ma sposobu na przeskanowanie tego w tej chwili. Muszę to zrobić później.

– Chyba nie mam tyle czasu. Spróbuj, a przy okazji załatw rejestr rozmów z Departamentu Stanu z ostatnich dwunastu godzin. Powiedz, żeby ochrona przetrzymała taśmy. Chcę, żeby zostawili wszystko, począwszy od północy. Mają nic nie kasować. Skręcam teraz w Aleję Konstytucji. Przejadę przez most Highway i spróbuję ich zgubić w Clarendon albo Ballston. Na tych wielkich autostradach raczej nie mam szans.

– Dobra. Zarezerwowałam log, tylko nie mam pojęcia po co.

– Słuchaj Kay, ty siedzisz teraz na tyłku, to ja muszę tańczyć z tymi bydlakami. Są na tyle dobrzy, że mogą być od nas. Chcę tylko sprawdzić, czy to możliwe. Teraz skup się, jestem na Washington Boulevard. Pojadę nim aż do Ballston, a potem skręcę w kierunku Waverley Hills. Tam ich zgubię.

– Rozumiem. Mam załatwić gdzieś blokadę drogi?

– Nie mamy na to czasu, kochanie.

– Nie.

– Ale dzięki za dobre chęci.

Buddy przyspieszył na łagodnym zakręcie Washington Boulevard. Kiedy mijał Columbia Pike, jechał już dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Szary buick wciąż był za nim.

– Jego numer ciągle jeszcze jest zajęty, Buddy.

– No i co wymyśliłaś, sprytna dziewczyno?

– Ty pierwszy.

– Dobra. Nie musi mnie śledzić, żeby zobaczyć, dokąd jadę, bo już to wie. Skoro wie tyle, to znaczy, że zna numer mojego telefonu w samochodzie i mógłby do mnie zadzwonić, gdyby chciał.

– Obawiam się, że masz rację.

– A to znaczy, że nie chcą ze mną gadać, tak? Chcą doprowadzić do sytuacji jeden na jeden, a potem jeden do zera.

– Co masz ze sobą?

– Walthera P37. Jest w moim neseserze na tylnym siedzeniu.

– Naładowany?

– Tak, ale wciąż na tylnym siedzeniu.

– Dosięgniesz go?

– Kay, kochanie, jadę dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

– W takim razie musisz jakoś chwycić go, kiedy będziesz w Ballston albo w Clarendon.

– Może. Niestety, patrzę na wskazówkę, kończy mi się benzyna. Muszę zatoczyć koło, żeby trafić na ulicę Jefferson Davisa, do składów kolejowych.

– Po co, na litość boską?

– Jadąc tam, dam im do zrozumienia, że wiem o tej sprawie z Baigentem. Zmuszę ich do zrobienia czegoś, zanim sami będą tego chcieli.

– Sądziłam, że chciałeś ich zgubić.

– Chciałem.

– A teraz?

– Posłuchaj, może zgubiłbym ich, ale tylko do czasu. Następnym razem byliby już ostrożniej si. Muszę dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Kim oni są. Dobra, zjeżdżam z autostrady, jestem jakieś pięć minut od składów. Może nawet uda mi się dojechać tam, zanim skończy mi się benzyna. Znowu ich widzę. Widzę go! To Bradley! Ten z tyłu, który przedtem się schował. To Bradley.

– Buddy, jesteś pewien? Musisz być zupełnie pewien.

– Tak. To on. Wiem, że to on.

– W takim razie jest bardzo źle. Zgub ich. Chryste, zrób coś, żeby ich

zgubić.

– Jezu. Dzwonź do Jake'a. Zapytaj go, co tu, do diabła, się dzieje.

– Już to robię. Mam na monitorze log. Bradley przyszedł o ósmej rano. System podaje, że wciąż jeszcze jest w Departamencie. Posłuchaj, jesteś pewien, że to on?

– Nie marnuj mojego czasu, Kay.

– Przyjrzyj się kierowcy. Opisz go. Znasz go?

– Nie. Wysoki, ciemny. Trochę jak Kreol. Za blady, ale przypomina takiego. Dziobata gęba. Brzydki bydlak.

– Może to Buller. Nowy od Bradleya. Log znowu podaje, że jest w biurze. Czekaj. Ich sygnał jest teraz wolny. Kto zadzwoni?

– Ja. Daj mi ich numer.

Wystukał cyfry, jak tylko Kay skończyła mówić. Dwa dzwonki. Buddy zobaczył, jak kierowca podnosi słuchawkę. Zaczął wrzeszczeć:

– Buller, ty gnoju, mam twój pierdolony numer! – Zauważył gwałtowną reakcję. Buller zawołał coś przez ramię. Buddy natychmiast oddzwonił do Kay.

– Tak. To oni. Czas działać. Próbuja się teraz ze mną zrównać. Skończyli samochodowe gierki. W składzie zrobię co będę mógł. Ściągnę walthera i spróbuję dać nogę. Może uda mi się im uciec między pociągami.

– Nie bądź głupcem. Zostań na ulicy. Zaraz załatwię helikopter, żeby cię stamtąd wyciągnął. Oni nie zrobią nic, jeżeli zostaniesz wśród ludzi. Tam jesteś najbezpieczniejszy.

Kiedy Kay to mówiła, tylna szyba wozu Buddy'ego zamieniła się w pajęczynę szkiełek. Pośrodku widniał idealnie okrągły otwór.

– Cholera, Kay. Jeżeli to nazywasz bezpieczeństwem, to już wolę ryzyko w składzie kolejowym.

– Jeżeli musisz tam jechać. Helikopter już jest w drodze. Wysłałam go wzdłuż rzeki. Spróbuj jakoś się tam dostać. Pilot cię znajdzie.

– Bardzo bym chciał.

– Ja też.

Buddy zjechał z głównej drogi na wał, prowadzący do składu. Samochód rozwalil drucziane ogrodzenie i wjechał na tory kolejowe. Buick skrecił za nim. Wóz Buddy'ego podskoczył przy wjeździe na pierwszą szynę. Neseser spadł z tylnego siedzenia na podłogę. Teraz już Buddy nie mógł go dosięgnąć.

Skończyła się benzyna. Buick zrównał się z nim. Kierowca opuścił boczną szybę.

Buddy padł płasko na siedzenie, otworzył drzwi po stronie pasażera i wyśliznął się z samochodu. Schronił się za karoserią, a potem, wciąż skulony, ruszył biegiem w stronę wagonów towarowych, które stały sto metrów dalej. Najdłuższe sto metrów na ziemi.

Bradley bez pośpiechu wysiadł z buicka i palcem pokazał kierowcy uciekającego mężczyznę. Ten wyszedł z wozu i uśmiechnął się. Podniósł pistolet na wysokość ramienia, trzymając go oburącz, i strzelił. Prawa noga Marlina podwinęła się. Buddy runął na ziemię. Nie był jeszcze nawet w połowie drogi do wagonów.

Bradley sięgnął do samochodu Buddy'ego, wziął słuchawkę aparatu i powiedział.

– Przykro mi, rozmowa skończona. – Potem odłożył słuchawkę na miejsce i ruszył w stronę Buddy'ego, który, trzymając się za kolano, próbował odczołgać się. Bradley wyjął z kieszeni pistolet. Uśmiechnął się. Wreszcie mógł zobaczyć ten wyraz na twarzy Marlina.

W biurze Kay usłyszała głos Bradleya, po czym połączenie zostało przerwane. Zesztywniała wpatrując się w stojące przed nią monitory.

Jake Cohen wpadł do jej pokoju.

– Co się, do diabła, dzieje, Nocta? Właśnie otrzymałem alarmującą wiadomość od Rolandsa z centrum danych. Twierdzi, że dostałaś się do czterech zastrzeżonych zbiorów na poziomie szóstym, a dwa z nich zostały otwarte na mój numer identyfikacyjny. Lepiej powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi. I to natychmiast!

Kay bardzo powoli odwróciła się i spojrzała na Jake'a.

– Straciliśmy oficera, Jake. Straciliśmy oficera.

Helikopter znalazł ciało Buddy'ego jakieś dziesięć minut później. Szary buick zniknął. Pilot zauważył najpierw wóz Marlina. Ciało znajdowało się pięćdziesiąt metrów dalej. Buddy leżał na plecach. Z szeroko rozłożonymi ramionami. Najpierw pilotowi wydawało się, że pod głową dostrzegł kałużę ropy. Ale to nie była ropa. Za jasna. W ogóle nie ten kolor.

Simon wziął kolejny prysznic, żeby się całkiem obudzić. Właśnie miał zamówić świeżą kawę do pokoju, kiedy zauważył mrugające światełko aparatu. Wiadomości.

Zadzwoił do centrali i poprosił telefonistkę o odtworzenie taśmy z nagraniem.

Pierwszą wiadomość zostawiła Maddie.

– Cześć! Mój lot wstrzymano na cztery beznadziejne godziny w beznadziejnym Chicago. Pewnie w tym czasie zdążyłabym dojść do domu na piechotę. Zresztą ja jestem tu, a ciebie nie ma w hotelu. Może

razem z Buddym wybraliście się do miasta? Mam nadzieję, że nie! Zadzwoń do mnie rano, ustalimy, kiedy przylecisz i w ogóle. Czekam na ciebie. Pa!

Drugiego głosu Simon na początku nie poznał.

– Halo? Czy to automatyczna sekretarka? Mówi Nancy. Nancy Lessing. Z Cambridge. Czy możesz do mnie oddzwonić? Chodzi o tatę.

Simon usiadł na łóżku i wykręcił domowy numer Bella Lessinga. Odebrała Nancy.

– Tu Simon. Czy wszystko w porządku?

– Nie. Wcale nie.

Jej głos odpowiedział mu, co usłyszy za chwilę. Położył dłoń na czole.

– Czy on nie żyje? – usłyszał własne słowa.

– Tak. Zmarł zeszłej nocy. Próbowałam dodzwonić się do ciebie około pierwszej. Och, Simon, to było potworne. Po prostu straszne. – Nancy zaczęła płakać.

– Tak mi przykro, kochanie. Naprawdę, tak mi przykro. Został ciężko ranny. Pewnie nigdy nie odzyskałby zdrowia.

– Tak, ale to nie jest ta okropna część. Chodzi oto, co się stało, zanim zmarł. Nie wiedziałyśmy w ogóle, co się działo. W przeciwnym razie nigdy byśmy się nie zgodziły na jego przeniesienie. A teraz nie chcą nam nic powiedzieć.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

– To wszystko wydarzyło się około jedenastej. Mama przyszła do domu, żeby trochę odpocząć, ale nie mogła się odprężyć, więc uznała, że lepiej będzie, jeżeli zostanie przy tacie. Mówi, że nie pamięta dokładnie, co się stało, ponieważ cały czas brała środki uspokajające. Pamięta tylko, że przyszli jacyś mężczyźni. Dwaj lekarze. Mówili, że są Amerykanami. Tyle sobie przypomina. Przyjechali ambulansem, żeby zabrać tatę gdzieś na specjalistyczne leczenie. Pamięta, jak mówiła im, że absolutnie nie można go ruszać, ale oni powiedzieli, że wszystko jest w porządku, ponieważ już porozumieli się z uczelnią. Jej kazali iść do dyżurnej pielęgniarki i podpisać jakieś papiery. Twierdzili, że wszystko zostało uzgodnione. Mama poszła porozmawiać z pielęgniarką, ale nie mogła jej znaleźć. Poszła więc na sąsiedni oddział, a siostra stamtąd powiedziała jej, że nic nie wie o żadnym przeniesieniu, i razem z mamą wróciły na salę do taty. Mama mówiła, że wyglądał tak samo jak przedtem, ale maszyna nad jego głową przestała pracować i pielęgniarka zawołała dyżurnych lekarzy, ale było już za późno. Mama mówiła, że nie pamięta, co się potem stało. Siostra oddziałowa wróciła i powiedziała, że przez cały czas była w sali

obok. Zdziwiła się, że mama jej nie widziała. Potem inna pielęgniarka zadzwoniła do mnie. Od razu tam pojechałam, ale już go zabrali i nie pozwolili mi nawet go zobaczyć.

Simon wstał i nieprzytomnie gapił się na szare światło poranka wpadające przez okno.

– Mama i ja wróciłyśmy do domu i próbowałyśmy dodzwonić się do college’u – ciągnęła Nancy. – Zastałyśmy tylko Manciple’a. Dzwoniłyśmy potwornie długo, a kiedy wreszcie odebrał, powiedział, że nic nie wie o żadnych Amerykanach ani o tym, że tatę mieli gdzieś przenieść.

Simon wsunął palce we włosy i chwycił kosmyki na czubku głowy.

– Nie wiem, co się stało – przyznała Nancy i znowu zaczęła szlochać. – Myślisz, że to jakaś straszna pomyłka, jedna z tych, o których się czyta?

– Jestem pewien, że nie, Nancy. Wiesz, że twój ojciec miał najlepszą opiekę. Wrócę do Cambridge jak najszybciej, żeby wam pomóc w załatwieniu wszystkiego. Jeżeli zdążę na popołudniowy lot, powinienem być u was jutro.

– Naprawdę, Simon? Dziękuję, sama nie wiem, co robić.

– Nic się nie martw. – Simon starał się jakoś ją pocieszyć. – Jestem pewien, że istnieje jakieś zupełnie proste wyjaśnienie. Ty tylko zajmij się mamą i powiadom resztę rodziny, jeżeli możesz. Przyjadę najszybciej jak będę mógł, kochanie.

Odłożył słuchawkę. W uszach dźwięczały mu słowa, które sam powiedział do Nancy: „zupełnie proste wyjaśnienie”. Czy nie tak samo powiedziała przedtem Kay? „O tak. Wyjaśnienie jest zupełnie proste. Mam tylko wrażenie, że nie za bardzo ci się spodoba”.

Wykręcił numer Buddy’ego. On pewnie wiedział, co robić w takiej sytuacji. Nikt nie odpowiedział.

Simon zadzwonił do linii lotniczych i zarezerwował miejsce na lot o piątej do Londynu.

Chciał jeszcze zadzwonić do biura, ale uznał, że lepiej będzie porozmawiać z Buddym osobiście. I z Kay. Chryste, co za bałagan.

Odłożył słuchawkę i właśnie miał wstać, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił Jake Cohen.

– Simon? Mówi Jake. Mam dla ciebie złe wieści. Buddy Marlin został zastrzelony. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli tu przyjedziesz i porozmawiasz z Kay. Halo? Simon, jesteś tam?

– Tak, Jake. Jestem. Co się stało? Czy to Costa?

– Po prostu przyjedź tu.

– Będę za dziesięć minut.

W Departamencie Simon od razu poszedł do biura Kay. Akurat siedziała przy stole, przeglądając jakieś akta.

– Przyjechałem najszybciej jak mogłem. Byłaś tu, kiedy to się stało?

– Tak. Jechał z domu do pracy. Śledzili go. Nie sądzę, aby miał jakiegokolwiek szansę.

– To Costa? Czy załatwił go Costa?

– Nie. Sama tak na początku myślałam, ale to nie jego ludzie.

– Więc kto?

– Później, Simon.

– W takim razie to ktoś taki jak Costa, tak? Może są jeszcze jacyś inni.

– Nie. Już powiedziałam, później. Simon usiadł w fotelu przy ścianie.

– Niestety ja też mam dla ciebie złą wiadomość. Chodzi o Bella. Załatwili Bella Lessinga.

Nie wyglądała na zaskoczoną.

– W szpitalu?

– Tak. Miałaś rację. Wiesz, chyba nie potrafię tego wszystkiego ogarnąć. Bell i Buddy. Obaj tego samego dnia. To chyba niemożliwe.

Kay schowała akta do szuflady biurka.

– Niestety, wszystko jest aż za bardzo możliwe. Oni dwaj stali się ofiarami pewnego ciągu zdarzeń. Już mówiłam, jak działają ci ludzie.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę słuchać o „ciągu zdarzeń” czy o „zupełnie prostych wyjaśnieniach”. Chcę wracać do domu. Z tym miejscem nie łączy mnie już nic. Zupełnie nic.

– Chcesz tak po prostu wrócić do Cambridge?

– Nie „tak po prostu”. Ja tam mieszkam. To mój dom. Tam jest mój świat, nie tutaj.

Zamknęła szufladę na klucz i spojrzała na Simona.

– Chyba nie powinieneś tego robić. Sprawa nie została jeszcze zakończona. Nie możesz jechać, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Dla mnie już jest po wszystkim – powiedział. – Bell i Buddy byli moimi przyjaciółmi. Dla nich to skończone, więc dla mnie też. Mam wrażenie, że obaj zginęli dlatego, że znali mnie. To moja wina. Muszę jechać do domu i zastanowić się, co mam teraz robić...

– Nie – przerwała mu. – Nie możesz tak postąpić, dopóki nie dowiesz się, co naprawdę się zdarzyło. Potem już nie będziesz się czuł tak źle. Wierz mi, ty tu w niczym nie zawiniłeś. Nie możesz obwinać siebie. Winę ponoszą inni. Musisz zakończyć sprawę.

– Niby dlaczego? Przecież to nie jest tylko jakaś cholerna gra. Nie mam pojęcia, kim są ci „inni”, o których wspomniałaś. Wiem tylko, że w zeszłym tygodniu dwaj porządni faceci jeszcze żyli, a teraz już ich nie ma wśród nas. Nie mogę tak zwyczajnie wstać i otrząsnąć się z tego. W przeciągu czterech dni straciłem praktycznie wszystko, co miałem. Pewnie jeszcze pamiętasz, że kiedyś pracowałem.

– Mam wrażenie, że jest ci żal samego siebie, a nie twoich przyjaciół.

– Nieprawda – odparł. – Mam teraz sporo do zrobienia. Rodzina Bella mnie potrzebuje. Mogę spróbować jakoś im pomóc. Zakończę sprawy tutaj i zdążę na lot dziś wieczorem. Czy Jake jest u siebie w biurze?

– Nie. I na razie go nie będzie. Po tym, co się stało z Buddym, głównie trafiło w wentylator, jak my to mówimy. Wyczyszczenie wszystkiego to ogromna robota. Ale ty oczywiście nie masz z tym nic wspólnego, prawda? Twój najlepszy przyjaciel został zastrzelony, ale przecież możesz wszystko zwalić na barki Jake’a i Kay. Oni się tym zajmą, tak? Pewnie fajnie jest móc pozbierać zabawki i uciec na swoje podwórko. Pojedziesz sobie do domu, zaparzysz herbatę i wyciągniesz nogi. A ja muszę tu zostać. Posprzątać ten cały bałagan. Może nawet będę załatwiała transakcje z Costą. To by ci odpowiadało, co? No i jeszcze Maddie Booker. Może to też powinnam załatwić za ciebie? A ty sobie jedź do domku i popłacz zdrowo. Może poczujesz się lepiej. Wycofaj się, Simon. Czemu nie, uciekaj stąd czym prędzej.

Simon wstał i podszedł do okna. Stał tak przez chwilę bez słowa, po czym odwrócił się do Kay.

– Ja się z niczego nie wycofuję. Po prostu ja nigdy nie byłem w środku. Różne rzeczy działy się obok mnie, a ja nie miałem o niczym pojęcia. Nieważne, w co graliście, liczy się tylko to, że ta gra zabiła moich dwóch najlepszych przyjaciół. Przyznasz, że trudno to uznać za zachętę do kolejnej partii. Być może ja jestem następny w kolejce. Mało zachęcająca perspektywa.

– A ja – Kay wyciągnęła ręce w stronę Simona. – Może to ja jestem następna? I co będzie, jeżeli mnie też zabiją? Przez ciebie? Też tak po prostu zostawisz wszystko i odejdziesz? Powiedz mi, ile osób musi zginąć, zanim cokolwiek do ciebie trafi?

– Nikt cię nie zabije.

– Dlaczego nie? Skoro jedynym kryterium dla kandydata do śmierci jest znajomość z tobą, to pewnie stoję w pierwszym szeregu.

– A zatem jest to kolejny powód, dla którego powinienem jak najszybciej wyjechać. Zwiększyć dystans między nami.

– Dystans? Twojemu przyjacielowi, Bellowi, na nic się on nie przydał. Czy coś może być bardziej odległe od twojej profesji niż posada wykładowcy na uniwersytecie Cambridge? Nie. Dlatego sędzę, że ja też jestem w kolejce. Co więcej, ty sam w niej stoisz. Możesz sobie jechać i poczekać, aż po ciebie przyjdą, albo zostać tu i pomóc mi. Możesz mi wierzyć, że przyjdą na pewno. Nie kiedyś tam, ale już niedługo. Po ciebie i po mnie. I co zamierzasz?

Simon spojrział na nią.

– Muszę się napić. Czy Buddy ma w biurku jakąś butelkę?

– Wcale nie musisz pić. A co do biurka Buddy’ego, to powinienes mu się dokładnie przyjrzeć, może dzięki temu zmienisz zdanie.

– Co masz na myśli?

– Idź i zobacz.

Simon przeszedł przez otwarte drzwi między pokojem Kay a biurem Buddy’ego.

– Pamiętam, że zawsze trzymał w biurku butelkę. Przynajmniej kiedyś. Niestety, wszystkie szuflady świeciły pustkami. Również na blacie biurka nie leżało zupełnie nic.

– Co się stało? – zawołał Simon. – Gdzie są jego wszystkie rzeczy?

– Ktoś wparował tu dziesięć minut po tym, jak Buddy został zastrzelony, wsadził wszystko do plastikowego worka i wypadł równie szybko, jak się pojawił. Sprzątnięto nie tylko biurko. Zniknęły wszystkie jego dyskietki i kopie taśm. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zabrała tej szafki. Pewnie jeszcze wróci.

– Ona? Kto?

– Nie mówiłam ci? Jego kochająca siostra, ta, która ma ręce umazane krwią po same łokcie.

– A co ona ma z tym wspólnego? Mogła maczać palce w tej sprawie z Bellem, ale mówienie, że przyczyniła się do śmierci Buddy’ego, to już zupełny obłąd. Chryste, przecież była jego siostrą. Byli rodziną.

– „Rodziną”? – krzyknęła Kay ze swego pokoju. – To zabawne. Mniej więcej to samo powiedziała, kiedy zapytałam ją, po co tu przyszła i dla kogo odgrywała scenę rozpacz. – Nie gram dla nikogo – wypaliła. – Wy wszyscy już nic więcej nie dostaniecie od mego brata. Może i położą go w Arlington, obok pozostałych, ale resztę zabieram ja. A jeżeli ten łajdak w piwnicy będzie chciał dostać to z powrotem, powiedz mu, żeby przyszedł do Maddie Booker, dobra?

Simon w milczeniu wrócił do pierwszego biura i usiadł.

– Wygląda na to – zaczęła tłumaczyć – że twoja nowa przyjaciółka

wybrała działanie na własną rękę. Nie sędzę, aby komukolwiek tutaj się to podobało.

– Nie wiedziałem, że wciąż jest w Waszyngtonie – powiedział Simon cicho. – Zeszłej nocy dzwoniła do mnie z Columbus.

Kay błyskawicznie podniosła słuchawkę stojącego przed nią aparatu i, nie wybierając żadnego numeru, powiedziała – „Halo, Simon, mówi Maddie. Jestem już w Columbus. No to pa”. Tak po prostu? Bardzo przekonująco. – Odłożyła słuchawkę na miejsce.

– Nie miałem powodów, aby myśleć, że ciągle jest tutaj. Posłuchaj, przyznaję, myliłem się co do niej. Wielki błąd. Ale chyba teraz niewiele mogę w tej sprawie zrobić, prawda? Wśród katastrof tego tygodnia, w skali od jednego do dziesięciu, dałbym jej najwyżej cztery.

– Nie miej do siebie o nic pretensji, Simon. Ona jest ich najlepszą agentką. Jest naprawdę świetna w tym, co robi. Fakt, że wysłali do ciebie właśnie ją, a nie jakąś lalunię, możesz uważać za komplement. Ale, jak sam powiedziałeś, nie ona jest teraz najważniejsza. Mamy pilniejsze rzeczy do zrobienia.

– My?

– Tak. Ty i ja. Przecież nie mogę prosić cię w nieskończoność. Pomożesz mi czy nie?

– A co dokładnie chcesz zdziałać?

Kay wstała zza biurka i podeszła do okna, stając w swej ulubionej pozycji, z założonymi rękami.

– Powiem ci, co chcę *zdziałać*. Chcę trafić ich tak mocno, żeby nigdy nie dowiedzieli się, co ich uderzyło. Chcę walnąć w te ich pieprzone łby, żeby już się nie obudzili. Chcę to zrobić dzisiaj. I chciałabym, żebyś mi w tym pomógł. Za Buddy’ego. Za Bella. Za wszystkich pozostałych. Wchodzisz w to?

Oparł się o fotel i również założył ręce.

– Tak – powiedział. – Siedzę w tym po samą szyję.

– Dobrze – stwierdziła krótko. – W takim razie zaczynajmy. Najpierw musimy sobie wyjaśnić parę spraw. Czy możemy dokądś pójść?

– Pewnie. Czemu nie? Znowu do kawiarni nad księgarnią?

– Nie. Do Arlington.

– Dlaczego tam?

– Ponieważ tam chodziłeś razem z Buddym, prawda? A właśnie o nim chcę porozmawiać. O nim i o mnie. Chodźmy już. Ja poprowadzę.

Wzięli wóz z podziemnego parkingu i jechali bez słowa aż do cmentarza. Zaparkowali samochód i ruszyli w kierunku najwyższego

punktu Arlington, w pobliżu Roosevelt i William Drive.

Kay wzięła go za rękę i powiedziała:

– Buddy uwielbiał przyjeżdżać tutaj z tobą. Zawsze mówił, że to miejsce jest tak odległe od wszystkich innych. Mam wrażenie, że w pewnym sensie tymi spotkaniami odmierzał upływający czas.

Uśmiechnęła się do Simona.

– Twierdził, że podejmowane w tym miejscu decyzje zwykle były słuszne – dodała. – A błędy zdarzały się w biurze.

– Obaj lubiliśmy tu przychodzić – przyznał Simon. – Po raz pierwszy odwiedziliśmy ten cmentarz ze względu na Kennedy’ego, a potem po prostu weszło nam to w zwyczaj. Przypuszczam, że właśnie tu pochowano jego towarzyszy z Wietnamu, ale nigdy o tym nie wspominał.

– Rzeczywiście tutaj leżą. Nie ma tu tylko tego, kogo Buddy chciał wysłać dwa metry pod ziemię.

– Warkowskiego.

– Tak – powiedziała zaskoczona. – Znasz go?

– Nie. Ale widziałem go tutaj w zeszłym tygodniu. Buddy wspomniał, że tamten dowodził jego oddziałem w Sajgonie. Myślał, że Warkowski już odszedł na emeryturę, ale potem zobaczyliśmy go na pogrzebie kogoś ważnego.

Doszli do Canadian Memorial i usiedli na trawie, zwróceni w kierunku rzeki.

– Janisław Freeman Warkowski – powiedziała Kay. – Tak brzmi jego pełne nazwisko. Dowodził tajnymi operacjami podczas upadku Sajgonu. Kiedy wrócił do kraju, dostał pracę w Departamencie Bezpieczeństwa w Pentagonie. Buddy nie mógł znaleźć pracy po powrocie z wojny, więc Warkowski namówił go, żeby został w armii i pracował dla niego. Mam wrażenie, że Warkowski okazał się zbyt wielkim radykałem nawet dla Pentagonu, dlatego przenieśli go do Jake’a, do Departamentu Stanu i powiedzieli, żeby zajął się robotą tutaj.

– Jaką robotą?

– Teraz nazywa się to Bezpieczeństwem Ogólnym. Jego rola polega głównie na zbieraniu i filtrowaniu wszelkich informacji o zagranicznych.

– O jakich zagranicznych?

– O rządach, opozycjach, rządach na wygnaniu. Grupach terrorystycznych. O wszystkim takim. – Machnęła ręką dla podkreślenia zasięgu jego wpływów. – Umieszczają agentów w różnych krajach, a potem ściągają od nich informacje i filtrują je dla tych z działu politycznego w Departamencie Stanu.

– Od jak dawna to trwa? Nie sądziłem, że teraz jeszcze zajmują się takimi rzeczami.

Uśmiechnęła się.

– O tak. Niestety, zajmują się. Twój generał Warkowski jest bardzo zajęтым człowiekiem, a Jake wciąż mu podlega.

– A Buddy? Przecież on nienawidził armii. Głównie z powodu Warkowskiego, jeżeli dobrze sobie przypominam.

– To prawda – odparła Kay. – Ale mimo to musiał dla niego pracować. Pamiętaj, że nie miał wielkiego wyboru. Nikt nie szukał pracownika, który najlepiej potrafił latać helikopterem w deszczu pocisków. Przyjął to, co mu oferowano. Buddy i Jake zaczęli zakładać punkty w różnych krajach.

Odchyliła głowę i spojrzała w górę, na chmury.

– A potem ty do nich dołączyłeś. Wszystko szło aż za dobrze. Idealna przykrywka. Ktoś o nazwisku znanym w docelowych państwach. Dlatego szli za tobą wszędzie, zakładali bazy, ściągali do nich Amerykanów i rozpracowywali miejscowych.

– Ale przecież zajmowaliśmy się normalną pracą – powiedział Simon. – Mam na myśli przygotowywanie projektów. Były prawdziwe. W pierwszych latach szło nam całkiem nieźle. Tajlandia, Pakistan. Sporo wtedy działaliśmy.

– O tak – przyznała. – Ta część waszej pracy była jak najbardziej prawdziwa. Ale zarazem dawałeś im świetną zasłonę. Najlepszą.

– Chyba wiesz, o czym mówisz? Z tego wynika, że robiłem z siebie kompletnego głupca przez dziesięć lat. Pracowałem cholernie ciężko nad tymi projektami, a teraz słyszę od ciebie, że oni traktowali to jako szaradę i wykorzystywali dla swoich celów.

– Przykro mi.

– Mam tylko nadzieję, że trochę dobrego z tego wynikło. Projekty zostały zrealizowane i zbudowane przez nas systemy wciąż jeszcze działają. Proszę, nie mów mi, że była to zupełna strata czasu. Przecież to niemożliwe, mimo wszystko.

Zakryła dłońmi usta i dmuchnęła przez palce.

– Nie można tego nazwać stratą czasu. Ty i twoja „walka za obcych” staliście się bardzo ważni dla Buddy’ego. Sądzę, że praca z tobą dawała mu poczucie, że w jakiś sposób, choćby nawet w niewielkim stopniu, naprawiał krzywdy wyrządzone podczas wojny w Wietnamie. Oczywiście realizowane przez was projekty były prawdziwe. Przeznaczone na nie pieniądze naprawdę pochodziły z funduszu pomocy US Aid. Chcę ci tylko powiedzieć, że działaliście w takich, a nie innych krajach właśnie po to,

aby Buddy mógł umieścić tam *swoich* ludzi. Z twojego punktu widzenia wszystko przebiegało tak samo, jak w sytuacji zwykłej realizacji projektu. Nie powinieneś nic sobie wyrzucać. Tak jak sam powiedziałaś, na początku szło wam całkiem nieźle.

– A jaka jest twoja rola w tym wszystkim? Czy ty też pracujesz dla Warkowskiego?

– Tak. Wszyscy dla niego pracujemy. Miałam pomagać tobie i Buddy’emu w organizacji waszych przedsięwzięć, ale moim głównym zadaniem było pomaganie Jake’owi w przetwarzaniu wszystkich danych później. Kiedyś pytałeś mnie, co Jake robi przez cały dzień. Teraz już wiesz. Bynajmniej nie jest próżniakiem, za jakiego stara się uchodzić. Nie zrozum mnie źle – ciągnęła. – Lubiłam pracować z tobą i Buddym przy waszych pompach. Jemu też się to podobało. O wiele bardziej niż inne zadania. Dzięki temu miał poczucie, że jego praca miała jakąś wartość. Ja również. Naprawdę nie miałaś o niczym pojęcia?

– Nie. Żadnego. Pewnie myślisz, że jestem szczególnym idiotą.

– Wcale nie. Jesteś taki, jaki chcesz być, a to znacznie więcej niż większość z nas może o sobie powiedzieć. Warkowski. Jake. Buddy. Nawet ja. Wszyscy podlegamy komuś innemu. Musimy żyć i działać zgodnie z tym, czego oczekują od nas inni ludzie. Jakoś w tym brniemy. Nie zadawaj mi żadnych pytań. Ty jesteś panem samego siebie, możesz robić to, co chcesz. My nie. Każdy podziwia wolnego człowieka.

– Za daleko z tą wolnością nie zaszedłem, co? – zamyślił się Simon. – Nie otaczają mnie rzeczy, które zwykle mają ludzie w moim wieku. Rodzina. Praca. Teraz nawet moi najlepsi przyjaciele odeszli. Jestem wolny? Być może. Ale cena za to jest zbyt wysoka.

– Za wolność płaci się tylko raz, Simon. Niewola codziennie coś ci odbiera. Widzisz, kiedy to wszystko skończy się dla ciebie, będziesz mógł przynajmniej powiedzieć: „Robiłem to, co wówczas uznawałem za najbardziej słuszne”, a my, pozostali, musimy powiedzieć: „Wiedziałem, że to co robiłem było złe, ale mimo to nie przestałem tego robić”. Gdybym znowu miała wybór, wiem co bym teraz wybrała.

Usiadła pochyłona do przodu i objęła rękami kolana.

– Czy pracowałbyś dla nas, gdybyś wiedział, co tak naprawdę robiliśmy?

– Nie. Nie sądzę. Powiedz mi tylko, czy to właśnie dlatego nie chciałaś się ze mną umówić? Ze względu na to, czym się zajmujesz?

– Tak. Bardzo chciałam się z tobą spotykać. Oczywiście, że tak. Tylko, że nigdy nie mogłabym ci powiedzieć, co robię, a przecież nie

potrafiłabym bez końca udawać i prowadzić podwójnego życia. Naprawdę bardzo chciałam się z tobą umówić. Bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Simon przysunął się do niej i objął ją ramieniem.

– Szkoda, że tego nie zrobiłaś. Nawet gdyby to nie przetrwało, moglibyśmy spędzić razem trochę czasu. Kiedy człowiek ogląda się za siebie, tylko te wyjątkowe chwile mają dla niego znaczenie. Godzina tu czy godzina tam. To wszystko. Niewiele osób dostaje więcej.

Odwróciła ku niemu twarz.

– Przecież tak naprawdę czas nie ma tu znaczenia. Te kilka chwil, które spędziliśmy razem. Takich jak ta. Mam wrażenie, że one istnieją poza czasem. Nie biegną ani szybciej, ani wolniej, są tylko odmienne. Myślę, że jesteś kimś wyjątkowym. Cieszę się, że cię poznałam.

Delikatnie pocałował ją w czoło.

– Ja też się cieszę. Pamiętam każdą spędzoną z tobą godzinę. Na starość nigdy nie będę się czuł biedny, licząc te godziny, za każdym razem od nowa.

Uśmiechnęła się i szybko pocałowała go w usta.

– Moglibyśmy tu tak siedzieć przez cały dzień, Simon, ale musimy zacząć działać. Jeszcze nie wszystko ci powiedziałam.

– Co zostawiłaś na koniec?

– Maddie.

– Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć o niej więcej.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy ona wie?

– O czym?

– O twoim projekcie.

– Wiedziała wystarczająco dużo, żeby zaszkodzić Bellowi Lessingowi. Oczywiście, że wie.

– A o twoim udziale? Może sądzi, że wszystko stworzył Bell?

– Ty też wiesz tylko tyle.

– Nieprawda. Pomysł był twój, od samego początku. Widziałam dane, które Warkowski odłowił z bazy w Cambridge. Części Bella to nic nie warte śmiecie. Tylko te twoje były dobre.

– Wątpię, aby Bell miał dobrą kopię czegokolwiek. W każdym razie nie najnowszą.

– Najnowszą czy nie, na pewno jakąś miał. Zawierała wszystkie etapy. Kolejne procedury. Pliki ukryte, pliki krążące, zmienne tabele. Całość. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie. Nie, nie miałem pojęcia. Pewnie ściągnął je z mego komputera,

zanim to usunąłem. Może nawet z laptopa. Teraz już nie muszę mieć żadnego zapisu, bo wszystko pamiętam. Nie wiedziałem, że zachowały się jakieś kopie.

– Lessing miał jedną. Teraz ma ją Rolands.

– Kto to taki? Jeszcze jeden człowiek Warkowskiego?

– Tak. Kieruje centrum danych. Jest bardzo dobry i myślę, że poskładał całość do kupy na podstawie plików ściągniętych od Bella. Przykro mi. Kot został wypuszczony z worka.

Simon zerwał źdźbło trawy i zaczął kręcić nim w jedną i w drugą stronę między palcami.

– Trudno. To i tak nie ma znaczenia – powiedział.

– Dlaczego?

– Właśnie z tego powodu zginęli Bell Lessing i Buddy. Chyba już wystarczy.

– Bell, tak. Ale nie wiesz, dlaczego zastrzelili Buddy’ego.

– Och, daj spokój!

– Nie. Ja wiem, dlaczego zdjęli Buddy’ego, i naprawdę nie chodzi tu o twój plan. Nawet nie zapytałeś mnie jeszcze, kto to zrobił.

– No dobrze. Kto?

– Właśnie. Przyjmijmy na razie, że to Costa.

– Mówiłaś, że to nie on.

– Bo to nie on, ale pewnie nie byłbyś zaskoczony, gdyby to on zabił Buddy’ego, tak? Myślisz, że Buddy zbyt wiele razy nastąpił mu na odcisk, że miał z nim jakieś sprawy, o których ty nic nie wiesz.

– Tak. Nie zdziwiłoby mnie to. Zdażyłem się napatrzeć na efekty pracy Costy przez kilka ostatnich lat. Domyślam się, że dąży do celu bez względu na to, co się dzieje z ludźmi. W przeciwnym razie nikt nie zaszedłby tak daleko jak on.

Kay pochyliła się do przodu i znowu objęła rękami kolana.

– Warkowskiemu to odpowiada – powiedziała. – On też robi to, na co ma ochotę. Od zawsze.

– Ale on pracuje dla armii. Dla rządu. Nie robiłby przecież takich rzeczy. Poza tym Buddy był jednym z jego ludzi, na litość boską.

– Niestety, to prawda. Buddy zaczynał sprawiać kłopoty. Pił. Popelniał błędy. Ta sprawa tamtej nocy przesądziła o wszystkim.

– I tak po prostu go sprzątnął?

– Mniej więcej.

– W strzelaniu do ludzi nie ma „mniej więcej”.

– A może właśnie jest. Warkowski powiedział jednemu ze swych ludzi,

że Buddy zaczyna przysparzać mu prawdziwych problemów i że ktoś powinien położyć temu kres.

– Kto mógłby coś takiego zrobić? Spojrzała Simonowi prosto w oczy.

– Ktoś taki jak Bradley.

– O nie. Tego już za wiele.

– Czyżby? Te papiery, które czytałam, kiedy przyszedłeś do mego biura, to była tak zwana ocena Buddy'ego przeprowadzona przez Bradleya. Sam powinienes ją kiedyś przeczytać.

– Dobrze, Kay. W bardzo ponurym świetle przedstawiasz Warkowskiego i jego wesołą gromadkę. Dlaczego więc godzisz się w tym uczestniczyć? I Buddy? Jak on mógł to znosić?

– Znalazł sposób, żeby o tym mniej myśleć.

– Jaki?

– Pił. Bardzo dużo.

– A ty? Jak ty sobie z tym radzisz?

Nie od razu odpowiedziała. Wstała i zaczęła schodzić po zboczu.

– Chodź ze mną – poprosiła. – Chcę ci coś pokazać.

Zeszli razem w dół, do części cmentarza, w której parę dni temu Simon i Buddy widzieli Warkowskiego. Ciągnął się tam rząd najnowszych grobów. Kay wskazała na miejsce za ostatnim.

– Tutaj pochowają Buddy'ego. A tam – wskazała na wzgórze – leżą jego żołnierze z Wietnamu. Sześciu. Opowiedział mi o nich pewnej nocy, kiedy był zupełnie pijany. Nie wiem, co naprawdę się wydarzyło, ale Buddy odpowiedzialność za ich śmierć brał na siebie. Czuł się winny, że on powrócił, a oni nie. Zawsze uważał, że ta cała sprawa z Wietnamem nie miała najmniejszego sensu, ale twierdził też, że właśnie ze względu na tamtą szóstkę, musi zostać, na wypadek gdyby udało mu się zrobić coś pożytecznego. W jakiś sposób wynagrodzić to tamtym ludziom.

– I zamierzał to zrobić, pracując z Warkowskim?

– Nie. Sądził, że uda mu się to dzięki pracy z tobą.

– Ze mną? Dlaczego ze mną?

– Ponieważ wierzył, że to, co robiłeś, miało pomóc innym. Nigdy nie zdołał znaleźć czegoś słusznego czy sprawiedliwego w swoim własnym życiu i dlatego postanowił dążyć do swego celu pośrednio, poprzez ciebie.

– A ty? – spytał Simon.

– Ja chyba też.

– W takim razie przepraszam, że nie starałem się bardziej. Sprawiasz, że czuję się winny. Powinienem być więcej pracować. Pewnie okazałem się za wielkim leniem.

– Nie powiedziałam ci tego, żebyś czuł się winny. Chciałam tylko, żebyś wiedział, co sędzę na temat Warkowskiego teraz, kiedy Buddy’ego już nie ma wśród nas.

– Chyba niezupełnie cię rozumiem. Przecież ty nadal musisz dla niego pracować.

– Tak sądzisz? – spytała. – Jeżeli kiedykolwiek potrzebowałam powodu do odejścia, to dziś go mam. Na pewno spodziewają się, że zrezygnuję. Już sygnalizowałam Jake’owi, że chcę odejść na jakiś czas. I tak wytrzymałam dłużej niż inni.

– A Jake? Co on zrobi?

– Zostanie. Przynajmniej na razie. Do emerytury brakuje mu zaledwie osiemnastu miesięcy. Oczywiście trochę zależy od tego, kto zajmie miejsce Buddy’ego. No i czy twoja była firma znajdzie kogoś zamiast ciebie.

Simon uśmiechnął się do siebie.

– Nie jestem pewien, czy to zrobią. Na pewno nie tak od razu.

– Bazy i tak są już niemal wszędzie. Potrzebny jest tylko ktoś do ich kontrolowania i zastępowania innymi, za wypadek gdyby z tymi, którzy są, coś się stało. Nudna robota. Mam nadzieję, że dostanie się Bradleyowi.

– Czy to znaczy, że on zostanie? Po tym wszystkim?

– Pewnie. Dlaczego nie? Buddy nie jest pierwszym, którego zdjął. Sama wiem co najmniej o dwóch innych. Jednym był hiszpański dziennikarz z „El Salvador”, a drugim profesor prawa z Zachodniego Wybrzeża, którego poglądy na imigrację nie spodobały się Warkowskiemu. Nie jestem pewna, czy masz ochotę tego słuchać, ale jeden z nich wpadł przez Maddie Booker.

– Dzięki, sędzę, że mam już dość informacji.

Wziął ją za rękę i ruszyli z powrotem wzdłuż McKinley Drive w kierunku amfiteatru.

– Chodźmy do pomnika Kennedy’ego – poprosił Simon. – On bardzo lubił to miejsce.

W milczeniu przeszli aleją wśród drzew. Czerwone i żółte liście klonów i brzoź zaczynały już opadać. Simon lekko uściśnął dłoń Kay.

– Jaka będzie oficjalna wersja tego, co stało się z Buddym? – spytał. Zaczęła machać w tył i w przód ręką, w której trzymała jego dłoń. Kopnęła stos leżących na ziemi liści.

– Costa – stwierdziła. – Powiedzą, że załatwił go ktoś taki jak on, że Buddy był zamieszany w jakieś nielegalne dostawy, że mimo przykładowie rozwijającej się kariery został skorumpowany i w ciągu tych dziesięciu lat

od wystąpienia z armii grzął coraz bardziej w układach ze światem przestępczym.

– Jego rodzina raczej nie będzie miała powodów do dumy.

– Niewiele z tej rodziny zostało. Tylko Maddie, ale ona wie o Buddym wszystko.

– Miałem na myśli jego dzieci.

– Rzeczywiście nie wygląda to najlepiej, wiem. Kiedy trochę podrosną, możemy im wyjaśnić, co zdarzyło się naprawdę.

Simon szybko odwrócił się do niej zdziwiony. Powiedziała „my”. Kay intensywnie wpatrywała się w ścieżkę przed nimi.

Stanęli przed pomnikiem Kennedy’ego, patrząc na płonący znicz.

– Wiesz – powiedział Simon, uśmiechając się do siebie – kiedyś nieopatrznie spytałem Buddy’ego gdzie był tego dnia, gdy Kennedy został zastrzelony. Każdy powinien to wiedzieć. Powiedział mi, że on i jego mała siostrzyczka właśnie jedli kanapki siedząc na Grassy Knoll. Nic nie odwróciło ich uwagi.

– Kochany Buddy – Kay uśmiechnęła się. – Będziemy za nim bardzo tęsknić.

– Każdego dnia, Kay. Każdego dnia.

Wolno wrócili do samochodu. Simon usiadł za kierownicą.

– Pojedziemy do mnie – powiedziała Kay. – Tylko musimy zatrzymać się po drodze przy rynku niedaleko Belmont i Trzynastej. Muszę kupić warzywa na obiad i jeszcze parę innych rzeczy.

– To my jedziemy na obiad? Nie jestem głodny.

– Owszem, jedziemy na obiad. Już prawie skończyłam wyjaśnienia i teraz ty musisz mi opowiedzieć o kilku sprawach. Pewnie zabierze nam to trochę czasu.

– Opowiedzieć o czym?

– Zobaczysz – powiedziała, wskazując palcem drogę. – Ty się lepiej skup na prowadzeniu i pamiętaj, żebyś nie *zjeźdżał* z niewłaściwej strony drogi.

Kiedy zatrzymali się w pobliżu sklepików i straganów, Simon spojrzał na Kay.

– Nie musisz nic gotować. Wystarczy kupić coś na wynos.

– Bzdura. Od tego potwornego jedzenia z barów szybkiej obsługi zrobią ci się krosty. Jak chcesz mi pomóc, to idź do tej niemieckiej piekarni i kup dwa obwarzanki. Mają tam takie wielkie, słodkie.

– Dobrze. Potem wrócę do samochodu i zaczekam na ciebie.

– Nie. Potem chcę, żebyś poszedł do kosmetycznego i kupił mi dużą

butlę olejku do opalania. Z filtrem ochronnym numer sześć.

– Wybierasz się na wakacje?

– Tak. Właściwie to kup dwie butle. Z filtrem numer piętnaście.

– Wszystko, co zechcesz.

Kiedy wróciła z brązową, papierową torbą z zakupami i czymś, co wyglądało jak czasopismo, już siedział w wozie.

– Do czytania w podróży? – spytał, wskazując magazyn.

– Niezupełnie. Później ci pokażę – powiedziała, wsuwając pismo do torby.

W mieszkaniu Kay odsłoniła wielkie okna. Simon stał przed nimi i przyglądał się miastu, podczas gdy gospodyni zajmowała się przygotowaniami w kuchni. Dzień był bezchmurny i jasny. Na prawo Simon widział kopułę Kapitolu i Biały Dom otoczony jesiennymi, wielobarwnymi trawnikami. Dalej bezszelestnie wiała się rzeka Potomac. Wydawało mu się, że dostrzega jasnożółte i purpurowe plamki na jej powierzchni. Może dziś też odbywały się regaty.

– Masz naprawdę wspaniały widok. Za dnia i nocą.

– Wiem – zawołała, przekrzykując brzdękanie łyżki o wok. – Kiedyś zrobiłam zdjęcie o długiej ekspozycji, przez całe dwadzieścia cztery godziny. Otrzymałam za nie nawet jakąś nagrodę w lokalnym konkursie.

Roześmiał się.

– Kobieta o wielu talentach. Masz piwo?

– W lodówce. Jedzenie już prawie gotowe.

Wyjął z chłodziarki dwie puszkę piwa i postawił je na niewielkim stole przy oknie, aby podziwiać widoki również podczas obiadu. Kay przyniosła talerze.

– Jemy pałeczkami. Żadnego oszukiwania!

– Nie ma sprawy. Buddy pokazał mi, jak ich właściwie używać. Więcej zgarniać niż podnosić. W stylu sajgońskim.

– Mnie też pokazywał.

– Nieźle to – przyznał Simon po kilku kęsach. – Kto cię nauczył gotować?

– Prawdę mówiąc, nikt. Uczyłam się sama z książek i z telewizji. A ty jak radzisz sobie w kuchni?

– Różnie. Delia nauczyła mnie wszystkiego, co potrafię.

– Kto to? Jedna z twoich dawnych znajomych?

– Niestety, nie miałem takiego szczęścia. Wyglądała całkiem nieźle. Niebieskie oczy, ale ciemne włosy.

– A mężczyźni to wolą?

– Tak przynajmniej mówią. Wskazała pałeczkami miejsce za szybą.
– Jakież dziesięć kilometrów stąd jest baza sił lotniczych Andrews. A tuż za jej bramą znajduje się małe miejsce o nazwie Morningside. Warkowski ma tam swój dom, bo, jak mówi, lubi kiedy go budzi świst samolotów.

Simon zaśmiał się.

– W takim razie życzę mu powodzenia ze spaniem. A ty jakie dźwięki lubisz z samego rana?

Na chwilę spoważniała.

– Nie jestem pewna. Jakie dźwięki wydaje łódź rybacka wyciągana o świcie na piasek wybrzeża?

Uśmiechnął się.

– Pewnie jakiś delikatny szmer. No i jeszcze dochodzi do tego krzyk mew. Rybacy nawołujący siebie nawzajem podczas zakładania cum i zabezpieczania łodzi.

– Właśnie takie dźwięki podobają mi się – powiedziała.

Po obiedzie Kay przyrządziła kawę od Costy i przyniosła filiżanki na mały stolik razem z dwoma obwarzankami.

– No to wracamy do pracy – stwierdziła. – Teraz ja zadaję pytania.

– Strzelaj.

– Po pierwsze, jak zaawansowana jest wersja twego szachrajskiego planu, którą ma Rolands?

– Szachrajskiego? Nigdy nie podobało mi się to słowo.

– Nazywaj to jak chcesz. Czy jest to najnowsza wersja? Simon podniósł filiżankę do ust i upił łyk kawy.

– Sprzed sześciu miesięcy. Na pewno nic nowszego. Od tamtej pory wprowadziłem kilka zmian, ale niezbyt wiele. Jeżeli uda mu się rozszyfrować materiał i poukładać procedury w odpowiednim porządku, powiedziałbym, że otrzyma sprawnie działającą wersję.

– Tak właśnie myślałam. Jakie zmiany wprowadziłeś?

– Nic znaczącego. Ze sposobu, w jaki zadajesz pytania, rozumiem, że wiesz tyle samo co on.

– Prawie. Włamałam się do jego komputera, żeby sprawdzić, co zrobił dziś rano. Nic się nie martw. Nie wie, że to zrobiłam.

– W zasadzie jedyną zmianą było powiększenie zmiennych tabel. Ale tylko dwukrotnie. Dlaczego chcesz to wiedzieć? Przecież to i tak musztarda po obiedzie. Jeżeli on wie tyle, żeby poskładać system do kupy, to wie również, jak to zatrzymać.

– Buddy'emu mówiłeś, że tego nie da się zrobić.

– Naprawdę? To było dawno. Zresztą, mówiłem prawdę. Właściwie nie da się tego zatrzymać. Jedyne problem polega na tym, że Rolands może teraz prześledzić każdy krok od samego początku. Przeprowadzenie planu obecnie przypominałoby napad na bank, o którym uprzedzasz policję, tak aby już na ciebie czekała przed drzwiami. Przypuszczam, że w dziedzinie przynoszących wielkie pieniądze projektów znowu jesteśmy na etapie tabliczki i rysika.

– Nie bądź takim pesymistą. Istnieją trzy sposoby na powstrzymanie Rolandsa. O jednym sam powinieneś być pomyśleć, a ja mam jeszcze dwa. Gotowy?

Palcami odciągnął uszy od głowy.

– Już bardziej gotowy być nie mogę! Zignorowała jego gest.

– Najpierw twoje zmienne tabele. Sądzę, że nie możesz zbudować większych ze względu na efekt powiększającego się braku stabilności na krańcach?

– Tak.

– Podobnie jak na planszy do gry w Go. Albo w szachach. Pamiętasz, kiedyś cię o to pytałam.

Wzruszył ramionami.

– Pamiętam. Domyślałem się dlaczego, ale przecież nie mogłem ci wtedy nic powiedzieć, prawda? Rzeczywiście nie stworzę więcej ze względu na te niestabilne krańce. Próbowałem już tysiąca różnych sposobów, ale zawsze potykałem się o ten sam problem, kiedy przekraczałem wielkość sześćdziesiąt na sześćdziesiąt.

– To i tak sporo więcej niż w tym, co ma Rolands. On korzysta z tej dziesięć na dziesięć.

– Zwiększenie tego do sześćdziesięciu niewiele pomaga. Trzeba osiągnąć kilkaset, żeby myśleć o przenoszeniu naprawdę wielkich liczb. Przez jakiś czas bawiłem się z ustawianiem tabel, ale radziłem sobie tylko z jedną powierzchnią.

– W takim razie posłuchaj, jaki jest mój pomysł numer jeden. – Podniosła jeden z obwarzanków i trzymała go przed sobą. – To jest krąg, *zgadza się?* Zwróć uwagę na jego powierzchnię. Jedna niekończąca się zakrzywiona płaszczyzna. Żadnych krawędzi. Sądzę więc, że powinieneś wzorować twoje zmienne tabele na obwarzankach. Fachowo nazywa się to torus.

Zlizwała odrobinę lukru z powierzchni.

– Mmm. Dobrze. Potem tak samo weź torus, aby stworzyć swój krążący plik. Odpadnie ci jeden cały etap z procedury, jeżeli uda ci się

wykorzystać to podwójnie, tak jak powiedziałam. Co więcej, geometria takiego torusa czy też obwarzanka, jest niezmiennie stabilna, więc wszelkie ograniczenia możesz wyrzucić przez okno.

Patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Genialne. Sam nigdy bym na to nie wpadł. Bardzo się starała, aby nie okazać zadowolenia.

– A powinieneś. Jak dotąd jesteśmy jeden krok przed Rolandsem, ponieważ jemu pewnie też nie przyszło to do głowy. Teraz pora na krok drugi. Szybkość zegara.

– Musisz używać zegara superkomputera. I tak jest jednym z najszybszych.

– Niezupełnie. Czy słyszałeś o zegarze interferencyjnym? Nie? Tak myślałam. W takim razie pamiętasz może ten podobny do fal efekt na jedwabiu, powstający w zależności od kąta padającego światła?

– Masz na myśli splot morowy?

– Tak – powiedziała entuzjastycznie. – Taki sam efekt otrzymasz, jeśli weźmiesz dwie siatki i będziesz przesuwiał jedną przed drugą. Linie, które w ten sposób powstaną, nazywa się „taktami”, a pojawiają się właśnie wskutek interferencji obu siatek. Liczba tych „taktów”, czyli częstotliwość występowania stanu wysokiego w określonym czasie, zależy od rozmiaru siatek oraz od tego, jak szybko przesuwasz jedną przed drugą.

– Jak dotąd prawie rozumiem – przyznał Simon, popijając kawę.

– Zamiast takich siatek – ciągnęła wyjaśnienia Kay – można użyć kół ze szprychami. Zrozumiałbyś, o co mi chodzi, gdybyś zobaczył jedno koło rowerowe kręcące się przed drugim. Różnica jest taka, że w przypadku kół, owe „takty” nie rozkładają się równo. Niektóre części niemal natychmiast zwalniają, inne zaś przyspieszają. Taki mamy rezultat.

– I?

– I trzeba użyć zegara superkomputera, żeby przeprowadził obliczenia dla dwóch kręcących się kół ze szprychami. Potem wynik z najszybszego obrotu wykorzystać do napędu innego zegara. Już sprawdzałam wyliczenie i wiem, że prędkość wzrasta najwyżej o dwieście, najmniej o sto.

– Niestabilne – zauważył Simon. – Stale się zmienia. „Wątek i osnowa” zmiennej tabeli nie miałyby stałej sekwencji do wykorzystania.

– Niezupełnie tak. Jest to stabilne jako zegar superkomputera. Poza tym, brak fazowości czyni go niewykrywalnym dla systemu operacyjnego. To jak jazda na gapię. Jeżeli złożyć to z naszym plikiem torusowym, możemy poważnie zacząć myśleć o upichceniach czegoś.

Simon poprawił się na krześle i wydał policzki.

– Kurczę. Na to mi wygląda. Ty rzeczywiście jesteś dobra w te klocki?

– Tylko wtedy gdy opieram się na tobie, Simon. Twoja część była najtrudniejsza. Ale teraz przejdźmy do problemu numer trzy. Kiedy to załatwimy, nas i Rolandsa będzie dzielił ocean. Chodzi mi o to, gdzie na sam koniec operacji zrzucasz pieniądze.

Ugryzła obwarzanek.

– Czyli koniec kręgu – uśmiechnęła się. – W ciągu tych pięciu razy kiedy udało ci się uruchomić cały system, umieszczałeś pieniądze na wcześniej przygotowane konta, *zgadza się?*

– Tak, ale to nie musi być część procedury. Można je założyć wcześniej.

– Właśnie to jest słaby punkt planu. Zbyt ryzykowne, bo wiedzą, gdzie szukać. Pozwól, że zdradzę ci mały sekret, którego nauczyłam się od waszego przyjaciela, pana da Costy. Czy wiesz, co to jest konto pomocnicze?

– Nie. I nie podoba mi się wspomnianie Costy.

– Nic się nie martw. Tylko raz widziałam, jak tego używał. Ze zwykłym kontem bankowym jest tak, że bank przyjmuje wpływy i pozwala ci wypłacać pieniądze, tak?

– Pewnie dlatego nazywamy to kontem bankowym.

– Daj sobie spokój z tymi gadkami. Takie pomocnicze konto nie musi zostać założone z wyprzedzeniem. Jeżeli wyślesz pieniądze do banku, w którym nie masz konta, takie konto zostanie utworzone w momencie przyjęcia wpływu dla przechowania pieniędzy do chwili gdy zadecydujesz, gdzie je chcesz umieścić. A zatem takie konto powstaje dla każdej ilości otrzymanych pieniędzy. Nazywają te konta „pomocniczymi”, ponieważ są oddzielone od zwykłych kont i nie można z nich pobrać pieniędzy, dopóki nie przedstawisz pełnomocnictwa jako dowodu własności. W tym momencie takie konta stają się zwykłymi. Pomocnicze konta nie cieszą się wielką popularnością, bo nie doliczają ci na nich żadnego oprocentowania, ale, z drugiej strony, są one bardzo korzystne, jeżeli chcesz wysłać dużą sumę do banku bez robienia wokół tego szumu. Dla nas najważniejszą rzeczą jest to, że owe konta nigdy nie pojawiają się w rejestrze transakcji. Proponuję więc umieścić pieniądze z krążącego pliku na takim pomocniczym koncie i odebrać je w dogodnej chwili. Rolands nie będzie wiedział, gdzie szukać, ponieważ nie będzie gdzie szukać.

– Ale czy przypadkiem nie trzeba uprzedzić banku o wpłacie?

– Nie. Przynajmniej nie w przypadku banków z oazy podatkowej,

ponieważ tam stale otwierają takie konta dla klientów.

– Tylko gdzie można wszystko załatwić? Musimy przecież mieć ogromną ilość kont. Wszystko jedno, pomocniczych czy normalnych.

Kay wstała i podeszła do kuchennego blatu.

– Czy wiesz, gdzie jest George Town? – spytała.

– Tak, oczywiście, to część Waszyngtonu rozciągająca się stąd do rzeki. Właśnie tam jest najwięcej restauracji i muzeów.

– Nie Georgetown. George Town, dwa wyrazy – uściśliła. – To stolica brytyjskich Kajmanów. Znana z żółwi i banków. Popularny cel wakacyjnych wycieczek.

– Brzmi nieźle. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ mam nadzieję, że nam się uda. – Wzięła z papierowej torby magazyn, który przyniosła razem z zakupami i wróciła do stolika. – Na Kajmanach jest sześć tysięcy zarejestrowanych banków. Wszystkie poza ścisłą kontrolą bankową. W każdym z nich wiedzą wszystko na temat pomocniczych kont. Operacje odbywają się w wielkiej dyskrecji, a tego nam właśnie trzeba.

– Mówisz poważnie? Ty naprawdę podchodzisz do tego serio?

– O tak. Ująłeś to odpowiednio. A teraz spójrz na to.

Położyła przed nim magazyn. Nie było to żadne czasopismo, tylko broszura z agencji turystycznej zatytułowana „Kajman Wielki. Wymarzone wakacje”.

Simon odchylił głowę w tył i zaczął się śmiać.

– Jesteś zabawna, Kay. Z tobą naprawdę można się uśmieć. Zawtórowała mu.

– Jeszcze nie widziałeś najlepszego – powiedziała. – Otwórz to. Simon przerzucił kilka stron. Białe plaże obramowane palmami. Błękitne niebo, windsurfing, chłopiec trzymający żółwia za jego przednie nogi. Spojrzał na Kay. Całą twarzą uśmiechała się do niego.

– Następną stronę – powiedziała.

Posłusznie odwrócił kartkę. Zobaczył mniejsze zdjęcie chłopca. Obok wydrukowano listę hoteli. Nazwa jednego z nich została podkreślona ołówkiem.

– Turtle Beach Hotel – przeczytał. – To wspaniałe centrum wakacyjne znaj – duje się w odległości kilometra od stolicy. Odwiedzający mogą korzystać z wszystkich udogodnień nowoczesnego, pięciogwiazdkowego hotelu, którego dodatkową atrakcją są apartamenty w domkach nad brzegiem morza, stojących w pobliżu słynnej plaży Turtle Beach. Lubiący poranne wstawanie mogą o świcie dołączyć do rybaków wyciągających

swe łodzie na piaszczysty brzeg po nocnych połowach.

Spojrzał na nią zdumiony.

Kay wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie w swoje.

– Zarezerwowałam nam miejsca. Na jutro. Najlepszy domek przy samym krańcu plaży. Na nazwisko Felix.

Teraz on wziął ją za ręce i delikatnie je uściśnął.

– Bez wątpienia potrafisz załatwiać wszystko naraz. Kay uwolniła dłonie i spojrzała na zegarek.

– Cholera. Już prawie pierwsza. Mamy tylko jedenaście godzin. Muszę natychmiast zacząć. Naczynia mogą poczekać.

– Chwileczkę, Kay. Nie sądzisz, że powinniśmy najpierw o tym porozmawiać? Może istnieje jakieś ryzyko, o którym nie pomyślałaś.

Usiadła.

– Porozmawiać? Przecież nic innego nie robiliśmy przez cały dzień. Owszem, może istnieć jakieś ryzyko, którego nie przewidziałam, ale albo zrobimy to dziś, albo wcale. Już nigdy nie będziemy mieć nad nimi takiej przewagi.

– Powoli, spokojnie – powiedział Simon. – Może ty nie masz pojęcia, jakie problemy nam jeszcze pozostały, ale ja wiem. Jeżeli sobie z nimi nie poradzimy, to jesteśmy ugotowani.

Kay spojrzała znowu na zegarek.

– Dobra, tylko streszczaj się.

– W porządku. – Wyprostował kciuk i dwa palce lewej ręki, przygotowując się do wyliczania.

– Po pierwsze. Kody bankowe. Tylko Buddy je miał, a jego już z nami nie ma. Po drugie. Słynny palec boży. Skoro Bell i Buddy nie żyją, Warkowski łatwo się domyśli, kto teraz wyciąga rękę po cudze. I po trzecie. Zła wiadomość, nie mam pojęcia, jak zbudować zmienną tabelę w kształcie obwarzanka. A nawet gdybym to potrafił, moja znajomość Teorii Wielkich Liczb nie wystarcza. Raz, dwa, trzy, wypadamy z gry.

Kay oparła się o ścianę i splotła dłonie.

– Czy to już wszystko?

– Zawsze jestem ostrożny, kiedy to robisz.

– Co?

– Nieważne.

– Pytałam, czy to już wszystko?

– Masz na myśli te trzy rzeczy? Tak.

– Dobrze. W takim razie słuchaj – zaczęła. – Po pierwsze, sama mogę zdobyć bankowe kody. Wystarczy dostać się na czwarty poziom. Nie ma

problemu. Po drugie. Pewnie i tak będą nas szukali, ale przynajmniej, moim sposobem, znacznie ich wyprzedzimy i może nawet zdążymy zatrzeć po sobie ślady. A po trzecie. Nie martw się zmiennymi tabelami. To już załatwione. Sama potrafię je stworzyć. Wszystko mam w książce.

– Nie pamiętam żadnej książki.

– Owszem, pamiętasz. – Podeszła do biurka i wzięła z niego książkę, którą kupiła u Harveya poprzedniego dnia. – *Zastosowanie Teorii Wielkich Liczb w komputerowej wersji Go*. Nie jest idealna, ale wystarczy.

Usiadła przy stole i spojrzała na niego wyczekująco.

– Czy coś jeszcze, panie pesymisto?

Przycisnął dłonie do twarzy i przesunął nimi aż do czubka głowy. Splótł palce.

– Cholera, Kay. Sam nie wiem. Mam wrażenie, że przez ten tydzień przeszedłem przez wielkie pole minowe, a teraz ty wyskakujesz z kolejną bombą.

Skąd mam wiedzieć, czy to dobre rozwiązanie? Czuję tylko, że to nie ma sensu. Żadnego.

Pochyliła się ku niemu.

– Spójrz na mnie – powiedziała. Rozplótł palce i wyprostował się. Kay objęła dłońmi jego twarz.

– Owszem – zaczęła – możemy zacząć wszystko od początku i dojść do wniosku, że nie warto w to wchodzić. Możemy gadać sobie, aż przyjdzie nasz czas pożegnania. Możemy nawet rozejść się do domów i już nigdy więcej się nie spotkać. Nie mam pojęcia, czy przez to zyskamy na czasie. I tak po nas przyjdą. Jutro? Za tydzień? Oboje jednak wiemy, że to jeszcze nie koniec. Istnieje szansa, że mamy przed sobą znacznie więcej czasu. Już raz pozwoliłam ci odejść, wysliznąć się z moich rąk, ale nie zamierzam drugi raz popełnić tego samego błędu. Przecież to ja, Kay. Nie jakaś obca osoba, którą kiedyś prawie udało ci się poznać. Chcę mieć cię przy sobie. Potrzebuję cię. To jest dla nas dwojga przystanek pod tytułem „Rzeczywistość”. Zrób to dla mnie, a będę twoja na zawsze. Obiecuję.

Usiadła prosto.

– To tyle – powiedziała. – Skończyłam.

Simon spojrzał na leżącą przed nim broszurę i przewrócił jeszcze kilka stron. Białe plaże. Zielono-czerwony parasol nad stołem. Kolejna fotografia małego chłopca, tym razem z dwoma gigantycznymi homarami.

– Jutro? Za tydzień? – powtórzył jej słowa. – To i tak znacznie więcej niż mają inni, prawda?

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Tak. Odpowiedź brzmi: tak. Zadowolona?
– Nie pożałujesz tego. Obiecuję ci. Popatrzył na zdjęcia plaż.
– Dwie butle olejku do opalania? Musiałś być bardzo pewna tego, że się zgodzę.

Wstała i uśmiechnęła się.

– Może. Teraz chciałabym, żebyś zrobił dla mnie swoją samolotową sztuczkę.

– Którą? Cztery szklanki ginu w dziesięć minut? To moja ulubiona.

– Nie, inną. Tę z biletami. – Wróciła do biurka i włączyła komputer. – Wiem już, że umiesz zmieniać, ale czy potrafisz oszukać system, żeby uznał, iż byłeś w samolocie, do którego wcale nie wsiadłeś?

– Chyba tak.

– Dobrze. A czy możesz naprawdę polecieć jakimś rejssem i sprawić, że nie będziesz figurował na liście pasażerów?

– Zasada jest taka sama.

– Wspaniale. W takim razie zarezerwuj mi lot do Los Angeles, a nie na Kajmany, podczas gdy oczywiście będzie odwrotnie. Wiesz, o co mi chodzi?

Simon przeszedł przez pokój i usiadł przed komputerem. W przeciągu trzydziestu sekund dostał się do Galileo, międzynarodowego systemu rezerwacji lotniczej.

Roześmiała się.

– Szybki jesteś. Pewnie nie wiedzą, że to potrafisz.

– Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu. Zajmijmy się twoim rozkładem. Kiedy chcesz lecieć? Czy też nie lecieć, jak sama mówisz?

Powtórzyła mu wszystko od początku, a Simon zaczął wprowadzać odpowiednie sekwencje.

– Ale co z twoim paszportem? – spytał nagle. – Nawet jeżeli oszukam Galileo, to i tak pozostanie ci jeszcze kontrola paszportowa na lotnisku.

– Komputery rządowe mnie zostaw. Sama sobie z nimi poradzę. Ty skup się tylko na swoim zadaniu specjalnym.

Stała za nim, położyła mu dłonie na ramionach i lekko je zacisnęła.

– Jeżeli udało mi się dojrzeć, co jest dalej, to tylko dlatego, że stałem na barkach gigantów. Wiesz, kto to powiedział?

– Tak. Newton. Jednym z tych gigantów był pewien mąż, od którego imienia pochodzi nazwa tego systemu, Galileusz.

– Zgadza się. Cieszę się, że o tym wiesz. Oni dwaj zawsze byli moimi bohaterami.

Simon skończył zamienianie lotów.

– Twoje załatwione. Teraz moje.

– Nie. Potwierdź swoją rezerwację na lot do Londynu dziś po południu. Zostaw tam swój „cień”, a sam polec do Nowego Jorku o piątej i stamtąd o ósmej do George Town.

Na chwilę oderwał palce od klawiatury.

– Ale to już dziś. Przecież nie mogę lecieć przed północą.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ muszę zostać tu, żeby przeprowadzić cały plan. Przecież samo się nie zrobi.

– Wcale nie musisz tu zostawać. Ja mogę to zrobić. Ty czekaj na mnie na plaży. Zamów nam stolik na obiad.

– Ale sama nie możesz uruchomić systemu. Potrzebne są dwie osoby. Pochyliła się nad nim i przesunęła dłonią po jego piersi.

– Nie. Niepotrzebne. Dobrze wiesz. Sama potrafię zdobyć kody, no i jestem już dużą dziewczynką.

– To zbyt niebezpieczne. Pozwól mi się tym zająć. Ty możesz lecieć.

– Nie. Tym razem moja kolej. I nie dzwoń do mnie.

– A co zrobisz, jeżeli twój krążący plik się załamie? Czy wiesz, jak wyjść z systemu?

– Nie. Nie załamie się.

– A jeżeli zablokuje ci się dostęp do ukrytego pliku, czy wiesz, co powinnaś wtedy zrobić?

– Nie mam pojęcia. Wymyślę coś.

– W dwie sekundy? Nie wierzę. Musisz przyznać, lepiej żebym ja to zrobił. Możesz pomagać, jeśli chcesz, ale to ja muszę wprowadzić właściwe sekwencje.

– Nie. Zdobędę szczegółowe kody, stworzę torus oraz zegar interferencyjny. Ty nie masz o tym pojęcia. Znasz tylko to, o czym ja też już wiem. Przegrywasz zawody.

Nie odpowiedział.

– Poza tym – dodała Kay, wyprostowując się – jest jeszcze jedno wielkie „a co jeżeli”, o którym żadne z nas dotąd nie wspomniało. – Delikatnie przycisnęła palce do jego szyi.

– Gotowy? – spytała. – Co się stanie, jeżeli Rolands wyciągnie z rękawa swego asa?

– Jakiego asa?

– Największego. No dalej. Masz tylko dwie sekundy.

– Jakiego asa?

– Czas się skończył – powiedziała i na moment zacisnęła dłonie wokół

szyi Simona.

Wróciła do małego stolika przy oknie i dolała sobie kawy.

– Gdybym była Rolandsem i myślała, że ktoś zabawia się z komputerami Forexu, po prostu wyciągnęłabym wtyczkę. Odciełabym wszystko.

– Przecież on nie może tego zrobić – sprzeciwił się Simon. – Spowodowałby krach całej sieci banków. Wszystko stanęłoby na wiele godzin. Nigdy do tego nie dopuści.

– Już zapomniałeś, co się zdarzyło dziś rano? – powiedziała przyglądając mu się znad filiżanki kawy. – Warkowski. Nasz wspaniały Janisław. On robi dokładnie to, co będzie chciał. Jeżeli postanowi zatrzymać cały międzynarodowy system banków, nie zawaha się.

– Jeżeli rzeczywiście tak zrobią, to leżymy. Zupełnie. Razem z wszystkimi, którzy akurat używali systemu. Wszystkie dane zostałyby skasowane. Totalny chaos.

– W takim razie pozostaje nam nadzieja, że nic takiego się nie zdarzy. To jedyny przypadek, w którym nie możemy poradzić absolutnie nic, więc proponuję, aby się tym nie przejmować.

Wzięła filiżankę i podeszła do Simona.

– Skończ z tym Galileo, zanim uznają, że umarłeś. Wyjdź z systemu, a potem jedź się pakować. Zobaczymy się jutro w porze obiadowej. Homary. Mmm. Moje ulubione danie.

Simon znowu zaczął stukać w klawisze. Kiedy skończył, wstał i odwrócił się ku niej.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Wzruszyła ramionami.

– Zegar tyka.

Objął dłońmi jej twarz i pocałował ją. Potem odsunął się nieznacznie.

– Powodzenia, Wielkooka.

Po jego wyjściu Kay nie od razu zabrała się do pracy. Podeszła do okna i wychyliła się na zewnątrz. Widziała, jak Simon wychodzi z budynku i rozgląda się za taksówką.

– Och, Simonie – powiedziała sama do siebie. – Jesteś miłym facetem, ale za bardzo wierzysz w to, co mówią ci inni. Powiedziałeś „tak”, ale zapomniałeś o jedynej „przeszkodzie”.

Wróciła do komputera i połączyła się z superkomputerem Departamentu Stanu. Pięć kodów dostępu. Potem przeszła do plików personelu i znalazła to, czego szukała. Powiększyła fotografię znajdującą się na górze dokumentu i wysłała ją do drukowania. Dziesięć sekund później drukarka zabuczała i zaczęła pracować. Tylko jedna kartka. Kay

podniosła ją i odwróciła zadrukowaną stroną do góry. Maddie Booker.

– Witaj problemie – powiedziała na głos.

Złożyła zdjęcie na pół, podeszła do kuchennego blatu, na którym stała jej torebka, i włożyła do niej papier.

Po chwili już znowu siedziała przy klawiaturze. Spojrzała na zegar ścienny. Kwadrans po pierwszej. Prawie jednaście godzin. Wiedziała, że zdąży, jeżeli będzie pracować szybko.

Simon wziął klucz z recepcji hotelu i windą pojechał na swoje piętro. Już w drodze na górę zastanawiał się, co powie Nancy Lessing. Musiał do niej zadzwonić.

Z zaskoczeniem stwierdził, że drzwi do jego pokoju były uchylone. Zaalarmowany tym, powoli pchnął je, aby otworzyły się zupełnie, i dopiero potem wszedł do środka. Na łóżku siedziała Maddie.

– Witaj, Simon.

– Jak się tu dostałaś? Nie. Zresztą nie odpowiadaj mi. Po prostu wyjdź.

– Proszę.

– Idź, przecież powiedziałem. Idź. Nie chcę nawet z tobą rozmawiać. Idź. Wstała i podeszła do okna oddalając się od drzwi. Zapaliła papierosa i dopiero wtedy odwróciła się do Simona.

– Posłuchałeś Kay. Nie możesz jej ufać. Nie jedź z nią.

– Nigdzie z nikim nie jadę i na pewno nie zamierzam słuchać nikogo stąd. Po prostu wracam do domu. Muszę zająć się pogrzebem, chyba jeszcze nie zapomniałaś. Teraz chciałbym się spakować, więc, proszę, wyjdź.

– Jest sprytna. Temu nie da się zaprzeczyć. Za sprytna dla ciebie. Dobrze wiem, jaka jest.

– A to niespodzianka! Więc jednak ją znasz. To już znacznie więcej niż poprzednie: „Czy to nie ta kobieta, która pracuje z tobą i Buddym?”. Zgodzisz się?

– To było przedtem. Co według ciebie miałam powiedzieć?

– Przedtem? Przed czym? Zanim zginął Bell? Przed włamaniem? Zanim zastrzelili twojego brata?

– Nie. Zanim mi dałeś to. – Dłonią dotknęła broszki w kształcie ważki, przypiętej do klapy żakietu. – Zanim pojechaliśmy do Byron's Pool.

Nie odpowiedział. Otworzył szafę, wyjął z niej walizkę i położył ją na łóżku. Zaczął wkładać do niej rzeczy. Maddie usiadła w fotelu.

– Oni nie wiedzą, że miałeś z tym coś wspólnego. Nic im nie powiedziałam. Jesteś czysty.

Wstała i zgasiła papierosa w popielniczce. Potem znowu usiadła i wyjęła kolejnego.

– Nie mam pojęcia, co ona knuje, ale wiem, że chce cię oszukać – podjęła przerwany wątek. – Jeżeli pozwolisz jej na cokolwiek, stracisz wszystko. Skończy z tobą, zanim się obejrzysz. Wierz mi.

Włożył do walizki koszulę.

– Mam ci wierzyć? Niby dlaczego mam to zrobić? Nie przypominam sobie, abyś kiedykolwiek powiedziała mi prawdę.

– To o Columbus było prawdą. Chciałabym, żebyś tam pojechał ze mną. Ty i ja.

– Ach tak, Columbus. Czy nie stamtąd dzwoniłaś do mnie o pierwszej dziś w nocy? Brzydzę się tobą, Maddie Booker.

– Chciałam cię przeprosić, Simon. Czy nawet na to jest już za późno?

– Owszem. Za późno.

– Chciałam się z tobą zobaczyć. Pożegnać. Później przynajmniej będę mogła myśleć, że próbowałam cię ostrzec.

– Dziękuję ci. Zachowam ostrożność. Zwłaszcza przy przechodzeniu przez jezdnię w moim mieście. I nad rzekami. Odtąd już zawsze będę bardzo uważał.

Wstała.

– Pójdę już. Obiecuj mi tylko, że nie spróbujesz uruchomić swego systemu.

– Projektu. Nie systemu. Po prostu i zwyczajnie. Ruszyła w kierunku drzwi.

– Projekt nie jest właściwym określeniem, dobrze o tym wiesz. To coś znacznie większego. Nie mam pojęcia, ile czasu zabrało ci stworzenie tego. Przypuszczam, że wiele lat. Powinieneś więc nadać temu właściwą nazwę. Oddającą to, czym naprawdę jest twoje dzieło. Czasem, kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że tworzysz... tkasz marzenia. Powinieneś nazwać to Materią.

Przed wyjściem odwróciła się jeszcze.

– Żegnaj. Dziękuję ci mimo wszystko.

Simon skończył pakowanie i spojrzał na telefon. Musiał jeszcze zadzwonić do kilku osób.

Generał Warkowski i major Bradley czekali w biurze Rolandsa dziesięć minut przed północą.

Biuro znajdowało się w Departamencie Stanu cztery piętra poniżej poziomu ulicy, więc nie miało żadnych okien. W miejscach, gdzie mogłyby się one znajdować, Rolands powiesił plakaty towarzystw podróży, aby trochę ożywić ponurość pokoju. Na jednym z nich było zdjęcie ośnieżonego szczytu i lesistej doliny. Na drugim widniała fotografia San Francisco i mostu Golden Gate, zrobione szerokokątnym obiektywem, ma trzecim była tropikalna plaża z małym chłopcem trzymającym w górze wielkiego żółwia.

Nad biurkiem wisiały trzy portrety. Steve'a Jobsa, Steve'a Wozniaka

i Billa Gatesa. Zdjęcie Billa Gatesa powieszono do góry nogami.

Warkowski wskazał je palcem.

– Dlaczego ta fotografia wisi odwrotnie?

– Nie wiem, generale. Może pułkownik Rolands nie zauważył.

Warkowski spojrzał na Bradleya z pogardą.

Rolands wpadł do biura.

– Gdzie pan był, pułkowniku? Jest za dziewięć dwunasta – warknął Warkowski.

– Musiałem pójść na stronę, sir – powiedział Rolands, siadając przy biurku przed pięcioma dużymi monitorami.

– Czekamy na pokaz – stwierdził Warkowski. Rolands poprawił okulary na nosie i zaczął wyjaśnienia.

– Dwa zewnętrzne monitory pokazują rejestr transakcji ze wszystkich komputerów Forexu połączonych z ośmioma satelitami.

Warkowski pochylił się ku jednemu z ekranów, na którym widniała sieć komórek z wpisanymi numerami. Liczby stale się zmieniały, cały monitor zdawał się więc nieustannie mrugać.

– Środkowy ekran – kontynuował Rolands – pokazuje pobór mocy każdego z satelitów z ich paneli słonecznych.

Warkowski i Bradley przyjrzeni się wskazanemu monitorowi. Widniało na nim osiem zielonych kolumn przypominających słupki termometrów. Górna część każdej kolumny stale podnosiła się albo nieznacznie opadała.

– Jeżeli pobór mocy przekroczy stan przewidziany dla transakcji oficjalnych użytkowników, linie zielonych kolumn wejdą w czerwone pole. Wysokość czerwonych słupków wskaże wielkość nielegalnych transakcji oraz moc, jaką pobiera plik krążący.

Rolands wskazał znowu na jeden z zewnętrznych monitorów.

– Jak tylko to nastąpi, zauważymy aktywność w dolnej części ekranu transakcji. Tutaj. – Palcem przesunął wzdłuż dolnej krawędzi monitora. – Niebieskie cyfry zapisują wartość nielegalnej operacji w dolarach, aż do chwili gdy odetniemy dopływ energii do satelitów.

– Czy odłączenie nastąpi automatycznie, czy też będzie pan musiał sam to zrobić?

Rolands uśmiechnął się do generała. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Automatycznie, sir. Cieszę się, że zdołałem rozpracować roboczą wersję oprogramowania Gorowa na czas. Nie jest jeszcze doskonała, ale jutro ją poprawimy. I tak jest już ośmiokrotnie szybsza niż system manualny.

Warkowski ponownie spojrzął na ekrany. Nigdy nie lubił tabel ani kolumn liczb.

– Wszystko to wygląda bardzo kolorowo, pułkowniku, ale czy to na pewno działa?

– Tak sądzę, sir.

– A wczoraj działało?

– Wczoraj jeszcze tego nie zainstalowaliśmy przed północą na Wall Street, ale wiemy, że w systemie nie doszło do żadnych nielegalnych transakcji.

– Skąd więc pewność, że zadziała dziś, jeżeli zajdzie taka potrzeba?

– Przetestowaliśmy wszystko, sir. Wcześniej tego wieczoru przeprowadziliśmy cztery próby. Za każdym razem działało.

– Ale chyba nie odcinaliście dopływu mocy do systemu satelitów?

– Oczywiście że nie, sir.

– W takim razie nie były to prawdziwe testy. Tylko symulacje. Nie wie pan, czy system działa właściwie.

– Działa, sir.

– A co pan o tym sądzi, Bradley?

– Bardzo imponujące, sir. Wierzę, że pułkownik Rolands nie myli się. Warkowski wstał i zaczął krążyć po pokoju. W końcu przystanął przed plakatem przedstawiającym ośnieżony szczyt.

– To Alaska? – spytał.

– Nie, sir. Austria.

– Przecież Alaska nie jest gorsza, pułkowniku. Alaska to Ameryka.

– Tak, sir.

Generał odwrócił się w stronę biurka i wskazał środkowy ekran.

– Wczoraj mówił pan, że stworzenie komputerowego programu przerywającego pracę satelity zajmie panu dwa dni. Czy oznacza to, że już dziś jest pan przygotowany, aby powstrzymać operację Lessinga?

– Niecałkiem, sir. Dotychczas zdołaliśmy opracować działającą, ale nie najszybszą wersję. Do jutra opracujemy w pełni sprawny system, a oprogramowanie uwzględniające mechanizmy zabezpieczające przed błędem będzie miało pod kontrolą każdego satelitę. Dziś mamy tylko manualne wspomaganie.

– To znaczy?

– Mnie, sir.

Zanim generał zdążył skomentować, Rolands szybko zaczął tłumaczyć.

– Ale na pewno okaże się to zbędne, sir. Tak jak pan mówił, doktora Lessinga nie ma już wśród nas, a zatem sprawdzamy wszystko tylko na

wypadek, gdyby udostępnił program komu innemu.

– Chce pan powiedzieć, że to strata pieniędzy, Rolands?

– Absolutnie nie, sir. Wcześniej czy później ktoś wpadłby na podobny pomysł. W ten sposób będziemy już na to przygotowani. Wyprzedzimy ich, sir.

Generał znowu zaczął krążyć po pokoju.

– Ot, wartość planowania, majorze. Planowania na przyszłość. Rolands odwrócił się w stronę monitorów.

– Za minutę północ, sir. Może pan i major Bradley zechcecie usiąść. Bradley przysunął sobie krzesło, a Warkowski stanął z tyłu, za nimi.

– Jeżeli cokolwiek ma się dziś wydarzyć, nastąpi to w ciągu ostatnich trzydziestu sekund przed północą.

Minutę przed dwunastą wszystkie ekrany rejestrujące transakcje przestały mrugać, ponieważ liczby, jedna za drugą, przestały się zmieniać.

– Skarbonki, sir. Waluty są zabezpieczone.

Kiedy tabele na czterech monitorach znieruchomiały, zielone słupki na środkowym ekranie również przestały się ruszać.

– Pobór mocy w normie.

Dwadzieścia sekund przed północą Rolands oparł się wygodniej i zaczął się rozluźniać.

– Wszędzie spokój, sir. Żadnego dodatkowego poboru mocy. Dziś mamy spokój.

W chwili gdy wypowiadał te słowa, na szczycie zielonych kolumn pojawiła się cienka, czerwona kreska, która zaczęła gwałtownie rosnąć.

– Cholera! Jest! Idzie w górę! Wali jak diabli! – wykrzyknął Rolands. W przeciągu dwóch sekund osiem czerwonych słupków dotarło do górnej krawędzi ekranu.

– Jezu, ale jest szybki!

Nagle wszystko ze środkowego monitora zniknęło. Rolands sprawdził sąsiedni ekran z rejestrem transakcji. Sieć liczb zaczęła się *przerzedzać*, w całej tabeli było coraz więcej pustych miejsc. W końcu główna część została skasowana i tylko rząd niebieskich cyfr wciąż migotał u dołu ekranu.

Pięć sekund po północy zielone kolumny znowu pojawiły się na środkowym monitorze, a sieć rejestru transakcji wypełniła się mrugającymi liczbami.

Generał Warkowski wyprostował się.

– No, pułkowniku? Ile tego było?

Rolands przesunął palcem po dolnej krawędzi wszystkich czterech

ekranów transakcji.

– Działał bardzo szybko, sir. Nie rozumiem, jakim sposobem mógł operować w tak błyskawicznym tempie.

– Pytałem ile, pułkownika. Rolands sprawdził jeszcze raz.

– Pięćdziesiąt milionów dolarów. Ale on nic z tego nie ma. Odcięcie mocy go wyeliminowało. Ktokolwiek to był, nie wziął z tego ani centa.

Warkowski uśmiechnął się.

– Może pan dzwonić do swojej matki, Bradley, i powiedzieć jej, że wystąpi pan w porannych wiadomościach.

Kay siedziała w swoim fotelu, patrząc na jeden z ekranów z rejestracji transakcji, takich jak te w Departamencie Stanu.

Rolands zareagował szybko. O wiele szybciej, niż się tego spodziewała.

Zabrakło mu jednak dwóch sekund. W przeciągu tych dwóch sekund zdołała zbudować krążący plik, otworzyć i zamknąć dziesięć tysięcy transakcji i wysłać pieniądze na dwa tysiące kont pomocniczych. Zarobiła pięćdziesiąt milionów dolarów w mniej niż dwie sekundy.

Wyłączyła komputer, wzięła kubek po kawie, podeszła do zlewu i postawiła go obok innych brudnych naczyń.

Potem jeszcze na chwilę stanęła przed oknami, spojrzała na gwiazdziste niebo, po czym zaciągnęła zasłony.

Wróciła do kuchni. Chwilę się wahała, zanim podniosła słuchawkę telefonu. Wybrała numer.

Po chwili usłyszała czyjś głos.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Czy mogłabym rozmawiać z panem da Costą? To bardzo pilne. Dziękuję.

Kiedy Kay weszła do pokoju hotelowego, San Antonio da Costa siedział przy stoliku o szklanym blacie. Na jej widok wstał i wyciągnął dłoń.

– Pani Nocta, co za wspaniała niespodzianka.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną zobaczyć o tak późnej porze. Mam nadzieję, że w niczym panu nie przeszkodziłam.

Gestem wskazał jej fotel.

– Zobaczyć tak piękną kobietę to przyjemność, a nie konieczność. Może napije się pani kawy? Albo czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję.

Usiadła naprzeciwko niego. Dłonie położyła na kolanach.

– Czy przyszła pani w sprawie pana Marlina? Taka straszna strata. Bardzo pani współczuję. Był także moim przyjacielem od wielu lat, moim i Raola.

– Nie. Nie chodzi mi o niego, ale dziękuję.

– Co w takim razie panią sprowadza? Chyba nie przyszła pani tak po prostu mnie odwiedzić?

Otworzyła torbę.

– Przyszłam do pana z prośbą. Chciałabym, żeby pan coś dla mnie zrobił.

– Przysługa? Dla przyjaciółki pana Marlina zrobię wszystko. Proszę się nie wahać. Słucham.

Wyjęła złożoną na pół fotografię z torby.

– To właściwie nie jest przysługa, tylko interes. Coś, o co jeszcze nigdy dotąd pana nie prosiliśmy.

Rozłożyła zdjęcie Maddie i położyła je na stoliku.

– Czy wie pan, kto to jest? – spytała. Da Costa zawahał się.

– Jako człowiek, który prowadzi interesy w Waszyngtonie muszę wiedzieć wiele rzeczy. Być może widziałem już gdzieś tę osobę.

Podniósł kartkę i podał ją Raolowi. Raol skinął głową.

Da Costa delikatnie odłożył fotografię i spojrzał na Kay z wyczekiwaniem.

Kay spuściła wzrok.

– Proszę – powiedziała – czy wie pan, gdzie ona teraz jest? Gdzie zatrzymała się dziś wieczorem?

Da Costa odchylił się do tyłu i położył ręce na kolanach. Raol pochylił się ku niemu i przez moment coś szeptał mu do ucha. Po chwili da Costa znowu się wyprostował i skinął twierdząco głową.

– Tak. Czy próbuje pani ją odnaleźć? Jest teraz w domu swego brata. Czy o to właśnie pani chodziło?

– Nie. Wiem, gdzie teraz jest. Da Costa podniósł obie dłonie.

– W takim razie czego pani potrzebuje? Co jeszcze chce pani wiedzieć? Kay pochyliła się nad stołem i przesunęła zdjęcie w jego stronę.

– Panie da Costa. Ta kobieta, to jest pana zadanie.

Odsunął się nieznacznie, przechylił głowę na bok i zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem – powiedział.

– A ja myślę, że pan rozumie. I wiem, że może pan to zrobić. Czy mam wyrażać się jaśniej? Ta kobieta dokonała rzeczy strasznych. Chciałabym, żeby ją pan usunął. Całkowicie.

Rozłożył ręce.

– Oszalała pani! Doskonale wiem, kim jest ta osoba i czym się zajmuje. Czy chce się pani zemścić za to, co stało się z przyjacielem Simona? W takim razie niech pani sama to z nią załatwi. Z nią, nie ze mną. San

Antonio da Costa nie mści się za innych. Jestem biznesmenem.

– Nie, panie da Costa. Nie chodzi mi o zemstę. To interes tak dla pana, jak i dla mnie. Zwykły interes.

– Pani to nazywa zwykłym interesem? Ja jestem tylko biznesmenem. Nikim więcej.

Wzięła głęboki oddech.

– Przyszłam tutaj, ponieważ wiem, że może pan to zrobić – zaczęła powoli. – W pańskim świecie takie rzeczy nie są niczym niezwykłym. Pracuję w Waszyngtonie wystarczająco długo, żeby o tym wiedzieć. Teraz bardzo pana proszę, chciałabym wiedzieć, ile to będzie kosztowało. Mogę zapłacić.

Da Costa nie odezwał się.

– Mogę zapłacić – powtórzyła Kay. – Czy milion dolarów wystarczy? Wszystko jedno w jakiej walucie. Z każdego banku. Czyste pieniądze.

Da Costa wzruszył ramionami i spojrzał na Raola.

– Dobrze – powiedziała. – Dwa miliony. Na więcej się nie zgodzę. Pochylił się ku niej.

– Pani i ja, pani Nocta, a może powinienem mówić: pani major Nocta? Jeszcze nie robiliśmy ze sobą interesów. Nie znam pani. Wiem o pani tylko od Simona i Buddy'ego. W zeszłym tygodniu widzieliśmy się po raz pierwszy i tamto nasze spotkanie trudno nazwać wyjątkowo udanym. A teraz prosi mnie pani o coś takiego. Trudno mi w to uwierzyć. Sądzę, że chce pani zastawić na nas pułapkę.

– Nie zastawiam żadnej pułapki. Ma pan moje słowo.

– Słowo Amerykanki? Już kiedyś rozmawialiśmy na ten temat.

– W takim razie ma pan również słowo Simona. Jestem tu także w jego imieniu.

– Simoon? Jeżeli tak, to on sam może ze mną porozmawiać.

– Nie. Dlatego wysłał mnie. Proszę mi powiedzieć, ile.

Da Costa ponownie wzruszył ramionami i położył dłonie na kolanach.

– Cztery – powiedział.

– Dwa i pół.

– Trzy.

– Dobrze.

Gospodarz podniósł kartkę i uważnie przyjrzał się kobiecie ze zdjęcia.

– Nigdy nie zrozumiem Amerykanów – stwierdził. – Niełatwo ich zrozumieć.

Kay wstała. Nagle poczuła mdłości z powodu tego, co właśnie zrobiła.

– Chcę, żeby to się stało dzisiaj – zaznaczyła. – Pieniądze już zostały

przelane na konto pomocnicze. Wyślę panu upoważnienie. Sama zadzwonię, aby upewnić się, że dotrzymał pan swojej części umowy. Wtedy ja wypełnię swoją.

– Bardzo dobrze, pani major. Interes to interes. Z niecierpliwością będę czekał na naszą dalszą współpracę. Czy zajmie pani miejsce pułkownika Marlina? Może pani awansuje?

Ruszyła w stronę drzwi i odwróciła się, zanim chwyciła za klamkę.

– Jutro sam pan zrozumie, dlaczego pana o to prosiłam. Jako biznesmen na pewno pan zrozumie. Dziękuję panu.

Po jej wyjściu da Costa podał zdjęcie Raolowi.

– Dziś wieczorem, Raol. Pani powiedziała, że mamy to załatwić dziś wieczorem.

– Tak. Dziś.

Kay o mało nie zemdlała, zjeżdżając windą do parkingu w podziemiach. Musiała mocno chwycić się barierki, żeby jakoś zebrać się w sobie.

Samochód zostawiła w pobliżu drzwi do wind. Kiedy była już na dole, poczuła kolejną falę mdłości. Pochyliła się, kładąc jedną rękę na dachu wozu, i zwymiotowała na beton. Potem otworzyła drzwiczki i wśliznęła się za kierownicę. Wieczór nie był chłodny, ale ona drżała tak bardzo, że z trudem zdołała umieścić kluczyk w stacyjce.

Następnego dnia o dziewiątej rano Simon siedział w szortach przed telewizorem w domku na plaży, czekając na poranne wiadomości. Okna i drzwi były szeroko otwarte. Ciepły wiatr poruszał zasłonami, przynosząc ze sobą zapach morza.

Simon akurat jadł świeżego ananasa, kiedy skończyły się reklamy i na ekranie pojawiła się dziennikarka siedząca na tle wielkiego zdjęcia Białego Domu.

„Wiadomości z Waszyngtonu. Mówi Helen Greenhowe. Na rynku walutowym zapanował chaos po awarii satelitów komunikacyjnych, która wydarzyła się wczorajszej nocy. Do przerwania łączności satelitarnej doszło tuż przed zamknięciem dnia transakcji na Wall Street, o północy czasu Wschodniego Wybrzeża. Wciąż napływają do nas szczegółowe informacje na temat awarii, wiadomo już, że kurs dolara, marki niemieckiej i jena spadły o dwie dziesiąte procenta w stosunku do koszyka dziewięciu walut drugorzędnych, takich jak południowoafrykański rial i dolar australijski. Oddaję głos Frederickowi Stokesowi, naszemu reporterowi znajdującemu się w głównej siedzibie Banku Federalnego w Waszyngtonie, który podzieli się z państwem najnowszymi wiadomościami na ten temat”.

Obraz zmienił się. Młody dziennikarz stał na tle szerokich schodów. „Dziękuję, Helen. Dowiedzieliśmy się, że doszło do odcięcia zasilania systemu satelity wczoraj, tuż przed północą, zanim jeszcze konta zostały uzgodnione. Przerwa w dopływie energii skończyła się dopiero po zamknięciu giełdy o północy, gdy ustalały się ceny walut na kolejną sesję. Do odcięcia zasilania doszło akurat w najgorszym momencie, ponieważ nowe kursy wymiany nie mogły zostać określone i przez pierwszą godzinę działania giełdy w dniu dzisiejszym, dealerzy właściwie poruszali się na ślepo. Nie byli pewni, czy mają stosować ceny z końca poprzedniego dnia czy też oczekiwać krachu wywołanego przerwą w dopływie mocy. Kilka minut temu rozmawiałem z Hermanem Bradleyem, reprezentującym wicedyrektora Banku Federalnego, i oto co nam powiedział”...

Na ekranie pojawił się Bradley stojący na tle szarej ściany.

„Potwierdzam informację, że osiem satelitów używanych w transferach międzybankowych przestało działać na krótką chwilę wskutek awarii w pozasystemowym źródle zasilania w wyniku czego doszło do przerwania przeprowadzanych w tamtej chwili transakcji bankowych”.

„Panie Bradley”, przerwał reporter, „na Wall Street już mówi się o tym,

że ktoś nielegalnie korzystał z komputerów giełdowych i zasilanie zostało przerwane celowo, aby zmniejszyć straty giełdy dewizowej oraz banków”.

„Absolutnie nie”, odparł Bradley, tak jakby przeciwiczył wcześniej taką właśnie odpowiedź. „System jest całkowicie bezpieczny. Nikt nie mógłby dostać się do systemu operacyjnego, do którego dostęp mają tylko posiadający odpowiednie upoważnienie operatorzy Forexu. Tylko oni znają sekwencje kodowe umożliwiające rozpoczęcie transakcji za pośrednictwem komputera”.

„Dziękuję za to wyjaśnienie”, powiedział reporter, „ale czy mógłby pan jeszcze w przybliżeniu określić poniesione straty i zapewnić naszych widzów, że Bank Federalny, który jest właścicielem satelitów, bierze na siebie odpowiedzialność za owe straty?”.

„Dalsze szczegóły na ten temat podamy po spotkaniu z dyrektorami banków, dziś o dziesiątej rano. Wówczas to przedstawimy mediom pełne oświadczenie. Teraz mogę jedynie powiedzieć, że byliśmy ubezpieczeni nawet przed tak nieprawdopodobnym scenariuszem, jakiego byliśmy świadkami zeszłej nocy. Straty wynikłe z unieważnienia transakcji wskutek awarii dopływu mocy zostaną pokryte”.

Obraz dziennikarki siedzącej na tle zdjęcia Białego Domu powrócił na ekran telewizora. „Mówił Herman Bradley z Banku Federalnego. Będziemy na bieżąco informować o szczegółach tej sprawy, około dziesiątej trzydzieści nadamy także relację na żywo z konferencji prasowej. Teraz przedstawimy pozostałe wiadomości”.

Simon wyłączył telewizor. Pilota położył obok telefonu na stoliku przy kanapie. Podniósł słuchawkę, żeby sprawdzić, czy aparat działa. Przez chwilę słuchał ciągłego sygnału, po czym odłożył ją na miejsce.

Nie zadzwoniła.

Wstał i powoli wyszedł na białą plażę.

Pod bosymi stopami czuł miłe ciepło piasku. Zaczął schodzić po niewielkim zboczu ku morzu, którego fale wylewały się na brzeg pięćdziesiąt metrów dalej.

Brodził po wodzie, zagłębiając palce stóp w miękkim piasku. Dłonią osłonił oczy przed oślepiającym słońcem i spojrzał na zatokę. Sześciu mężczyzn na deskach windsurfingowych płynęło od cypla w kierunku otoczonej palmami plaży, rozciągającej się na lewo od Simona. Żywa czerwień i żółć żagli wyraźnie odcinała się od niebieskiej linii horyzontu i ciemnej, tropikalnej zieleni roślinności porastającej cypel.

Simon usiadł na płyciźnie i odchylił się do tyłu. Jego dłonie dotknęły piasku. Po chwili odchylił się jeszcze bardziej i poczuł jak chłodna woda

moczy mu włosy i przelewa się przez twarz. Jej słony smak przywołał wspomnienia wakacji z dzieciństwa, które razem z rodzicami spędzał nad morzem. Później też lubił tak spędzać urlop razem z Ellen i małym Lewesem. Miał wrażenie, że tamto działo się bardzo dawno temu. Otworzył oczy i spojrzał na bezchmurny błękit nieba.

Po mniej więcej pięciu minutach usiadł, opierając się na dłoniach, i popatrzył na morze. Potem przez ramię obejrzał się na plażę. Wysoko na piasku leżało pięć wyciągniętych na brzeg drewnianych łodzi rybackich. Jego własne ślady stóp utworzyły wzór prowadzący aż do miejsca, w którym teraz siedział.

Powiedziała, że przyjedzie.

W Waszyngtonie niebo nie było aż tak pogodne. Jesienna mgła rozmyła barwy tej pory roku. Maddie wyjeżdżała właśnie z garażu domu brata w Great Falls. Cieszyła się, że opuszcza to miejsce. Nie odwiedzała go już od wielu lat i ze zdumieniem stwierdziła, jak bardzo zaniedbany stał się ten dom, odkąd odeszła Susan. Teraz, gdy Buddy'ego też nie było, budynek wydawał się zupełnie pozbawiony życia.

Poprzedniego wieczoru zaczęła porządkować rzeczy brata dla Susan i dzieci, ale po godzinie zostawiła to zajęcie i usiadła w fotelu z na wpół pustą butelką whisky.

W nocy źle spała. Właśnie miała zamiar zabrać się ponownie za przeglądanie rzeczy, kiedy zadzwonił ktoś z biura Warkowskiego, wzywając ją na spotkanie o dziesiątej. Nie powiedziano jej, czego miało ono dotyczyć. Może chodziło o to, że zabrała rzeczy Buddy'ego? Nic jej to nie obchodziło. Jej twarz i oczy pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu. Wyjechała na ulicę Leesburg prowadzącą w kierunku rzeki.

Pewnie w innych okolicznościach zauważyłaby czarny wóz z zaciemnionymi szybami, który jechał w odległości trzech samochodów za nią. Trzymał się z tyłu przez cały czas. Minęła Swinks Mili i dopiero gdy znalazła się niedaleko Georgetown i skręciła na most Key, obcy samochód podjechał bliżej. Spostrzegła go dopiero w połowie mostu, kiedy zrównał się z nią. Gdyby nie znalazł się tak blisko, pewnie wcale by go nie widziała. Wóz jechał teraz dosłownie w odległości metra od jej samochodu. Maddie spojrzała w bok i napotkała wzrok mężczyzny. Otworzył szybę. Miała wrażenie, że do niej macha.

Czy przypadkiem skądś go nie znała? Może chciał, żeby zjechała na bok? Po chwili zauważyła, że mężczyzna wcale nie machał. Coś pokazywał. Ale co?

Dwa strzały i było po wszystkim. Jej samochód nagle skręcił i uderzył

w barierkę pośrodku drogi. Potem zawróciło nim i rzuciło w poprzek pasów, aż w końcu stanął przy samym skraju mostu. Jadące za nią auta wpadały jedno na drugie. Wszędzie słychać było trąbienie klaksonów. Ruch na drodze został zablokowany.

Jeden ze strzałów oderwał jej pół czaszki. Ciało odrzuciło w bok. Prawe oko Maddie wpatrywało się w przestrzeń. Nie było w nim ani mniej, ani więcej życia niż przed pięcioma minutami.

Przednią i boczną szybę opryskała krew oraz kawałki mózgu. Szkło znaczyły czerwone i szare smugi. Rozrzucone na siedzeniu blond włosy też były mokre od krwi. Jesienna czerwień.

Czarny samochód zniknął wśród innych.

O północy Simon wstał z łóżka i podszedł do otwartego okna domku. Na czystym tropikalnym niebie błyszcząły gwiazdy rzucające refleksy tańczące na spokojnej wodzie zatoce Wielkiego Kajmanu. W oddali dostrzegł migoczące światła łodzi rybackich, które wypłynęły na nocny połów.

Podszedł do walizki i wyjął z niej niewielką miedzianą kulę. W jej powierzchni wycięto małe gwiazdki, a w środku stała mała świeczka. Simon zapalił ją i postawił w otwartym oknie.

Patrzył, jak rozjaśnione kształty gwiazdek tańczyły na ścianach i suficie pokoju. Jeszcze raz odwrócił się do okna i spojrzął na prawdziwe gwiazdy, zastanawiając się, jakie konstelacje miał nad sobą tej nocy. I co one oznaczały.

Potem przeniósł wzrok na płomień świecy. Uśmiechnął się.

Cicho przeszedł przez pokój i z powrotem położył się do łóżka. Ostrożnie, żeby jej nie obudzić.